ŻYCIE

ŚWIĘTEGO WINCENTEGO à PAULO

PRZEZ

KSIĘDZA MAYNARD
kanonika honorowego z Poitiers.

Tłumaczył z francuzkiego

Z DODANIEM WIADOMOŚCI O ZAŁOŻENIU MISSJONARZY I SIÓSTR MIŁOSIERDZIA W POLSCE

X. F. Gawroński
Dr. Prawa kan.

KRAKÓW.

1876.

ŻYCIE
ŚWIĘTEGO WINCENTEGO à PAULO.

ŻYCIE

ŚWIĘTEGO WINCENTEGO à PAULO

PRZEZ

KSIĘDZA MAYNARD
kanonika honorowego z Poitiers.

Tłumaczył z francuzkiego

DODANIEM WIADOMOŚCI O ZAŁOŻENIU MISSJONARZY I SIÓSTR MIŁOSIERDZIA W POLSCE

X. F. Gawroński
Dr. Prawa kan.

KRAKÓW.
Nakładem Tłumacza.

1876.

„Życie Świętego Wincentego à Paulo"
przez Wgo I. X. F. Gawrońskiego prawa kanonicznego doktora na ję-
zyk polski z francuzkiego przetłumaczone, nie zawiera w sobie ni[c]
przeciwnego wierze świętéj i dobrym obyczajom; ale owszem uważn[e]
odczytywanie opisu cnot, jakiemi jaśniał św. Wincenty à Paulo, zdol-
ném jest natchnąć kapłanów duchem kościelnym i zarazem zachęcić do
gorliwości o chwałę Boską i zbawienie bliźnich, a osoby świeckie do
pilnéj pracy nad uświątobliwieniem życia swojego. Z tych tedy powo-
dów sądzę: iż upowszechnienie tego dzieła drukiem, dla wszystkic[h]
pożyteczne będzie.

Kraków dnia 19 Sierpnia 1876 r.

X. Filip Gołaszewski
księg treści religijnéj cenzor.

IMPRIMATUR.

ANTONIUS
Episcopus Amathunt. et Vicarius Apostolicus Cracoviensis.

W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Parę słów od tłumacza.

Abelly, Collet i wielu innych mniéj znanych, opisało życie świętego Wincentego à Paulo; — pomimo jednak zalet, dwóch zwłaszcza pierwszych, dawał się czuć brak dokładnéj, szerzéj objętéj historji świętego. Uczony ksiądz Maynard podjął się go zapełnić, i w 1860 r. wydał obszerne czterotomowe dzieło pod napisem: „Saint Vincent de Paul, sa vie, son temps, ses oeuvres, son influence“, słusznie przez biskupów, uczonych i czytającą publiczność najpochlebniéj przyjęte. Ale duże, kosztowne dzieło, nie mogło być dla wszystkich przystępném, wkrótce więc napisał skrócony z powyższego żywot świętego, który czytelnikom polskim w tłumaczeniu przedstawiamy, opisawszy obszerniéj jako bliżéj nas obchodzącą, historję założenia za życia jeszcze świętego, podwójnéj jego rodziny: Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia w Polsce.

Kraków 19. Lipca 1876 r.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pierwsze lata życia św. Wincentego à Paulo aż do powtórnego pobytu jego w domu hrabiego de Gondi.

(1576—1617.)

I.

I. Urodzenie Wincentego. — II. Dziecinne jego lata. — III. Stosunki z rodziną.

I. Święty Wincenty à Paulo urodził się 24 kwietnia 1576 r. we wtorek po Wielkiéj Nocy, w małęj wiosce Ranquines, parafji Pouy, niedaleko od Dax. *) Ojciec jego zwał się Jan czy Wilhelm a Paulo, matka Bertranda de Moras. Cały ich majątek stanowił dom i kawał gruntu, który uprawiali własnemi rękoma. Ale, ubodzy wedle świata, bogatemi byli w wiarę i cnotę. Wincenty był trzecim z sześciorga ich dzieci. Użyty do paszenia trzody swego ojca, całe dnie przepędzał w ruinach kapliczki *Najświętszéj Panny de la Lande* albo *Buglosse,* u stóp dębu istniejącego jeszcze, którego pień przez czas wypruchniały zamienił w kaplicę.

*) Obecnie w miejscu urodzenia świętego stanął piękny kościół pamiątkowy, z zakładem dla starców i dzieci. (Przyp. tłum.)

II. Pobożność jego była jakby wrodzoną, szczególniéj zaś miłosierdzie; do przyszłych jałmużn wprawiał się rozdając ubogim chleb, który dostał na posiłek, ubogie suknie, a nawet mały skarb swój, trzydzieści soldów, które zdołał zebrać pracą i oszczędnością. A gdy już nic nie posiadał, rachując na litość rodziców, któréj nieraz był świadkiem, nakładał i na nich mały podatek; i tak, niosąc z młyna mąkę przeznaczoną na wyżywienie rodziny, jeśli spotkał na drodze ubogiego, otwierał worek i udzielał mu parę garstek.

III. Pojętność przebijająca się już w pierwiastkowém jego wychowaniu, zwróciła uwagę ojca. Nie zważając na duży wydatek, Wilhelm a Paulo postanowił oddać go na naukę. Choć to było z tajemnego natchnienia Boskiego, ojciec miał w tém wyrachowanie trochę samolubne: spodziewał się, że dobroczynne dziecię stanie się kiedyś podporą rodziny. Zawiódł się. Nigdy Wincenty nie chciał podnieść swoich krewnych ze stanu rolniczego, „jednego z najniewinniejszych, jak mówił, i najodpowiedniejszych do zbawienia“, a témbardziéj sposobić ich do stanu duchownego. Sto dukatów, oto jedyny udział, jaki mieli z niezmiernych sum, któremi rozporządzał, i to tylko wskutek wyjątkowych nieszczęść, które ich dotknęły. Raz tylko w 1623 r. odwiedził ich odkąd został kapłanem, a przy pożegnaniu zostawił im jedynie zalecenie, aby pozostali w pokornym i ubogim stanie, w jakim ich Bóg postawił. Gdy w kilka lat późniéj jeden z krewnych przybył odwiedzić go do Paryża, odesłał go z dziesięciu tylko talarami na drogę. Kochał ich jednak szczerze, ale kapłan wedle porządku Melchizedecha, rozdawca i jałmużnik Opatrzności, nie chciał mieć innéj rodziny, jedno ubogich i nędzarzy.

II.

I. Początek nauki i wejście do stanu duchownego. — II. Nauki teologiczne. — III. Kapłaństwo i pierwsza Msza św.

I. Wilhelm a Paulo postanowiwszy kształcić w naukach Wincentego, umieścił go za sześćdziesiąt liwrów rocznie u zakonników w Dax, pod opieką jednego ze swoich krewnych.

Dziecię odznaczało się tam pobożnością, rozumem, anielską czystością obyczajów, a także gorliwością w pracy i szybkiemi postępami w naukach. Było to w 1588 r., w cztery lata potém adwokat de Commet powierzył mu wychowanie dwóch synów swoich. Wyborne położenie, pozwalające mu odbywać dalej nauki bez narażania na koszt biednéj rodziny. Umiał pogodzić staranie o uczniów z własnym postępem w nauce i cnocie, i 20 grudnia 1596 r. za radą adwokata, którego drugim ojcem nazywał, a nadewszystko nauczycieli swoich i przewodników duchownych, przyjął postrzyżyny i mniejsze święcenia.

II. Następnego roku, z zasobem, jaki zebrał ojciec jego ze sprzedaży pary wołów, udał się do Tuluzy w celu odbycia nauk teologicznych. Zabrał się do nich z równą jak i do pierwszych w Dax gorliwością, a wytrwanie i postęp zdobył pracą i stałością. Mały jego zasób prędko się wyczerpnął, ciężko mu zaś było żądać nowych jeszcze ofiar od rodziców, więc pracą w chwilach na wypoczynek przeznaczonych zarabiał na utrzymanie i skazując się na nowe trudy podczas wakacji, tak potrzebnych po całorocznéj pracy, zarobił tyle, że mu wystarczyło na skromne wyżywienie.

W lecie 1598 roku i następnych mieszkał w Buzet, małém miasteczku w okolicach Tuluzy, gdzie poświęcił się wychowaniu dwóch synów miejscowego właściciela Hebrarda

de Grosselles, do których przyłączyło się wielu innych chłopców wyższego urodzenia, między innymi dwóch wnuków bohaterskiego wielkiego mistrza Maltańskiego Jana de la Valette. Po ukończonych wakacjach zamierzał poświęcić się znowu naukom teologicznym, ale że uczniowie nie chcieli go opuścić, ubogi ciągle, przystał na zabranie ich z sobą do Tuluzy. Nauczyciel i uczeń zarazem, jakże pogodzi nowe te obowiązki z naukami swemi? Umniejszył snu, skrócił wypoczynek, a tak, zaradziwszy wszystkiemu, mógł uczyć innych nie przestając kształcenia się własnego. Po siedmioletnich kursach teologicznych został bakałarzem z prawem wykładania, i rzeczywiście wykładał drugą księgę Piotra Lombarda, zwanego Mistrzem sentencji.

III. Nie mniéj w świętości jak nauce postąpił przed przyjęciem pierwszych święceń. Przyjął subdjakonat 19 września 1598, a djakonat w trzy miesiące potém 19 grudnia w kościele katedralnym w Tarbes. Mógł był przyjąć święcenie kapłańskie we wrześniu następnego roku, ale chciał jeszcze przez rok się przygotowywać i został kapłanem dopiero 23 września 1600 r., poświęcony przez biskupa z Périgueux, w kaplicy zamkowéj w Saint-Julien. Nie dowiemy się nigdy o dniu, w którym pierwszą Mszę św. odprawił, ale najprawdopodobniéj miał ją w kaplicy Najświętszéj Panny Łaskawéj w Buzet, djecezji Albi, bo odosobnienie i ubóstwo kapliczki najwięcéj odpowiadało pobożności jego.

III.

I. Niewola w Tunis. — II. Pobyt w Rzymie i missja w Paryżu.

I. Jak tylko został księdzem, przełożeni duchowni na zalecenie przyjaciela jego de Commet, a więcéj jeszcze

w uznaniu zasługi mianowali go proboszczem w Tilh, jedném z najlepszych djecezji Dax. Ale że dla objęcia go trzeba było proces prowadzić, zrzekł się probostwa i słuchał daléj nauk teologicznych w Tuluzie.

W tym czasie udał się do Bordeaux w nieznanym celu, być może dla widzenia się z księciem d'Epernon, blizkim krewnym uczniów swoich de Buzet; ten chciał mu wyrobić biskupstwo. Zaledwo wrócił do Tuluzy, dowiedział się, że pewna bogata a pobożna osoba oddawna podziwiająca jego cnotę, uczyniła go spadkobiercą swoim. Nie mając z czego żyć wtedy, bo zrzekł się części przypadającéj nań po śmierci ojca, przyjął ten legat jako dar łaskawéj Opatrzności. Poszukując spadku przekonał się, że pewien człowiek, od którego należało mu się tysiąc dwieście czy tysiąc pięćset liwrów, unikając zwrotu uciekł do Marsylji. Udał się więc za nim. Dłużnik, dorobiwszy się z handlu, był w stanie wszystko wypłacić, ale Wincenty, który umiał zawsze łączyć miłosierdzie ze sprawiedliwością, przestał na trzystu talarach. Gdy się gotował do powrotu do Tuluzy lądem, jak przybył, pewien szlachcic z Languedoku, z którym mieszkał, namówił go do udania się z nim morzem aż do Narbonny. Było to w lipcu, pogoda prześliczna, morze spokojne i przeźroczyste, w jednym dniu można było stanąć u kresu. Prędzéj, mniejszy wydatek, więc podwójna korzyść,— Wincenty wsiadł na statek. Ale zaledwo wypłynęli na morze, otoczyły okręt trzy brygantyny tureckie, czyhające przy brzegach z powodu jarmarku w Beaucaire. Raniony strzałą podobnie jak wielu towarzyszy wpadł w ręce tych „zdrajców i gorszych od tygrysów“, jak sam opowiada w liście opisującym swą niewolę, i zawleczono go do Tunisu. Sprzedany naprzód rybakowi, potém staremu lekarzowi, rok blizko pozostał u niego, pomagając mu w alchemicznych doświadczeniach, ale stale opierając się namowom przyjęcia jego wiary. Po śmierci doktora dostał się synowcowi jego, który

wkrótce odprzedał go pewnemu renegatowi z Nicei. Renegat zabrał go do swego Tematu czyli folwarku na skwarnéj i odludnéj górze położonego. Jedna z trzech żon tego człowieka, odwiedzała codzień świętego niewolnika zajętego uprawą roli. Raz zażądała, by jéj zaśpiewał co na chwałę swego Boga. Wincenty przejęty myślą: *Quomodo cantabimus in terra aliena,* zaśpiewał psalm *Super flumina Babylonis,* potém *Salve Regina.* Kobieta odeszła zachwycona i wzruszona. Wieczór rzekła do swego męża: „Bardzoś zbłądził wyrzekając się swéj religji, którą za doskonałą uważam sądząc po tém, com słyszała z jéj nauki i śpiewów; z taką rozkoszą je słuchałam, że nie spodziewam się podobnéj w raju ojców moich.“ Nazajutrz renegat przyrzekł Wincentemu prędką ucieczkę do Francji; dziesięć jednak miesięcy wyczekiwał na sposobność. Nareszcie, 28 czerwca 1607 r. po dwóch latach niewoli Wincenty przybył do Francji ze swoim panem, którego wice-legat Awinjonu Piotr Montorio w kilka dni potém przyjął znowu na łono kościoła.

II. Ciekawy tajemnic, których Wincenty nauczył się od starego alchemisty, a bardziéj wzruszony wiarą i cnotą jego, wice-legat zabrał go z sobą do Rzymu, obiecując wyrobić mu beneficjum. Święty kapłan zdał się we wszystkiém na swego opiekuna i Opatrzność, sam zaś zajęty nauką i modlitwą korzystał z pobytu w Rzymie. W téj stolicy dawniéj pogańskiego świata a ognisku wiary i chrześcjańskiéj oświaty, nie dał się pociągnąć bardzo zresztą godziwéj ciekawości. Ze wszystkich pomników starego Rzymu odwiedził tylko Kolizeum i katakumby dla uczczenia krwi i popiołów męczenników, a z chrześcjańskiego Rzymu poznał tylko kościoły i miejsca poświęcone pobożności wiernych. Tém swobodniéj mógł pójść za swym podwójnym pociągiem do nauki i pobożności, że nie miał potrzeby starać się o utrzymanie życia; Montorio przyjął go na mieszkanie i stół,

i dawał na utrzymanie. Wice-legat obficie czuł się nagrodzonym przez zbudowanie z życia jego i pobożnym wdziękiem rozmowy. To téż nie ustawał go chwalić szczególniéj przed panami francuzkimi, mieszkającymi wtedy w Rzymie jako posłowie Henryka IV. Ci słysząc o cnocie i roztropności swego rodaka zapragnęli go widzieć, chcąc zbadać, czyby nie mogli użyć go jako posłańca, którego potrzebowali. Wincenty przedstawił się im. Rozmawiali z nim wielokrotnie, badali, nareszcie osądzili, że można się mu zwierzyć. Była to sprawa ważna, wymagająca roztropności, wierności i takiéj ostrożności, że nie śmiano porozumieć się listownie. Zwierzyli ją Wincentemu i posłali go do Paryża dla porozumienia sią z Henrykiem IV.

IV.

I. Wincenty à Paulo u dworu i w szpitalu miłosierdzia. — II. Sędzia Sore. — III. Królowa Małgorzata i pokusy doktora. — IV. Schronienie się u Oratorjanów. — V. Clichy.

I. Przybywszy do Paryża Wincenty dopełnił swéj missji. Wielokrotnie rozmawiał z Henrykiem IV, przedmiot jednak tych rozmów nie jest znany. Wiadomo, jak ten monarcha znał się na ludziach i wątpić niedodobna, żeby nie odkrył zaraz wielkich przymiotów umysłu i serca świętego kapłana. Gdyby Wincenty miał trochę ambicji, a pochodził trochę za swemi interesami u dworu, mógłby prędko dójść do najwyższych zaszczytów w kościele. Ale, w kilku dniach skończywszy swoję świetną rolę, zamknął się w ukryciu, zdając wszystko na Opatrzność. Nie chciał przecież pozostać bezczynnym, serce łaknęło dzieł miłosierdzia, zamieszkał więc na przedmieściu św. Germana, w blizkości szpitala, i codzień szedł nawiedzać chorych, dawał im krótkie nauki, a jako zaszczyt i łaskę uprosił u braci, żeby mógł dzielić

z nimi posługi około chorych. Tam był w swoim żywiole i przygotowywał się do prawdziwego powołania swego. Ale Opatrzność, chcąc uzupełnić przez wszelakie nędze i doświadczenia wychowanie jego, dopuściła dotknąć go ciężką potwarzą.

II. Żeby oszczędzić skromnego mienia, najął mieszkanie wspólnie z jednym ze swych współrodaków, sędzią pewnéj wioski w Landes, nazwiskiem Sore. Ten, wychodząc raz bardzo rano za swemi interesami, zapomniał zamknąć biurka, w którém zostawił sumę 400 talarów. Wincenty chory w łóżku oczekiwał na lekarstwo. Chłopiec od aptekarza przynosi mu go, szuka w biurku naczynia dla podania w niém lekarstwa, spostrzega pieniądze, chwyta je zgrabnie i wynosi z najniewinniejszą miną. Za powrotem, sędzia nie znajdując swych pieniędzy, zdziwiony i zmartwiony pyta o nie Wincentego, naprzód nieśmiało, potém z uniesieniem. Wincenty nic nie widział. Dla sędziego dostatecznym powodem oskarżenia było jego ubóstwo, spokojność, milczenie nawet, wygania go więc haniebnie z mieszkania, a daléj posuwając swą zemstę, przed wszystkimi znajomymi świętego kapłana, oskarża go o kradzież i obłudę. „Bóg zna prawdę“, taką była jedyna obrona Wincentego. Silny ufnością w Bogu i niewinnością swoją, zachował duszę w pokoju i jeśli bolał nad niesprawiedliwością oskarżyciela, cieszył się, że był jéj ofiarą. Wszyscy, widząc tyle umiarkowania, cierpliwości i pokory, nietylko uznali go niewinnym, ale coraz więcéj podziwiali jego cnotę.

Dziesięć lat upłynęło. Raz zawezwano sędziego do więzienia w Bordeaux, bo jeden z więźniów żądał go widzieć. Był to dawny chłopiec od aptekarza, który dręczony wyrzutami wyznał swoją zbrodnię, obiecując prędki i całkowity zwrot sumy. Na to wyznanie, sędzia sam dotknięty wyrzutem, że oskarżył niewinnego i zelżył cnotę, pisze do

Wincentego długi list prosząc o przebaczenie. „Jeśli mi ksiądz nie przebaczysz, pisze, przybędę osobiście do Paryża, rzucę się do nóg waszych prosząc o nie z powrozem u szyi.“ Przebaczenie udzielono mu wewnętrznie w saméj chwili uchybienia, ale spodziewać się można, że bez kosztów i trudu podróży zwolnionym został od okazania swego żalu.

III. Tą smutną korzyścią swych pierwszych stosunków ze światem ostrzeżony Wincenty, zamyślał wtedy jeszcze głębiéj usunąć się na osobność, gdzieby nie był znanym jedno od Boga i biednych. Podwoił usiłowań, żeby żyć w zapomnieniu i pogardzie u ludzi. Już, jakby służący, nazywał się tylko swojém chrzestném imieniem; głosił wszędzie swoję nieumiejętność i błędy. Ale ludzie cnotliwi i pobożni, duchowni i świeccy na to staranie o wzgardę odpowiadali szacunkiem i czcią, i im więcéj zakrywał swą zasługę, tém usilniéj starali się ją wykazać. Mieszkanie jego na przedmieściu św. Germana, gdzie był dwór królowéj Małgorzaty, a nadewszystko miłosierdzie i gorliwość, jałmużny, które zbierał dla ubogich, musiały go poznajomić z kilką dworzanami księżnéj, a szczególniéj z jéj sekretarzem Du-Fresne. Ten mówił o nim Małgorzacie, która zażądała go widzieć, a zapewniwszy się sama o zasługach jego, wpisała na listę swego domu jako zwyczajnego jałmużnika. Wkrótce potém, 10 czerwca 1610 r., Wincenty otrzymał opactwo św. Leonarda de Chaume, zakonu Cystersów, w djecezji Saintes.

Usunął się od dworu Henryka IV, a oto znalazł się na dworze jego rozwiedzionéj małżonki. Bóg ciągle przygotowywał jego przyszłość. Przeprowadziwszy przez ubóstwo w dzieciństwie i boleści niewoli, pokazał mu to życie u dworu, gdzie późniéj miał dawać rady sumienia, ale chroniąc go od ułudy, przy każdym zaszczycie kładł obok utrapienie.

Między dworzanami królowéj Małgorzaty, wielce lubiącéj rozmowy uczone, znajdował się pewien doktor, którego brak zajęcia i zarozumiałość doprowadziły do przepaści. Zaciemnił mu się umysł, wiara zachwiała, modlitwa na ustach zmieniła się w bluźnierstwo, a rozpacz podżegała ciągłe pokusy samobójstwa. Wincenty dla przywrócenia spokoju duszy jego wyczerpał rady i modlitwy; wreszcie w gorącéj modlitwie ofiarował się Bogu z gotowością wzięcia na siebie słabości swego przyjaciela. Heroiczna ofiara przyjętą została w całéj rozciągłości. Podczas gdy doktor czuł, że światło rozprasza ciemności jego umysłu, gdy tajemnice wiary jakby dotykalnemi się stawały, modlitwa i miłość odradzała się w sercu i ożywiała na ustach, Wincenty dziedziczył krwawą jego pokusę, któréj ani łzy ani czyny miłosierdzia nie mogły z początku zwyciężyć. Wtedy napisał Skład apostolski i położył jakby lekarstwo na swém sercu, następnie z dziecinną a ufną prostotą, tak właściwą świętym, zacząwszy od ojca wierzących, ułożył się z Bogiem, że ile razy przyłoży rękę do tego papieru, będzie to znakiem odrzucenia pokusy, a wyznaniem wiary. Nadto, postanowił opierać się namowom nieprzyjaciela w myślach, mowie i czynach, usiłując iść zawsze za duchem wiary, mówić jéj językiem i boską miłością uświęcić czyny swoje. Wtedy to częściéj zaczął nawiedzać chorych i służyć po szpitalach; osobliwsza niewiara tak pełna ducha Ewangelji! Trzy czy cztery lata upłynęły w tak ciężkiéj pracy, a pokusa trwała ciągle. Bóg więcéj jeszcze chciał od sługi swego. Raz, czując się bardziéj jak zazwyczaj zbolałym, upadł na kolana i poświęcił swe życie Jezusowi w osobie ubogich. Powstał wolnym od pokusy i poświęconym na apostoła miłości.

IV. Burza użyzniła tylko tę duszę, która miała wydać tyle owoców zbawienia. Pokusa trwała jeszcze, gdy się usunął od dworu królowéj Małgorzaty, aby swobodniéj wy-

konać zamiar życia na ustroniu. Od czasu swego przybycia do Paryża zawarł stosunki z Piotrem de Berulle, którego pierwszy raz spotkał w szpitalu miłosierdzia. Do domu to tego założyciela Oratorjanów udał się Wincenty, nie w zamiarze wejścia do nowego Instytutu, ale by uciec przed światem, zaszczytami i niebezpieczeństwem jego; czekając na ustroniu objawienia woli Bożéj i zdając swój przyszły sposób życia na sąd Berulla. Po dwuletniém doświadczeniu Berulle uznał go powołanym do wielkich rzeczy i przepowiedział, że Bóg chce go użyć dla dania kościołowi swemu kongregacji kapłanów, którzy z korzyścią i błogosławieństwem pracować w nim będą.

Tymczasem trzeba było, aby Wincenty wedle zamiarów Opatrzności poznał dokładnie nędzę i potrzeby wieśniaków, a w tym celu żył między nimi, dzielił ich cierpienia, doświadczał jak najwłaściwiéj ich pouczać, przynosić ulgę i uświęcać. Berulle pomógł do tego, radząc mu probostwo w Clichy wakujące po zrzeczeniu się Franciszka Bourgoing, jednego z pierwszych członków Oratorjum.

V. Clichy, które Wincenty objął 2 maja 1612 r., było opatrznościowo wybraném za pole pierwszych jego prac i gorliwości pasterskiéj. Obok Paryża, wsią i miastem zarazem nazwać się mogło. Zwyczajną jego trzódką byli ubodzy, ale mieszczanie paryzcy posiadając tam letnie mieszkania, przynosili bogactwo. Wierny obraz swego pasterza i powołania, jakie miał dopełnić święty kapłan, Clichy było więc jakby spójnią ubóstwa z dostatkiem, wsi z miastem.

Bóg powierzając mu sprawowanie kapłańskiego urzędu na wsi, nie chciał oddalić go od tego Paryża, który miał być stolicą jego królestwa, królestwa miłosierdzia, główną kwaterą jego świętéj armji, środkiem i siedliskiem dzieł dla odnowienia i uświęcenia kleru francuzkiego. Należało mu więc utrzymać swe stosunki z księżmi, żeby wpływać

i kierować nimi. W Clichy żył zarazem z ubogimi i bogatymi, z trzódką i pasterzami. Ojcem i opatrznością pierwszych, szafarzem skarbów drugich, był jednocześnie wzorem i doradzcą kleru. Gorliwość jego rozciągała się na wszystkich, wszędzie widać było wpływ jego. Jednak parafjanie byli przedmiotem szczególnéj troskliwości. Nauki, katechizmy, konfesjonał, oto zajęcia jego zwyczajne; a w chwilach wolnych, nawiedzał chorych, pocieszał strapionych, wspierał ubogich, godził nieprzyjaciół, jednał rodziny, umacniał słabych, utrzymywał mocnych, strofował grzeszników, słowem, stawał się wszystkiem dla wszystkich, aby ich zyskać Chrystusowi Panu.

Jego przykład więcéj jeszcze nauczał jak słowa. Czystością życia, wzorowém postępowaniem, słodyczą charakteru, łatwością w przestawaniu, świętością rozlaną po całéj osobie, był żywem a ciągłém kazaniem. Zjednał sobie wszystkich umysły i serca przez szacunek i miłość, którą natchnąć potrafił. Sam mówił późniéj: „Ten dobry lud w Clichy, tak mi był posłusznym, że gdym zalecił spowiedź w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, z wielką pociechą moją nikogo nie brakowało. Ah! mówiłem sobie, jakżeś szczęśliwym, że masz lud tak poczciwy! Papież nie tak szczęśliwy jak ja. Raz, kardynał de Retz zapytał mię: A cóż mości księże, jakże ci się powodzi? — Eminencjo, odpowiedziałem, tak jestem rad, że opowiedzieć nie zdołam. — A dla czego? — Bo parafjanie moi tak są dobrzy i posłuszni we wszystkiem co tylko im polecę, że ani papież, ani wasza eminencja nie jest tak szczęśliwym jak ja.“

Zbudowawszy Bogu przybytek duchowny w sercach swoich parafjan, zamyślał o wybudowaniu materjalnego kościoła w Clichy, który w gruzy upadał. Zamiar ten wydałby się zuchwały i nie do wykonania! Biedny w pośród biednych, gdzież znajdzie fundusz na takie przedsięwzięcie? Udało mu się jednak zachęcić do tego miłosiernego dzieła czasowych

parafjan swoich, i namówić do zbierania w tym celu jałmużny w Paryżu. Zbudowano kościół, opatrzono sprzętem i ozdobami potrzebnemi do sprawowania obrządków, a najmniejszy ciężar nie spadł na ubogich mieszkańców Clichy. Kościół ten stoi jeszcze. Zachowują w nim ambonę, z któréj nauczał swych parafjan, i krucyfiks, którego używał przy kazaniach. Wtedy, mógł już rozszerzyć chwałę Bożą. Ustanowił bractwo różańca. Zamierzał zebrać pewną liczbę dzieci dla sposobienia ich w nauce i cnocie do stanu duchownego. Zaczął od dwunastu, umieścił ich u siebie, swoim kosztem żywił, i dzieło to wielce użyteczne, szczególniéj polecił następcom swoim.

Zaledwo jednak rok przebył w Clichy, z woli Berulla opuścić musiał drogich wieśniaków swoich. Jakaż to boleść dla jego serca: „Oddalałem się smutny z małego mego kościółka w Clichy, pisał do jednego ze swych przyjaciół — z oczyma pełnemi łez, błogosławiłem mężczyzn i niewiasty przychodzących do mnie, bo ich tak kochałem! Moi ubodzy byli tam także i ci rozdzierali mi serce. Przybyłem do Paryża z małym tłomoczkiem, i udałem się do J. X. de Berulle“. Ztamtąd skromny proboszcz miał przenieść się w pośród wielkiego świata.

V.

Pierwszy pobyt w domu de Gondi.

I. Wejście i postępowanie Wincentego. — II. Pojedynki w XVII wieku; usiłowania Wincentego, aby je znieść. — III. Pani de Gondi i missja w Folleville. — IV. Wyjście z domu de Gondi.

I. Familja de Gondi, pochodząca z Florencji, a przybyła do Francji w połowie XVI. wieku, była wtedy jedną z najznaczniejszych dla swych urzędów tak w kościele jak

w państwie. Szczególniéj, stolica biskupia paryzka była jakby dziedziczną w téj rodzinie, i przez całe życie Wincentego zajmowaną przez kogoś z ich rodu.

Filip Emanuel hrabia de Joigny, komandor orderów królewskich i jenerał galer, do którego domu wszedł Wincenty, był członkiem téj rodziny. Jenerał ożenił się z Franciszką Małgorzatą de Silly, kobietą pod każdym względem znakomitą. Pobożna, tkliwa, miłosierna, prawdziwa matka rodziny, myślała tylko o tém, aby sama i cała rodzina dla Boga tylko żyła. Zaledwie została matką, już troskać się zaczęła o chrześcijańskie wychowanie swych dzieci, których jak mówiła, daleko więcéj pragnęła „uczynić świętymi w niebie, jak wielkimi panami na ziemi". Takie téż było główne zadanie jéj męża, który choć myślał o uposażeniu swych synów, jednak zbawienie ich kładł wyżéj nad wszelkie marzenia rodzicielskiéj ambicji. Jak tylko dzieci doszły do odpowiedniego wieku, oboje małżonków myślało „nad wynalezieniem dla nich najświętszego i najcnotliwszego nauczyciela". W tym celu udali się do J. X. de Berulle, który nie zatrzymał dla żadnego ze swych księży tak zaszczytnego miejsca, ale ofiarował je proboszczowi z Clichy, dawnemu nauczycielowi z Dax, Buzet i Tuluzy.

I tutaj, Bóg sam działał. Clichy byłoby całkowicie zajęło Wincentego, bez korzyści dla Francji i kościoła. — Clichy, jak późniéj Chatillon miało być dla niego tylko miejscem nauki i doświadczenia chwilowego, a nie kolebką dzieł mających znaczenie powszechne, albo ogniskiem, z któregoby miłość jego mogła świecić na świat cały. Dom de Gondi, choć sami nie wiedzieli o tém, a szukali tylko nauczyciela dla swych dzieci, — bez wiedzy Wincentego, który sądził, że idzie tylko za wolą Berulla, — miał się stać tém wszystkiem. Od pobytu tam, zaczynają się, jeśli nie same wielkie dzieła, przynajmniéj myśl i pierwsze próby dzieł głównych, jak missji po wsiach i pracy około galerników.

W tym to domu, połączonym węzłem krwi, albo stosunków społecznych z najbogatszymi magnatami owego czasu, wszedł w stosunki z przyszłemi bankierami i współdziałaczami miłosierdzia swego. Tam to wreszcie zapewnił dla swych dzieł pomoc i opiekę władzy duchownéj, pozyskawszy przez swą cnotę i gorliwość, uwielbienie rodziny, któréj członkowie zasiadać mieli na arcybiskupstwie paryzkiem przez cały czas jego długiego życia.

Wszedł tam w końcu 1613 r. Wtedy jenerał galer miał tylko dwóch synów: Piotra de Gondi najstarszego, który został późniéj księciem de Retz i posiadaczem godności ojcowskich, i Henryka margrabiego wysp Hierskich, który przeznaczony do stanu duchownego zginął za młodu na polowaniu.

Ale w tym czasie, w październiku 1614 r. narodził im się syn Jan Franciszek à Paulo, przyszły kardynał de Retz „charakter wcale nie duchowny“, którego źle zrozumiana pobożność jenerała zmusiła do wejścia w stan duchowny po śmierci Henryka.

Dom ten, tak pobożny, mimo bogactwa i okazałości, Wincenty zaraz z początku uważać począł w duchu, jakby za świątynię zamieszkałą przez przedmioty czci jego. Więc w osobie głowy domu czcił Jezusa Chrystusa, najświętszą Pannę w osobie pani de Gondi, a uczniów Zbawiciela w dzieciach i domownikach. Ale, choć otoczył religijnym blaskiem swych znakomitych panów, unikał hałaśliwego zbytku ich życia i zostawał na uboczu, ile razy go nie wzywano, albo wolnym był od obowiązków; gotów przecież opuścić swe ustronie, jeśli trzeba było pokój i zgodę przywrócić, nawiedzać, pocieszać, służyć chorym domownikom, albo zgromadzać ich dla przygotowania do obchodu świąt uroczystych lub przyjęcia Sakramentów św. Gdy towarzyszył téj rodzinie na wieś, do Joigny, Montmirail, Villepreux, zamiast wypoczynku, widział tam rozleglejsze pole otwarte dla swéj gor-

liwości. Wszyscy wieśniacy w tych obszernych dobrach byli w oczach jego jakby dalszą rodziną; to téż dzielił swą pracę między nich a swych uczniów, i jeśliby wybierać przyszło, pewno biedni i maluczcy otrzymaliby pierwszeństwo. Gorliwość jego rozciągała się aż do głowy domu de Gondi. Z tą roztropnością i umiarkowaniem, które go zawsze odznaczały umiał pogodzić szacunek ze świątobliwą śmiałością, łagodzić stałe i surowe rady, słodyczą i miłością. Oto przykład chwałę przynoszący tak jemu jak i jenerałowi galer.

II. Wiadomo, jaki szał ogarnął wtedy wszystkich do pojedynków. Filip Emanuel zelżony od pewnego pana u dworu sądził, mimo swéj pobożności, że pamięć na marszałka swego ojca, że honor domu i stanowisko jego, wymagało obmycia téj obelgi we krwi nieprzyjaciela. Ale zanim na plac wystąpił, ze zwykłą w tym czasie nielogicznością zasad i charakteru, udał się do kaplicy, wysłuchał pobożnie Mszy św. i zatrzymał się na modlitwie dłużéj jak zazwyczaj, polecając Bogu i pojedynek i duszę swoją. Wincenty odprawiał Mszą św., a powiadomiony o zamiarze jenerała, postanowił spróbować, czy z pomocą Bożą nie zdoła go powstrzymać. Gdy ujrzał się w kaplicy sam z panem de Gondi, zbliża się, i upadając mu do nóg rzecze: „Dopuść przezacny panie, abym z pokorą słówko ci powiedział. Wiem z dobrego źródła, że masz zamiar pojedynkować się. Ale oświadczam w imieniu Zbawiciela, któregom ci pokazał, i któremuś cześć oddał, że jeśli nie zaniechasz tak złego zamiaru, sprawiedliwy gniew Jego spadnie na ciebie i całe twe potomstwo“. Po tych słowach jenerał upada także do stóp Wincentego, a zwracając się ku Bogu, zostawia Jemu zemstę którą sobie zastrzegł.

Gorliwość Wincentego a Paulo przeciw pojedynkom nie ograniczyła się na tym tylko wypadku. W początku zaraz rejencji Anny austrjackiéj wyjednał dekret zakazujący,

ale zwyczaj i fałszywy punkt honoru przemógł znowu. — W 1651 r. Olier proboszcz św. Sulpicjusza, w którego parafji w ciągu jednego tylko tygodnia siedemnastu szlachty umarło z pojedynków, postanowił, gdy prawo ukazało się niedostateczném, stawić wiarę przeciw honorowi, a raczej honor przeciw honorowi samemu. Nakłonił wielu panów znanych ze swéj odwagi, między innymi marszałka Fabert i margrabiego Antoniego de Fénélon, stryja arcybiskupa kameraceńskiego, by połączyli się w stowarzyszenie i pod przysięgą własnoręczném pismem przyrzekli, nie wyzywać ani przyjmować wyzwania, i nie służyć za sekundantów w pojedynkach, choćby ich o to proszono. Stowarzyszenie prędko się zawiązało i z Paryża rozeszło na prowincje. Król nakłonił do niego naprzód urzędników swego dworu, a siódmego października 1651 r. udał się do parlamentu, gdzie po oświadczeniu, że obejmuje ster rządu, kazał przeczytać dwa prawa, jedno przeciw bluźniercom, drugie przeciw pojedynkom, które zaraz przyjętemi zostały. Nakłonił biskupów do pomagania mu w wytępieniu pojedynków, a w dzień swéj koronacji, przysiągł bronić zachowania tego prawa.

Pozostawało otrzymać jeszcze potwierdzenie stolicy apostolskiéj. Wincenty a Paulo, który dużo się przyczynił do tych dekretów, a wielki wtedy miał wpływ w Rzymie, posłał do jednego ze swych księży tam mieszkających, swe uwagi i plan breve. Zgodzono się na żądanie, i pojedynek usuniętym został we Francji podwójną powagą: stolicy apostolskiéj i króla arcychrześcjańskiego.

II. Rola Wincentego w zamierzonym pojedynku jenerała galer doszła bez wątpienia do uszu pani de Gondi i zwiększyła jeszcze głęboki szacunek jaki miała do świętego kapłana. Prosiła więc, by zechciał kierować jéj sumieniem. Pod tak roztropném przewodnictwem, z nowym zapałem wzięła się do dobrych czynów, pobiegła raczéj jak poszła

po tèj drodze miłości chrześcijańskiéj, którą Wincenty otwierał dla wszystkich kobiet, na które jaki wpływ wywierał. Zwiększyła swe jałmużny, a znakomitą ich część obracała na ubogich w dobrach swoich. Odwiedzanie i posługa chorych, była radością i zaszczytem dla téj sługi Boga żywego. Domownicy jéj, musieli być ludźmi doświadczonéj prawości i cnoty, ale szczególniéj do wymierzania sprawiedliwości w swych dobrach używała takich, których ani namowy ani dary zachwiać nie były zdolne. Wreszcie, za wpływem łaskawego jéj pośrednictwa, procesy i kłótnie rzadko się trafiały między wazalami, tak je umiała uprzedzać i niszczyć w zarodku. Matką i opiekunką była wdowom i sierotom; religja opiekunkę, cześć Boża jakby apostoła w niéj miała.

Wincenty, jak prawdziwy naczelnik duchowny szlachetnego domu, ożywiał i radził w tych świątobliwych zamiarach, bo jenerał stanowiskiem i obowiązkami powoływany jużto do dworu, już na krańce królestwa, zdał na niego staranie około dobrych czynów. Taki nadmiar pracy, który miłosierdzie dodało do obowiązku nauczyciela, zniszczył prędko jego zdrowie, i w kilku dniach choroba stała się niebezpieczną. Ale Bóg zachował domowi de Gondi, a raczéj sobie sługę tak dobrego. Nogi tylko, już osłabione i zbolałe niewolą w Tunis, a bardziéj jeszcze srogą niewolą, o któréj wkrótce będzie mowa, zostały dotknięte cierpieniem, które przetrwało aż do ostatniéj chwili. Służyły mu odtąd, jak się wyrażał, za zegarek w tém życiu cierpień i poświęcenia.

Zbliżamy się do okoliczności może najbardziéj stanowczéj w jego życiu. Na początku 1617 r. znajdował się z jenerałową w zamku Folleville, djecezji Amiens, gdy go zawołano do sąsiedniéj wioski Gannes dla wyspowiadania chorego wieśniaka, cnotliwego w oczach ludzi, ale przed Bogiem niewolnika grzechu, który oddawna przez fałszywy wstyd ukrywał. Wincenty wymógł nareszcie na nim przez spowiedź

jeneralną zbawienne oskarżenie, i przez trzy ostatnie dni życia, głosił przed wszystkiemi i winę swoją i miłosierdzie Boskie. „Ah! mości księże, rzekła wtedy do Wincentego hrabina de Joigny, jeśli ten człowiek, którego wszyscy mieli za cnotliwego, był w stanie potępienia, cóż się stanie z innymi, którzy gorzéj żyją? Ah! księże Wincenty, ileż dusz się gubi! jakże temu zaradzić?“ Sama znalazła na to środek. Uprosiła Wincentego dnia 25 stycznia, aby miał kazanie w kościele w Folleville o spowiedzi jeneralnéj. — Wygłosił je z tak zadziwiającym skutkiem, że musiano zawezwać wielu księży do słuchania spowiedzi pokutujących z Folleville i okolicznych wiosek. „Oto, mówił późniéj Wincenty, pierwsze kazanie missyjne w dzień nawrócenia św. Pawła, i błogosławieństwo, jakiego mu Bóg udzielił: uczynił to pan Bóg w tym dniu nie bez pewnego zamiaru.“

To téż co rok obchodził pamiątkę 25 stycznia i chciał, aby dzieci jego przechowywały tę pamiętną rocznicę. W tym dniu rzeczywiście, Zgromadzenie missji, jeśli nie początek, to przynajmniéj poczęcie swe wzięło, poczęcie nieznaczne bez wątpienia, którego zadziwiającéj płodności Wincenty ani wtedy, ani w ośm lat po tém nie przewidywał; ale wszystkie dzieła chrześcijańskie w ten sposób się zawięzują.

Pani de Gondi, przewidując, więcéj jak święty kapłan, korzyści z téj pierwszéj missji w Folleville, zamierzała rozwinąć ją i uwiecznić, tym czasem człowiek na którego najwięcéj rachowała w uskutecznieniu swych zamiarów, zamyślał usunąć się z jéj domu.

IV. Cnota Wincentego, widoczne błogosławieństwo w jego pracach, zjednały mu w domu de Gondi, tak od obcych jak i rodziny, szacunek i względy, które go dręczyły. Jego miłość bliźniego, spiknęła się z pokorą, by go z tamtąd wypędzić. Jenerałowa doświadczała wewnętrznych niepokojów sumienia, które jéj zdaniem, sam tylko Win-

centy umiał łagodzić. Na wsi, w mieście, stał się jéj koniecznym i musiał, jako jedyny lekarz, towarzyszyć wszędzie téj zbolałéj duszy. Ale on, w takiém przywiązaniu i ufności widział niedoskonałość i niebezpieczeństwo dla niéj.

Także, po czterech latach, uczniowie jego wyrośli, a człowiek ten, który nazywał się tylko *uczniem czwartéj klasy*, pytał sam siebie, czy posiadał dostateczne talenta i naukę, aby dać im wychowanie odpowiednie do urodzenia i przyszłych ich zajęć.

Wreszcie, Paryż, gdzie zwykle przebywał, stał się widownią sporów i zamięszania, których echo odbijało się i w domu de Gondi. Pochodzenia florenckiego, rodzina ta, która zaszczyty swe i dostatki winna była dwom królowym przybyłym z Florencji, Katarzynie i Marji de Médicis, nie mogła obojętnie przyjąć niełaskę królowéj matki. Wincenty zaś nienawidził zamięszania i stronnictw, i dla tego postanowił opuścić miejsce gdzieby nie mógł zachować zupełnego pokoju, a nawet Paryż, chcąc uniknąć zarazem i politycznych zamięszań, i nalegań, jakie był pewny, że rodzina de Gondi czynić będzie w celu zatrzymania go nadal.

VI.

Chatillon- les- Dombes i bractwa miłosierdzia.

. Prace w Chatillon. — II. Początki bractw miłosierdzia. — III. Rozszerzenie bractw miłosierdzia. — IV. Bractwo w Macon.

I. Wincenty pod pozorem krótkiéj podróży i bez obszerniejszych wyjaśnień, wyjechał z Paryża z końcem lipca 1617 r. i zamieszkał w Chatillon-les-Dombes, djecezji Ljońskiéj na probostwie, które Berulle mu wyjednał. Dopiero wtedy uwiadomił o wszystkiém jenerała galer, który dla interesów przebywał w Prowancji. Wiadomość ta, jakim

była ciosem dla Filipa Emanuela, a szczególniéj dla pani de Gondi, można sądzić z korespondencji ich, z listów które pisali do samego Wincentego i licznych a gorliwych starań jakie czynili, aby go napowrót sprowadzić do swego domu.

Wincenty słuchał, badał, modlił się i czekał na głos Boży. Tymczasem zajął się obowiązkami swego pasterskiego urzędu. Dużo miał do zrobienia, bo zastał parafją w stanie godnym politowania. Sąsiedztwo Genewy wprowadziło protestantyzm, który w jednych zniszczył wiarę, w drugich zepsuł obyczaje. A przeciw téj pladze nie było lekarstwa, brak zgromadzeń religijnych, brak kleru gorliwego; sześciu tylko starych księży, zastępując kanoników hrabiów ljońskich, pełniło obowiązki kapelanów, a i ci żyli w gorszącéj rozwiązłości. Świątynia wierny przedstawiała obraz zaniedbania jakie było w duszach. Brudna, zakopcona, brak najpotrzebniejszych aparatów, służyła nie tyle za miejsce służby Bożéj, nieregularnie i bez przyzwoitości dopełnianéj, jak za miejsce schadzek dla duchownych i świeckich, albo za schronienie przed deszczem. Zbadawszy wkrótce stan rzeczy, Wincenty udał się do Lyonu, by szukać robotników ewangelicznych, a Opatrzność dała mu za pomocnika Ludwika Girard kapłana pełnego zasługi i cnoty.

Wróciwszy do Chatillon, zaczął od urządzenia domu swego gospodarza Beynier, jakby swego własnego. Na zewnątrz jak i wewnątrz wzorem się stał dla wszystkich. Zreformował wtedy owych starych księży i poprawił nadużycia wprowadzone przy sprawowaniu obrzędów kościelnych. Po usunięciu zgorszenia, i gdy dobrym przykładem zajaśniał trzódce swojéj, mógł bez przeszkody i z korzyścią zająć się poprawą całéj parafji. Po upływie czterech miesięcy nie poznałby Chatillonu. Nawrócenia były zadziwiające, między innemi pana Beynier i całéj jego rodziny, którym Wincenty wywdzięczył się za gościnność, przywodząc ich z protestantyzmu na łono katolickiéj wiary, hrabiego de Rougemont

słynnego z pojedynków, który wyrzekłszy się heroicznie swéj pychy i dostatków, umarł w pokornym habicie kapucyna; ale nadewszystko dwóch pań: Franciszki Bachet de Mayseriot i Karoliny de Brie, które stały się podstawą i fundamentem w budowie bractwa miłosierdzia.

II. Gdy raz Wincenty szedł na ambonę, jedna z tych pań Franciszka Bachet prosiła go, by polecił litości parafjan biedną rodzinę, która cała, a nawet i domownicy zachorowali na wsi odległéj o pół mili od Chatillonu. Słowa Wincentego odniosły zwyczajny skutek, bo po kazaniu prawie wszyscy słuchacze udali się tam z sercem pełném miłości, niosąc wszelkiego rodzaju pomoc. Po nieszporach, Wincenty poszedł tam także i z pociechą ujrzał tych dobroczynnych ludzi, którzy wracając do Chatillonu, szukali pod cieniem drzew ochłody przed nadzwyczajnym upałem. „Oto, zawołał, wiele miłości, ale źle urządzonéj. Ci biedni chorzy, na raz mieć będą za wiele, więc część się tego zepsuje, a potém wpadną w takąż samą nędzę."

Obdarzony duchem porządku i organizacji, zamyślił chrześcijańską tę gorliwóść obrócić na stałą korzyść nie tylko téj nieszczęśliwéj rodziny, ale i wszystkich innych dotkniętych podobnąż potrzebą. Nie ufając nigdy sobie, zapytał o zdanie ludzi, których pobożność mogła mu w tém dopomódz, a dostatki obiecywały trwałość zamierzonemu dziełu. Udał się z tém do kobiet, a szczególniéj tych dwóch, które miały się stać matkami i nauczycielkami w nowém bractwie. Znalazł je pełnemi poświęcenia i miłości, i gdy zgodziły się na plan dzieła, mógł natychmiast przystąpić do wykonania go. Ale urządzenie to było tylko czasowém, i zanim zażądał potwierdzenia od władzy duchownéj, chciał wprzód wypróbować je doświadczeniem. Gdy bractwo przetrwało trzy miesiące pomyślnie, uznał próbę za dostateczną, i prosił arcybiskupa ljońskiego o potwierdzenie, które udzie-

lono mu z ochotą 24 listopada 1617 r. w piśmie pełném pochwał, które pokorze jego nie małą przykrość sprawiły.

Na mocy potwierdzonéj ustawy, bractwo miłosierdzia dostało za patrona Pana naszego Jezusa Chrystusa, a za cel najgorętsze jego pragnienie, aby chrześcjanie dopełniali wzajemnie uczynki miłosierne. Składać się miało z pobożnych i cnotliwych niewiast, dziewic, mężatek albo wdów, które powinny były wybrać prokuratora do zarządu dochodami, i dwie ubogie kobiety do pomocy w pielęgnowaniu chorych.

Na czele bractwa stała przełożona, kasjerka i pomocniczka.

Wszystkie, nawet urzędniczki, powinny były nawiedzać i służyć chorym, każda w dniu wyznaczonym, opiekować się ciałem i duszą chorego, a w wypadku śmierci odprowadzić go do grobu.

Powinny téż miewać zebrania, na których traktować miały o własnym postępie duchowym i potrzebach bractwa, zachowywać wspólną ustawę i dopełniać pewne ćwiczenia duchowne.

Tak więc stanowczo urządzone bractwo, mogło z większą ufnością i zapałem zająć się swemi pracami miłosierdzia. Nie podobna opisać, ile materjalnéj i duchowéj korzyści spłynęło przezeń na ubogich, a szczególniéj policzyć nawróceń sprawionych przez tę czynną naukę miłości,— prawdziwą naukę chrześcjańską.

II. Dobre, jak złe jest zaraźliwem, — wkrótce mieszkańcy Bourg i innych okolic, dowiedziawszy się, ile dobrego czyni bractwo w Chatillon, pragnęli założyć i u siebie podobne bractwa. Pokorny fundator najwięcéj się temu dziwił. Tak jak i w wielu innych razach, sądził, że zakłada dzieło miejscowe i przemijające, a oto utrwalało się i rozszerzało jak wszystkie dzieła Boże. Ujrzał w tém palec Opatrzności, i jeśli miał za zasadę nigdy jéj nie wyprzedzać, nigdy

także nie wahał się iść za Nią. Poświęcił się więc na rozszerzanie bractw miłosierdzia i oto napełniły świat cały. — W kilku latach, ustanowił je w więcéj jak trzydziestu parafjach należących do domu de Gondi. W 1620 r. biskup z Amiens zatwierdził na jego prośbę inną ustawę miłosierdzia przeznaczoną dla mężczyzn, których pierwszy raz zgromadził w bractwo. Do nich należeć miała opieka nad ubogiemi zdrowemi, bo staranie o chorych pozostało przy kobietach. Dwa te stowarzyszenia choć oddzielne, powinny postępować wspólnie i obejmować wszelkie nędze.

Przy śmierci jego, ta podziwienia godna instytucja, któréj, jak wyznawał, nigdzie nie znalazł wzoru, rozszerzyła się po całém królestwie; ztamtąd przeszła do Lotaryngji, Sabaudji, Włoch, Polski, wszędzie słowem, gdzie tylko święty sam, albo przez swych synów, opowiadał ewangelję ludowi. Odtąd każda z jego missji, albo missji zgromadzenia tak za granicą jak we Francji, kończyła się chwalebnie założeniem tego bractwa.

Rzecz zadziwiająca! wszystkie te bractwa przetrwały, nie tylko za życia świętego, ale po nim i aż do rewolucji francuzkiéj, tak, że niepodobna by zliczyć mnóstwa ubogich, którzy w całéj Europie, a nawet w dalekich missjach zawdzięczają temu miłosiernemu przemysłowi życie ciała i duszy. A przecież żadne nie miało innych przychodów, prócz zasiłku, to prawda że nie wyczerpanego, Opatrzności. Ogólna składka parafji w dniu jego założenia, trochę sprzętów i bielizny zebranych przy téjże okazji, oto podstawa: jałmużny w niedziele i święta, Bóg raczéj i miłosierdzie wiernych, dopełniało reszty; a to tak niezawodnie i obficie, że nigdy chorym nie zabrakło.

Troskliwy o ubogich po wsiach, najwięcéj zresztą zaniedbanych, Wincenty tam tylko myślał naprzód zakładać nowe bractwa. Ale kilka znakomitych pań posiadających wiejskie mieszkania, czy to w okolicach Paryża, czy na pro-

wincji, gdzie odbywał missje, widząc korzyści, jakie bractwo przynosiło, zamyślały przenieść je do stolicy. Bez wątpienia, Paryż posiadał szpitale otwarte dla biednych chorych, ale iluż to biednych wyrobników nie chciało, czy to przez wstyd czy odrazę, tam się kazać przenosić, a doprowadzeni po kilku dniach choroby i przymusowego wypoczynku do najcięższéj nędzy, zostawali pozbawieni wszelkiéj pociechy i pomocy duchownéj! Pobożne te panie weszły więc w stosunki z proboszczami paryzkiemi i ofiarowały się za pomocą bractwa miłosierdzia zaradzić złemu, aż nadto znanemu.

Ze swéj strony, proboszczowie odnieśli się do Wincentego, aby zyskać dziełu błogosławieństwo, które wyraźnie szło za nim, i prosić o wprowadzenie do pierwotnego planu pewnych zmian, spowodowanych różnicą miejsc i osób. — Wincenty ułożył odpowiednią ustawę, i od 1629 r. bractwo założoném zostało w parafji Zbawiciela. Wkrótce rozszerzyło się po wszystkich prawie parafjach w mieście i przedmieściach Paryża. Popęd raz nadany, nie zatrzymał się, i za wspólną pomocą biskupów, proboszczy i wiernych, bractwo objęło wkrótce ośmnaście parafji w Beauvais i większą część wielkich miast królestwa.

IV. Bractwo w Macon zasługuje na osobną wzmiankę. Wincenty à Paulo przechodząc przez to miasto w 1623 r. ujrzał się otoczonym mnóstwem ubogich, których jakiś tajemniczy pociąg zawsze do niego ściągał. Łącząc, jak zazwyczaj jałmużnę duchową do doczesnéj, zapytał ich o katechizm i więcéj jeszcze zmartwiła go ich niewiadomość, jak liczba i nędza. Bez zasad wiary, bez moralności, straszna rozwiązłość rozpostarła się w pośród nich. Przebiegali ulice rozzuchwaleni swą liczbą, nakładając na wszystkich podatek przez postrach, jaki wzbudzali. Nikt nie śmiał zaprowadzić między nimi jakiegoś porządku, nałożyć hamulec na tyle pożądliwości, na te namiętności rozburzone, bo lękano

się otwartego buntu. Wincenty a Paulo powziął ten śmiały zamiar. Walczyć musiał zarazem i przeciw téj czeredzie w łachmanach, i przeciw drwiącéj nieufności mieszkańców, ale miłość jego mocniejszą się okazała, jak wszystkie te przeszkody. Za pozwoleniem biskupa, poparciem dwóch kapituł i naczelnych urzędników miasta, zabrał się do pracy i ułożył ustawę. Podzielił ubogich na dwie klasy: żebraków i wstydzących się żebrać. Pierwsi mieli dostawać jałmużnę co niedziela po nabożeństwie i nauce odpowiedniéj, zabroniono im żebraniny. Przechodzącym zaś dawano schronienie na jedną noc i nazajutrz kilka groszy na wychodném. Aby zaś nie dawać zachęty próżniactwu, jałmużna miała być tylko dodatkiem do zarobku z pracy. Do wykonania téj ustawy, trzeba było ludzi i funduszów. Pierwszych znalazł Wincenty zakładając pod imieniem św. Karola Boromeusza dwa stowarzyszenia z osób najznakomitszych w mieście, jedno mężczyzn, drugie kobiet, każde dla biednych tejże płci, podzielone na różne komissje; a fundusze zebrał tak w pieniądzach jak naturze, głosząc wszędzie słowem i przykładem potrzebę i korzyść jałmużny. W niespełna trzy tygodnie, dzieło szło doskonale; biedni byli żywieni, w porządku, zachęceni do życia chrześcjańskiego, a wdzięczne miasto błogosławiło Wincentego, który musiał tajemnie wyjechać dla uniknienia publicznego hołdu. Toż samo zapewne uczynił święty po wielu innych miejscach, sądząc z ustaw tam przechowywanych. W miastach fabrycznych, terminatorowie zobowiązywali się pod przysięgą wraz ze swemi rodzicami, że będą uczyć darmo, czego sami darmo się nauczyli. Niekiedy stowarzyszenia mężczyzn i kobiet jeden miały zarząd, choć podzielone zajęcie; ale połączenie to rzadko się gdzie udało. W ogóle nawet, bractwa mezkie z trudnością się zakładały i nie były trwałe, Wincenty więc musiał ich zaprzestać, choć w tymże czasie coraz więcéj rozszerzał bractwa kobiet.

VII.

Towarzystwo świętego Wincentego à Paulo.

I. Początek, postęp, organizacja i cel. — II. Dzieła.

I. Jak uczniowie Zbawiciela otrzymali dar czynienia większych cudów od Boskiego swego Mistrza, tak Towarzystwo, które za dni naszych ozdobiło się imieniem świętego Wincentego à Paulo, zanim się dowiedziało, że i dzieło samo bierze od niego, zdołało więcéj jak on zebrać mężczyzn w szeregi swéj wolnéj i świeckiéj armji miłosierdzia.

Towarzystwo to powstało w 1833 r. w ubogiéj stancyjce, a złożone naprzód z ośmiu młodych ludzi, liczy dziś więcéj jak 1400 konferencji we Francji, a przynajmniéj 2000 za granicą. Składki, które w początku zaledwo parę tysięcy franków wynosiły, dziś liczą się na miljony.

Tak jak bractwa założone przez św. Wincentego à Paulo, i to, swym rozkładem i hierarchją podobne do armji uszykowanéj do boju. Każda konferencja, jakby mała rodzina, posiada swą organizację, kasę, życie i dzieła własne; nad nią rada szczegółowa, łącząca wszystkie konferencje jednego miasta; wyżéj jeszcze rada centralna albo rada wyższa, obejmująca pod swym zarządem konferencje kilku djecezji a nawet kraju całego, jeśli odległość, różność języka i obyczajów wymaga oddzielnéj dyrekcji; nareszcie, jakby środek i uwieńczenie zarazem, rada główna, która potwierdza nowe konferencje, rozwiązuje trudności przedstawiane przez już istniejące, przybywa z pomocą biedniejszym, a szczególniéj utrzymuje od środka aż do najdalszego punktu obwodu tradycje, ducha pierwotnego i jedność w działaniu, które się w niéj skupia.

Przez swych członków czynnych, korespondentów, członków honorowych, składkujących i ochotników, obejmuje wszystkie klasy społeczeństwa, któremu służy za punkt

zjednoczenia, gdzie wszyscy zapominając o różnicach urodzenia i majątku, a szczególniéj odrzucając na bok stronnictwa, które zbyt często tworzy polityka, współzawodnictwo, zazdrość i inne zgubne namiętności, gromadzą się i spajają w jedności wiary i miłości chrześcjańskiéj, jedynie prawdziwéj; a przez to służy także za spójnię dwóch nieprzyjaznych stronnictw dzielących świat dzisiejszy: bogatych i ubogich.

II. Zbadawszy gruntownie przyczyny pauperyzmu, trafnie stosuje lekarstwo: działa na duszę przez ciało. Jakkolwiek obfite są jego jałmużny materjalne, te służą tylko za środek do udzielenia jałmużny duchowéj. Zresztą, zająwszy się biednym na wstępie jego żywota, idzie za nim po wszystkich stacjach jego nędzy i nie opuszcza nawet w godzinę śmierci. Bierze go w opiekę z kolebki i prawie z łona matki, wspiera w dziecinnych latach, prowadzi i czuwa nad nauką w młodości, osłania w trudnym czasie uczenia się rzemiosła, nie opuszcza ni w pracy ni w godzinach wytchnienia, ani w miejscu stałego pobytu, ani w podróżach, tak w zdrowiu jak i chorobie, wtedy nawet gdy nędza popchnęła go do występku, zajmuje się nim w więzieniu. Jeśli choruje, siada u łoża jego na poddaszu, albo towarzyszy i odwiedza w szpitalach; czuwa szczególniéj na śmiertelnéj pościeli, by mu dopomódz do śmierci chrześcjańskiéj, a poprowadziwszy na ostatni spoczynek, stara się o najświętszą Ofiarę za spokój jego duszy.

Ale punktem wyjścia, głównym celem prac jego, tak jak i bractw miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, jest odwiedzanie biednego w mieszkaniu. Jest to środek, przez który najkorzystniéj może okazać miłosierdzie swoje. W zetknięciu się z nędzą, odwiedzający poznaje smutną prawdę życia, uczy się świętego politowania, odrywa serce od dóbr tego świata, zamiłowywa ofiarę; zachęca się nietylko do

dawania, bo to potrafi litość poganina albo filozofa, ale oddaje sam siebie, co jest właściwém chrześcjańskiéj miłości. Tam to szczególniéj dopełnia się zbliżenie klas: biednéj z bogatą, zawiązują się wzajemne a tkliwe stosunki, niszczące nienawiść i pożądanie, a nawet haniebne namiętności zmieniają się w uczucie równości chrześcjańskiéj i prawdziwego braterstwa. Tam nadewszystko, duchowa jałmużna dobrego przykładu i dobréj rady łatwiéj jak gdzieindziéj idzie w parze z jałmużną materjalną i przy przyjacielskiéj rozmowie, biedny, wzruszony otrzymaném wsparciem, łatwiéj przystaje na poprawę moralną swego życia. Jeśli szpital daje rodzinie ubogiego możność pracowania, a jemu samemu zdrowsze mieszkanie, troskliwszą opiekę, łatwiejszą pomoc duchowną, to znów odwiedzanie i jałmużna w mieszkaniu nie rozdziela rodziny, utrzymuje życie i rozszerza na całą rodzinę pomoc materjalną, a więcéj jeszcze duchową, udzielaną bezpośrednio choremu. Wreszcie, tylko odwiedzanie w domu może rozdzielać pomoc sprawiedliwie i roztropnie, stosować ją do natury i rozległości złego i nie zostawia bez wpływu miłości żadnéj nędzy, czy to fizycznéj czy moralnéj.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Galery i Berberja.

I.

Powrót do domu de Gondi.

I. Wezwanie rodziny de Gondi i wyjazd z Chatillonu. — II. Powrót i missje.

I. Gdy Wincenty zajęty był w Chatillonie swemi pracami ubłogosławionemi od Boga, pani de Gondi postanowiła użyć ostatniego usiłowania, i otrzymawszy listy od najznakomitszych osób, wybrała do doręczenia ich człowieka, który przez swoją roztropność i przyjaźń skutecznie mógł je poprzeć. Był to ten sam Du Fresne, który wprowadził Wincentego do królowéj Małgorzaty, a którego on znowu dał za sekretarza domowi de Gondi.

Podwójny ten szturm pisanego i żywego słowa zachwiał postanowieniem Wincentego, przystał więc na udanie się do Ljonu dla poradzenia się O. Bence przełożonego Oratorjum, który namówił go znowu, by się udał po radę do Paryża.

Urządziwszy ostatecznie interesa parafji, przy powszechnym smutku i sam zmartwiony, że opuszcza parafję a szczególniéj ubogich, zapowiedział swój bliski wyjazd z Chatillonu. W dniu wyznaczonym cała parafja chciała go odprowadzić. Po zamięszaniu i rozpaczy wszystkich sądziłbyś, że miasto szturmem zdobytém zostało. „Ulituj się nad nami,

ulituj się nad nami!" wołali. — „Moje dzieci — mówił Wincenty ze łzami — polecam was łasce P. Boga." „Pobłogosław nas!" wołali znowu. I wszyscy upadli na kolana, a Wincenty ostatni raz ich błogosławił.

II. W sam dziań przyjazdu swego do Paryża, 23 grudnia 1617 r. odbył naradę z Ojcem de Berulle i kilkoma innymi oświeconymi w drogach Bożych kapłanami, a nazajutrz wszedł napowrót do domu de Gondi. Nie widzimy potrzeby opisywać radości téj pobożnéj rodziny z powrotu Wincentego, a nadewszystko hrabinéj, która wymogła na nim obietnicę, że jéj już nie opuści i udzieli przy śmierci duchownéj pomocy.

Mając już tylko ogólny nadzór nad wychowaniem dzieci, Wincenty mógł z większą swobodą iść za swym pociągiem nauczania biednych wieśniaków. Udało mu się natchnąć swą gorliwością najznakomitszych księży i urządził wspólnie z nimi w początku 1618 r. missje w Villepreux i innych majętnościach domu de Gondi. Odbywał je także w okolicach Paryża, w djecezjach Beauvais, Soisson, Sens i Chartres, z równém błogosławieństwem tak co do ciała jak duszy. Missję w Montmirail odznaczyło nawrócenie trzech heretyków z sąsiedztwa; nad trzecim szczególniéj wiele pracować musiał. Tam rozpoczął swą metodę wykładu bez dysput, którą polecić miał późniéj swoim Missjonarzom; tam przekonał się, szczególniéj z powodu trudności w nawróceniu upartego heretyka, o potrzebie zgromadzenia wyłącznie poświęconego pracy około ludu wiejskiego. Odtąd zgromadzenie Missji już było założone w jego sercu, ale zanim nadał mu zewnętrzną formę, zbadać jeszcze miał jednę z nędz ludzkich, któréj ulżenie jemu Bóg powierzył.

II.

Galery.

I. Początek dzieła w Paryżu. — II. Rozszerzenie go na całe królestwo i dobrowolna niewola. — III. Missje w Marsylji i Bordeaux. — IV. Ustalenie zakładu w Paryżu; szpital i dom Missji w Marsylji.

I. Pobyt Wincentego w domu jenerała galer, częste opisy jakie tam słyszał zezwierzęcenia fizycznego i moralnego nieszczęśliwych więźniów, obudziły politowanie nad nimi i natchnęły zadziwiające dzieło. Uważał zresztą tych galerników jakby swe duchowne dzieci, ponieważ zależeli od domu de Gondi, a zajęcie się nimi miał za wytchnienie po swych pracach missyjnych. Chcąc osobiście poznać, jak się obchodzono z nimi przed wysłaniem do Marsylji, udał się do więzienia, gdzie ujrzał straszny widok, jakiego nawet się nie spodziewał. Wyszedłszy ztamtąd, idzie do jenerała galer, ze wzruszeniem opowiada co tam widział, i porusza tę cnotliwą duszę podwójném uczuciem miłosierdzia i obowiązku. Ułożywszy plan natychmiast bierze się do dzieła. Najmuje dom w blizkości kościoła św. Rocha, poleca przeprowadzić tam wszystkich więźniów, i jak tylko ich zgromadził, przynosi najprzód ulgę z pomocą Arcybiskupa paryzkiego ich naglącym potrzebom doczesnym. Następnie zwraca się do duszy. Obchodzi się z nimi z taką słodyczą, cierpliwością, miłością, szacunkiem nawet, że ci nieszczęśliwi, z którymi aż dotąd najsrożéj postępowano, otwierają oczy na światło wiary, serca przejmują się skruchą i to piekło staje się wkrótce niebem.

II. W mieście i u dworu mówiono tylko o téj cudownéj odmianie. Jenerał najpierwszy, zbudowany i zdziwiony, postanowił rozszerzyć to dobrodziejstwo do wszystkich galer królestwa. Udał się do Ludwika XIII i takie dał wyo-

brażenie pobożnemu monarsze o zdolnościach i gorliwości Wincentego, takie wzbudził pragnienie przyłożenia się do tak dobrego dzieła, że otrzymał 8 lutego 1619 r. dekret mianujący świętego kapłana naczelnym czyli królewskim kapelanem wszystkich galer we Francji.

Wincenty, obowiązany tym sposobem do pracy nad zbawieniem tych nieszczęśliwych, udał się jak najprędzéj do Marsylji, gdzie w wielkiéj liczbie byli nagromadzeni. Tam, jak w Paryżu chciał naprzód poznać wielkość złego, by obmyśleć właściwe i trwałe lekarstwo. Znalazł złe większém jeszcze jak w stolicy. W Paryżu byli to nowicjusze w zbrodni, w Marsylji już weterani galer. Chcąc swobodniéj i dokładniéj zbadać stan rzeczy, zachował incognito. Uniknął przez to zaszczytów przywiązanych do urzędu swego. Pokora i miłość jego zgadzały się i tą razą z zamiarami Opatrzności, bo przeznaczony, jak Zbawiciel, doświadczać wszystkich cierpień, aby je zleczyć, trzeba mu było wieść jakiś czas żywot galernika, by i tę próbę dołączyć do dawnéj niewoli, i przeszedłszy już przez niewolę niewinną, miał jeszcze doświadczyć występnéj niewoli. Ale tak jak Zbawiciel, bez winy, więc dójść do tego musiał dobrowolném więzieniem.

Przechodząc raz nad brzegiem morza, ujrzał jakąś staruszkę we łzach. Zapytawszy o przyczynę dowiedział się, że płakała syna, którego więcéj wskutek nieszczęścia jak winy, tylko co zawleczono na galerę w porcie. Idzie tam natychmiast i widząc młodego galernika pogrążonego w rozpaczy, łatwo poznał syna biednéj wdowy. Zbliża się, wypytuje i stara pocieszyć. Próżne usiłowania! młody więzień rozpaczał nietylko o swą starą matkę, ale o młodą żonę i małe dziatki, które nieobecność jego przywiedzie do wszelkich ostateczności nędzy. Wincenty wzruszony, schyla się płacząc nad kajdanami nieszczęśliwego, potém podnosi

oczy w niebo szukając natchnienia. Nagle spostrzega oficera służbowego, który był świadkiem téj sceny, a widząc go wzruszonym, błaga, by mu pozwolił zająć miejsce biednego galernika. Czyż liczba nie będzie ta sama? a choćby i wykryto pobożne oszukaństwo, któżby się ośmielił winić za to oficera? Ten więc odpowiada łzami, a Wincenty nie czekając wyraźnego pozwolenia, chwyta kajdany galernika, zdejmuje je, całuje i wkłada na swoje nogi, a młodego człowieka wraca jak najprędzéj rodzinie. Chrystus Pan raczył wycisnąć niektórym świętym znaki swojéj męki, Wincenty przez całe życie zachowa znaki swojéj heroicznéj ofiary, a napuchnięcie i rany w nogach świadczyć o niéj będą aż do późnéj starości.

III. Nagłe zniknięcie Wincentego zatrwożyło przyjaciół; kilka tygodni jednak upłynęło. Hrabina de Joigny zdziwiona, że nie odbiera od niego wiadomości, każe czynić poszukiwania, i znajdują wreszcie świętego kapłana między galernikami.

Wincenty skorzystał ze swego pobytu w Marsylji. Nietylko że doświadczył osobiście losu tych nieszczęśliwych, ale wypytał ich szczegółowo, słuchał ich użaleń, współbolał nad cierpieniami, pocieszał przez jałmużny, a gdy wypróżnił worek, dawał im przynajmniéj łzy swoje. Widząc ich szczególniéj oburzonymi na złe obchodzenie, jakie dodawano do zwykłéj ich kary, wstawił się za nimi do oficerów i zarządców galer i dał im poznać, jak przeciwném było ludzkości i chrystjanizmowi obciążać jeszcze i tak duże cierpienia. Przy większéj łagodności z jednéj strony a cierpliwości z drugiéj, Wincenty zmiękczył usposobienie tych nieszczęśliwych i mógł pomyśleć o ich duszy. Z pomocą zwyczajnych kapelanów, którzy po raz pierwszy mogli się zbliżyć do nich nie słysząc zniewag i przekleństwa, zaczął

im głosić słowo Boże, udzielać Sakramenta, udało mu się nawet nawrócić heretyków i kilku mahometanów. Słowem, zmienił wkrótce tę jaskinię zbrodni w świątynię, gdzie zamiast dawnego bluźnierstwa, słychać było ciągle rozlegającą się chwałę Bożą.

Pragnął dłużéj jeszcze pozostać z nimi, ale odjazd hrabiego de Joigny i ciągły ruch galer, niemających wtedy stałego miejsca pobytu, zmusiły go do powrotu do Paryża W następnym roku 1623 przedsięwziął doprowadzić od skutku zamiar powzięty w Marsylji, odbycia wielkiéj missji na galerach. Pojechał więc do Bordeaux, gdzie w roku poprzedzającym hrabia de Joigny przyprowadził dziesięć galer marsylijskich. Miał tam znaleźć wielu więźniów, których już pozyskał Bogu, a więcéj daleko innych, których odprowadzono do tego portu z powodu wojny przeciw kalwinistom.

Wojna już się skończyła, Wincenty chciał więc skorzystać z pokoju i zwycięztw armji królewskiéj, dla łatwiejszego wykonania swego zamiaru. Przybywszy do Bordeaux, poszedł powitać arcybiskupa Franciszka d'Escoubleau, kardynała de Sourdis, którego poznał w czasie pierwszéj swéj podróży do tego miasta. Kardynał z ochotą dopomógł do tak pobożnego zamiaru i pozwolił wybrać dwudziestu księży z różnych zakonów. Wincenty rozdzielił ich po dwóch na każdą galerę, a sam zachowując ogólny kierunek, bezustanku przechodził wszędzie, gdzie był potrzebnym dla zastraszenia grzeszników, pocieszenia strapionych, nawrócenia niewiernych. Zresztą, współpracownicy jego, ożywieni przykładem i wsparci jego zachętą, dziwów dokazywali, i missja z nadzwyczajnym odbyła się skutkiem.

IV. Za powrotem do Paryża i po objęciu domu św. Łazarza, Wincenty mógł obszerniéj rozwijać miłosierdzie swoje, a galernicy pierwsi skorzystali z tego. Wyszukał dla

nich dom, wyłącznie na ten cel wynajęty, a otrzymawszy od króla i władz wieżę św. Bernarda, założył tam szpital dla nich i powierzył staraniu swych Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, przez dziesięć lat własnym kosztem ich utrzymując, dopóki pewna miłosierna osoba nie zapisała na ten cel sześć tysięcy liwrów dochodu.

Jednocześnie zamyślał wybudować dla nich szpital w Marsylji. Jeszcze w czasie swéj podróży do tego miasta nakłonił jenerała galer do rozpoczęcia budowy; ale niepokoje w królestwie wyczerpnąwszy zasoby, nie pozwoliły go wykończyć. Trochę późniéj udał się do Richelieu'go, świeżo mianowanego jeneralnym nadzorcą żeglugi, a kardynał za pozwoleniem Ludwika XIII poprowadził daléj budowę zaczętą przez Filipa de Gondi. Richelieu umarł nie dokończywszy dzieła, ale w testamencie powierzył to, równie jak i inne pobożne dzieła, swéj ukochanéj synowicy, księżnéj d'Aiguillon, podziwienia godnéj pani, któréj imię i czyny znajdą się często w naszym opisie, bo nikt po pani de Joigny i pannie Le Gras nie dopomógł tyle co ona do wszystkich instytucji świętego Wincentego à Paulo.

Wiernie dopełniając zamiaru swego stryja, pani d'Aiguillon przyspieszyła wykończenie szpitala i w początku 1643 r. wszystko było gotowém w Marsylji na przyjęcie galerników i Missjonarzy przeznaczonych do pracowania nad ich zbawieniem. W lutym, Wincenty posłał tam pięciu swoich kapłanów, którzy poparci przez biskupa, Jana Chrzciciela Gault i kawalera Simiana de la Coste, z korzyścią tam pracowali. Często trafiały się nawrócenia tak heretyków, jak i muzułmanów, a i inni więźniowie moralnie poprawieni zostali.

Zachwycona tylą dobrego pani d'Aiguillon zamyśliła ustalić Missję w Marsylji. W tym celu tegoż roku 1643 zapisała zgromadzeniu 14,000 liwrów, a w następnym wyrobiła nowy dekret, mianujący na zawsze Wincentego i jego

następców naczelnymi kapelanami galer, z prawem przelania téj władzy i praw na przełożonego domu Missji w Marsylji. W dwa lata późniéj, Missja i szpital uzyskały upoważnienie królewskie, potwierdzone 1648 r. z dostateczném uposażeniem jednéj i drugiego.

Odtąd Wincenty miał w Marsylji stały zakład dla biednych galerników zdrowych i chorych. Choć sam nie mógł nad nimi pracować, znalazł jednak sposób osobiście im służyć. Gdy przechodzili koło bramy św. Łazarza, zatrzymywał ich, żeby pomówić o Bogu i dawał każdemu jałmużny po pięć soldów. Czuwał nadal nad nimi podczas chwilowego ich pobytu w wieży św. Bernarda, służył za pośrednika między nimi a ich biednemi rodzinami. Często także utrzymywał i pobudzał gorliwość swoich Missjonarzy i dziękował im ze szczególném uczuciem za posługi około tych nieszczęśliwych, nadewszystko w czasach większego ich cierpienia.

III.

Berberja.

I. Berberja pod względem politycznym i moralnym przed Missją św. Wincentego à Paulo. — II. Missja św. Wincentego à Paulo w Tunis. — III. Missja w Algierze. — IV. Missja algierska po śmierci św. Wincentego á Paulo.

I. Marsylja stała się jeszcze środkowym punktem Missji w okolicznych krajach, a szczególniéj stolicą zarządu Missją w Berberji. Z Marsylji udawali się tam Missjonarze; do Marsylji Wincenty pisał listy swoje i rozkazy, i przesyłał sumy przeznaczone na wykup niewolników.

Od czasu swéj niewoli w Tunis, święty nigdy nie zapominał o biednych niewolnikach chrześcjańskich, których los dzielił, i przysiągł w sercu swojém przed Bogiem, że

będzie ich wspierał. Ale, przez czterdzieści lat modlić się tylko mógł za nich, bo nie miał środków do wykonania swego miłosiernego zamiaru. Żeby jednak pobudzać się coraz więcéj do tego dzieła, dowiadywał się o ich nędzy, większéj jeszcze w pierwszéj połowie XVII wieku jak kiedybądź dawniéj, lub potém. Po wyprawach Karola Piątego Europa chrześcjańska już tylko traktatami broniła się przeciw silnie zorganizowanéj potędze rozbójników morskich algierskich, choć i te najczęściéj gwałcili. Było to jakby uznaniem i uprawnieniem ich rozbojów; haracz i haniebne ofiary ponosiła w obronie swego handlu, zostawując staraniu kościoła i miłości chrześcjańskiéj los niewolników, których coraz liczniéj gromadziły galery w Tunisie i Algierze.

Niewolnicy ci, czy to byli własnością państwa, czy galer, albo prywatnych osób, w straszném zostawali położeniu; wyniszczająca praca, żywność niedostateczna, krótki sen w dusznych komórkach, obelgi i oburzające kary, to co do ciała; a niepodobna opisać cierpień duszy, zniewag wyrządzanych cnocie i prześladowania wiary.

Niewolnictwo, tak obfite w cierpienia, a niebezpieczne pod względem religijnym i moralnym, zawsze zwracało na siebie tkliwe starania Kościoła, ale dopiero w XIII wieku dzieło wykupu więźniów ostatecznie zostało ustaloném, a Trynitarze poświęcili się na wykup niewolników.

Dzieło podjęte przez św. Wincentego à Paulo nie odnosiło się bezpośrednio do wykupu więźniow, chociaż poświęcił na to, w ostatnich piętnastu latach, więcéj jak miljon liwrów i wykupił około tysiąca dwustu niewolników; jego zamiarem było przynieść ulgę materjalną i duchowną niewolnikom chrześcjańskim. Zmniejszyć ich nędzę przez jałmużny, pocieszać ich, utrzymywać w wierze, nauczać, udzielać Sakramenta św. i pomoc religijną, oto główny cel jaki sobie założył, i który dopełniali jego Missjonarze: dzieło

ważne, użyteczniejsze bezpośrednio a może potrzebniejsze jeszcze od wykupu, z powodu tak częstych apostazji i zguby tylu dusz. Bo chociaż niewolnicy chrześcjańscy, szczególniéj w Algierze, nie byli całkowicie pozbawieni pomocy religijnéj do czasu Wincentego à Paulo, można rzec jednak, że przed nim nie było nic stałego i urządzonego w posłudze duchownéj w Berberji. Z wyjątkiem administratora szpitala, Ojcowie Trynitarze nie pozostawali długo w Algierze, gdzie pozwalano na ich pobyt jedynie przez chciwość, a wydawszy sumy zebrane na wykup, musieli powracać do Europy dla zbierania nowych i tym sposobem kupować sobie prawo powrotu do Afryki. W kaplicach na galerach i szpitalu byli zazwyczaj księża niewolnicy, których wiara niestety słabła w niewoli, a juryzdykcja bardzo była wątpliwą.

II. Takim był stan rzeczy, gdy Wincenty zamyślił wykonać swe dawne a najdroższe pragnienie, i dopełnić jeden z warunków donacji księżnéj d'Aiguillon na korzyść galerników, który wkładał na Zgromadzenie Missji obowiązek posłania kilku księży do Berberji. W tymże czasie pobożny król Ludwik XIII przesłał mu na tenże cel dziewięć czy dziesięć tysięcy liwrów. Ale czekać musiał jeszcze dwa lata na sposobność, bo w rzeczy saméj było to dzieło trudne do wykonania; Turcy nie pozwalali na pobyt kapłana chrześcjańskiego, chyba jako niewolnika, albo za opłatą haraczu. Wincenty przypomniał sobie wreszcie, że traktat zawarty między Francją a Portą upoważniał króla do utrzymywania swych konsulów we wszystkich miastach nadmorskich, a konsulowie mieli prawo trzymać kapelanów dla siebie i posług religijnych w domu. Oddawna już królowie francuzcy korzystali z jednéj części tego prawa, i w intèresie handlu i niewolników chrześcjańskich mieli konsu-

laty w główniejszych miastach nadmorskich na Wschodzie i w Berberji.

Napisał więc Wincenty do p. Lange Martin konsula francuzkiego w Tunis z zapytaniem, czy pozwoli na przyjęcie w swoim domu, jako kapelana jednego Missjonarza, dodając, że ani ksiądz ani brat dany mu do posługi nic go kosztować nie będą; otrzymawszy żądane pozwolenie, wysłał w 1645 Ludwika Guérin, kapłana z djecezji Bayeux i brata Franciszka Francillon, który pół wieku tam spędzonego w pracach, zakończył męczeństwem.

Pierwsze starania Guerina po przybyciu do Tunis, poświęcone były niewolnikom. Słowem pociechy, wzruszającą rozmową i jalmużnami rozdzielanemi starannie a roztropnie, uśmierzył naprzód ich rozpacz. Tak przygotowawszy dusze, mówił im o Bogu i przywiódł do przyjęcia Sakramentów i praktyk religijnych. W początkach wszystko czynił w sekrecie, ale wkrótce nadał obrządkom religijnym blask zewnętrzny, ze śpiewami i ceremonjami. Galery zmieniły się w małe kościoły, w których niewolnicy mogli swobodnie i publicznie słuchać Mszy św. i uczestniczyć w świętych tajemnicach. Jezus Chrystus przebywał dniem i nocą w św. Przybytku, wpośród ubogich i nieszczęśliwych, których przed wieki umiłował, a lampa ciągle płonąca, była symbolem wiary niewolników i miłosiernéj Opatrzności Jego. Do chorych towarzyszono Mu z pochodniami i świecą w ręku, na Boże Ciało niesiono w processji, a orszak towarzyszący w kajdanach i łachmanach przedstawiał dla chrześcjańskiego oka prawdziwy trijumf; przez całą oktawę Najświętszy Sakrament był wystawiony ku publicznemu uczczeniu. W niedziele i święta odprawiano nabożeństwo w biednych kaplicach więziennych z mniejszą wprawdzie okazałością, ale równą czcią jak po kościołach w Europie. Trafiały się nawet pobożne fundacje, do których należeli i najbiedniejsi niewolnicy, zakładano pobożne bractwa; słowem, na téj

ziemi niewiary spełniało się słowo proroka: „Rzekł Pan Panu memu... panuj wpośród nieprzyjaciół twoich.“ *)

Dzięki patrjotyzmowi Missjonarzy, imię Francji nie było także zapomnianém. Co rok, w dzień św. Ludwika, patrona kaplicy konsulatu i całéj téj ziemi tunetańskiéj, którą przez śmierć swoję uświęcił, odbywało się uroczyste nabożeństwo. Król i Francja wspominaną była na wszystkich religijnych zebraniach.

Przy wzmagającéj się pobożności przybywało i pracy Missjonarzom w pewnych nadzwyczajnych okolicznościach, jak w Czterdziestogodzinne nabożeństwo, a nadewszystko w Jubileusz. Wtedy trafiały się nadzwyczajne nawrócenia po długich latach opuszczenia praktyk religijnych, a nawet heroiczne wyrzeczenie się apostazji z niebezpieczeństwem życia połączone. Wtedy także, po ośm nocy ciągłych przepędzali Missjonarze bezsennie, słuchając spowiedzi niewolników, którym panowie ich nie pozwalali przerwać i chwili dziennéj pracy. Ale utrzymywał Missjonarza widok zadziwiających owoców zbawienia, jakie łaska działała przez niego. Ta chrześcjańska osada niewolników przypominała heroizm pierwszych wieków chrześcjaństwa, i św. Cyprjan mógłby i im przyklaskiwać jako wyznawcom wiary, jako męczennikom. Pierwszy, który ziemię tę użyznił krwią swoją, był pobożny dwudziestodwuletni Portugalczyk, nowy Józef, bo umarł męczennikiem czystości. W jakiś czas potém młody Francuz został na pal wbitym za to, że nie chciał się zgodzić na jeszcze obrzydliwsze żądania.

Na większe, na straszniejsze jeszcze niebezpieczeństwa narażoną była cnota kobiet, gdy były młode i piękne. To téż Guérin, z pomocą kupców chrześcjańskich, nie cofał się przed żadną ofiarą, aby je wyrwać, poczynając od Francuzek, z rąk ich niecnych panów, szczególniéj jeśli byli

*) Ps. 109, v. 1 i 2.

renegatami. Jeśli nie mógł zebrać dostatecznéj sumy, dozwalano mu niekiedy na zwłokę w wykupie, a tymczasem umieszczał je w miejscu bezpieczném od tych występnych zamachów; ale czasem przemocą wyrywano je ztamtąd, i krwawym gwałtem wydrzeć im chciano ich wiarę i cnotę. Wtedy Guérin podwajał usiłowania, żeby zgromadzić potrzebny okup, a jeśli mu się to udało, spiesznie układał się o warunki z ich panami, żądał karty wyzwolenia i uprowadzał w miejsce pewne wykupione ofiary, bo często potwory te żałowali zawartego układu, i trzeba było chronić biedne stworzenia przed dziką namiętnością ich panów. Niemniéj gorliwie wykupywał i młodych chłopców, równie narażonych na wyparcie się wiary i niecne ich kaprysy. Przez takie usiłowania, przez tak szlachetne ofiary, nietylko utrzymywał katolików w ich wierze i cnocie, ale także przywodził do prawdziwéj wiary wielką liczbę różnowierców.

Mimo takiéj pracy, Tunis nie był jeszcze dosyć obszerném polem dla gorliwości Guérina. Od czasu do czasu czynił wycieczki już to na brzegi morskie, już w głąb kraju, by pocieszać najbardziéj opuszczonych niewolników. Jak tylko dowiedział się o przybyciu jakiéj galery, udawał się do różnych portów i otrzymywał pozwolenie odbycia kilkudniowéj missji dla Chrześcjan w kajdanach. Łatwo pojąć, że przy takich trudach siły jego wkrótceby się wyczerpnęły i sam nie wystarczyłby pracy. To téż za pozwoleniem samego króla Agi-Mahomeda, prosił Wincentego o posiłki. Święty kapłan, świeżo zaopatrzony obficiéj nową donacją księżnéj d'Aiguillon, posłał mu Jana Le Vacher, prawdziwego bohatera Missji berberyjskich. Le Vacher przybył do Tunis 22 listopada 1647 r. i trafił właśnie na powietrze morowe. Piękna sposobność rozpoczęcia prac powołania swego! To chrzest niebezpieczeństwa dla gorliwości i miłości Missjonarza! Próżnoby opisywać, co uczynił taki kapłan w podobnéj okoliczności pomagając swemu współbratu.

W kilku dniach zarobił na ufność i podziwienie wszystkich; biedni niewolnicy płakali z radości, gdy ich nawiedzał w galerach. Ale w maju następnego roku, sam zaraził się powietrzem morowém, i wkrótce miano go za umarłego. Brat Francillon, który sądził, że pilnuje trupa, odkrył w nim znaki życia. Lecz niestety! dobry brat padł zapowietrzony; Guérin sam, posługując zapowietrzonym, a dla utrzymania sił mając tylko liche i niedostateczne pożywienie, zachorował także, i oto wszyscy trzej biedni misjonarze na łożu boleści. Brat podnosi się wtedy, i opiekuje dwoma księżmi; wydziera śmierci Le Vachera, ale Guérin kończy życie.

Konsul francuzki umiera w krótce po nim, a król Tunisu, który całą ufność i przywiązanie przeniósł na Le Vachera, nakazuje mu objąć jego obowiązki, dopóki król francuzki nie wyznaczy następcy; kupcy namawiają go także.

Sam jeden, obarczony staraniem o zbawienie pięciu czy sześciu tysięcy niewolników, a w czasie morowego powietrza i głodu, troską o materjalne ich utrzymanie, Le Vacher lęka się, czy potrafi wydołać temu nowemu ciężarowi, pisze natychmiast do Wincentego, prosząc o prędkie zwolnienie. Wincenty w tym czasie rozporządzał prawie konsulatami w Berberji, które księżna d'Aiguillon za pozwoleniem króla, nabyła dla niego, dla dobra religji i niewolników.— Jednak, by pogodzić sprawy doczesne z interesem wiary, oderwanie od rzeczy ziemskich z gorliwością, nie chciał z początku przeznaczać swoich księży, i dał świeckiemu nominację na konsula w Tunis; ale gdy ten nie mógł się zgodzić z Turkami, Le Vacher musiał objąć napowrót i kierować podwójnym urzędem konsula i misjonarza; trwało to aż do 1653 r. Wtedy, posłał Wincenty dla zastąpienia go w urzędzie konsula, pewnego adwokata, nazwiskiem Marcina Husson, który przez dwa lata walczył przeciw angielskiemu złotu i chciwości kupców, przeciw prześladowaniu i obelgom Turków, wsparty myślą dobra, do którego się przyczyniał

zostawując le Vacherowi swobodę w dopełnianiu świętych jego obowiązków. Ale i Le Vacher nie mniéj miał do cierpienia; wygnano go na czas z Tunisu; skorzystał z tego nawiedzając galery i niewolników nadmorskich. Gdy Husson uzyskał pozwolenie na jego powrót, zaczęli znowu swe życie wspólne i prace w Tunis. Nareszcie Husson po najróżnorodniejszych zniewagach, został niegodnie wypędzonym za to, że zgodnie z prawem kościoła i państwa nie chciał dostarczać dejowi zapasów wojennych. Wyjeżdżając, oddał Le Vacherowi pieczęć konsulatu, a dej zmusił go do przyjęcia urzędu. Tyle zniewag i kłopotów pieniężnych, wprowadziły w wątpliwość Wincentego, czy będzie mógł zatrzymać konsulaty, i na chwilę chciał je już odstąpić, i utrzymywać tylko misjonarzy w Algierze i Tunisie: ale cofnął się na myśl cierpień, jakie opuszczenie to sprowadziłoby na chrześcjan w Berberji. Nie tylko więc postanowił utrzymać je dla Zgromadzenia, ale bronił praw swoich wobec kongregacji propagandy, która zamierzała mu je odebrać wtedy. Jan Le Vacher musiał więc dodać znowu obowiązki konsula w Tunis do swéj pracy misjonarskiéj, która sama dość go obciążała, bo znacznie zwiększyła się od kilku lat. Około 1652 r. został wikarjuszem apostolskim w Tunis, a przez to, objął władzę duchowną nad wszystkimi księżmi i wiernymi w tym kraju. Jako wikarjusz apostolski, zwrócił naprzód uwagę na księży i zakonników w niewoli, z których wielu hańbiło swój święty charakter; radą, przepisami i przykładem swoim zdołał przywrócić między nimi świętą karność.

Jednocześnie poświęcił się posłudze niewolników w Tunis i okolicach. Przy podwójnéj władzy misjonarza i konsula, ciałom i duszom przynosił ulgę; bronił ich przeciw niesprawiedliwości i gwałtom, a najwięcéj narażonych na utratę wiary i cnoty, starał się albo wykupić, albo umocnić przeciw gwałtom występku i prześladowania.

Ale wydatki, które musiał czynić, a mały przychód z konsulatu, nieraz nabawiały go niemałego kłopotu, z którego Wincenty albo go uwalniał jałmużnami, albo usiłował uchronić przez swe mądre rady. Na domiar nieszczęścia, chciwa intryga wydarła mu konsulat w 1666 r. Liczne jałmużny jakie dawał, wykup tysiąca niewolników, wszystko to wzbudziło w kupcach marsylijskich, fałszywe wyobrażenie, że konsulat jest stanowiskiem zyskowném, niesprawiedliwie więc otrzymali go dla siebie, i nigdy już nie można go było odebrać. Jan le Vacher był nie tylko ostatnim konsulem, ale ostatnim misjonarzem Zgromadzenia w Tunis. Bóg zachował go dla missji w Algierze.

III. W 1646, w rok po założeniu missji w Tunis, Wincenty posłał do Algieru dwóch synów swoich: Noueli młodego kapłana genueńskiego i brata Jana Barreau, urodzonego z zacnéj rodziny w Paryżu, który miał sprawować tam obowiązki konsula.

W Algierze jak i w Tunis, łatwo było misjonarzowi dostać się do galer, ale niebezpieczno być schwytanym w prywatnych domach, gdzie niewolnicy byli jednak liczni, a niekiedy w większém jeszcze niebezpieczeństwie zbawienia. Nie mógł nawet bezkarnie chodzić po mieście, gdyż sam ubiór jego ściągał zniewagi i policzki. Trzeba więc było działać z roztropnością. Jeśli niewolnik był niebezpiecznie chory w jakim domu, gdzie trudno było się dostać, misjonarz wchodził jako doktór, i udzielał Sakramenta jako lekarstwa. Powoli zaczęto z mniejszą niechęcią go widzieć, a następcy i bez pokrywki lekarskiéj mogli wchodzić do każdego domu w Algierze.

Ale z początku ileż to było niebezpieczeństw, zwłaszcza gdy przyszło nieść najświętszy Sakrament choremu! trzeba było tajemnie przechodzić ulice, a dopiero w izbie

niewolnika Zbawiciel odzyskiwał wolność; na galerach otwarcie rozdawano komunję św. niewolnikom.

Wkrótce jednak, miłosierdzie misjonarza, jego odwaga, ten widok tak nowy na téj ziemi podłości i barbarzyństwa, tak wpłynęły na Turków, że zmienili pogardę na podziwienie, i dali kapłanowi swobodę działania. Skorzystał z tego, rozszerzając na wszystkich niewolników swe miłosierne działanie, tak na zwyczajnych chorych jak i zapowietrzonych; ale sam dotknięty zarazą umarł 22 lipca 1647 w niespełna trzydziestu leciech, opłakiwany przez samych muzułmanów. Barreau pozostał sam. Na wiadomość o śmierci X. Noueli, zaczęło się u św. Łazarza heroiczne współubieganie o zajęcie jego miejsca. XX. Le Sage i Dieppe zostali wybrani. Wkrótce, obydwaj dotknięci zarazą, pomarli w ciągu roku jednego. Następcą ich był Filip Le Vacher brat misjonarza z Tunis, znany z podobnychże prac apostolskich. Filip Le Vacher nie ograniczył do samych chrześcjan prac swoich, zaczął nawracać Turków i renegatów, i Wincenty powstrzymywać musiał zbytek gorliwości i zapędy miłosierdzia jego, ale trudno mu było zachować umiarkowanie, mimo całego szacunku i uległości przestrogom ukochanego ojca. Nie mogąc w czasie wielkanocnym dłużéj jak tydzień poświęcić biednym niewolnikom, zamykał się z nimi na galerach i pracował dniem i nocą. Dwie trzecie roku przepędzał prawie bezsennie, bo w nocy chodził od galery do galery, od domu do domu, spowiadając tych nieszczęśliwych, a dnie obracał na inne dzieła miłosierdzia i dopełnianie obowiązków swego stanu. Szczególniéj piątki, dnie modłów dla muzułmanów a wypoczynku dla niewolników, noce poprzedzające niedziele i święta, prawie na chwilę nie opuszczał swych drogich więźniów; pocieszał ich, nauczał, spowiadał i odprawiał mszą św. przed świtem, by mogli na czas wyjść do pracy. Czasem chodził za nimi po górach i towarzyszył w ich wycieczkach. Co trzy lata, bejowie miast okolicznych, znosili daninę do Al-

gieru, i brali z sobą wielu niewolników; Le Vacher korzystał z okazji i odprawiał dla nich misję ogólną, po któréj ci nieszczęśliwi powracali z panami swemi pocieszeni i wzmocnieni.

Z całém umiarkowaniem i roztropnością, na jaką zdobyć się mogła gorliwość jego, starał się zarazem pozyskać niewiernych i renegatów, i nieraz mu się udawało. Nie mało nawrócił muzułmanów, niekiedy nawet znakomitego rodu. Ukrywał ich i nauczał sekretnie, dopóki nie mógł udzielić im Sakramentu Chrztu św., innym otwierał oczy w godzinę śmierci i rodził ich dla nieba. Missja w Algierze miała także męczenników. Najsławniejszym jest Piotr Boguny urodzony w Palmie 16 maja 1628 r. Po młodości burzliwéj i pełnéj wypadków, wielokrotnéj niewoli i apostazji, Boguny przybył nareszcie do Algieru jako niewolnik; ale nawrócony 26 sierpnia 1654 r., mimo bojaźni mąk i śmierci, wytrwał przy swéj wierze przed towarzyszami i katami. — Zruca i depcze nogami turban i mówi do paszy: „Wiem, że mię na śmierć skażesz, ale mniejsza o to, gotów jestem znosić wszelkie męki dla zbawcy mojego Jezusa Chrystusa“. Rozgniewany taką śmiałością pasza, skazuje go na spalenie żywcem. Odarty natychmiast z szat, z łańcuchem u szyi, i dzwigając gruby słup, do którego ma być przywiązany i spalony, Borguny idzie na męczeństwo otoczony Turkami i renegatami w pośród których ukrywało się kilku chrześcjan, i przez całą długą a posępną drogę nie ustaje wołać: „Niech żyje Jezus Chrystus! chwała na wieki katolickiéj, apostolskiéj i rzymskiéj wierze! nie ma innéj, w któréj można by się zbawić!“ Przybyli nareszcie na miejsce kary, przywiązują ofiarę do słupa, a na znak umówiony, Filip Le Vacher w pewnéj odległości udziela mu rozgrzeszenie z klątwy którą przez apostazją zaciągnął. Nagle płomień bucha, otacza go, a dusza oczyszczona przez ogień wznosi się do Boga.

Wincenty, zachwycony temi wiadomościami, opowiadał je dzieciom swoim, aby ich zachęcić do podobnéj pracy, bogatym, by wzruszyć ich serca i otrzymać zasiłek na tak święte dzieło. Chociaż obarczony wtedy największemi ciężarami miłosierdzia, potrafił jednak ogromne sumy przesyłać do Berberji. Z pomocą księżnéj d'Aiguillon założył w Algierze mały szpital dla niewolników francuzkich, opuszczonych w chorobie przez swych nieludzkich panów. Nadto, w domu swoim założył jakby bióro miłosierdzia i pocztowe, dla wszystkich niewolników Berberji i ich rodzin; na własny koszt przyjmował do nich listy i przesyłki. Dowiadywał się o zagubionych w czasie morskich podróży i znajdował ich nieraz na jakiéj galerze w Algierji albo Tunisie; on czynił poszukiwania w imieniu zasmuconych rodzin, i donosił im, że synowie ich, choć nieszczęśliwi, ale jeszcze żyją; u niego wreszcie składano sumy przeznaczone już dla ulżenia, już dla wykupu niewolników, a dodając własne jałmużny, powracał im wolność.

Tyle dobrego pocieszało go po śmierci synów, po zniewagach i prześladowaniach jakie cierpieli pozostali przy życiu i umacniało w postanowieniu utrzymania tak świętego dzieła, mimo strat i ciężkich doświadczeń. Straty te i doświadczenia były liczne, szczególniéj dla konsula w Algierze. Barreau, pamiętny na nauki ojca, a pełen zdolności i cnoty, prędko zasłynął bezinteresownością, gorliwością o chwałę Bożą, miłością dla biednych i niewolników. Ale przymioty te, a nawet wysoka jego prawość, wkrótce uczyniły go ofiarą niesprawiedliwéj chciwości Turków. Rok zaledwo przebył w Algierze, gdy zmuszony do zaręczenia za jednego z ojców Trynitarzy, a nie mogąc późniéj zapłacić sumy zaręczonéj dostał się do więzienia. Za pieniądze wydostał się z tamtąd na chwilę, by oddać ostatnią pociechę i posługę umierającemu Noueli, ale po pogrzebie misjonarza, okuto go znowu w kajdany. Listy Wincentego umacniały go w cier-

pieniach ciała i duszy, i choć cierpiał dużo, zagrzewał się jeszcze w miłości świętego powołania swego, także w kilka miesięcy po tém, pisał do Wincentego, że nic jeszcze nie mogło zachwiać, ani nawet zadziwić cierpliwości jego. Wincenty winszował mu i dziękował Bogu; ale, człowiek czynu więcéj jak słów, nie przestawał na pocieszaniu tylko swego syna, ani nawet na modlitwie za niego, ale poruszył wszystkie sprężyny w Paryżu aby go uwolnić. Jak tylko zamięszania we Francji uspokoiły się nieco, wstawiał się sam i przez drugich u dworu za konsulem i 15 stycznia 1651 roku, mógł go już zawiadomić o energicznych środkach, jakie za poradą jego powzięto. W rzeczy saméj, Barreau wkrótce został wolnym, za sumę daleko mniejszą od żądanéj poprzednio, i zachęcony znowu przez swego ojca, z nową gorliwością zajął się pracami konsulatu. Ale, nadużywając może hojności Wincentego, zobowiązał się za siebie i drugich nad możność, a przez to, wprowadził siebie i zgromadzenie w trudności pieniężne prawie nie do rozwiązania. Prawda, że ustawiczne zniewagi i wymuszania opłat, do reszty go niszczyły. Co pogorszało jeszcze położenie jego, to, że opłacał naglejsze długi pieniędzmi, które biedni niewolnicy chrześcjańscy powierzali mu na przyszły swój okup, a lękając się, żeby wszyscy naraz nie zażądali zwrotu, bezustannie wzywał o pomoc świętego ojca. Litując się nad smutném położeniem konsula, Wincenty na wszystkie strony pukał o pomoc dla swych dzieci. Wyprosił u Ludwika XIV list do paszy, kołatał do wszystkich serc miłosiernych i zbierał obfite jałmużny, które posyłał konsulowi dla wydobycia go z kłopotów, znowu zalecając miarkowanie wydatków do przychodów, a szczególniéj nienaruszanie depozytów powierzonych, aby je można oddać na każde zawołanie.

Dzięki téj ojcowskiéj troskliwości, konsul zaczął wydobywać się z kłopotów, gdy w tém bankructwo jednego kupca z Marsylji, ściągnęło na niego ciężkie prześladowa-

nie i zanurzyło w przepaść głębszą jak kiedykolwiek. Pasza czynił go odpowiedzialnym za długi Marsylczyka i w pośród mąk okropnych wymógł na nim zobowiązanie natychmiastowéj wypłaty pod sroższém jeszcze zagrożeniem. Barreau nic nie miał, ale wiadomość o jego mękach i nowém niebezpieczeństwie, prędko rozeszła się po mieście, i biedni niewolnicy tłumnie zbiegli się do konsulatu, ofiarując mu swe pieniądze. Zebrano sumę tym sposobem, i Barreau czasowo został wolnym. Pozostawało zemścić się za zgwałcenie prawa narodów i zniewagę Francji w osobie jéj konsula, i spłacenie niewolników. Ten ostatni obowiązek tylko należał do Wincentego, pierwszy do króla. Ale Ludwik XIV. zajęty zamięszaniami Frondy i wojną z Hiszpanją, poprzestał na pewnych środkach chroniących od zniszczenia wielu ze swych poddanych, a na zniewagę udał że nie uważa. Wśród powszechnego zniszczenia, Wincenty lepiéj dopełnił swego obowiązku miłosierdzia i Filip Le Vacher przybyły do Francji w celu szukania pomocy dla swego współbrata, zebrał wkrótce znaczne sumy. Tymczasem, nieroztropny zamach gubernatora bastjonu francuzkiego w Algierze, naraził na niebezpieczeństwo konsula i niewolników chrześcjańskich. I rzeczywiście Barreau powrócił do więzienia, a niewolnicy cierpieli więcéj jak kiedykolwiek. Wincenty znów wahać się zaczął, czyby nie zrzec się konsulatów, a nawet misji Berberyjskich, lecz wkrótce wziął się na nowo do tak świętego dzieła, i zdołał powtórnie uwolnić Barreau z więzienia. Spłacił także biednych niewolników; a gdy w rok po śmierci jego, Filip Le Vacher i Barreau, powrócili do Francji, byli jeszcze w stanie zabrać z sobą siedmdziesięciu niewolników, których za zebrane jałmużny wykupili.

Wincenty wolałby był energiczniejszemi środkami niedopuścić podobnego łupieztwa i prześladowań tak krwawych. Prośbą i wpływem chciał wywołać zbrojne wystąpienie Francji przeciw Berberji. Był wtedy w Prowancji dowódzca na-

zwiskiem Pauli, który przez swój awanturniczy charakter, odwagę i szczęście, wyniósł się ze stanu nizkiego do najwyższych zaszczytów w marynarce. Wincenty chciał go uczynić dowódzcą floty, o któréj marzył. Zniewolił króla i kardynała do dania mu na ten cel władzy, przedstawiając, że nie szło tu już o samo tylko poskromienie rozbojów morskich, ani nawet o sam czyn miłości chrześcjańskiéj, ale o honor jego królewskiéj mości i imienia francuzkiego. Pisał list po liście do przełożonego missji w Marsylji, swego korespondenta w interesach Berberji, o przyspieszenie wykonania planu Paulego. Zarazem, zbierał sumę dwudziestu tysięcy liwrów, którą miał otrzymać dowódzca, dopiero po odniesioném zwycięztwie, to jest po uwolnieniu niewolników, wydobyciu Barreau, który siedział w więzieniu i ustanowieniu innego konsula. Kupcy zaś marsylijscy i innych miast nadmorskich mieli się przyłożyć do kosztów wyprawy. — Pomimo takiéj czynności, tylu starań i ofiar, wyprawa nie doszła do skutku z powodów, których nie podaje historja. Ale w kilka lat po tém, inna wyprawa skuteczniejsza od pierwszéj, wyszła przeciw Algierowi, któréj pierwsza myśl bezwątpienia pochodzi od Wincentego, bo w liście z 19 lipca 1658 r. zapowiada nowe przedsięwzięcie, do którego „pani d'Aiguillon obiecuje skłonić pana de Beaufort". Księżna d'Aiguillon nic nie czyniła bez rady Wincentego i niemożna wątpić, że to w skutek namowy świętego kapłana powierzyła księciu de Beaufort dowództwo armji morskiéj. Zasługa więc téj wyprawy spływa na Wincentego; a nawet i następnych, mających związek z pierwszą, aż do wyprawy z 1830 r., która wreszcie zakończyła rozboje. W rzeczy saméj, od Karola piątego Algier uważano za niezdobyty i niezwyciężony; dopiero Wincenty, wpłynąwszy tak skutecznie na wyprawę dowodzoną przez księcia de Beaufort, pokazał niejako francuzkim statkom wojennym i francuzkiéj

armji drogę do Algieru, o którój już nie zapomniano aż do stanowczego zwycięztwa.

Wincenty umarł w 1660 r., nie doczekał więc ukarania rozbójników, pomszczenia krwi męczenników i honoru francuzkiego, ale miał chociaż tę pociechę, że uwolnił dzieci swoje.

IV. W rok po jego śmierci, Barreau i Filip Le Vacher powrócili do Francji, a zastąpili ich w Algierze: brat du Bourdieu w urzędzie konsula i Huguier dawny konsul w Tunis, który zostawszy księdzem, pojechał jako misjonarz apostolski. Huguier krótko pracował, bo umarł zapowietrzony w kwietniu 1663 r. Odtąd, przez pięć lat blizko, na misji w Algierze został sam tylko brat du Bourdieu; — wojna wynikła w 1663 między Francją a Algierem, była powodem, że Huguier nie dostał następcy, bo posyłając, narażało by się go na niezawodne męczeństwo.

W skutek zwycięztw księcia de Beaufort w latach: 1663, 1664 i 1665 nastąpiły układy, zakończone pokojem, który zapewniał wolność handlu, bezpieczeństwo żeglugi, a szczególniéj wyzwolenie niewolników. Alméras, pierwszy następca Wincentego à Paulo, skorzystał z tego, i w 1668 posłał do Algieru Jana Le Vacher byłego konsula z Tunis. Jan Le Vacher opuścił bez żalu słodki wypoczynek w domu św. Łazarza. Mówił: „Gdybym widział z jednéj strony drogę do nieba otwartą, a z drugiéj drogę do Algieru, poszedłbym drugą, bo to droga miłosierdzia“. Przy wyjeździe, Alméras dał mądre przepisy dla niego i brata du Bourdieu, podobne do tych, jakie Wincenty dał Nouelemu i bratu Barreau.

Le Vacher przybył do Algieru 9 czerwca 1668. Przez pięć lat niebytności kapłanów misji, kolonja chrześcjańska w Algierze obsługiwaną była tylko przez księży niewolników. To też z wielką radością niewolnicy ujrzeli swych

dobrych misjonarzy, a szczególniéj Le Vacher'a, którego wielu znało w Tunis. Le Vacher dobrze był także przyjętym przez paszę, i potrafił skorzystać z tak dobrego usposobienia. Otrzymawszy pozwolenie na noszenie sukni duchownéj, ubrał swoim kosztem księży i zakonników w niewoli, każdego wedle godności i zakonu. Przywrócił nabożeństwa w kaplicach konsulatu i galer, dom swój, który był zarazem domem konsulatu, zamienił w przytułek dla wszystkich ubogich, w szpital dla wszystkich chorych, nie mających gdzieindziéj schronienia. W czasie morowego powietrza podwoił gorliwość i miłosierdzie, i choć sam dotknięty zarazą, w niczém nie wstrzymał prac powołania swego. Dla zaradzenia tylu wydatkom, wszedł w stosunki z księżmi konferencji św. Łazarza, z paniami miłosierdzia w Paryżu, i odbierał zawsze jałmużny odpowiednie do potrzeby. Jako wikarjusz apostolski którego rezydencją odtąd przeniesiono do Algieru, nadał kapłanom mądre ustawy, urządził lepiéj porządek nabożeństwa, założył między niewolnikami tkliwe nabożeństwa, jak modlitwy o uwolnieniu dusz z mąk czyśćcowych. Wzniosły stosunek między niewolnikami kościoła walczącego i kościoła cierpiącego, zmierzający do wspólnéj wolności dzieci Bożych!

Pracował tak do 1674 r. Gdy du Bourdieu wygnany został przez deja, a zastąpienie go, lub powrót stał się niemożebnym, musiał w Algierze, jak dawniéj w Tunis, połączyć urząd konsula z obowiązkiem wikarjusza apostolskiego. Napróżno się opierał; napróżno stary i słaby, wielokrotnie prosił o zwolnienie: musiał pozostać na swém stanowisku aż do śmierci.

Stanowisko już samo z siebie trudne, a szczególniéj z powodu wiarołomstwa Algierczyków. Traktaty bezustannie odnawiano w skutek zwycięztw Duquesne i Tourvilla, ciągle były gwałcone za namową Anglików, którzy chcieli zająć wszystkie zakłady francuzkie. Bombardowanie w 1682 i 1683

sprowadziło nowe układy, których Le Vacher był pośrednikiem i główną ofiarą. Gdy surowość Duquesne'a sprowadziła rewolucję w pałacu, nowy dej oświadczył, że jeśli bombardowanie nie ustanie, przywiązać każe chrześcjan do paszczy armatnich. Barbarzyńca dotrzymał słowa: Le Vacher i dwudziestu dwóch chrześcjan francuzów, padło wtedy ofiarą. — Jednak Duquesne i Tourville wymogli w 1684 r. nowy traktat którego warunki nie były wprawdzie ciężkie, ale nałożone przez Francją. Już w roku następnym, Tourville przybył zażądać rachunku za nowe pogwałcenia i przynieść jakąś ulgę cierpieniom chrześcjan, zwiększonym jeszcze w skutek niegodnego postępowania następców Le Vachera w urzędzie konsula. Za nim, zjawił się pod Algierem marszałek d'Estrées w 1688 r., który zbombardowawszy Tunis i Tripoli, groził tąż karą Algierowi. Po drugi raz Dej zagroził, że przywiąże do paszcz armatnich ośmdziesięciu niewolników, zacząwszy od konsula i wikarjusza apostolskiego, i drugi raz dotrzymał słowa; oprócz 40 francuzów i konsula który nie był wart lepszego losu, uczynił toż samo z bratem Franciszkiem Francillon, mieszkającym od 44 lat w Berberji i wikarjuszem apostolskim Montmasson, który opuścił probostwo Wersalskie dla cierpień i męczeństwa w Algierze.

Jednak, dziesięć tysięcy bomb rzuconych na Algier, zmieniły go w stos dymiących gruzów; przymuszono rząd do zawarcia nowego traktatu pokoju w 1689. Lud ten uznając wreszcie próżność obietnic, jakie mu czynili konsulowie protestanccy Anglji i Holandji, że bronić go będą przeciw niezwalczonéj potędze francuzkiego oręża, powtarzał: „Dzieci naszych dzieci pamiętać będą, że nie trzeba znieważać chorągwi francuzkiéj.“

W rzeczy saméj, od traktatu w 1689 r. odnawianego często z powodu pogwałceń, aż do rewolucji, rozbójnicy morscy prawie zawsze oszczędzali Francję, zwracając swe rozboje do innych mocarstw. Przez cały XVIII wiek, Hisz-

panja wyniszczyła się na usiłowania najczęściéj bezużyteczne i po trochu straciła wszystkie swe posiadłości afrykańskie. Inne narody złotem opłacały trochę wolności handlowéj.

Mimo prześladowania i śmierci, która pobudzała jeszcze ich odwagę, dzieci Wincentego a Paulo nie opuścili w Algierze dzieła ojca swego. Utrzymywali tam zawsze wikarjusza apostolskiego, a razem z nim czterech księży, dwóch braci i dwóch najętych niewolników, za których płacono ich panom. Mieszkali ciągle w wynajętym od turka domu. Mieli tam przyzwoitą kaplicę, w któréj nabożeństwo odprawiało się publicznie. Obsługiwali także cztery kaplice na galerach, utrzymywane z miłosierdzia wszystkich, nawet biednych niewolników. Służyli za tłumaczów i komisantów handlowych, utrzymywali stosunki między niewolnikami a ich rodzinami, zbierali składki na okup niewolników, a wyzwolonych utrzymywali u siebie, aż do ich wyjazdu do ojczyzny. Rzadkie chwile wypoczynku obracali na poszukiwania naukowe.

Takie było położenie i dzieła misjonarzy przez wiek przeszło; a wszystko to bez korzyści osobistéj, chyba, że korzyścią nazwiemy zniewagi, złe obchodzenie się, prześladowania od turków i renegatów, a nawet kupców i niewolników; ciągłe zdzierstwa od dejów i paszów! Nie mówmy o śmierci, to był ich zysk prawdziwy: więcéj jak trzecia część umarła z morowego powietrza, nie licząc tych, którzy zginęli gwałtowną śmiercią.

Jeszcze zgubniejszą dla nich była rewolucja francuzka, zabrała im dobra, przynoszące dochodu 9.361 liwrów, a pochodzące z daru króla i księżnéj d'Aiguillon; niedługo odjęła im opiekę Francji, i porzuciła na wszystkie kaprysy deja. Nakazano im nawet oddalić się, ale przyszło morowe powietrze, i raczono zezwolić, aby pozostali przy swych biednych niewolnikach.

Jednocześnie, Bonaparte z Egiptu zamyślał przez chwilę przenieść wojnę do Algierji; ale nagły jego powrót do Francji,

uspokoił Algierczyków, którzy zaczepili sami, wypowiedzieli wojnę i zabrali francuzki fort La Calle. Misjonarze musieli opuścić swe stanowisko. Udali się najprzód do Hiszpanji, do swych współbraci w Barcelonie, późniéj powrócili do Francji. Jeden tylko pozostał w Hiszpanji, zkąd może łatwiéj spodziewał się dostać do swych drogich niewolników: był to Joussouy, przybyły do Algieru w 1780 r., gdzie uniknął morowego powietrza w 1787 r.

Długo musiał czekać. Z powodu pokoju zawartego z portą w 1801 r., zaczęto wprawdzie układy z Algierem, zakończone traktatem; ale ten wkrótce zgwałconym został przez rozbójników morskich, a pierwszy konsul posłał do deja swego adjutanta, żądając zwrotu zdobyczy, poszanowania dla jego chorągwi i głośnego zadosyćuczynienia. — W kilka dni po tém, posłał do niego innego oficera z listem jeszcze dumniejszym. Zawarto więc nowy traktat w 1805 r. Po zawartym pokoju, Joussouy powrócił do Algierji. By zaspokoić potrzeby missji i szpitala, sprzedał swą ojcowiznę, a że dom, w którym mieszkali został zamieniony w harem, przeniósł się najprzód do stancyjki zarządu galerami. Odzyskawszy dom, zamieszkał w nim z dwoma braćmi i żył szczątkami swéj ojcowizny, z pożyczek i jałmużny. Przyjął także pewną pomoc od króla hiszpańskiego, który obiecywał zająć się wszystkiém, byle się chciał oddać pod jego opiekę. Ale Joussouy chciał pozostać Francuzem. Dwa razy cesarz posyłał mu gratyfikację, która pozwoliła mu popłacić długi i rozpocząć znowu wszystkie dzieła misyjne. Nowe dary i roczna pomoc 3.000 franków, utrzymały go aż do śmierci, która nastąpiła 8 stycznia 1814 r. W tymże roku mocarstwa zebrane w Wiedniu, powzięły przeciw Algierowi zamiar wyprawy, którą Napoleon już kazał studjować. Ale Anglja oparła się temu, bo dla siebie chciała wyzyskać wszystkie przywileje francuzkie. Pomimo różnych wypraw od r. 1815 do 1824, pomimo nawet traktatów, które za-

strzegały zawsze zniesienie niewolnictwa, było jeszcze w samym Algierze, mieście i obwodzie, w przecięciu od ośmiu do dziesięciu tysięcy niewolników aż do 1830 r. Tyle ich bywało zazwyczaj od czasu wypraw Ludwika XIV.

Po śmierci Joussouy, niewolnicy pozostali prawie bez pomocy religijnéj. Dopiero w 1825 r., rozpoczęto znów misję, przerwaną jeszcze podczas długiego oblężenia od r. 1827 do 1830. Choć zwycięztwo Francji otworzyło religji wrota do Algieru, misjonarze dopiero w 1842 r. wrócili napowrót na swe stanowiska. Przybyli objąć dyrekcję nad siostrami miłosierdzia, i założyli missją. Późniéj, powierzono im kierunek seminarjum, i dwie parafje, które stały się środkowym punktem ich missji. Prace ich są teraz trochę odmienne od dzieł przeszłych dwóch wieków. Ale choć nie ma już niewolników, zawsze odbywać mogą missje, wychowywać sieroty, uczyć dzieci, żywić ubogich, nawiedzać więźniów, chorych i starców w domach i szpitalach: zawsze więc są to dzieła miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, które dopełniają w Algierji jego synowie i córki. A jeźli ta ziemia długo jęcząca pod przekleństwem, powróci kiedy do pięknych czasów Cyprjanów i Augustynów, im to szczególniéj należeć się będzie zasługa przed Bogiem, a chwała przed ludźmi. Posiana niejako potem i modlitwami ich ojca, uprawiana przez dwa wieki ich staraniem i krwią ich użyźniona, jeśli wyda obfite żniwo zbawienia, wdzięczność za to, słusznie należeć się będzie misjonarzom.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Zgromadzenie missji.

I.

Ustanowienie Zgromadzenia missji.

I. Dar pani de Gondi i kontrakt fundacji. — II. Śmierć pani de Gondi i ustąpienie z domu Wincentego. — III. Pierwsze prace i potwierdzenie zgromadzenia missji.

I. W domu hrabiego de Gondi powzięte zostały dzieła o których mówiliśmy w rozdziale poprzedzającym, tam téż zaczął się początek ich wykonania. Dom ten miał być jeszcze kolebką dzieła obszerniejszego, które objąć miało wszystkie inne: mówimy o powstaniu zgromadzenia missji.

Cofnijmy się do roku 1624. Owoce zbawienia, jakie wydały pierwsze missje Wincentego, podały pani de Gondi, która była ich świadkiem a nawet współpracowniczką, myśl rozszerzenia ich i uwiecznienia. Już w 1617 r. chciała uczynić zapis 16.000 liwrów na rzecz jakiego zgromadzenia kapłanów, z obowiązkiem odprawiania co pięć lat missji po wszystkich jéj majętnościach. Prosiła Wincentego, aby to przedstawił tym, których by osądził za najodpowiedniejszych: wszyscy odmówili. Opatrznościowa to odmowa! szło tu o dzieło nowe i wyłączne, nauczania ludu wiejskiego, a to wymagało także nowego i wyłącznego zgromadzenia, zajętego jedynie tą ukochaną cząstką trzody Jezusa Chrystusa. Ani Wincenty, ani pani de Gondi nie znali wtedy zamiarów Bo-

żych. Ale pobożna pani przechowała zamiar w sercu swojém, zdając na Opatrzność, czas i możność wykonania go. Dla zapewnienia jednak w przyszłości, czego nie mogła uczynić od razu, napisała testament, umieszczając w nim sumę 16.000 liwrów na missje w dobrach swoich, a wykonawcą testamentu co do tego punktu naznaczyła Wincentego.

Siedm lat upłynęło. Co rok pani de Gondi odnawiała testament, a Wincenty czynił starania zawsze bezskuteczne. Nakoniec pani de Gondi zauważyła, że niepotrzebnie szuka zdaleka tego, co miała niejako pod ręką. Wincenty miał wtedy ciągłe stosunki z uczonymi i cnotliwymi księżmi, którzy pracowali z nim na missjach po wsiach. Dla czegóż by nie można utworzyć z tych pierwiastków zgromadzenia kapłanów o którém marzyła? Dość na to domu do pomieszczenia ich, i zezwolenia władzy duchownéj. Hrabia de Joigny potwierdził tę myśl, i przyrzekł zostać współfundatorem. J. F. de Gondi, arcybiskup paryzki, brat jenerała galer, z ochotą poparł zamiar, z którego djecezja jego tak obficie korzystać miała, i chcąc się przyłożyć do dzieła swéj rodziny, ofiarował na ten cel dom, którym mógł rozporządzać.

Blisko bramy św. Wiktora znajdowało się stare kolegjum, nazwane kolegjum des Bons-Enfants, fundowane w połowie trzynastego wieku, a opróżnione przez zrzeczenie się ostatniego posiadacza na ręce Jana Franciszka de Gondi. Arcybiskup oddał go więc Wincentemu 1 marca 1624, który zaraz objął je w posiadanie; ale, że sam nie mógł mieszkać pozostając zawsze w domu de Gondi, osadził tam Antoniego Portail, pierwszego ucznia swego.

Oprócz mieszkania, trzeba jeszcze było funduszu na życie i okrycie dla przyszłych misjonarzy. Już w następnym roku postarali się o to hrabia i hrabina de Joigny; 17 kwietnia 1625, zawarto kontrakt fundacji, mocą którego, ciż państwo „zważając na potrzeby i zaniedbanie wieśniaków, dają Wincentemu à Paulo sumę 45.000 liwrów, z któréj

dochód miał służyć na utrzymanie odpowiedniéj liczby duchownych przez niego wybranych, żyjących wspólnie pod zarządem jego i następców, a noszących tytuł kapłanów missji, zobowiązujących się nie sprawować obowiązków kapłańskich po wielkich miastach, nie przyjmować beneficjów i godności kościelnych, a zajmować się głoszeniem Ewangelji, naprzód co pięć lat po wszystkich dobrach fundatorów, następnie galernikom, i wedle ich woli po miasteczkach i wsiach."

II. Kontrakt ten, był zarazem aktem założenia missji i testamentem hrabiny de Joigny. Dopełniwszy tego, zdało się, że pobożna ta pani skończyła swe zadanie na ziemi.— W rzeczy saméj, we dwa miesiące zaledwie po tém, zdrowie jéj, zawsze słabe, a jeszcze skołatane i zachwiane ustawicznemi dziełmi miłosierdzia, wyraźnie niknąć poczęło. Dostrzegła to, i jako niewiasta prawdziwie chrześcijańska, o wszystkiem już zapominając, obróciła ostatnie dni życia na przygotowanie się do śmierci. Łagodna a silna zarazem, wstrzymywała łzy rodziny, i tkliwie żegnała się z nią. Ale nadewszystko widać w niéj było radość i zaufanie, bo widziała przy swém śmiertelném łożu spełnione przeszło dwunastoletnie pragnienie: Wincentego à Paulo, którego tak często prosiła, by był jéj aniołem pocieszycielem w téj ostatniéj chwili i doprowadził ją do Boga. Wincenty, mimo boleści, cieszył się, widząc tak chrześcjańskie usposobienie, i czuł się szczęśliwym, że przez swe modlitwy i wzbudzanie gorących uczuć w téj najważniejszéj chwili, mógł zacząć spłacanie długu wdzięczności jaki względem niéj zaciągnął.

Tak umarła 23 czerwca 1625 r., w 42 roku życia pani de Gondi, więcéj znana dla swych stosunków z synem biednego wieśniaka z Landes, jak z rodu i znakomitych związków familijnych.

Pogrzebaną została wedle jéj życzenia w kościele Karmelitanek przy ulicy Chapon. Gdy Wincenty przy grobie ostatnie zmówił modlitwy, udał się do Marsylji, gdzie przebywał wtedy jenerał galer, by mu oznajmić tę bolesną stratę. Nikt nie mógł lepiéj dopełnić tak smutnego poselstwa, jak ten święty kapłan. Oprócz daru pocieszania i gojenia ran serca, który otrzymał od Boga, łatwiéj mu było jak komukolwiek, jako szczeremu przyjacielowi rodziny de Gondi, przyłączyć swe łzy do łez jenerała, a to zawsze najskuteczniejsza pociecha. Zdaje się wreszcie, że posłannictwo to poleciła mu umierająca hrabina jako ostatnią przysługę. Przez drogę, tak długą wtedy, do Prowancji, rozmyślał i prosił Boga o natchnienie. Stanąwszy przed hrabią de Joigny, z łagodną i poważną twarzą, przygotował go przez rozmowę o pokorném zgadzaniu się z wolą Bożą; i umilkł, a łzy domówiły resztę. Jenerał zrozumiał, i po pierwszym wybuchu boleści, którego Wincenty nie powstrzymywał, z ulgą na sercu słuchał świętego kapłana. Wincenty opowiedział wszystkie szczegóły śmierci tak drogiéj przed Bogiem; zaspokoił tę bolesną ciekawość, która tak chciwie nas nęci do poznania tego, co zdwoi łzy nasze, bo przez jakąś tajemniczą homeopatję boleść nasza uspokaja się, nasyciwszy się sama sobą. Nakoniec zwrócił się do wiary i pobożności jego, i wkrótce jenerał całował z miłością rękę Bożą, która tak boleśnie go dotknęła.

Oddał mu zarazem Wincenty ostatni testament hrabinéj, który, między innemi rozporządzeniami zawierał podwójne zalecenie: Wincentemu, by pozostał przy rodzinie de Gondi, a rodzinie, by zachowała Wincentego. Jenerał zaklinał więc świętego kapłana, aby zechciał pozostać jeszcze w jego domu.

Zaiste, ciężka musiała być walka dla serca tak kochającego i wdzięcznego, opierać się temu zdwojonemu naciskowi próśb, wychodzących tak ze świeżo zamkniętego

grobu, jak i z serca zbolałego małżonka i ojca niespokojnego o przyszłość dzieci swoich. Ale czuł, że wola Boża powołująca go gdzieindziéj, potężniejszą jeszcze i świętszą była dla niego. Prawdziwie, nie miał już co robić w domu de Gondi, do którego powrócił nie dla jenerała, ani jego dzieci, lecz jedynie dla uspokojenia moralnych cierpień hrabinéj i zamknięcia jéj oczu, albo raczéj, dla założenia fundamentów wszystkich swych dzieł miłosierdzia. Po śmierci hrabinéj nie mógł już pozostać w téj atmosferze wielkości i bogactwa, tak nieodpowiedniéj, mimo pobożności, która ją miarkowała, do ubóztwa i pokory, które oddawna wybrał za dziedzictwo swoje. Więźniowie i niewolnicy, dzieci i opuszczeni starcy, wszystkie potrzeby i wszelkie nędze wzywały go; ale szczególniéj wzywało go powstające zgromadzenie, prawdziwa rodzina jego, którą, żyjąc jedynie w pośrodku niéj, mógł wychować i rozszerzyć.

Wszystkie te powody uznać musiał jenerał galer, który i sam myślał już o opuszczeniu świata i wstąpieniu do Oratorjanów. Wincenty został więc wolnym i tegoż roku 1625 usunął się do kollegjum des Bons Enfants.

III. Znalazł tam z początku tylko Antoniego Portail. Obydwaj jednak chcieli zaraz rozpocząć dzieło Missji. Nie będąc w stanie opłacać w czasie swéj nieobecności stróża, w kollegjum, powierzyli klucze sąsiadowi, a sami zaczęli pracę. Przy małych zasobach, bo musieli, na mocy fundacji, nic nie żądać od nikogo, zmniejszyli o ile możności swe tłumoczki, i podróżując pieszo nieśli je na plecach. Tak opatrzeni, w towarzystwie trzeciego księdza, który czasowo przyłączył się do nich, przebiegli naprzód majętności domu de Gondi; daléj inne jeszcze parafje, a szczególniéj okolice stolicy. Takiém jest zawsze ewangeliczne ziarno gorczyczne. Ktoby mógł przewidzieć, że zgromadzenie jeszcze mniéj liczne jak apostołów, napełni kiedyś ziemię? Wincenty za-

nadto był pokornym, aby choć na chwilę mógł to przypuszczać, i późniéj, przy każdéj sposobności, z upodobaniem przypominał te słabe początki, by zachęcić do wdzięczności i odnieść całą chwałę do Boga, a podobnemi uczuciami natchnąć uczniów swoich. Świadkowie prac pierwszych robotników tego nowego Instytutu, choć nie przewidywali podobnież przyszłego jego rozwoju, powzięli jednak wielkie nadzieje i wspierali go swą pomocą; arcybiskup paryzki, po roku istnienia potwierdził zgromadzenie, a 24 kwietnia 1626 zatwierdził także kontrakt fundacji.

W kilka miesięcy potém, Franciszek do Coudrai i Jan de la Salle księża z Pikardji przedstawili się Wincentemu, pragnąc żyć i pracować pod jego przewodnictwem. Święty fundator uznał już za potrzebne, dla uchronienia od słabości i niestałości ludzkiéj, zapewnić zakładowi tych trzech pierwszych członków przez akt notarjalny. Wkrótce przybyło czterech nowych księży: Jan Bécu z Amiens, Antoni Lucas z Paryża, Jan Brunet z Clermont i Jan d'Horgny z Noyon. Wincenty miasto smucić się z tak małéj liczby, cieszył się owszem i dziękował Bogu, że pozwalał mu „uczcić przez to małą liczbę uczniów Syna Jego.“

Następnego roku 1627 w maju, Ludwik XIII wydał dyplom królewski, potwierdzający Zgromadzenie Missji. Gdy Zgromadzenie w ten sposób zostało założone i życie wspólne zaprowadzone, Wincenty, nie mogąc już na osobę swoją trzymać Kolegjum des Bons Enfants, złożył je na ręce arcybiskupa paryzkiego, który przyłączył je do Zgromadzenia. Pomimo oporu parlamentu i proboszczów paryzkich, król potwierdził ten akt dyplomem swoim, a Urban VIII Bullą z 12 stycznia 1632 r.

Gdy więc Zgromadzenie uznaném zostało przez wszystkie władze, Wincenty na wzór Zbawiciela podzielił uczniów swoich i rozesłał opowiadać po wsiach słowo Boże; tak jak Zbawiciel, napełnił ich przy rozejściu się duchem swoim

i wskazał sposób postępowania. Dla siebie wybrał najtrudniejsze okolice. Wszyscy współubiegali się w gorliwości, wszędzie też Bóg błogosławił ich pracom. Wkrótce, przy zwiększonéj liczbie, Zgromadzenie pomnożyło swe dzieła, i oprócz Missji zajęło się wychowaniem kleru; ale, że widownią tych dzieł był dom św. Łazarza, gdzie ostatecznie się urządziło, musimy wprzód je tam wprowadzić.

II.

Dom św. Łazarza.

I. Szpital trędowatych u św. Łazarza przyłączony do Zgromadzenia Missji; układy i umowa. — II. Zaprzeczenie prawa; druga umowa. — III. Skład Zgromadzenia; kwestja ślubów; Zgromadzenie stanowczo urządzone.

I. Dom św. Łazarza był dawniéj szpitalem trędowatych; ubogacony prawami i przywilejami przez królów i papieży, przez długi czas obsługiwany był przez liczne zgromadzenie braci i sióstr, pod władzą przeora, a regułą św. Augustyna. W 1630 r. u św. Łazarza mieszkało ośmiu kanoników regularnych św. Wiktora, których przeorem był Adrjan Le Bon. Że zaś przeor i zakonnicy nie mogli się z sobą zgodzić, Le Bon myślał o zamianie swego beneficjum. Trędowatych nie było już u św. Łazarza, więc dom ten nosił tylko imię szpitala. Ale zanim wykonał swój zamiar, Le Bon zastanowił się, czyby nie można użyć téj fundacji na inne dobre uczynki. Słyszał mówiących o pewném Zgromadzeniu Missjonarzy, którzy pod przewodnictwem jakiegoś księdza Wincentego zajmowali się uczeniem biednego ludu. Nie znał ich osobiście, ale pomyślał sobie, że gdyby mógł osadzić ich w swoim przeoracie, spłynęłaby na niego cząstka dobrego, jakie czynią w Kościele Bożym. Z tą myślą udał się do doktora Lestocq, proboszcza św.

Wawrzyńca, sąsiada swego i przyjaciela. Nie mógł wybrać lepiéj, bo Lestocq dzielił prace Missjonarzy i widział ich gorliwość; pochwalił więc jego zamiar i zaprowadził zaraz do Kollegjum des Bons-Enfants. Lecz zaledwo Le Bon ofiarował Wincentemu przeorat św. Łazarza, święty kapłan, lękając się narazić pokorę i ubóztwo swoje, nie mógł i słowa przemówić. Przeor témbardziéj nalegał, a nie mogąc otrzymać zezwolenia pokornego przełożonego, odszedł mówiąc, że mu zostawia sześć miesięcy do namysłu.

Po sześciu miesiącach Le Bon i Lestocq powrócili do Kollegjum des Bons-Enfants; taż ofiara, podobna odmowa. W następnych sześciu miesiącach, przeor i proboszcz dwadzieścia czy trzydzieści razy powracali, zawsze bezskutecznie. Wreszcie, po roku nalegań, zmęczony przeor rzekł raz do Wincentego: „Mości księże, cóż za człowiek jesteś? Jeśli lękasz się w téj sprawie poprzestać na własném zdaniu, wskaż nam, kogo się radzisz, w kim masz zaufanie, jakiego przyjaciela, któryby mógł nam służyć za pośrednika.“ Wincenty przyparty w ten sposób, wskazał doktora Duval, swego spowiednika i zwykłego doradcę, i przyrzekł, że będzie mu posłusznym tak jak Bogu. Duval, do którego się udali, przechylił się zaraz na stronę Le Bon'a, nalegając o przyjęcie przeoratu św. Łazarza. Ułożono nawet wzajemne warunki, gdy Wincenty nie zgodził się na jeden, ważny w jego oczach, choć mały może w uważaniu ludzi światowych, i o mało nie zerwał wszystkiego. Przeor, który napróżno pracował nad poprawą swych zakonników, sądził, że dójdzie do tego przeznaczając im wspólną sypialnię z Missjonarzami. Synom księdza Wincentego, myślał, nic to nie zaszkodzi, a moi zakonnicy nie zdołają oprzeć się zbawiennemu wpływowi ich milczenia, regularności i skromności; podziwiając naprzód, wkrótce naśladować ich zaczną. Ale Wincenty, nie tyle się spodziewał dobrego dla zakonników św. Łazarza z tego prozelityzmu, jak lękał zarazy

złego dla dzieci swoich; napisał więc do X. Lestocq, przedstawiając mu, że zwyczaje jego Zgromadzenia nie dadzą się pogodzić z tą wspólnością sypialni. Wymagał, aby zakonnicy oddzielne mieli mieszkanie, które zobowiązywał się sam urządzić i umeblować.

Jedna jeszcze zachodziła trudność co do starszeństwa w chórze, i o ubiór kanoniczy, który przeor chciał, żeby Missjonarze nosili od Wszystkich Świętych do Wielkiéjnocy. Pokorny Wincenty ochotnie ustąpił starszeństwa w chórze, ale nie chciał przystrajać się w oznaki kanonickiéj godności.

Le Bon musiał więc ustąpić co do tych dwóch punktów, a szczególniéj co do wspólnéj sypialni. Tak więc, gdy we wszystkiém się porozumiano, podpisano umowę 7 stycznia 1632, która stanowiła (jeśli nastąpi zezwolenie Papieża i arcybiskupa paryzkiego, króla i parlamentu) przyłączenie wiekuiste przeoratu do Zgromadzenia Missji, z zapewnieniem przez Missjonarzy pewnych korzyści doczesnych i duchownych, dla przeora i zakonników żyjących i zmarłych.

Nazajutrz arcybiskup paryzki wydał dekret przyłączenia św. Łazarza do Zgromadzenia Missji; w ciągu stycznia król udzielił na to dyplom, a 24 marca burmistrz i radcy miasta Paryża dali swe zezwolenie.

II. Zdawało się, że sprawę szczęśliwie już ukończono, gdy zakonnicy od św. Wiktora założyli niespodzianą opozycję, utrzymując, że dom św. Łazarza jest ich własnością. Prawo Wincentego było pewne, jednak trzeba było użyć jakby gwałtu, żeby go skłonić do procesu. Udał się więc do pałacu sprawiedliwości, ale wtedy, gdy sądzono jego sprawę, on pozostał w świętéj kaplicy, prosząc Boga, nie o zwycięztwo ale o sprawiedliwość, a nadewszystko o gotowość w poddaniu się świętéj Jego woli. Badając pod tym względem swe usposobienie i czegoby najbardziéj żałował w przypadku wyzucia z posiadania, musiał przyznać, że ani

obszernych placów, ani bogatego prjoratu, ani wysokiéj władzy z prawami wyższéj, średniéj i niższéj juryzdykcji, ani nawet korzyści, jąką mogłoby odnieść Zgromadzenie z takiéj posiadłości, ale opuszczenia trzech czy czterech biednych warjatów, których Le Bon powierzył miłosierdziu jego, a do których już tkliwie a święcie się przywiązał. Pan Bóg nie chciał go wystawić na taką próbę; parlament dekretem z 21 sierpnia 1632, nie zważając na opozycję zakonników od św. Wiktora, nakazał wciągnięcie do akt umowy i dyplomu królewskiego, co i dopełnioném zostało 7 września tegoż roku.

Pomimo tego dawny przeor i Missjonarze zawarli 29 grudnia 1632 drugą umowę potwierdzającą pierwszą, w któréj opuścili poprzednie warunki; umowę tę arcybiskup i król potwierdzili nowym dekretem połączenia i nowym dyplomem królewskim.

W umowie téj nie było już mowy, jak w pierwszéj, o potwierdzeniu papiezkiém, ponieważ przy rozpoznaniu rzeczy przekonano się, że szpital jako zakład czysto doczesny, nie wymagał odnoszenia się do rzymskiéj kurji. Wincenty jednak, nie chcąc nic posiadać bez zezwolenia najwyższego Pasterza, prosił i otrzymał na to upoważnienie i błogosławieństwo Stolicy apostolskiéj.

III. Podczas tych układów Missjonarze rozszerzyli się we Francji i za granicą, objęli wszystkie swe apostolskie prace dla zbawienia ludu i poprawy kleru, a nawet święty ich założyciel położył fundamenta wszystkich swych miłosiernych zakładów. Jednak nie mieli jeszcze ustalonéj formy życia, ani reguł stanowczych; a naprzód, czy wejść w skład zakonów, albo też pozostać prostém Zgromadzeniem kapłanów świeckich? Wielkie pytanie, które przez długie lata było roztrząsaném.

Od czasów protestantyzmu była w chrześcjaństwie jakaś tajemna odraza i wojna mniéj albo więcéj widoczna, przeciw ślubom zakonnym. Prawie wszystkie kongregacje mężczyzn i kobiet powstałe w pierwszéj połowie XVII wieku objawiły też odrazę do ślubów, a szczególniéj uroczystych. Wincenty przyznając jéj istnienie bolał nad tą dążnością wieku; on nietylko miłował śluby zakonne, ale pojmował potrzebę ślubów, zobowiązań jakichkolwiek, by uchronić zgromadzenie swoje od niestałości i lekkomyślności jego członków. Od początku zaraz nakłonił ich do ślubów prostych, odnawianych co dwa albo trzy lata, ale dowolnie i w kółku domowém. Postanowił wtedy zobowiązać do tego wszystkich regułą, potwierdzoną przez arcybiskupa paryzkiego. Ale, że niektórzy szemrali przeciw tym zobowiązaniom, poradził się uczonych, starszych w Zgromadzeniu, i postanowił w 1640 zwrócić się do Rzymu. Ale, jakie śluby czynić? jakiéj natury i w jakiéj liczbie? W téj epoce zdaje się, że chciał się ograniczyć na samym ślubie wytrwania w Zgromadzeniu, a co do zwyczajnych ślubów zakonnych, chciał je zastąpić prostemi obietnicami, z prawem wydalenia gwałcących je. Co więcéj, zdawał się obawiać, żeby ślub wytrwania nie stanowił sam zakonnego stanu i nie wywiódł jego księży ze stanu kleru świeckiego, w którym pragnął ich zatrzymać.

Żeby lepiéj się upewnić o zdaniu i usposobieniu zgromadzenia, zwołał małe zebranie jeneralne. Rozpoczęło się 13 października 1642. Gdy już miało się ku końcowi, pokorny przełożony, który zawsze uważał się za niższego od wszelkiego zaszczytu i wszelkiéj godności, za niższego od ostatniego ze swoich, który, swéj niegodności i mniemanym grzechom przypisywał wszystkie kłopoty i nieszczęścia Zgromadzenia, nagle upadł na kolana przed swymi księżmi, i w téj postawie błagając ich ze łkaniem o przebaczenie za uchybienia i zgorszenia swoje, zrzekł się jeneralnego prze-

łożeństwa i prosił o przystąpienie do nowego wyboru. Wtedy, nie czekając na odpowiedź, wyszedł zostawując im wolność wyboru, oświadczając tylko, że zawczasu potwierdza tego, którego wybiorą, i za łaską Bożą słuchać będzie, jak ostatni z nich, nowego jenerała.

Z początku podziw i osłupienie ogarnęło wszystkich, Missjonarzy. Ale zaledwo wrócili do przytomności, nie naradzając się nawet, zawołali jednozgodnie, że nie przyjmują podobnéj dymisji, i wysłali kilku z pośrodka siebie do Wincentego. Ale, gdy deputowani powrócili nie pokonawszy pokornego jego uporu, całe zebranie udało się do niego. Po długich sporach Missjonarze rzekli mu nakoniec: „Chcecie więc koniecznie, byśmy przystąpili do wyboru nowego przełożonego? A więc! was to wybieramy, i wybierać będziemy zawsze, dopóki Bóg zachowa nam was na ziemi.“ Schwytany niejako we własne sidła, Wincenty musiał znów przyjąć ciężar.

Wtedy to Missjonarze wykonali ślub prosty wytrwania. Ale wielka kwestja ślubów nie była przez to rozwiązaną. Wincenty, i z własnego i innych zgromadzeń doświadczenia, pojął doskonale konieczność nieodwołalnych ślubów. Że zaś ślub tylko co wykonany był tylko prostym, można było uwolnić się od niego przez dyspensę biskupa, jaką łatwo otrzymać. Starał się więc wtedy w Rzymie o deklarację papiezką, któraby uwolnienie od ślubów Zgromadzenia Missji zastrzegała tylko Stolicy Apostolskiéj i przełożonemu jeneralnemu. We Francji przecież nie wiedział czego się trzymać, bo z jednéj strony biskupi odwodzili go od stanu zakonnego, z drugiéj zakonnicy popychali doń. By pogodzić te przeciwne rady, zdecydował się w ten sposób, żeby umieścić Zgromadzenie swoje w stanie zakonnym przez śluby proste, a jednak pozostawić je pod względem zajęć w liczbie kleru świeckiego przez posłuszeństwo biskupom.

Ale ileż przeszkód doświadczyć miał jeszcze, tak w Rzymie jak we Francji, a nawet od własnych synów, zanim doszedł do upragnionego celu! Jednak, druga kongregacja jeneralna zwołana 1 lipca 1651, zgodziła się na artykuł o ślubach, od których tylko Najwyższy Pasterz mógł uwalniać. Znowu odwołano się do Rzymu, i w 1655 Alexander VII Papież w ten sposób urządził konstytucję Zgromadzenia, że, nawet ze ślubami, Stolicy Apostolskiéj zastrzeżonemi, od których przełożony jeneralny uwalniać może tylko przy wydaleniu, Zgromadzenie pozostaje w liczbie kleru świeckiego.

Po odebraniu Breve papiezkiego, Wincenty i synowie jego zaczęli od podziękowania Bogu i Papieżowi; potém, wszyscy zebrani wspólnie podpisali akt przyjęcia przed notarjuszem, a 25 stycznia 1656 r., dniu zawsze pamiętnym dla Zgromadzenia, dwudziestu kapłanów obecnych wtedy u św. Łazarza, a Wincenty na czele, wyrzekli i podpisali następującą formę ślubów: „Ja N..., niegodny kapłan Zgromadzenia Missji, przed Bogiem, najbłogosławieńszą Panną Marją i przed całym dworem niebieskim, ślubuję zachować ubóstwo, czystość, starszemu naszemu i jego następcom posłuszeństwo, według instytutu naszego, reguł i konstytucji. Ślubuję przytém, że będę służył ubogich wieśniaków zbawieniu, przez wszystek czas żywota mego, w pomienionéj kongregacji, za pomocą Boga wszechmogącego i łaski Jego, któréj do tego wszystkiego najpokorniéj wzywam.“

III.

Reguły i konstytucje.

I. Reguły i konstytucje. — II. Rozdanie reguł. — III. Wykład reguł.

I. Zgromadzenie, właściwie mówiąc, nie miało jeszcze reguł i konstytucji. Aż dotąd Wincenty był żyjącém pra-

wem, a nauki i przykład jego służył za regułę. Ale miał już 82 lat, i spieszyć się musiał, by zostawić dzieciom swoim na piśmie myśl i duszę swoją, jako najdroższe dla nich dziedzictwo, jako formę i charakter ich stanowczy. Długie lata myślał już o tém, radził się Boga i ludzi, szczególniéj radził się doświadczenia; i to właśnie, pomijając charakter jego powolny i zastanawiający się, przez pokorę lękliwy, było powodem, że tak długo zwlekał z wydrukowaniem i rozdaniem reguł. Chciał naśladować Jezusa Chrystusa, który wprzód zaczął czynić niż nauczać, który przez pierwsze trzydzieści lat życia wykonywał wszelkie cnoty, a tylko trzy ostatnie użył na ogłaszanie nauki swojéj. I on także, dopiero po trzydziestu, a nawet po trzydziestu trzech latach od założenia zgromadzenia, namyślił się nadać mu prawo. Przez ten czas, on i synowie jego, tak jak Zbawiciel, zaczęli czynić przed nauczaniem. Uniknęło się przez to niedogodności przedwczesnych ustaw; w regułach tych nic nie było nowego dla Missjonarzy, nic, czegoby długo wprzód nie wypełniali ze zbudowaniem, nic, coby nie istniało w czynach, zanim zostało objęte pismem, nic więc, coby słabość albo tchórzostwo mogło uważać za niepodobne albo nawet trudne do wykonania.

Przebiegnijmy szybko te reguły i konstytucje wspólne, nacechowane duchem Bożym i tą mądrością ludzką, płynącą z Bożéj mądrości.

Napisane są po łacinie i zawarte w dwunastu rozdziałach.

Przedmiotem pierwszego rozdziału jest cel instytutu, to jest, opowiadanie ewangelji ubogim i kształcenie kleru; skład jego, z księży i braci. Obowiązki i środki dopełnienia ich są rozwinięte w dziesięciu następnych rozdziałach: naprzód, spełnianie maxym ewangelicznych, a szczególniéj tych, które zalecają prostotę, pokorę, łagodność, umartwienie i gorliwość o zbawienie bliźniego; pięć cnót, które są

jakby władzami duszy jego. Jednak, ponieważ rzeczywiście Jezus Chrystus obalił królestwo szatana a przywrócił panowanie Ojca swego szczególniéj przez ubóztwo, czystość i posłuszeństwo, Missjonarze spełniać mają te trzy cnoty w całéj ich rozciągłości. Pamiętać także będą na zalecenie, jakie Jezus Chrystus czynił uczniom swoim, nawiedzania i pielęgnowania chorych, szczególniéj ubogich; naśladować będą skromność Jego, z domowymi postępować mają z przychylnością i szacunkiem, z obcymi z roztropnością i ostrożnie. W ćwiczeniach pobożnych zachowają zwyczaje wspólne wszystkim rodzinom zakonnym, a nawet dobrym kapłanom świeckim, jakich kształcić mają, więc w życiu Missjonarzy nie powinni widzieć wzoru, któregoby naśladować nie mogli; Missje uważać będą jako dzieło główne, którego zaniedbać nie powinni dla dzieł i najdoskonalszych, ani nawet dla wychowywania kleru, choć prawie zarówno są obowiązani do téj drugiéj posługi. Wreszcie, że Jezus Chrystus nietylko czynił i nauczał, ale jeszcze dobrze wszystko czynił, Zgromadzenie, by we wszystkiém ten Boski wzór naśladować mogło, użyje wszelkich najwłaściwszych środków dla spełnienia dobrze rozlicznych obowiązków swoich.

II. Takiemi są w kilku słowach reguły Zgromadzenia Missji, piękne skrócenie Ewangelji, któréj Boską naukę z całém namaszczeniem i prostotą powtarzają. Wincenty rozdał je Zgromadzeniu 17 maja 1658. W dość długiéj mowie, jaką miał przedtém, wytłumaczył, jak to uczyniliśmy wyżéj, dlaczego się opóźnił z napisaniem ich, opisał wprowadzenie ich w wykonanie stopniowe i nieznaczne; i choć w pokorze swojéj lękał się, aby coś swego nie dołożył, zachęcił do zachowania ich przez wzgląd na doskonałość, do któréj wszystkie zmierzają, na chwałę Bożą, posługę kościołowi i bliźniemu, które sprowadzić mają. Zakończył mowę, obiecując z Mojżeszem wszelkiego rodzaju

błogosławieństwa, jeśli Zgromadzenie wiernie je wypełniać będzie.

Następnie przystąpił do rozdania małéj książeczki reguł, poczynając od najstarszych w Zgromadzeniu. Wezwał ich do przyjścia po nią, bo nie mógł sam im ponieść dla dolegliwości swoich: „Przyjdź, księże Portail, rzekł do najdawniejszego z uczniów swoich, pójdź jeśliś łaskaw, ty zawsze znosiłeś moje słabości, niech Bóg cię błogosławi!“ Tak mówił, tak czynił ze wszystkimi. Każdy odbierał swój egzemplarz klęcząc, całując naprzód książkę i rękę Wincentego, potém ziemię. Po ukończeniu rozdawania Alméres prosił go o błogosławieństwo w imieniu całego Zgromadzenia na klęczkach. Święty starzec prosił dwóch sąsiadów swoich, by go podtrzymali i sam upadł na kolana; potém, po wzniosłéj modlitwie do Boga, przedwiecznego i niezmiennego prawa, wymówił słowa błogosławieństwa. Wszyscy oddalili się z oczyma pełnemi słodkich łez, a sercem rozpłomienioném świętém wzruszeniem i dobremi postanowieniami. Missjonarze mówili do siebie: „Szczęśliwe oczy, które widziały co wy widzicie, szczęśliwe uszy, które słyszały co wy słyszycie!“ a myśląc o podeszłym wieku swego ojca, dodawali pocieszając się: „Nie utracimy go całkowicie; najlepsza jego cząstka żyć będzie w regułach i cnotach jego, które nam zostawi w spadku.“ Święty zaś fundator, który mimo pragnienia złączenia się z Jezusem Chrystusem, zawsze się lękał umrzeć, nimby dał Zgromadzeniu stanowczą formę zarządu, mówił: „Teraz, Panie, wypuść sługę Twego w pokoju!“ Bo rzeczywiście, oczy jego widziały zapalone własnemi rękoma światło, które miało oświecać narody. I on także ukończył swój pomnik, trwalszy od śpiżowego.

III. Pozostawało, nie udoskonalać je, ale zaszczepić niejako w sercach uczniów swoich, zastosować i wyjaśnić w każdéj okoliczności.

To téż, aż do śmierci swéj prawie, wszystkie konferencje w piątki obrócił na wykład litery i ducha swych reguł.

Jakaż prostota i życie w tych konferencjach, jakby w rodzinném gronie mianych między najczcigodniejszym i najtkliwszym ojcem, a pełnemi uszanowania i przywiązania dziećmi! Wincenty, którego głos wiekiem złamany i pamięć osłabła, zbiera synów swoich w półkole blizko siebie, i tam mówi do nich z pokorą i wzruszającą prostotą, z otwartością cale ojcowską, przerywając sobie, by zażądać świadectwa prawdy słów swoich od pierwszych towarzyszów, pytając to tego to tamtego o przypomnienie zdarzenia, myśli albo tekstu, który mu wypadł z pamięci. Niekiedy zwracał się do siebie samego w monologu najgłębszéj pokory, albo unosił ku niebu i w pobożnym djalogu rozmawiał z Jezusem Chrystusem. Ale zawsze, nie szukając ani pragnąc tego, a jedynie wskutek głębokiego przekonania i uczucia, mówił z tą przenikającą wymową, która z serca idąc, prosto do serca trafia. Na konferencjach z 6 i 13 grudnia 1658, wytłumaczył pierwszy rozdział reguł: o celu Zgromadzenia, jego składzie i środkach do doskonałości; przez cały rok 1659, w siedemnastu konferencjach, wyjaśnił drugi rozdział o nauce Jezusa Chrystusa. Szczególniejszy położył nacisk na prostotę, łagodność i pokorę, swe ulubione cnoty; na miłość i gorliwość o zbawienie dusz, które, z trzema poprzedniemi, czynił pięcią zmysłami ciała Zgromadzenia. Zakończył wytłumaczeniem ślubów. Co do opinji jego o nauce i kaznodziejstwie, o nauczaniu duchownych i ubogich, znajdziemy je przebiegając prace Zgromadzenia. Bo teraz, kiedy już jest założone i ukształcone, przypatrzmy się jego pracom, to jest zobaczmy, co uczyniło dla reformy i uświątobliwienia kleru i nauki ludu wiejskiego, podwójnego celu swego istnienia.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Święty Wincenty à Paulo i reforma kleru.

I.

Stan kleru i o ukształceniu duchowném we Francji przed św. Wincentym à Paulo.

I. Upadek i pierwsze podniesienie się za wpływem koncyljum trydenckiego. — II. Stan kleru. — III. Pierwsze usiłowania Oratorjanów i ojca Bourdoise; małoznaczące skutki.

I. Podczas licznych swych missji, Wincenty à Paulo wkrótce pojął potrzebę reformy radykalniejszéj od poprawy ludu. Badając przyczyny nieumiejętności i zepsucia owieczek, poznał, że powodem tego jest nieumiejętność i zepsucie samych pasterzy. Należało więc zacząć od leczenia głowy. I w rzeczy saméj, on i kapłani jego, na missjach, zgromadzali, o ile się dało, proboszczy i wikarjuszów, i w konferencjach o obowiązkach ich stanu starali się uczynić ich godnymi powołania i zdolnymi do zachowania i dopełnienia dzieła nawrócenia ich ludu. Wedle wyrażenia Wincentego starali się zostawić załogę, któraby strzegła ich zdobyczy. Ale święty prędko uznać musiał, że bardzo było trudném, a nawet niepodobném zwrócić do nauki i wypełniania swych obowiązków kapłanów zestarzałych w posługach duchownych, i że nie było zbawienia dla kościoła i ludu, jak w ukształceniu młodych kapłanów.

Z tylu zakładów wychowania duchownego, jakie zrodził duch chrześcijański pierwszych wieków i wpływ Karola

Wielkiego, bardzo już mało pozostało w początkach XVII wieku, a i te niszczył albo psuł protestantyzm. Oprócz kilku szkół po klasztorach, chylących się do upadku lub zazwyczaj zamkniętych dla kleru świeckiego, kilku głośnych akademji, niedostępnych z powodu kosztów jakie pociągały, dla klas, z których zazwyczaj pochodzą duchowni, a może więcéj szkodliwych niż użytecznych dla ogólnego dobra kleru przez pychę i życie światowe, jakiém umiały natchnąć uczniów swoich, nie było domów wychowania duchownego. Jednak Koncyljum trydenckie w 1563 wydało pamiętny dekret, będący podstawą ciągłéj reformy kościoła przez sam kościół. Ojcowie Soboru zwrócili się natychmiast do Piusa IV prosząc o wprowadzenie go w wykonanie, a Karol Boromeusz poparł żądanie u stryja. Postanowiono w Rzymie założyć seminarja; wkrótce, za wpływem Piusa V i jego następców, zakłady te powstają i mnożą się po całym świecie katolickim, szczególniéj we Włoszech, dzięki gorliwości świętego Filipa Nereusza w Rzymie a świętego Karola Boromeusza w Medjolanie. Ale Francja, w anarchji religijnéj i politycznéj, a zawsze, niestety! podejrzliwém okiem patrząc na wszystko, co pochodzi z Rzymu, długo się opierała, mimo starania biskupów, przyjęciu Koncyljum trydenckiego, nie wyjmując nawet postanowień o reformie kleru. Napróżno niektórzy biskupi zaczynają, napróżno sobory prowincjonalne mnożą swe dekreta, wychowanie duchowne nie istniało prawie we Francji.

II. Bez wspólnych domów, bez regularnych ćwiczeń, bez nauk specjalnie zastosowanych do powołania swego, przyszli kapłani zostawieni byli prawie samym sobie. Były prawda wielkie szkoły teologiczne, gdzie wykładano dogmat umiejętnie i rozgłośnie, ale moralność, a szczególniéj moralność stosowana, udzielanie Sakramentów, ceremonje i inne obowiązki kapłańskie, tych nie uczono nigdzie, ani w teorji

ani w praktyce. Co więcéj, młodzi teologowie żyli w świecie, każdy jak chciał, bez reguły, bez nadzoru, bez żadnéj pomocy jaką daje życie wspólne. Nie było ani egzaminów, ani rekollekcji przed święceniami, ani konferencji; żadnego z tych potężnych środków, które teraz tak skutecznie służą do kształcenia godnych sług ołtarza. To téż mało było księży odznaczających się większą gorliwością albo wyższą cnotą. Byli niektórzy gorliwi i pobożni, to prawda, ale większa część nie miała ani potrzebnéj nauki, ani pobożnych obyczajów, ani ubioru duchownego, ot, byli to, nie mówiąc już o występnych, ludzie przyzwoici, żyjący wedle świata, ale niezdolni natchnąć poszanowaniem i pobożnością lud sobie powierzony.

Cóż mówić o wielkiéj liczbie tych, którzy żyli występnie? którzy nie umieli nawet formy rozgrzeszenia? którzy odprawiali Mszę św. z gorszącemi odmianami?. o oddanych pijaństwu i rozwiązłości? A potém, możnaż się dziwić, że kapłaństwo było w pogardzie? — pogardzie takiéj, że tylko przez straszną ugodę między chciwością a honorem, bogactwo beneficjum mogło spowodować do shańbienia się przez przyjęcie święceń; że najdotkliwszą obelgą dla człowieka znaczenia byłoby mu powiedzieć: „jesteś księdzem“; że wreszcie to wzniosłe imię kapłana znaczyło u świata to samo, co n i e u k a i r o z p u s t n i k a!

III. Reforma była więc konieczną. I któż się tego podejmie? Oratorjanie zdawali się do tego przeznaczeni. Mogli odrodzić kościół dwoma sposobami, już to wychowując młodych kleryków, już udzielając ducha ożywczego innym, którzyby wedle tego wzoru zakładali nowe towarzystwa. Z tych dwóch środków prędko wypuścili z rąk pierwszy, oddając się wyłącznie kierownictwu wielkiéj liczby kollegjów; ale im się należy chwała i zasługa, że ukształcili pierwszych i najsławniejszych nauczycieli kleru: Eudes,

Wincentego à Paulo, Bourdoise i wreszcie Oliera. To chwała Oratorjum, a szczegójniéj ojca de Condren, drugiego ich jenerała. Szczęście to dla kościoła, że na tém ograniczyła się jego missja, bo wpadłszy wkrótce w błędy Jansenizmu, gdyby sam zajmował się wychowaniem kleru, otworzyłby dla ducha kapłańskiego we Francji jedynie źródło nieczyste.

Ojciec de Condren zajął się więc kształceniem spadkobierców łaski, któréj Oratorjanie mieli się stać niegodnymi. Wybrał między wszystkimi Oliera i jego towarzyszów. Ten, dla połączenia się z nim bliżéj, opuścił nawet pierwszego spowiednika swego Wincentego à Paulo, z którym jednak zawsze pozostał złączonym przez religijny szacunek i święte zaufanie, „W sprawach nadzwyczajnych, mawiał zazwyczaj, radzimy się zawsze X. Wincentego"; albo téż: „X. Wincenty jest ojcem naszym". O. de Condren nie mówił nigdy z uczniami swymi o zamiarach swoich, dopiero w wigilję swéj śmierci w 1641 r. chciał zostawić im memorjał, ale nie miał go czasu spisać; zostawił im jednak więcéj, bo ducha swego, którego płodną twórczość zaraz zobaczymy.

Tymczasem nie mało usiłowań, nie mało dzieł nawet miały za cel reformę i uświątobliwienie kleru. Na czele tych pierwszych pracowników położyć trzeba Adrjana Bourdoise, człowieka prawdziwie twórczego, którego zapał gorliwości podobny do Eljasza, a święta wolność w strofowaniu dużych i małych, do Jana Chrzciciela. Bourdoise, prosty uczeń kollegjum w Rheims, zaczął w 1612 od założenia małego łowarzystwa, które przywiódł do życia wspólnego i kształcenia się w cnotach kapłańskich. Towarzystwo to, przeniesione do Paryża i umieszczone przy kościele św. Mikołaja du Chardonnet, pod imieniem klerykatury, ustaliło się lepiéj i zostało seminarjum djecezalném. Podwójny wtedy cel miało: kształcenia młodych kleryków i utrzymania kapłanów w łasce powołania za pomocą życia wspólnego.

Ale, zakładanie życia wspólnego w Paryżu i wielu innych miastach Francji, zostało wkrótce właściwém i jedyném zajęciem X. Bourdoise, który na koniec zrzec się musiał wychowywania młodych kleryków. Jednak, wielu bardzo biskupów prosiło go o urządzenie swych seminarjów, i święty Wincenty à Paulo, który już założył seminarjum w kolegjum des Bons-Enfants, a z największym szacunkiem odzywał się o tym kapłanie i towarzystwie jego, do którego mawiał pokornie, czuł by się szczęśliwym należeć, gdyby Opatrzność nie przywiązała go do swego zgromadzenia; oświadczył mu się z projektem przyjmowania wzajemnie tych, którzyby chcieli przechodzić od jednego do drugiego zgromadzenia. Wincenty przy każdéj sposobności, chwalił go przed swymi: „Patrzcie, mawiał im, patrzcie na X. Bourdoise, tego doskonałego kapłana: jak dużo czyni? jak wiele uczynić może!“

Gorliwy apostół, Bourdoise, wszędzie przemawiał za wychowaniem duchownych, wszędzie wyszukiwał nowych pracowników. Raz, silnie w tym względzie upomniał świętego Franciszka Salezego, który jednak odpowiedział mu ze zwykłą swą łagodnością.

Mimo takich usiłowań, nic jeszcze w 1620 r. nie uczyniono stałego dla przygotowania reformy kleru; toż samo było przez jakie dwadzieścia lat przynajmniéj. Zaczęto nawet uważać seminarja za niepodobne, z powodu bezskuteczności licznych doświadczeń, jakie już zrobiono. Na usilne nalegania Bourdoise'a, Duvala i kilku dobrych księży, zebranie kleru Francji w 1629 r., zastanawiało się nad tym ważnym punktem; z tąd powstał zamiar założenia na całe królestwo czterech ogólnych seminarjów, do których wszystkie inne należeć miały. Ale zamiar ten, tak się wydał trudnym, że zebranie zostawiło wreszcie każdemu biskupowi staranie zrobienia, co będzie mógł. Pierwsza trudność polegała na określeniu formy tego rodzaju zakładów. Wedle

koncyljum trydenckiego, dekretów prowincjonalnych synodów i rozporządzeń królewskich, przeznaczone były tylko dla młodych chłopców. Tak też uczyniono; ale wkrótce znikły, albo przemieniły się w kollegja, w których nie myślano wcale o kształceniu na księży. Chcąc poznać zakłady wychowania ściśle duchownego, wyraźną różnicę między kolegjami a seminarjami, między seminarjami zwanemi *małemi* a *dużemi,* musimy dojść do Oliera, a szczególniéj do św. Wincentego à Paulo. Tymczasem i najgorliwsi biskupi, jako przygotowanie do święceń, wymagali jedynie rekolekcji dziesięciodniowych, nazwanych przed święceniami, których powstanie opowiemy:

II.

Ćwiczenia przed święceniami.

I. Początek ich i pierwsze rekolekcje w Beauvais. — II. Zaprowadzenie ich w Paryżu w kolegjum des Bons-Enfants i u św. Łazarza. — III. Porządek i duch tych ćwiczeń. — IV. Rekolekcje i nauki Bossueta. — V. Korzyści tych ćwiczeń.

I. Od czasu wyniesienia swego na biskupstwo w Beauvais, A. Potier wielki jałmużnik i minister stanu Anny austrjackiéj, bolał przed Bogiem nad nieszczęściami swéj djecezji. Często rozmawiał o tém z X. Bourdoise, którego ochotnie widywał w Paryżu, szczególniéj zaś z Wincentym, który sam, albo przez swoich księży z cudownym skutkiem opowiadał ewangelją po wszystkich prawie wioskach jego djecezji. Ale jeźli missje i bractwa miłosierdzia poprawiły lud, kler trwał w nierządzie i ciemnocie. Oto przedmiot rozmów zacnego biskupa z Wincentym, bądź w Paryżu, bądź w Beauvais, gdzie go często zapraszał. Raz, było to w 1628 r., gdy żywiéj jak zazwyczaj nalegał na świętego kapłana, by mu wskazał lekarstwo na tak wielką chorobę:

„Excelencjo, odrzekł Wincenty, idźmy prosto do źródła. Niepodobna poprawić duchownych zatwardziałych w nierządzie, bo zły ksiądz nigdy prawie się nie nawróci; chcąc więc szukać środka do odrodzenia kleru, trzeba zacząć od przyjmujących kapłaństwo, a nie od tych, którzy już są nimi. Niech ci tylko przyjmują święcenia, którzy mieć będą potrzebną naukę i wszystkie znaki prawdziwego powołania; a i tych jeszcze przygotowywać trzeba o ile możności najdłużéj, by się uzdolnić mogli do sprawowania świętego urzędu".

Myśl ta, spodobała się biskupowi, ale jak ją wykonać? W lipcu tegoż roku 1628, Potier i Święty jechali w jednéj karecie, i rozmawiano o tém jak zazwyczaj. Nagle biskup zamknął oczy, i zdawał się pogrążonym we śnie głębokim. Wkrótce podniósł się: „Nie śpię, powiedział; głębokom się zastanawiał, jakby wynaleźć najlepszy środek dla przygotowania młodych kleryków do święceń. Jak na teraz, nie mogę nic lepszego zrobić, tylko zbiorę ich u siebie na kilka dni, i każę ich przez ten czas uczyć na konferencjach rzeczy, które umieć powinni i cnót jakie wypełniać mają. — Oh! Excelencjo, przerwał Wincenty, to myśl prawdziwie od Boga! — A więc, odparł biskup, pomóżcież mi ją wykonać. Ja przygotuję wszystko; wy napiszcie porządek ćwiczeń na cały czas tych rekolekcji i projekt materji o których mówić wypadnie. Po tém, przyjedźcie do Beauvais na piętnaście albo dwadzieścia dni przed przyszłemi święceniami. Będę posłusznym waszéj excelencji, odpowiedział Wincenty, bo słysząc ten rozkaz z ust biskupa, pewniejszy jestem, że Bóg żąda odemnie téj posługi, jak gdyby mi to objawił przez anioła".

We wrześniu, Wincenty przyjechał rzeczywiście do Beauvais z JXX. Duchesne i Messier doktorami fakultetu paryzkiego. Wyegzaminowawszy tych, którzy mieli przyjąć święcenia, biskup sam rozpoczął rekolekcje, a doktorowie

zaczęli swe nauki, które się ciągnęły aż do dnia święceń. Nauki i ćwiczenia odbywały się wedle porządku wskazanego przez sługę bożego. Rzecz to najdoskonalsza może w jego życiu, bo mimo krótkości czasu zostawionego zwykłéj jego powolności i braku doświadczenia, którego tą razą mieć nie mógł, od razu tak doskonale wszystko obmyślił, że porządek rekolekcji w Beauvais służył literalnie za wzór do wszystkich ćwiczeń przed święceniami, które odbywały się później, przed, jak i po założeniu seminarjów. Wincenty zastrzegł sobie wykład dziesięciorga przykazań. Dopełnił tego z taką jasnością, siłą i namaszczeniem, że prawie wszyscy słuchacze chcieli odbyć przed nim spowiedź jeneralną. Nawet Duchesne, który wypoczywał po własnych naukach, słuchając świętego kapłana i czerpiąc jeszcze w mowie jego natchnienie, wzruszonym był jak i inni, i z wielkiém zbudowaniem kleryków, i sam odbył przed Wincentym spowiedź z całego życia.

II. Oto początek rekolekcji przed święceniami. Blizko we dwa lata po tém, biskup z Beauvais, przybywszy do Paryża, mówił arcybiskupowi J. F. de Gondi o wielkich owocach, jakie ćwiczenia te zaczęły przynosić w jego djecezji, i o ważności, a raczéj konieczności rozszerzenia ich po wszystkich djecezjach we Francji, zacząwszy od stolicy. Wreszcie, Jan Franciszek nie byłże szczęśliwszym od każdego innego biskupa, mając do rozporządzenia i pod ręką Wincentego à Paulo, tego człowieka gotowego na wszystko dobre, a który pokazał się najwłaściwszym do zapewnienia skutku tak wybornemu dziełu?

Arcybiskup, poruszony temi dowodami i zdjęty gorliwością, a także naciskany przez X. Bourdoise, nakazał listem pasterskim z 21 lutego 1631 r., aby wszyscy aspiranci do święceń w djecezji jego, byli obowiązani do przygotowania się do nich przez rekolekcje dziesięciodniowe. W nie-

obecności X. Bourdoise, proszono Wincentego, aby się tém zajął i przyjął ich w kolegjum des Bons-Enfants, gdzie jeszcze mieszkał. Z początku odmówił, tłumacząc się, że ćwiczenia te nie należały do misjonarzy; wreszcie przystał i otworzył kolegjum swoje dla mających przyjąć święcenia. W rzeczy saméj, kolegjum to naprzód, a w krótce dom św. Łazarza, był wyznaczony na miejsce zebrania przez rozporządzenie arcybiskupa paryzkiego.

Pierwsze rekolekcje odbyły się w poście tegoż roku, a odtąd odbywały się pięć albo sześć razy do roku. Jakiż to napływ pracy i wydatków dla nowego zgromadzenia! — A jednak od r. 1638 zwiększył się jeszcze ciężar. Wszyscy dostrzegli zmianę, jaką ćwiczenia te sprawiły w duchownych po parafjach, i korzystną różnicę od kleru obcych djecezji, nie ukształconego tym sposobem. Kilka pobożnych pań prosiło wtedy Wincentego, aby przyjął na te ćwiczenia wszystkich święcących się w Paryżu, choćby i z innych djecezji, i obiecały wspierać go jałmużnami swemi. Wkrótce nawet, można się było spodziewać królewskiéj i stałéj fundacji. Anna austrjacka, obecna raz na jednéj z tych nauk i żywo nią wzruszona, przyrzekła pomyśleć o tém. Ale polityczne przeszkody nie dały jéj doprowadzić do skutku tego zamiaru, i przestała na przysyłaniu przez dwa albo trzy lata, pewnéj jałmużny. Po czém, cały ciężar wydatków, spadł na dom św. Łazarza; ciężar coraz to większy, z powodu ciągłego zwiększania się liczby święcących się, niekiedy przechodzącéj sto, którzy pięć razy do roku, po jedenaście dni przed każdém święceniem, to jest przez dwa miesiące blizko, mieszkali, byli żywieni, i utrzymywani zupełnie kosztem samego zgromadzenia. Proszę zliczyć ten wydatek i osądzić ciężar jaki nakładał na Wincentego, szczególniéj w latach niepokojów i głodu, w których z wielką już trudnością żywić przyszło swoich. A jednak, w tak trudnych okolicznościach, napróżno osoby znakomite nakłaniały go do wstrzymania

przynajmniéj czasowo tak przechodzącego siły miłosierdzia. Pogardzając dobrami tego świata, szczególniéj gdy szło o dobro Boga i kościoła, nigdy nie chciał na to przystać. Nie tylko przyjmował nadal na swój koszt święcących się, ale oparł się wszelkiéj oszczędności, która zmniejszając dobrobyt mogłaby zniechęcić duszę i uczynić ją głuchą na natchnienia Boże.

III. Oto porządek jaki przepisał, by dobrze użyć tych dni przekosztownych. Przybywających kleryków przyjmowali przy drzwiach synowie jego, czekając jakby sługi na swych panów, i oddając im pod przewodnictwem dyrektora, wtedy i przez cały czas, wszelakie posługi. Miewano do nich dwie nauki codziennie: jedną o najgłówniejszych częściach teologji moralnéj, drugą o cnotach i obowiązkach świętego ich stanu. Ale, że niepodobna było w dziesięciu dniach należycie rozwinąć tak rozległe materje, przestawano na streszczeniu, któreby przypominało uczonym to, co już obszernie zbadali, a nieoświeconym posłużyło za szkic i program do późniejszych nauk. Następnie, aby głębiéj wpoić wszystkim naukę odpowiednią, co dzień po każdéj takiéj konferencji, dzielono ich na małe oddziały, po dwunastu albo piętnastu, prawie jednakowo przysposobionych i pod przewodnictwem jednego z kapłanów missji, zadawano pytania, powtarzano i streszczano rozprawy, tak, aby wszystko głębiéj wbić się mogło w pamięć. Łącząc praktykę do teorji, co dzień także wprawiano do modlitwy i brewiarza, do ceremonji i świętych obrzędów. Jednak, nawet podczas tych rekolekcji, nie obchodzono się z nimi za surowo. Pożywienie, sen, rozrywka, wszystko było odpowiednio urządzone. Słowem, przyzwyczajano ich do trybu życia, które łatwo mogli i powinni byli wieść w świecie.

Takiemi były te ćwiczenia. Wincenty ożywiał je sam, albo przez innych, których natchnął duchem swoim. W dniach

poprzedzających każde święcenie, podwajał gorliwość i świętą wymowę, przygotowując swoich księży do dzieła, którego mieli być narzędziami. Starał się najprzód dać im poznać jego wielkość, przez samą wielkość stanu duchownego; potrzebę, przez wpływ zbawienny, albo szkodliwy, jaki wywiera kapłan, jeśli jest wiernym albo nie, powołaniu swemu, przez pamięć na wielką liczbę nieumiejętnych i nierządnych kapłanów. Następnie wpajał w nich uczucia religijnéj wdzięczności i głębokiéj pokory, że ich „ludzi mizernych, biednych rolników i wieśniaków, nędznych nieuków, wybrał Bóg do dzieła tak świętego, doskonałego i niebieskiego“; że wybrał do tego „to mizerne, biedne i nędzne zgromadzenie, najostatniejsze ze wszystkich i najniegodniejsze“, pomijając inne zgromadzenia i świętsze i uczeńsze. Zachęcał ich więc do strzeżenia téj łaski, by przez ich niedbalstwo nie stała się nieużyteczną. „Niestety, mawiał, i któż z nas będzie powodem tak wielkiego nieszczęścia, kto pozbawi kościół tak wielkiego dobra? Nie będęż to ja, nędzny?“ I tak, Wincenty podobał sobie zawsze w niskości swojéj, zagłębiał się w niéj z radością, i starał przejąć swoich takiémże uczuciem; ale nie rozpacz, a ufność głęboką czerpał przez to w tym Bogu, który „używał zawsze słabych narzędzi do wielkich zamiarów. W imię Chrystusa Pana, mości księża i moi bracia, dodawał, żyjmy cali dla niego i pracujmy wszyscy nad tém, przez posługi i dobry przykład, modlitwy i umartwienia“.

W tych słowach streszczał środki jakie zwykł był radzić, dla zapewnienia dziełu pomyślnego skutku. Zawsze i we wszystkiém modlitwa. Dla tego, ile razy nadchodziły święcenia, błagał swych synów, zgromadzenia zakonne, panie miłosierdzia, o ofiarowanie Bogu, dla otrzymania dobrych kapłanów, komunji, modlitwy i wszystkich dobrych uczynków. Przekonany, że im modlitwa jest pokorniejszą, tym pewniéj trafia do celu, prosił o nią najpokorniejszych braci

u św. Łazarza, zdolniejszych może jak inni, do otrzymania téj łaski u Boga, bo „żądzę ubogich wysłuchał Pan, przygotowanie serca ich usłyszało ucho Twoje. (Ps. 9, 17.).

Z modlitwą zalecał łączyć pokorę, broń misjonarza, jak mówił, która wypróżnia serce z samych siebie, żeby Bóg mógł je napełnić; pokorę pełną szacunku dla przyjmujących święcenia, gotową do poświęceń i posługi.

Sam też dawał dobry przykład, i nie lękał się poniżyć do najpodlejszych zajęć, bo pomyślny skutek tych ćwiczeń zakładał na uczeniu przykładem: to najwymowniejsze i najskuteczniejsze kazanie. Bracia tylko dobrym przykładem, mogli uczyć, zalecał im go więc równie usilnie, jak modlitwę i posługi; ale nie mniéj gorąco żądał tego od kapłanów swoich i kleryków, szczególniéj w kościele i ceremonjach. Pośpiech, niedokładne przyklękanie, najmniejsze niedbalstwo w nabożeństwie kościelném, męką było dla niego i przerażało tę duszę zawsze drżącą na samą myśl zgorszenia. Upominał więc i na osobności, a w potrzebie i publicznie, za uchybienia jakie dostrzegł. Jeśli który z misjonarzy przechodząc koło ołtarza nie przykląkł przyzwoicie a z lekceważeniem, wołał go zaraz i pokazywał w jaki sposób i z jaką czcią należało upokarzać się przed Bogiem. W dolegliwościach swoich, aż do ziemi przyklękał, choć z wielkiém cierpieniem, a podnosił się jak mógł, z pomocą którego ze swoich, albo opierając się na rękach, byleby dał przykład należny.

Oprócz wysokiéj cnoty, głęboką mądrość i doświadczenie okazał w tych ciągłych upomnieniach. Między ogromną liczbą duchownych, przychodzących do św. Łazarza, trafiali się ludzie bardzo zdolni i wielkiéj nauki, a na tych skuteczniéj mógł działać widok dobrego, jak najuczeńsza i najwymowniejsza mowa.

Kaznodziejom na tych rekolekcjach zalecał szczególniéj prostotę wykładu i słowa, i czystość intencji; w dwóch tych

wyrazach zamykał całą swą retorykę. „Prostota, mawiał, buduje tych, którzy się święcić mają, chwalą ją, i tego tylko tu szukaią. Przedstawiane prawdy lepiéj są przyjęte w tym stroju; z tą naturalną ozdobą skuteczniéj działają". Ale, chcąc dojść do tego, trzeba zapomnieć o sobie, wznieść się ku Bogu i tam szukać natchnienia. Wincenty dawał te reguły wymowy nie tylko swoim, ale i obcym mówcom, których wzywał do pomocy w epokach przed święceniami; bo misjonarze jego, jeszcze nieliczni wtedy, a powracający do św. Łazarza po wielu miesiącach pracy ewangelicznéj, by wypocząć po trudach i przygotować do nowych, nie mogli naturalnie wystarczyć tak częstym rekolekcjom przed święceniami. Wincenty wybierał pomocników, szczególniéj między tymi, którzy sami odbywszy te ćwiczenia, lepiéj znać mogli metodę mówienia. Przedewszystkiem żądał od nich wiary, gorliwości i miłości; ale cieszył się, gdy znalazł cnotę, połączoną z talentem i nauką. Świetną by była lista mowców na tych rekolekcjach, odbywanych przez trzydzieści lat w kolegjum des Bons Enfants i u św. Łazarza, byli tam doktorowie wsławieni przez rozprawy w Sorbonie, byli prałaci znani w całém królestwie. Ale, doktorowie czy biskupi, wszyscy stósować się musieli do prostego zwyczaju pobożnego założyciela i mówić odpowiednio do wzorów i systemu jaki im wskazywał; jeźli zaś chcieli odstępować od niego, naprowadzał ich z pokorą pełną odwagi i mocy. Przeciwnie, jeśli jaki mówca, a szczególniéj biskup, mówił z prostotą pełną namaszczenia, zwykłą u św. Łazarza, z uniesieniem dziękował mu za to.

IV. Między wszystkimi, którzy odbywszy rekolekcje przed święceniami u św. Łazarza, powrócili tam jako mówcy, udzielając innym łaski jaką otrzymali sami, najsławniejszym bez zaprzeczenia jest Bossuet. Przybył on tam w poście 1652 r. odbyć rekolekcje przed przyjęciem kapłaństwa, i dwóch

najznakomitszych ludzi w owym wieku, jeden genjuszem, drugi miłością, zrozumieli się zaraz i zawarli wzajemny stosunek, którego nawet śmierć nie przerwała. Wincenty, któremu pokorna prostota pomagała, miasto szkodzić, do poznawania i nieomylnego sądu o ludziach, ocenił zaraz wartość młodego djakona, w którym przy wielkiéj zdolności i widocznéj pobożności dostrzegł błyszczącą swą ukochaną cnotę. Tak więc, ten człowiek tak pokorny i drugi tak wielki, połączyli się przez prostotę, która w rzeczy saméj jest wspólną cechą prawdziwéj cnoty i prawdziwego genjuszu. Zanim Wincenty wprowadził młodego kleryka na swe konferencje wtorkowe, pracował, by go napełnić obfitością łask kapłaństwa. W tym celu powierzył tak znakomitego młodzieńca, już licencjata a niedługo doktora, nie najuczeńszemu ani najzdolniejszemu, ale najpokorniejszemu i najprostszemu ze swych kapłanów. Do starań dyrektora słusznie przyłączyć trzeba przykład tylu świątobliwych duchownych u św. Łazarza, a szczególniéj przykład i nauki samego Wincentego, który przewidując w nim chwałę i ozdobę kościoła, nie powierzył całkowicie komu innemu przygotowania go do kapłaństwa, ale i sam pracował nad nim ze zwykłym a potężnym swym wpływem.

Siedm lat upłynęło. Bossuet kapłan już i archidjakon w Metz, znajdował się w 1659 w Paryżu, gdzie słowo jego brzmiało już z ambon z potęgą i skutkiem, który usprawiedliwiał przewidywania i nagradzał starania Wincentego à Paulo, gdy tenże zaprosił go do dania konferencji przed święceniami wielkanocnemi. Bossuet zawsze wdzięczny skorzystał z téj sposobności, by spłacić dług swego kapłaństwa, i dopełnił tego z całą pełnością gorliwości i genjuszu. To téż, gdy spełniwszy swe zadanie poszedł pożegnać Wincentego, czcigodny przełożony ściskając go wymógł przyrzeczenie, że przybędzie w 1660 dopełnić przed święceniami Zielonych Świątek tego, co tak dobrze uczynił przed Wiel-

kanocą. W rzeczy saméj, Bossuet dotrzymał w roku następnym obietnicy i przewyższył jeszcze samego siebie. Napływ święcących się większy był jak zazwyczaj. Już w 1659 jego imię i sława sciągnęły wielką liczbę, ale gdy dowiedzieli się, że powróci następnego roku, kto mógł, wstrzymał się ze święceniami, by mógł słuchać jego nauk. Toż samo było i po śmierci św. Wincentego, a nawet domyślać się można, że Bossuet, który lubił mówić do księży, i przedtém niejednokrotnie mówił u św. Łazarza.

V. Przy wpływie i kierownictwie Wincentego à Paulo, przy tak pięknym porządku i pobożnych naukach, takich przykładach i takich kaznodziejach, łatwo wnosić o skutku tych ćwiczeń przed święceniami i o niezliczonych posługach, jakie przyniosły kościołowi francuzkiemu w epoce, gdy nie było jeszcze seminarjów, a ćwiczenia te były jedyną szkołą, gdzie się mógł kształcić i odnawiać duch kapłański. O korzyściach tych sądzićby można już z tego, cośmy dotąd powiedzieli, ale nie potrzebujemy ograniczać się na samych tylko wnioskach, bardzo zresztą prawdopodobnych, bo obfitujemy w dowody i świadectwa pewne. A naprzód świadectwo samego Wincentego, którego pokora zamilknąć musiała tą razą w wielu jego listach, wobec radości i wdzięczności Bogu; mamy raporta, które mu przysyłano ze wszystkich prowincji, do których posyłał kapłanów swoich. W niektórych djecezjach znaleziono z początku opór ze strony święcących się, przeciw ćwiczeniom, do których nakłonić ich chciano. Jedni nie chcieli znajdować się na nich, inni zmuszeni, powzięli przynajmniéj zgubne postanowienie, albo nie dopełnić spowiedzi jeneralnéj, albo nie przed Missjonarzami. Ale pod wpływem nauk i innych ćwiczeń zaczęli wkrótce ubiegać się o tę łaskę, a poruszeni do głębi i we łzach cisnęli się właśnie do nóg synów świętego Wincentego, by złożyć przed nimi ciężar grzechów

całego życia. Zbudowanie szerzyło się wtedy po wsiach i miastach przez samych nawróconych kapłanów; więc listy dziękczynne do Wincentego, pochwały jego kapłanów, więc usilne prośby o nowych robotników, którym z wielkim żalem nie zawsze mógł uczynić dosyć, bo wszyscy biskupi królestwa współubiegali się o Missjonarzy do przewodniczenia tym świętym ćwiczeniom. Niektórzy, przekonani o ich ważności, a nie mając nikogo ktoby mógł je dawać, przystali na poczekanie, inni, w większéj liczbie prosili Wincentego, by ich choć nauczył porządku tych rekollekcji, wzoru i treści nauk dawanych, a stosując się do nich, odnieśli i sami zadziwiające owoce. Wincenty cieszył się widząc tak dobre owoce pracy innych; nie licząc zysku, jaki miała w tém pokora jego, pojmował dobrze, że prawdziwy sługa Boży chętnie staje się sam nieużytecznym, wzbudzając współpracowników i następców, którzy dzieła jego szerzyć i uwieczniać będą.

III.

Konferencje duchownych.

I. Powstanie ich i pierwsze początki. — II. Skład i urządzenie; pierwsza konferencja. — III. Pierwsi członkowie i pierwsze owoce konferencji. — IV. Missje na przedmieściu świętego Germana i w Metz. — Rozwój i czas trwania konferencji.

I. Wincenty gromadząc na missjach okolicznych kapłanów w celu przypomnienia im ważności ich obowiązków, naszkicował już wtedy konferencje duchownych, ale nie były one ani urządzone ani stałe. Po wyjeździe świętego każdy wracał do życia zwykłego, a zbyt często, niestety! do niedbalstwa i nierządów swoich. Rekollekcje przed święceniami były krokiem więcéj w reformie kleru. Uprawiano tam dusze nowe, których złe jeszcze nie zatwardziło, więc

łatwo je było nagiąć do dobrego. Ale, rzuceni w świat. na rozproszenie, na niebezpieczeństwa życia kapłańskiego, na zgubny wpływ starszych współbraci, cóż się z nimi stanie? Wincenty troskał się o to codziennie przed Bogiem, bolał, modlił się i szukał środków utrzymania młodych duchownych w powziętych postanowieniach, a przez nich przywrócenia innych do doskonałości ich stanu.

Niejeden projekt przeszedł mu przez myśl, ale pokorny i niedowierzający sobie odrzucił go, czekając na okoliczność, któraby objawiła mu wolę Bożą.

Tak rzeczy stały, gdy jeden z młodych duchownych, który odbył rekollekcje przed święceniami, przyszedł go prosić, żeby przyjął do świętego Łazarza na stałe zebrania tych kapłanów, którzyby chcieli trwać w dobrych postanowieniach, zachęcać się wzajemnie do dobrego życia, rozmawiać o cnotach i obowiązkach stanu, słowem, uświęcać samych siebie, dla uświątobliwienia ludu.

Był to popęd zewnętrzny, głos z wysoka, na który czekał Wincenty; Bóg mówił do niego przez usta tego młodego człowieka. „Myśl to z nieba, odrzekł mu, jednak zastanówmy się jeszcze i módlmy się!“ I pożegnał go.

W rzeczy saméj, przez piętnaście dni jeszcze zastanawiał się i modlił. Coraz więcéj zdawało mu się spostrzegać, że idzie tu o chwałę Bożą i dobro kościoła; jednak żeby zupełnie upewnić się, że to nie osobiste i ludzkie zachcenie, przedłożył ten projekt arcybiskupowi paryzkiemu i Papieżowi, którzy go potwierdzili.

Pozostawało utworzyć zawiązek nowego stowarzyszenia, i starannie wybrać członków. I tu jeszcze Wincenty postąpił sobie z zadziwiającą roztropnością. Między młodymi uczniami jego, wielu udawało się ciągle do niego, prosząc o użycie ich, wedle zdolności, do różnych obowiązków ich stanu. Wybrał niektórych do odprawienia missji licznym robotnikom, zajętym wtedy przy budowie kościoła Nawie-

dzenia Najśw. Panny. Chodził tam codzień, czuwając nad pracą swych robotników duchownych, a widząc ich gorliwość, zdolność i zgodę, nie wątpił, że znalazł zawiązek nowego dzieła. Rozmówiwszy się z każdym pojedynczo i na osobności, przedstawił im wreszcie otwarcie 11go czerwca 1633 zamiar zbierania się od czasu do czasu na konferencje duchowne. Wszyscy zgodzili się na to, i pierwsze zebranie odbyło się u św. Łazarza w końcu tegoż miesiąca. Wincenty wyraził tam dokładniéj myśl swoją, żeby tym sposobem utrzymywać ich w powziętém postanowieniu przechowania i zwiększania łaski, jaką otrzymali przez kładzenie rąk biskupa. Nie zamierzał przez to usunąć ich od świata, ani nawet łączyć w zgromadzenie, chciał tylko zobowiązać ich do pewnego porządku w życiu, do tychże ćwiczeń cnoty i udzielania sobie wzajemnych uwag o świętości i obowiązkach powołania, W czasie gdy to mówił, serca wszystkich pałały, a święta radość błyszczała na wszystkich twarzach. Z uczuciem synowskiego posłuszeństwa i pobożnéj wdzięczności powtórzono przyrzeczenie pracowania pod kierunkiem świętego kapłana. On sam, czując potrzebę wylania swéj radości przed ludźmi jak i przed Bogiem, rozpisał na wszystkie strony o pomyślnym skutku tego pierwszego zebrania.

Drugie odbyło się 9go lipca 1633. Ułożono na niém porządek, jaki odtąd zachowywać miano, wybrano urzędników do przewodniczenia na konferencjach, jako to: dyrektora, prefekta, dwóch asystentów i sekretarza. Na dyrektora wieczystego wybrano przełożonego jeneralnego Zgrom. Missji, z prawem zastąpienia się w razie niemożności przez innego kapłana swego Zgromadzenia. Prefekt miał ogólny nadzór nad wszystkimi członkami. Asystenci stanowili jego radę i zastępowali go w potrzebie. Sekretarz spisywał postanowienia powzięte na zebraniach. Zdecydowano jeszcze 9 lipca, że konferencje odbywać się będą co w t o r e k,

zkąd wzięły swe nazwisko. Miejscem zebrania od Wielkiéj-nocy aż do Wszystkich Świętych był dom św. Łazarza, a przez drugą część roku Kollegjum des Bons Enfants, gdzie zresztą powstała późniéj druga konferencja, zwana czwartkową, dla kapelanów szpitala Hotel-Dieu i młodych teologów z uniwersytetu.

II. Ale wkrótce Wincenty napisał obszerniejszy porządek, w którym oznaczył: 1) cel zebrania: dla uczczenia życia Chrystusa Pana, Jego wiecznego kapłaństwa, świętéj Jego rodziny i miłości Jego ku ubogim; 2) skład jego: z duchownych świeckich, już kapłanów, przyjmowanych za odbyciem próby i zgodą urzędników i całego zebrania; 3) cnoty i porządek dzienny każdego z członków; 4) wreszcie przedmiot i porządek konferencji.

Bywało dwa rodzaje zebrań, większe i mniejsze. Na pierwszém, ogólném, co tydzień, traktowano zwykle trzy tylko materje: cnoty wspólne wszystkim chrześcjanom, obowiązki właściwe duchownym, i urzędy albo godności kościelne. Materje wyjątkowe były: bądź to missja jaka, którą przedsięwziąć miało zebranie, a nad którą potrzeba się było naradzić; bądź jaki trudny przypadek sumienia, którego rozwiązania lub rady żądał który z członków od współbraci. Każde posiedzenie trwało półtoréj albo dwie godziny. Przy końcu dyrektor streszczał rozprawy i kończył kilkoma słowy prostemi a gorącemi. Mniejsze zebranie, złożone zazwyczaj z samych urzędników, odbywało się co miesiąc. Zajmowano się na niém bądź ogólném dobrem stowarzyszenia, bądź wyborem nowych urzędników; ale postanowienia i wybory przedstawiano następnie pod zatwierdzenie przyszłego zebrania ogólnego.

Porządek ten wprowadzono od 16 lipca 1633, w dniu pierwszéj konferencji. Na ostatniém zebraniu przygotowawczém Wincenty za przedmiot rozpraw naznaczył: o duchu ka-

płańskim. Rozprawy były głębokie, choć mowa prosta; bo to jeszcze prawem przepisał Wincenty, pojmując dobrze, że szczególniéj na takich zebraniach, wymowa wyszukana i światowa, zniszczyłaby w zarodku całą ich korzyść. Mając do wyboru dwa wyrażenia, chciał żeby zamilczano świetniejsze, by uczynić zeń ofiarę Bogu w sercu swojém, a wydano na jaw pokorniejsze, które jedynie, jak mówił, może zbudować i do dobrego zachęcić. Do teorji téj, która wkrótce zmieniła się w prawo na zebraniach, Wincenty dołączył potężniejszą jeszcze naukę: przykładu. Kiedy miał mówić, przed jakimikolwiek słuchaczami, w modlitwie tylko szukał nauki i światła. Czerpał jeszcze natchnienie w Pismie św., które prawie całe umiał na pamięć, a do zadziwienia trafnie stosował; celował szczególniéj w przytaczaniu co chwila przykładów i słów Jezusa Chrystusa, popierając niemi silnie mowę swoją. Słuchacze jego, nawet najwyżsi godnością albo genjuszem, byli w zachwyceniu; wielu przychodziło tylko po to, żeby go słyszeć, i powracali smutni, jeśli skromność jego nie dopuściła mu mówić; to téż jeśli kiedy przez pokorę i szacunek zwracał się do biskupów prosząc o zakończenie rozpraw, które do niego jako do dyrektora należało, nie chcieli tego czynić, by nie utracić szczęścia słyszenia go.

III. Między pierwszymi którzy należeli do konferencji, najsławniejszymi są: Olier, fundator seminarjów świętego Sulpicjusza; de Coulanges. b a r d z o d o b r y, jak go nazywała pani de Sévigné; Abelly, historyk Wincentego; Pavillon, Perrochel, Godeau, Fouquet i Vialart, przyszli biskupi z Alet, Boulogne, Vence, Bayonny i Chalons, a nadewszystko Bossuet, który w starości jeszcze winszował sobie, „że miał to szczęście, przez siedm ostatnich lat życia Wincentego być przypuszczonym do towarzystwa duchownych, którzy zbierali się co wtorki na konferencje du-

chowne.“ Gdybyśmy wreszcie mieli to szczęście posiadać listę 300 blisko duchownych, przyjętych do konferencji św. Łazarza za życia Wincentego à Paulo, znaleźlibyśmy tam wszystko, co kościół francuzki miał w ciągu lat trzydziestu najcelniejszego urodzeniem, zdolnością, nauką i cnotą. Rozgłos o tych zebraniach doszedł uszu Richelieu’go, który wezwał Wincentego, wypytał go o szczegóły, zażądał listy członków, z dodaniem, którychby sądził za najzdolniejszych na biskupstwa. W rzeczy saméj, wyniósł z nich wielu na tę godność, a pobożny Ludwik XIII pragnął, żeby większą część godności kościelnych przeznaczano ludziom ukształconym przez świętego kapłana. Wincenty przystał na ten projekt, tak korzystny dla kościoła, ale ze zwykłą swą roztropnością i rozwagą umiał nakłonić króla i ministrów do zachowania tajemnicy. Pojął sam i przedstawił, że inaczéj, byłby napastowanym przez starania niewczesne i ambitne, żeby się zbiegano do św. Łazarza nie tyle dla uświątobliwienia się, jak dla osiągnięcia zaszczytów, a przez to zepsułoby się i osuszyło źródło, z którego spodziewać się można uświątobliwienia wyższego kleru.

Z jednéj i z drugiéj strony dochowano sekretu. Zresztą, publicznie i prywatnie, Wincenty do kandydatów na biskupstwa mówił tylko o szczęściu życia nieznanego i cichego i starał się ich przyuczać do najpokorniejszych posług kapłańskich. Wychowanie prawdziwie apostolskie, któremu kościół francuzki zawdzięcza tylu wiernych pracowników!

Takim był w rzeczy saméj jeden z pierwszych owoców konferencji u św. Łazarza. Z jéj łona wyszli, tylko przez czas życia Wincentego, pobożni i sławni założyciele zgromadzeń, dwudziestu trzech zacnych biskupów i arcybiskupów i niezliczono mnóstwo innych dostojników kościoła, którzy rozszerzyli miądzy klerem i ludem ducha otrzymanego od Wincentego à Paulo, to jest ducha Jezusa Chry-

stusa. Wincenty zresztą umiał zużytkować ich gorliwość, dając jéj czynniejsze zajęcie. Obarczony zawsze dziełami i projektami prac apostolskich, miał z nich, oprócz swéj regularnéj armji zgromadzenia, jakby rezerwę, którą posyłał w tę i ową stronę, jużto samych, to znów w towarzystwie i pod kierunkiem którego ze swych misjonarzy, wszędzie, gdzie Bóg albo ludzie potrzebowali dobrych robotników. I sami chętnie podejmowali się prac takich w Paryżu i na prowincji, dla dobra ludu i pasterzy.

IV. Zasłynęli szczególniéj pracami misyjnemi w Paryżu i po szpitalach, mianowicie Quinze-Vingts i Hotel Dieu. Ale najsławniejsza missja odbyła się na przedmieściu św. Germana, przedmurzu podówczas protestantyzmu francuzkiego, miejscu zborném herezji, ateizmu i rozpusty. Na tyle złego nie było lekarstwa, bo duchowni równie jak lud żyli w obojętności lub rozpuście. Księżna d'Aiguillon przerażona tylu okropnościami, udała się do Wincentego prosząc, żeby odbył missją na tém przedmieściu. Sam nie mógł tego uczynić, bo zabronił swoim odbywania missji po miastach, gdzie były stolice biskupie; nie śmiał zaś innych skłaniać do takiéj pracy; ale na powtórne nalegania księżnéj, przedłożył ten projekt na konferencji, która roztrząsnąwszy go, oświadczyła, że nie może tego się podjąć, bo pomyślny skutek jest niepodobieństwem. Na następném zebraniu, silniéj zachęcać począł, ale wywołał tylko przykre nieukontentowanie. Wtedy, padając na kolana, prosił o przebaczenie za zbyt żywe wyrazy. Na ten widok, zebranie głęboko wzruszone, nawzajem prosiło o przebaczenie, i na téjże sesji postanowiono jednozgodnie podjąć się wzmiankowanéj missji.

Natychmiast proszono Wincentego o urządzenie jéj; ośmielono się tylko przedstawić, że w takiém mieście jak Paryż, sposób mówienia prosty, jakiego używano po wsiach, nie zdawał się być właściwym. Ale Wincenty przerwał ze

świętém oburzeniem: „Pokonać chcecie, rzekł, ducha światowego, to jest ducha pychy, zwyciężyć go możecie jedynie, walcząc duchem Jezusa Chrystusa, to jest duchem prostoty i pokory“.

Nie opierano się już więcéj i zaczęto missję w sposób pokorny, zalecany przez świętego. Młodzi misjonarze od razu odnieśli zwycięztwo. Przeciwieństwo takiéj prostoty, z wysokiém urodzeniem jednych, nauką drugich, a wartością wszystkich, zyskało im wszystkie serca. Nawrócenia były cudowne, i gdy nie długo po tém nowi pracownicy pod przywództwem Oliera, proboszcza u św. Sulpicjusza, prowadzili daléj dzieło swych poprzedników, parafja ta, najgorsza w świecie, stała się jak wiadomo wzorową.

Ze wszystkich missji, które konferencja św. Łazarza odprawiła po za Paryżem, najcelniejszą bez zaprzeczenia była missja w Metz, odbyta w 1658 r., przez swój początek, pracowników, a szczególniéj skutki. We wrześniu poprzedzającego roku, dwór królewski przepędził kilka tygodni w Metz; przez ten czas Bossuet, który był wtedy archidjakonem w tém mieście, nie zaniedbał powiadomić królowéj o smutném położeniu tego kraju pod względem duchowym; liczni żydzi, protestanci liczniejsi jeszcze; brak kleru gorliwego i światłego w djecezji, mającéj tyle potrzeb, a pozbawionéj już więcéj jak od dwóch wieków swego pierwszego pasterza.

Anna austrjacka wróciwszy do Paryża, chcąc co naglejszym potrzebom zaradzić, sądziła, że wielka missja będzie najlepszą jałmużną, jaką możnaby uczynić dla tego ludu. Mówiła o tém z Wincentym, który jak wprzód księżnéj d'Aiguillon odpowiedział, że biedni jego kapłani są tylko misjonarzami dla ubogich, ale ofiarował jéj w tym celu duchownych ze swéj konferencji. Mało na tém zależało królowéj, kto odprawiać ją będzie, byle tylko pochodził z ręki Wincentego; przyjęła więc i oświadczyła, że bierze na siebie

wszystkie koszta. Missja w Metz przyjętą została zaraz po przedstawieniu jéj na następnéj konferencji wtorkowéj. — Dwudziestu, czy czterdziestu pracowników ewangelicznych, wybranych przez Wincentego, powierzono przewodnictwu Ludwika de Rochechouart de Chandenier, opata de Turnus, wnuczka po bracie kardynała de La Rochefoucault i spadkobiercy cnót jego.

Po wybraniu robotników szło tylko o określenie planu missji i przygotowanie wszystkiego w Metz, dla zapewnienia dobrego przyjęcia i skutku pracy. Wincenty z błogosławieństwem, dał im potrzebne rady, i urządził najprzód całe postępowanie; po tém zajął się usunięciem wszelkich trudności w Metz. Sam napisał do znakomitych osób stojących tam na czele zarządu tak duchownego, jak cywilnego, i otrzymał od królowéj listy polecające. Wszyscy przyrzekli gorliwość i posłuszeństwo. Ale potrzeba było w Metz człowieka z sercem i powagą, któryby się zajął przygotowaniem umysłów, a także materjalném przyjęciem misjonarzy. Wszyscy kapłani konferencji i Wincenty przypomnieli zaraz o znakomitym archidjakonie, i jeden z nich otrzymał polecenie napisania do niego w tym celu. Bossuet natychmiast odpisał, prosząc, by zapewniono Wincentego, że zrobi co będzie mógł i potrafi, dla zapewnienia dobrego skutku dziełu; ale, że nie odbierał instrukcji, postanowił napisać prosto do Wincentego, zapewniając go naprzód o dobrém usposobieniu Piotra Bedacier biskupa koadjutora z Metz, i sam ofiarując się przygotować umysły, zanim będzie mógł dzielić prace misjonarzy. Odtąd, zawsze już do niego Wincenty pisał, dając rozporządzenia; jemu także polecił oddanie swego listu z podziękowaniem biskupowi. Biskup powtórzył obietnicę pomocy. Jednak, jedna trudność, jedyna, wstrzymywała go jeszcze. Porządek missji wymagał, aby przez cały czas jéj trwania, po wszystkich kościołach miasta, nie było żadnych innych kazań, dla uniknienia sporów miłości własnéj

i porównań między jednym a drugim sposobem kazania i nauczania, bo spory takie szkodzą zawsze dobremu. Otóż, znajdował się wtedy w Metz zakonnik, dominikanin, wezwany do mówienia kazań postnych. Nie byłoż by to zniewagą odprawiać go teraz na początku postu? Biskup radził użyć półśrodka i Bossuet przechylał się z początku do takiego układu, jednak jeden i drugi zdali na Wincentego rozwiązanie téj trudności. Lękać się jeszcze wypadało hugonotów, którzy na wiadomość o missji tak groźnéj dla nich, czuli niebezpieczeństwo dla swego stronnnictwa w tém mieście, i mogli stawiać przeszkody, bo byli tam równie silni jak w Montauban albo Roszelli. Gotowali się więc do obrony, a przynajmniéj chcieli niedopuszczać wpływu misjonarzy. Oczekując dnia walki, występowali z zuchwałą śmiałością zwykłą ludziom którzy się boją, i gwałcili edykt królewski, krępując sumienia swych sług katolickich. Bossuet powiadomił Wincentego o tém wszystkiem, zdając się zresztą „na jego gorliwość i zwykłą roztropność“. I w rzeczy saméj, w miesiąc po tém, mógł mu podziękować za szczęśliwy wpływ jego i wstawienie się królowéj.

Pozostawało urządzenie pod względem materjalnym pobytu i życia misjonarzy w Metz. Wincenty, prócz listów, które napisał w tym względzie do naczelników miasta i poleceń o które wystarał się u królowéj, zlecił staranie o to Mikołajowi de Mouchy, przełożonemu misjonarzy w Toul. Ale, że zajęcia nie dozwoliły X. de Mouchy pozostać dłużéj jak jeden dzień w Metz, przygotowania materjalne missji również jak przygotowanie umysłów, spadły prawie całkowicie na Bossueta. I tu jeszcze Bossuet pokazał się godnym uczniem Wincentego, człowiekiem praktycznym i przedsiębiorczym, i zajął się staraniem o byt materjalny z równą gorliwością jak i o rzeczy, które same zdały się odpowiednie do jego genjuszu. Gdy już wszystko było przygotowaném, misjonarze udali się w drogę. Ale,

że zazwyczaj dzieła Boże znajdują z początku przeszkody we wszystkiém, nawet w saméj naturze, która w tém ślepo jest posłuszna ukrytym zamiarom Stwórcy, zostali zatrzymani przez straszne wylewy, od których ucierpiały główniejsze miasta Francji. Sądzić proszę o śmiertelnym niepokoju Wincentego, który miał wtedy w drodze misjonarzy do Metz, i wielu ze swych kapłanów udających się do Nantes, zkąd mieli popłynąć do Madagaskar! Niepokój ten trwał dwadzieścia dni, przez które nic nie wiedział ani o jednych, ani o drugich. Nie mniejszy był niepokój w Metz, gdzie potop jak pisze Bossuet, otaczał ich zewsząd. Więcéj jeszcze niepokoiło archidjakona, że opóźnienie to mogło odnowić kłopoty ze strony owego kaznodzieji; pieniądze dane przez królowę i obietnica kazań na przyszły post uspokoiły go pod tym względem. W tym czasie, Bossuet ucieszył się z przybycia do Metz, jakby poprzednika, jakby gołąbka zapowiadającego koniec potopu, brata Mathieu, który obiegał Lotaryngją, roznosząc jałmużny. W rzeczy saméj, w tłusty czwartek 4 marca misjonarze przybyli do Metz, uniknąwszy tysiąca niebezpieczeństw; a 6-go we środę popielcową rozpoczęli missję. Bossuet oddał im główniejsze kościoły miasta; sam ograniczył się na skromnym kościołku św. Jana w Fortecy, i oprócz kilku kazań, na które zaproszonym został do katedry, zamknął tam swoją wymowę. Nie mało wpłynął na lud i żołnierzy, którzy w znacznéj części stanowili jego słuchaczy, a nawet na protestantów, którzy mimo oporu swych ministrów, zbiegali się, żeby go słyszeć. Pewna pani, przezeń nawrócona, publicznie wyrzekła się swych błędów.

Co do misjonarzy, niesposób byłoby opisać nawróceń i owoców zbawienia, jakie nagrodziły ich usiłowania. Bo téż wszystko było w nich kazaniem, życie ich, równie jak słowa; sam ich widok więcéj jeszcze poruszał jak nauki. — Wiemy o tém od Wincentego, który miał z tego okazją do

polecania swym kapłanom potrzeby wewnętrznego skupienia, skromności i dobrego przykładu na missjach.

Po trzech miesiącach pobytu, misjonarze opuścili miasto Metz nawrócone, a Bossuet najpiękniejsze wydał im świadectwo w liście do Wincentego z 23-go maja, który dopełnia nasze wiadomości o ich pracach i odniesionym skutku. Ze swéj strony, przewodniczący missji, opat de Chandenier, oddał Bossuetowi podobne świadectwo, a nie czując się godnym, sam mu podziękować, prosił dla znakomitego współpracownika swego o słówko od Wincentego, samo tylko, wedle jego zdania, zdolne nagrodzić tak wielkie posługi.

Tak to, ci pracownicy, prawdziwie ewangeliczni, składali jeden na drugiego całą zasługę pracy i całą chwałę z korzyści, albo raczéj wszystko odnosili do Wincentego, który w mądrości swéj wszystko rozporządził, wszystko ożywił swą radą, podtrzymał modlitwami; a Wincenty w pokorze swéj i prawdziwém uznaniu rzeczy nadprzyrodzonych, wszystko odnosił do Boga. Po ukończeniu missji, Anna austrjacka kazała zdać sobie z niéj sprawę Wincentemu i opatowi de Turnus. Słuchając opowiadania, zrozumiała konieczność stałego zakładu w Metz i natychmiast ofiarowała sześćdziesiąt tysięcy liwrów na seminarjum i dom missji. Ale z powodu śmierci Wincentego, projekt ten wykonano dopiero w 1663 r.

V. Cechą konferencji duchownych, jak i wszystkich innych dzieł podjętych przez Wincentego, było rozszerzenie się ich zadziwiające i trwałość. We Francji przetrwały w swéj pierwotnéj formie aż do rewolucji; a i teraz znowu są wskrzeszone, choć pod inną trochę formą. Za życia Wincentego à Paulo rozszerzyły się po Francji i za granicą, wprowadzane wszędzie, nie tylko przez misjonarzy, ale i przez księży z konferencji wtorkowych. Jakób Olier wię-

céj jak ktokolwiek czynił tę świętą propagandę. W Auvergnji i Velaj skłonił duchownych do połączenia się w konferencje podobne do paryzkiéj. Toż samo, choć na mniejszą skalę czynili inni członkowie po wszystkich prawie prowincjach.

IV.

Rekolekcje.

I. Początek rekolekcji. — II. Ich natura, cel i urządzenie. — III. Bezinteresowność Wincentego. — IV. Wpływ rekolekcji w Paryżu i na prowincji.

I. Dzieła Wincentego jakby się rodziły jedne z drugich: wypływają z siebie, łączą się wzajemnie i dopełniają. Z missji podjętych dla uświątobliwienia ludów, powstał projekt dzieł przeznaczonych do uświątobliwienia kleru. Widzieliśmy, że z ćwiczeń przed święceniami wyszły konferencje duchownych, mające za cel utrzymanie łaski przyjętéj w święceniach kapłańskich, ożywianie świętych postanowień i rozszerzanie ducha kapłańskiego na tych, którzy nie mieli szczęścia czerpania go z tak czystego źródła. Ale iluż to księży nie mogło należeć do nich, a tym bardziéj potrzebowali silnego jakiegoś wstrząśnienia, które wyrywa duszę z ubitéj drogi grzechu a popycha szybko na drogę dobrego! Iluż to nawet kapłanów zaciągniętych w te święte stowarzyszenia, czuło pod niszczącym wpływem zwyczaju, zetknięcia się ze światem, stosunkach obowiązkowych z duchownymi mniéj doskonałymi, że zacierają się pierwsze ich wrażenia, niknie pierwotna delikatność sumienia, dawny zapał gorliwości słabnie, że więc potrzebują i oni wzmocnić, ożywić, wzbudzić łaskę przez wkładanie rąk odebraną! A choćby nawet nie osłabły ich siły, nie zmniejszyła gorliwość, nie byliż obowiązani róść z dnia na dzień, by doścignąć pełności doskonałości kapłańskiéj?

Wreszcie, nawet oprócz kleru, nie byłoż wielkiéj liczby dusz po miastach i wsiach, dla których Wincenty przez swe missje głosił słowo zbawienia? Ale do wieluż ono nie dochodziło wcale? Dla wielu, echo tego głosu słabło coraz więcéj, póki nie zamieniło się w milczenie śmierci? Iluż zaniedbywało praktykę życia chrześcijańskiego, jaką rozpoczęło pod wpływem jego i wpadało w stan gorszy jeszcze od tego, z którego powstali!

Więc dzieła missji, ćwiczeń przed święceniami i konferencji duchownych, wymagały dopełniania. Potrzeba było jeszcze czegoś dla uświątobliwienia ludu i kleru: rekolekcji duchownych.

Życie chrześcjan pierwszych wieków, czy to w katakumbach, czy na puszczy, lub w klasztorach, było ciągłemi i wszędzie rekolekcjami. Po osłabieniu wiary i pobożności, święci nie widzieli na to innego lekarstwa, jak powrócenie do samotnych rozmyślań o przeznaczeniu i obowiązkach człowieka. Świętemu Ignacemu należy się chwała, że pierwszy w ostatnich wiekach dał popęd rekolekcjom duchownym, że lepiéj jak ktokolwiek ułożył ich metodę i sposób w swéj cudownéj księdze *Ćwiczeń duchownych.*

Nie potrzebujemy mówić, że Wincenty w pośród największéj mnogości swych zajęć nie zaniedbał nigdy przynajmniéj ośm dni poświęcić co rok na rekolekcje. Ale dawno myślał i innych zachęcić do tego. Już w 1629 czy 1630 r. kilku doktorów Sorbony pierwsi odbyli je pod przewodnictwem jego. Odtąd, otworzył swój dom wszystkim duchownym, którzyby chcieli albo pojednać się z Bogiem, albo przejąć większą gorliwością w dopełnianiu świętych obowiązków swoich.

Jednak, dopiero po objęciu domu św. Łazarza, mógł nadać temu dziełu dotychczas nieznane rozmiary. W rzeczy saméj, aż do jego czasów, zwyczaj rekolekcji ograniczał się do duchownych i zakonników, i z małym wyjątkiem te tylko

osoby odbywały je, które myślały o służbie kościelnéj albo klasztorze. Wincenty dopiero rozszerzył je do wszystkich klas społeczeństwa, rozmnożył, jak inne podjęte przez siebie dzieła, nadał im niejako wieczyste prawo obywatelstwa w rzeczypospolitéj chrześcjańskiéj, i uczynił na zawsze potrzebą i prawidłem dla osób pragnących podnieść się z grzechu albo postąpić na drodze świątobliwości.

II. Do tego potrzeba było dwóch rzeczy: najprzód ludzi biegłych w kierowaniu innymi w praktyce tych świętych ćwiczeń, i zawsze gotowych przez stan i powołanie swoje do przyjęcia tych, którzyby chcieli ich przewodnictwu się powierzyć; potém, domu otwartego dla wszystkich z zapewnioném życiem i okryciem nietylko dla ubogich, ale i tych bogaczów, którzyby zdolni byli położyć na wadze duszę swą i worek, i nie chcieli poświęcić sprawie swego zbawienia trochę pieniędzy, które marnowali na rozkosze.

Wincenty rozpoczął od kształcenia swoich kapłanów do kierowania r e k o l l e k t a n t a m i. Dał im naprzód poznać naturę i cel rekollekcji, które są jakby przerobieniem, odnowieniem zupełném wewnętrznego człowieka, i początkiem nowego trybu życia wedle prawa ewangelicznego. Odprawujący je, albo ma już wskazaną drogę w świecie, albo przychodzi zastanowić się przed Bogiem nad wyborem stanu: w pierwszym razie trzeba mu dać poznać, że zbawienie dla niego polega na wypełnianiu cnót chrześcjańskich właściwych powołaniu jego; w drugim, wytłumaczyć mu, że ponieważ wybór stanu najściślejszy ma związek ze zbawieniem wieczném, od Boga oczekiwać trzeba światła, a czerpać natchnienie z nieba, nie uważając na korzyści ziemskie. Nie znaczy to, żeby nakłaniać lekkomyślnie do opuszczenia świata: pod tym względem, wielkiéj trzeba rozwagi i roztropności! a jeśli to już postanowił, radzić mu w ogóle zakony, w których najlepiéj bywa zachowywaną reguła, nie

namawiając po szczególe do żadnego, a tém mniéj do Zgromadzenia Missji.

Rekollekcje są publiczne albo prywatne. Publiczne wymagają kaznodziei. Wincenty zalecał mu mówić gruntownie i poruszająco, a strzedz się, tam szczególniéj, próżnéj wymowy. Naznaczał mu wreszcie za materje nauk wielkie i główne prawdy zbawienia, nie zaś przedmioty zdolne zabawiać tylko umysł i zająć imaginację. Na rekollekcjach prywatnych, każdy odprawujący je miał swego dyrektora. I temu Wincenty napisał porządek, którego trzymać się musiał we wszystkiém: uważać się za drugiego Ananjasza posłanego do Szawła; przejąć się wielką nieufnością siebie samego, a wielką ufnością w Bogu; nie narzucać rekollektantowi swych osobistych pojęć w materji pobożności i postępowania; zachować się względem niego z prostotą i cierpliwością, w duchu pokory i szacunku, jako sługa; przygotować się przez modlitwę do odwiedzenia go dwa razy na dzień; wracając podziękować Bogu za dobro, które mógł zdziałać, a prosić o przebaczenie za uchybienia; jeśli rekollektant odbył już kiedy te ćwiczenia, przypomnieć mu zaraz z początku sposób odbywania ich, jeśli nie, dać mu poznać cel ich i jak się ma zachować, wyznaczyć mu czytania i rozmyślania, a w ciągu, wypytywać go, żeby wiedzieć, czy się pilnuje porządku dziennego, i przygotować do spowiedzi jeneralnéj; potém pomagać mu w poznaniu powołania i urządzić na przyszłość życie jego; po ukończeniu rekollekcji pożegnać go, zachęcić jeszcze, podziękować za powolność i prosić o przebaczenie za uchybienia względem niego popełnione; jeśli coś ofiaruje, nie odmawiać, ale nie żądać niczego; nie namawiać go do powrotu; wreszcie zaprowadzić przed Najświętszy Sakrament i towarzyszyć aż do bramy grzecznie, z szacunkiem i serdecznością.

III. Taka łatwość w przyjęciu, tak mądre ustawy, postępowanie tak serdecznie chrześcjańskie sprowadzić musiały ogromną liczbę rekollektantów do świętego Łazarza; o ileż więcéj wydatków dla domu a pracy dla Missjonarzy! To też Wincenty jeszcze za życia swego potrzebował utrzymywać swoich przeciw obawom o zniszczenie i nadmiar pracy, a szczególniéj zabezpieczyć przeciw osłabieniu w gorliwości, które powoli wcisnąćby się mogło po jego śmierci, i pokusie opuszczenia tego dzieła. Więc czy to polecając którego z rekollektantów modlitwom Zgromadzenia, czy z powodu nowo przybyłego, czy téż niezwykłego napływu, korzystał zawsze, rzucając jakie słówko pełne żywéj wiary i gorącéj miłości; dla zachęty swoich opowiadał im zwycięztwa łaski, odpowiadał na zarzuty pochodzące z tego szczególniéj, że mała tylko liczba wytrwa w dobrém, że nie ma stosunku między wielkością ofiar, a odpowiednio drobnemi skutkami.

Wszystko to jednak niezawsze upewniało ich o przyszłości dzieła, tém mniéj o podobieństwie wytrzymania długo pod takim ciężarem. Żalili się na zbytek miłości Wincentego i namawiali do umiarkowania i roztropności.— „Mości księże, rzekł mu raz jeden z braci, upadniemy pod liczbą rekollektantów. — Mój bracie, cóż, kiedy się chcą zbawić. — Dobrze to, mości księże! gdyby wszyscy się zbawiali, ale jakże mało korzysta z rekollekcji, a iluż więcéj przychodzi tutaj szukać nie tyle pożywienia dla duszy jak dla ciała! — To już wiele, jeśli niektórzy się zbawiają. Co do innych, zawsze to jałmużna, przyjemna Bogu, żywić człowieka w potrzebie. Zresztą, jakże rozróżnić i poznać powody przybycia każdego? — Ale, mości księże, skracacie przez to istnienie Zgromadzenia! — Jeślibyśmy mieli istnieć trzydzieści lat, a przyjmując wszystkich którzy przychodzą, istnielibyśmy tylko piętnaście, i tak przyjmowaćby ich trzeba. Bóg temu zaradzi. — Ale, mości księże, tu nie idzie już

o przesilenie, ale to choroba śmiertelna i blizkie zniszczenie! — Jeśli Zgromadzenie zginie czyniąc tyle dobrego, szczęśliwi będziemy, bo staniemy się podobni do Chrystusa Pana, który wyniszczył się dla zbawienia ludzkiego.“

Prokurator przychodził: „Mości księże, i grosza nie mam na jutro. — A! mości księże, dobra nowina! teraz dopiero pokazać powinniśmy, czy mamy ufność w Bogu. Czy nasze zabiegi pewniejszém są źródłem jak dobroć Jego? Jakież szczęście, że mamy sposobność Jemu tylko zaufać, i zależeć jak prawdziwi ubodzy, od hojności Pana tak bogatego!“

Nawet obcy dziwili się widząc wielki refektarz pełen ludzi cisnących się do stołu miłosierdzia: „Zkąd bierzecie, pytano go, na wyżywienie tylu? — Oh! panie, skarby Opatrzności są niewyczerpane. — Jednak, strzeżcie się zniszczenia! — Gdy wszystko wydamy dla Chrystusa Pana, podłożymy klucz pode drzwi i odejdziemy.“

Raz jednak, więcéj jak zazwyczaj naciśnięty, zdawał się przystawać na zmniejszenie liczby rekollektantów, i sam się podjął przyjmować ich i wybierać. Stanął więc przy bramie z mocném postanowieniem oparcia się zbyt wielkiéj liczbie proszących. Ale gdy przyszło do przyjęcia jednych a odepchnięcia drugich, bardzo się zakłopotał i nie mógł odmówić nikomu. Ku wieczorowi więcéj jeszcze przyjął osób jak zazwyczaj. Jeden z braci przyszedł do niego i rzekł: „Mości księże, już nie ma stancji wolnéj. — A więc, odpowiedział, dajcie im moją!“

Z tego cośmy powiedzieli łatwo wnieść można, jaki to ciągły napływ z Paryża i prowincji był u świętego Łazarza. Sam Wincenty porównywał dom swój do arki Noego, gdzie wszelkiego rodzaju stworzenia, wielcy i mali, równie dobrze byli przyjęci. I w rzeczy saméj, przychodzili tam od Wschodu i Zachodu ludzie najróżnorodniejszego wieku i wszelkich stanów towarzyskich. Był to trijumf równości

chrześcjańskiéj, kommunizm miłości, święte zjednoczenie się wszystkich przed Bogiem we wspólnym interesie zbawienia.

Walki, starcia się, jakie znosić musiało serce Wincentego, dobywały zeń jeszcze żywszą i świetniejszą iskrę miłości. Wiek podeszły, za którym zwykle idzie oziębienie i skąpstwo, przeciwny w nim skutek sprawiał. Przeciw zwyczajowi starców, im więcéj postępował w lata, tém świątobliwiéj był rozrzutnym. Z początku jeszcze zachowywał pewne umiarkowanie, w końcu trzeba było codzień przyjmować jak najwięcéj rekollektantów i utrzymywać w domu, ilu zmieścić się mogło. Przyjmowano do 800 na tydzień, co wyniesie do 20,000 rocznie, przebywających u św. Łazarza, przez 25 ostatnich lat życia Wincentego. Jeśli wybierać przyszło, biedni zawsze mieli pierwszeństwo. By zachęcić robotników, nietylko że dawał im mieszkanie i pożywienie darmo, płacił jeszcze ich panom wartość pracy przez cały czas rekollekcji.

IV. Oto w jaki sposób dom świętego Łazarza stał się wielkim zajazdem dla Paryża i Francji, gdzie żywiono dusze; w jaki sposób missja stała się tam ustawiczną. Ileż dokonano tam nawróceń! dla ilu był punktem wyjścia w pracy nad doskonałością chrześcjańską! Ilu ztamtąd wyszło apostołów, którzy rozniesli na wszystkie strony Francji i świata nauki, przykłady i święte zwyczaje tego domu dwu i trzykrotnie macierzyńskiego, tak dla synów, których zrodził ojcu Missjonarzy, jak i dla przybranych dzieci, które w tak wielkiéj liczbie przyjmował do swego łona, a także, jeszcze liczniejszych, których na wszystkie strony rodził przez to zadziwiające rozszerzanie się wszystkich dzieł zrodzonych w nim i przez niego! Bo Missjonarze rozszerzali wszędzie zwyczaj rekollekcji duchownych, które przynosiły wszędzie takież owoce zbawienia. Każdy dom Missji stał

się więc pod każdym względem filją świętego Łazarza, gdzie też same ćwiczenia odbywały się z równą miłością i równém błogosławieństwem. Zewsząd przybywały do Wincentego świadectwa pewne o nieskończonych dobrodziejstwach, pojedynczych i zbiorowych, które ztąd odnosiły dusze.

Nietylko Missjonarze rozszerzali je; duchowni ukształceni u świętego Łazarza przez ćwiczenia przed święceniami i ożywieni przez rekollekcje, przybywszy do jakiéj djecezji, myśleli zaraz sami, albo przy pomocy kilku kapłanów Zgromadzenia o ustanowieniu dla kleru tego, co dla nich samych było tak użytecznem. Święte te ćwiczenia zazwyczaj dobrze były wszędzie przyjęte od kleru. Niekiedy było z początku trochę oporu, ale wkrótce wszystko ustępowało pod działaniem łaski i usiłowaniem gorliwości i miłości, szczególniéj, jeśli który z synów Wincentego przewodniczył rekollekcjom.

Ale grzeszników zrozpaczonych odsyłano zawsze do Wincentego. Jeśli kapłani jego dostrzegli swą bezsilność, jemu przedstawiali grzeszników, podobnie jak uczniowie Chrystusa przedstawili mu opętanego, którego zleczyć nie mogli. Nikt oprzeć się nie mógł pociągowi przestawania z nim. Ani kazanie, ani czytanie pobożne nie czyniło tak świętego wpływu, jak rozmowa z nim, jak sam jego widok. Dzieci nawet, zniechęcające się tak prędko poważną rozmową, biegły do niego i z radością go słuchały. Ale ci szczególniéj, którzy skosztowali daru Bożego i odbyli już rekollekcje pod przewodnictwem jego, ci jak o łaskę prosili o przyjęcie ich znowu.

Dom św. Łazarza wierny zaleceniom świętego swego założyciela prowadził daléj to wyborne dzieło aż do rewolucji, to jest, aż do czasu wygnania i rozpędzenia Missjonarzy. Za naszych dni znowu je rozpoczął. Ale, jeśli spadek jego przeszedł na jakiś czas w obce ręce, albo rozdzielił się na

wielu, domowi to św. Łazarza i Wincentemu należy się chwała upowszechnienia ćwiczeń duchownych we Francji. Dziś nie ma seminarjum, gdzieby co rok nie zgromadzała się część kapłanów djecezji, dla zaczerpnięcia i wzmocnienia się wspólnie u źródła pobożności kapłańskiéj; nie ma domu zakonnego, nie ma chrześcjańskiego kollegjum, gdzieby przez rekollekcje nie rozpoczynała się główniejsza epoka roku, albo zaczęcie nauk; mało wreszcie dusz chrześcjańskich, któreby odtąd nie czuły potrzeby zastanowienia się od czasu do czasu nad tém życiem, które mija, żeby zwrócić się ku przebieżonéj przestrzeni, rozpoznać drogę zbyt często błędną, a wstąpić na prostą i pójść nią z oczyma zwróconemi ku najwyższemu celowi.

V.

Seminarja.

I. Pierwsza próba w Kollegjum des Bons-Enfants; seminarjum wewnętrzne; tkliwość Wincentego dla swoich. — II. Seminarjum w Annecy, pierwsze seminarjum djecezalne; seminarjum w Kollegjum des Bons-Enfants. — III. Urządzenie i plan nauk. — IV. Pomnożenie seminarjów i ich owoce. — Dopełnienie dzieła Wincentego na korzyść kleru.

I. Wincenty raz rozpocząwszy dzieło reformy kleru, musiał iść aż do końca. Zaraz w początku, a szczególniéj nauczony doświadczeniem, poznał niedostateczność konferencji i rekollekcji, które mogły wprawdzie podnieść upadłych kapłanów, albo zachować i utrzymać na drodze obowiązku kapłanów wiernych, ale nie dosięgały do samego źródła kapłaństwa; widział niedostateczność nawet ćwiczeń przed święceniami, które choć zajmowały się młodym duchownym na wstępie jego w życie kapłańskie, ale nie miały żadnego wpływu na lata minione, często długie, spędzone w rozproszeniu światowém, rachubach ambicji, a niekiedy i występkach młodości.

Widok słabych skutków większéj części usiłowań czynionych poprzednio nie zniechęcił Wincentego. Nie udało się tyle seminarjów, bo zbyt często źle wybierano i dzieci i nauczycieli. Wracając więc do planu soboru trydenckiego i przejmując się jego duchem, zaczął około 1635 przyjmować do kollegjum des Bons Enfants pewną liczbę młodych kleryków, w wieku od 12 do 14 lat, których kapłani jego Zgromadzenia uczyli, oprócz nauk świeckich, śpiewu i ceremonji, a nadewszystko unikania świata, pobożności i cnót właściwych duchownym.

We dwa lata potém, gdy Zgromadzenie już było urządzoném i stale się umieściło w domu świętego Łazarza, zaczął myśleć o powiększaniu i przygotowaniu jego członków. Ztąd powstało seminarjum wewnętrzne, otwarte w czerwcu 1637. Ponieważ przyjmować miano nietylko księży, ale szczególniéj młodych kleryków, wyłożył naprzód swe zasady pod względem powołania. Z jednéj strony pełen nadziei, że Opatrzność dostarczy zawsze członków Zgromadzeniu, które z Jéj woli powstało, a z drugiéj, przekonany, że sam Bóg tylko może wybierać sobie sługi, wziął za nieodmienne prawidło i nakazał swoim, żeby nigdy nie namawiać nikogo do Zgromadzenia swego ani obietnicą, ani posługami, ani nawet pobożną radą. Témbardziéj wymagał, aby nie zatrzymywano u świętego Łazarza tych rekollektantów, którzy mieli zamiar wejść do innego zakonu, albo których przełożeni przysyłali dla doświadczenia ich. Łącząc zawsze przykład do słów, sam tak postępował z wielką liczbą osób; które udawały się do niego, składając w jego ręce wybór stanu życia. Jeśli ktoś postanowił opuścić świat, a wahał się tylko w wyborze, radził wejść tam, gdzie najlepiéj zachowywano regułę, ale nigdy do swego Zgromadzenia. Co do tych, którzy przychodzili z mocném postanowieniem wejścia do jego Zgromadzenia, przyjmował ich z wielką oględnością, doświadczał ich długo, radził się, czy ich przy-

jąć, i dopiero poddawał doświadczeniu w seminarjum wewnętrznem, gdzie przez długie dwa lata stanowczo byli próbowani.

Cnota i nauka, oto dwa wielkie cele, do których wszystko zmierzało w ćwiczeniach seminarjum wewnętrznego. Ćwiczenia te zresztą pod względem cnoty nie różniły się od zwykłych każdego dobrego duchownego, a w swéj całości surowéj i pracowitéj nie zawierały nic nadzwyczajnego, ani zbyt przygniatającego naturę. Wincenty ożywiał wszystko, utrzymywał wszystko swém żywém i potężném słowem; korzystał z każdéj sposobności, by natchnąć ich usposobieniem heroiczném, nawet do męczeństwa.

W naukach czy to filozoficznych czy teologicznych, których następnie słuchali, zalecał unikać wyszczególniania i blasku, a zamiłować jedynie opinje przyjęte, a nadewszystko naukę uświęconą przez kościół. Chciał, by gruntownie zgłębili naukę dogmatu i moralności, pozwalał nawet nabywania, byle w miarę, niektórych wiadomości, które choć nie są nieodzownie potrzebne ani dla siebie ani dla drugich, są jednak szlachetną ozdobą umysłu i mogą kapłanowi zjednać poszanowanie w jego pracach; wymagał nawet, aby niektórzy prawdziwie byli uczeni, dla spełniania pewnych urzędów w Zgromadzeniu. Ale chciał, aby w tém wszystkiém zachowano umiarkowanie, a nadewszystko pokorę. Lękał się przejścia od ćwiczeń czysto duchownych w seminarjum, do nauk, i często napominał, aby młodzi studenci nie oziębli w pobożności w miarę nabywania nauki. Zasady te sam zachowywał w zarządzie Zgromadzeniem. Jeśli dostrzegł jaki umysł wyższy, nie spieszył się z powierzeniem mu ważnego urzędu, póki nie widział w nim zarazem pokory; inaczéj wiele byłoby hałasu, a mało korzyści. Prawie nigdy nie pozwolił któremu ze swoich, aby coś pisał do druku, tém mniéj, jeśli to ściągnąć mogło wielką na niego sławę. W postępowaniu takiém nie mnié

było mądrości jak pokory. Któż nie przyzna, że zgromadzenie, zajmując się zwłaszcza w początkach, zbyt ciekawie naukami, wkrótce odstąpiło by od swego opatrznościowego powołania: nauczania prostaczków i ubogich? Wincenty zawsze nauczał przykładem. Nie potrzebujemy mówić, że nie myślał nigdy o pisaniu dzieł; ale nie pozwolił nawet, aby jakiekolwiek było mu dedykowaném. By natchnąć większą pokorą swych uczniów, nakazywał im zająć zawsze ostatnie miejsce, jako najwłaściwsze dla nich, jeźli się znajdowali na publicznych aktach po uniwersytetach lub kolegjach, a szczególniéj strzedz się popisywania się tam z nauką.

Nie pochlebiał im. W ich obecności nigdy ich nie chwalił, chyba że zachodził jakiś wyższy powód. Umiał jednak wzbudzić w nich święte współzawodnictwo, już to swym przykładem, już słowem, już opowiadaniem błogosławieństwa, jakie Bóg udzielał pracom ich współbraci, a więcéj jeszcze przez tkliwe przywiązanie, jakie miał do nich; przywiązanie tak wielkie a znane, że nie tak byłyby im drogie pochwały innych, jak jego strofowania, tak je umiał osłodzić namaszczeniem miłości.

Upomnienie braterskie, trudne zawsze, doskonale umiał czynić. Powaga przykładu, cierpliwość, miłość, pokora, roztropność, łagodność, siła, wszystkie te cnoty zbiegały się w nim, by nadać upomnieniu jego skuteczność i wdzięk nieporównany. Zazwyczaj, nim upomniał, czekał i modlił się. W danéj chwili, rozpoczynał od oświadczenia szacunku i o przebaczenie prosił; następnie, sam się winował, zawsze przypisując sobie największą część złego, a nawet przyjmując rolę oskarżonego, zanim pokazał się sędzią. Zjednawszy winnego tą pokorną i pełną miłości ostrożnością, prosto objawiał złe, pokazując ze stałością wszystkie okoliczności, i palcem niejako dotykając ciężkości następstw winy. Poczém podnosił upadłą odwagę i ponawiał oświadczenie szacunku i przychylności. Miłość własna umierała, nie czując prawie

rany; dla tego mówiono o Wincentym „że był podobnym do sułtana: jedwabnym sznurkiem dusił miłość własną“.

Przywiązanie jego do swoich, zdwajało się na widok prześladowania lub choroby. Dzielił z prześladowanymi wszystkie ich cierpienia; czuwał nad chorymi z całą starannością matki. Doktorzy, lekarstwa, podróże, wszystko, byle mógł im ulżyć. „Sprzedałbym nawet święte naczynia, powtarzał często, dla przyniesienia pomocy biednym chorym“. Więcéj czynił: poświęcał się sam, i narażał na śmierć dla nich. W czasie zaraźliwych chorób, nie lękał się wciągać ich oddechu; trzeba było odrywać go od ich łoża, bo by tam przepędzał całe dnie i noce. Chciał, aby chorzy nie uważali się za ciężar dla zgromadzenia, owszem, błogosławieństwo Boże w nich widział. Nawiedzał ich często, zajmując się zarazem ciałem ich i duszą. W godzinę śmierci winszował im, że są powołani, wedle pięknego jego wyrażenia, do „domu missji w niebie“. W pośród największych prac jego, stancją, ucho i serce zawsze miał otwarte, nawet w nocy, dla najmniejszego z nich. Skrupulaci udawali się do niego wielokrotnie na dzień i na godzinę; jeśli nie mógł wysłuchać ich od razu, oznaczał im inny czas, prosząc o przebaczenie za tę zwłokę. Zachęcał ich do wypowiedzenia wszystkiego, nawet uchybień, to téż odchodzili zawsze pocieszeni, nigdy zniechęceni. Bo téż czynił się wszystkiém dla wszystkich, przejmując każdego humor, usposobienia, zwyczaje, mowę nawet. Ale poufałość ta szła w parze z godnością. Wszystkich, nawet najniższych, traktował z równym szacunkiem jak miłością. Powtarzał zapewnienia szczególniéj wtedy, jeśli jakie upokarzające wyznanie budziło w którym z nich obawę, czy przez to nie będzie go uważał gorzéj, a zwłaszcza jeśli mu kto oświadczał, że się na niego żalił.

Jeśli kto odkrywał mu pokusę wystąpienia ze zgromadzenia: „Nie zrobisz tego, odpowiadał, bobym tak cier-

piał nad tém, jak gdyby mi ucięto rękę albo nogę lub wyrywano wnętrzności". I klękał ze łzami w oczach, zostając w téj postawie, dopóki nie otrzymał pomyślnéj odpowiedzi. Niekiedy, wedle różnicy charakteru, odpowiadał uśmiechem; zagadnięty także uśmiechnąć się musiał, przepraszał i przysięgał wierność. Wincenty tak samo nalegał dla zachowania najmniejszego ze swych braci. Jeśli, mimo tego występował kto ze zgromadzenia, i tak miłością mu płacił; dawał mu na drogę do domu, i podobnie polecał postępować przełożonym domów. Zresztą, nigdy słówko skargi na wychodzących, nigdy groźbą nie odpowiadał na ich szemrania. Zamiast wyjawiać powody ich wyjścia, mówił o nich co tylko mógł dobrego bez obrazy prawdy, a za ich uniesienia, mścił się wszelkiego rodzaju posługami.

Takim był dla wszystkich. Wdzięczny za najmniejsze posługi braci; słuchał ich użaleń, gdy nie dobrze obchodzono się z nimi, i upewniał, gdy się lękali, że zanadto mu się naprzykszają. Z równą miłością postępował z *domownikami,* bo chciał, żeby ich tak, nie zaś sługami nazywano. Traktował ich jak przyjaciół, również rzemieślników i ubogich. Jeśli który zranił się, pracując około domu św. Łazarza, płacił mu za cały czas choroby tak, jakby za pracę.

Miłością otaczał podróżujących misjonarzy, odpowiadał na ich żądania i zaspakajał wszystkie potrzeby. Opiekował się całemi ich rodzinami i wspierał pieniędzmi i modlitwą, w cierpieniach i stratach polecał ich modlitwom zgromadzenia. Potęgą takiego to współczucia poruszał serca wszystkich i usposabiał do najtrudniejszych ofiar.

Seminarjum wewnętrzne u św. Łazarza było piewszém właściwie nazwaném seminarjum we Francji, a także początkiem innych, później założonych. Tam, pierwszy raz zgromadzono już nie młode dzieci, z niepewném jeszcze powołaniem, więcéj dla nauk świeckich, jak dla przygotowania do stanu duchownego; ale młodzież w wieku około dwu-

dziestu lat, zdolną już do poradzenia się Boga i dojrzałości potrzebnéj do wyboru stanu; prawdziwych kandydatów do kapłaństwa, którzy ukończywszy już nauki świeckie zajmowali się tylko naukami teologicznemi i ćwiczeniami bezpośrednio i wyłącznie przygotowawczemi do przyjęcia świętego urzędu.

Z seminarjum to wewnętrznego u świętego Łazarza, wyjść mieli nie tylko członkowie zgromadzenia missji, ale ludzie przeznaczeni, na wezwanie biskupów, do zakładania i kierowania seminarjami, po większéj części djecezji we Francji.

II. Jednak, pierwsze seminarjum djecezjalne w całéj ścisłości tego nazwania, pierwsze seminarjum dla kleru świeckiego, było założone dopiero późniéj w Annecy w roku 1641.

Już w 1638 r. kommandor de Sillery, za natchnieniem Wincentego, postarał się o missje dla pasterzy i ludu w swém kommandorstwie w Troyes. Chcąc dojść aż do źródła, postanowił założyć w domu kawalerów maltańskich w Paryżu, rodzaj seminarjum, w którémby kształcono proboszczy i zakonników dla maltańskiego zakonu. Gdy projekt ten nie udał się, kommandor zwrócił się do innych fundacji, z których jedna z główniejszych miała za stolicę Annecy i djecezją Genewską.

Ale Wincenty rozpoczął swe dzieło w Annecy, nie czekając na jego dary. Od 1637 r. posłał swych księży do téj zwykłéj rezydencji biskupów Genewskich. Biskup Justyn Guérin, godny następca świętego Franciszka Salezego, zaraz chciał ich użyć do kształcenia dobrych duchownych, równie jak i do uświątobliwienia ludu. Prędko urządzono porządek missji w Annecy i po wsiach, ale więcéj zastanawiać się musiano nad urządzeniem seminarjum. Czy iść za planem soboru trydenckiego i przyjmować tylko młode dzieci? Ra-

dzono się Wincentego, który odpowiedział 6-go lutego 1641 r., że seminarja w których zamierzono kształcić duchownych prawie od dzieciństwa, nie udały się. Justyn Guérin nie uważał za potrzebne ponawiać doświadczenie, i przeznaczył swe seminarjum wyłącznie dla kleryków, którzy pokończyli już nauki szkolne, a nawet niektórzy filozofję.

Seminarjum to, widocznie należące do tak nazwanych wielkich, zostało otwarte i wprowadzone w życie zaraz w początku tegoż roku 1641; może nawet zaczęto próbę w 1640 roku. Pokazuje się to z wielu listów Wincentego, który mówi jeszcze o innem seminarjum pod przewodnictwem misjonarzy w Alet, trzeciém które zamierzał biskup z Saintes, ale założoném dopiero w 1644, nareszcie o seminarjum które miał urządzić w kolegjum des Bons-Enfants. Niesłusznie więc, jak się pokazuje z porównania dat, seminarjum w Vaugirard, przeniesione wkrótce do parafji św. Sulpicjusza w Paryżu, nazwaném zostało pierwszém wielkiém seminarjum we Francji. Jak tylko Wincenty zaczął dzieło seminarjów, zaraz postawił je na czele dzieł swego zgromadzenia, łącznie z dziełem missji, i zarówno usiłował je rozszerzać. Przekonany odtąd własném doświadczeniem o niepraktyczności seminarjów dla młodych dzieci, a potrzebie zakładania domów, gdzieby klerycy mogli się sposobić do przyjmowania wyższych święceń, mówił o tém z kardynałem Richelieu, który z ochotą zgodził się, żywo zachęcił do wykonania i dał tysiąc talarów wsparcia. Pieniądze te użyte zostały w lutym 1642 r., na utrzymanie dwunastu seminarystów, których przyjęto do kolegjum des Bons-Enfants.— Do tego zawiązku i liczby świętéj, wybranéj widocznie na pamiątkę pierwszego seminarjum chrześcjańskiego, seminarjum apostolskiego, przybyło wkrótce wielu innych kleryków, z których niektórzy obowiązali się płacić pensją, a inni, daleko liczniejsi, utrzymywani byli za pomocą jałmużn, albo kosztem zgromadzenia; a gdy arcybiskup paryzki dał swe

zatwierdzenie, seminarjum stanowczo zostało założoném. — W kilka lat, liczba seminarystów tak się zwiększyła, że dom nie mógł już ich pomieścić i Wincenty musiał odłączyć młodych humanistów, których przeniósł w obręb domu świętego Łazarza, do domu który nazwał seminarjum św. Karola. Tym więc sposobem, pierwszy także połączył małe i wielkie seminarja: dwa dzieła opowiadające sobie i które dopełniają się wzajemnie.

III. Zaledwo seminarjum w kolegjum des Bons-Enfants zostało założoném, Wincenty napisał dla niego regułę pełną ducha kapłańskiego. Reguła ta, tak pod względem nauk, jak ćwiczeń pobożnych i porządku dziennego, służyła za wzór dla wszystkich seminarjów zgromadzenia, i dotąd jeszcze w swéj treści służy za wzór dla wszystkich seminarjów we Francji. Co do nauki, wymaga jéj, i bezwątpienia wiele, ale nauki bez przesady u nauczyciela, bez zbytniéj ciekawości u ucznia; nauki praktycznéj, gruntownie ale po prostu i elementarnie wykładanéj. Dla tego przepisał nauczanie z dzieł drukowanych, a nie przepisywanego wykładu, bo system ten i łatwiejszy i pewniejszy tak dla nauczycieli jak uczniów.

Takiemi były zasady Wincentego co do wychowania duchownego. Znacznego wymagał czasu do wpojenia ich młodym klerykom; roku przynajmniéj przed przyjęciem wyższych święceń. Czas ten, zaledwo zdał mu się wystarczającym dla wprawienia ich do modlitwy, o któréj mówił: „Czem szpada dla żołnierza, tém modlitwa dla poświęcających się na służbę ołtarza“. Chciał, aby nie uwalniano od seminarjum nikogo, pragnącego przyjąć święcenia, jakkolwiek byłby zdolnym i cnotliwym; a szczególniéj jakiego kolwiek byłby urodzenia i godności otrzymanych spadkiem w świątnicy. Cnotliwi i zdolni, mogli jeszcze w dobrém seminarjum róść w naukę i cnotę; znakomici urodzeniem i bogaci w beneficja, budować będą innych przez swą po-

korę i posłuszeństwo. Wreszcie, stanowiąc regułę jeneralną, zasłaniano się przed natręctwem, i nabywano prawa oparcia się wszelkim naleganiom.

IV. I tu jeszcze, Wincenty pamiętał o przydaniu do reguł, — martwéj litery — swego ożywczego słowa. W miarę zwiększania się liczby seminarjów zgromadzenia, mnożył także zachęty, chcąc ich umocnić przeciw nadmiarowi pracy i obawie, aby seminarja nie szkodziły dziełu missji. Synowie jego, zagrzani słowy Wincentego, gotowi byli nie tylko kierować nadal seminarjami w kolegjum des Bons-Enfants i u świętego Łazarza, ale zakładać i przewodniczyć im w wielu djecezjach we Francji i za granicą. Bo, po pierwszych szczęśliwych próbach Wincentego i Oliera zbudziło się między biskupami święte współzawodnictwo wzbogacania swych djecezji tak użytecznemi zakładami. Tak więc, powoli powstały seminarja w Cahors, Saintes, Mans, Saint-Méen, Tréguier i tyle innych za życia i po śmierci świętego Wincentego, aż do rewolucji: razem pięćdziesiąt cztery wielkich i dziewięć małych, to jest, prawie połowa domów wychowania duchownego we Francji. Owoce ich wszędzie i zawsze były zadziwiające. Lud stał się lepiéj oświeconym, bo system kazań gruntowny a prosty, wskazany młodym duchownym, zwiększał liczbę katechetów i kaznodziei. Odtąd księża nauczali także przykładem. Nosili sutannę i powierzchowność cała jak i zwyczaje stały się duchownemi. Uświęcając innych, sami się uświęcali przez modlitwę i naukę, gorliwość o zbawienie dusz i bezinteresowność. Ci, którzy się ukształcili w seminarjum, umieli natchnąć swym duchem księży po wsiach, i zachęcali ich do zbierania się co tydzień na konferencje duchowne, a w wigilje świąt, dla wprawy w świętych ceremonjach. Wpływem jedynie przykładu, nie działając nawet bezpośrednio, nawracali swych współbraci, którzy choć niekiedy o dwadzieścia mil odlegli, przybywali do se-

minarjum na rekolekcje, a powracali z zamiarem naprawienia swych zgorszeń i zbudowania swych parafjan.

V. Widzimy, że wpływ seminarjów rozszerzył się nawet do księży, wyświęconych przed ich założeniem. Wincenty zresztą, chcąc dopełnić swe dzieło uświęcenia kleru, postarał się o rozmnożenie małych stowarzyszeń kapłanów, czyli seminarjów księży, stowarzyszeń, które powstały z właściwych seminarjów i rządziły się pewną regułą. Nadto, w kolegjum des Bons-Enfants dał mieszkanie wielu bardzo kapłanom. Między mnóstwem duchownych, których nauka, ambicja, interesa, ciekawość, a niekiedy swawola ściągały do Paryża, wiedział o wielu takich, którzy dla ubóstwa zmuszeni byli mieszkać po oberżach, z wielkiém niebezpieczeństwem cnoty i godności. Dla utrzymania życia, chodzili od kościoła do kościoła, żebrząc o stypendja mszalne, które odprawiali bez przygotowania, pobożności, a nawet bez znajomości ceremonji. Niektórzy żebrali publicznie jałmużny, nużyli miłosierdzie ludzkie i poniżali stan kapłański. Wincenty umieścił ich w części kolegjum opróżnionego po przeniesieniu młodych kleryków do seminarjum św. Karola. Przyjął ich aż czterdziestu na raz; a oczekując, aż by byli w stanie służyć po parafjach albo otrzymać jakie zajęcie od swych biskupów, zajął się utrzymaniem ich, przestając na zbyt niedostatecznym stypendjum mszalném, jako zapłacie za wyżywienie ich; a i z tego jeszcze zwyczajnie oddawał im cząstkę. Aby zaś nie potrzebowali biegać nieprzyzwoicie po kościołach, ułożył się z kapitułą kościoła Notre-Dame, która pozwoliła na ten cel katedrę i oznaczyła godziny.

Dzięki takiemu miłosierdziu i duchowéj jałmużnie, księża ci wyszli ze stanu nieumiejętności i nierządu, i w ten sposób nagrodzili Wincentemu jego ofiary. Ale ofiary te ciężkie były dla zgromadzenia, szczególniéj w latach tak trudnych. Prócz zwykłych wydatków na utrzymanie i żywność,

znalazły się wyjątkowe, które Wincenty zawsze z ochotą podejmował. Jeśli zachorował z nich który, Wincenty żądał, aby zaopatrzono wszystkie jego potrzeby, a nawet, choćby i najkosztowniejsze kaprysy; i jak długo trwała choroba, choćby i lata całe, jeśli zaciągnął jakie obowiązki, zastępować je kazał, aby go nie pozbawiać zwyklego dochodu. Gdy wyjeżdżać mieli, zajmował się ich pakunkiem, i dodawał zawsze trochę pieniędzy na drogę.

Dodajmy, że jego pełne dobroci przyjęcie i niezmordowana miłość ściągała mu zewsząd, nietylko z prowincji ale i z zagranicy mnóstwo biednych księży, których mieścił już to w Kollegjum des Bons Enfants, już u św. Łazarza. Charakter kapłański i ubóstwo dostatecznym były dlań powodem do przyjęcia ich. Jeśli przybyli za interesami do Paryża, nie szukali już innéj gospody; mając tam jaką sprawę, posyłali swych pełnomocników, którzy zostawali w domu Wincentego niekiedy i rok cały; jeśli nie mieli sukni duchownych, udawali się do wielkiego magazynu świętego Łazarza, który im dostarczał sutanny i inne ubrania, płacąc niejako za nie, bo w pace znajdowali jeszcze trochę pieniędzy na swe utrzymanie.

Najczęściéj okazywali wdzięczność; ale nawet niewdzięczność niektórych nie mogła znużyć miłosierdzia Wincentego, ani skłonić do słusznych wymówek.

Raz, pewien nieznajomy duchowny bardzo biednie ubrany, przyjętym został na noc do świętego Łazarza. Nazajutrz rano za całą wdzięczność i pożegnanie ukradł sutannę i płaszcz. Chciano biedz za nim. „Nie, nie, rzekł Wincenty, nieszczęśliwy, bardzo musiał ich potrzebować, kiedy się posunął do takiéj ostateczności. Jednak, jeśli chcecie go gonić, to dobrze; ale nietylko nie odbierajcie tego co zabrał, ale zanieście jeszcze to, czego mu brakowało.“

Seminarjum w kollegjum des Bons Enfants przetrwało tak aż do rewolucji, to jest, dopóki pod imieniem świętego

Firmina nie posłużyło za widownię najokropniejszych morderstw wrześniowych. Tak zbroczoną została we krwi kolebka kapłanów Wincentego à Paulo i pierwsze jego seminarjum. Dziś Zgromadzenie Missji znów rozpoczęło, choć w mniejszych rozmiarach, dzieło wychowania duchownych. Obecnie kieruje piętnastu wielkiemi i trzema małemi seminarjami, mniéj jak trzecią częścią tego, co posiadało przed rewolucją.

Ale dzieło świętego Wincentego byłoby dokonaném nawet bez téj współczesnéj nam pracy. Dzięki jemu i innym, którzy poszli w jego ślady, nie było djecezji, gdzieby nie istniały dwa albo trzy tak pożyteczne zakłady. Dzieło pożyteczne, w rzeczy saméj, i tak konieczne do wychowania i do uwiecznienia kapłaństwa, że nie pojmujemy, szczególniéj we Francji, jak mogło tak długo czekać na *fiat* biednego kapłana. Zresztą jedna to z cech dzieł Wincentego: mają w sobie piękność znamionującą wszystkie dzieła chrześcjańskie, a także pożytek i potrzebę; ztąd niewzruszona ich trwałość. Co do seminarjów, które łączą tak w miarę życie świeckie i zakonne, godzą naukę z pobożnością i karnością, im kościół francuzki winien swą naukę i cnoty, a kler tę zdolność do sprawowania świętych obowiązków, i tę przyzwoitość obyczajów, która podziw budzi w świecie katolickim.

Kler ten, tylą starań i instytucji ukształcony, trzeba było ubezpieczyć. nie przeciw światu i namiętnościom, bo pomoc taką miał już w konferencjach i rekollekcjach duchownych, ale przeciw błędowi; przeciw błędowi niebezpieczniejszemu dlań jeszcze od protestantyzmu, przeciw błędowi zrodzonemu jak wszystkie inne, z niego, ale chcącemu trwać w nim upornie, pozostać jak robak żywiący się najczystszą jego substancją; pragnącemu stać się światowym, wejść w modę, nie przestając być duchownym i zakonnym: przeciw jansenizmowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Święty Wincenty à Paulo i Jansenizm.

I.

Święty Wincenty à Paulo i Saint-Cyran.

I. Pierwsze ich stosunki. — II. Rozmowy; sekciarz. — III. Proces Saint-Cyrana. — IV. Prawdomówność Abellego. — V. Śmierć Saint-Cyrana.

I. Jansenizm wprowadzonym został do Francji przez Jana du Verger de Hauranne, znanego w historji pod imieniem opata de Saint-Cyran. Pukając do furty wszystkich zgromadzeń zakonnych, a nawet Oratorjanów i Towarzystwa X. Bourdoise, Saint-Cyran założył wreszcie w Port-Royal główną kwaterę swéj sekty. Ochotnieby był pragnął dostać się także do świętego Łazarza; Zgromadzenie świętego Wincentego z każdym dniem rosło i zaczynało się rozszerzać po całém królestwie. Jakaż korzyść, gdyby można wśliznąć się tam i uczynić z Missjonarzy tyluż apostołów, którzyby roznieśli Ewangelję heretycką po wsiach i miastach, między ludy i kapłanów! Saint-Cyran postanowił dokazać swego za jakąbądź cenę, choćby i sumienie swe poświęcić, bo, jak mówili Janseniści, niemało byłby oddał posług Missjonarzom, a to przecież sprzeczne było z jego zasadami. Jakkolwiekbądź, zawczasu wszedł w stosunki z Wincentym. Wiemy, jak chętnie święty przyjmował dobrych księży, jak wyszukiwał wszystkich, których uważał za zdolnych do służenia kościołowi, a w początkach udało się Saint-Cyranowi

zjednać sobie wielką sławę z cnoty i nauki. Prędko jednak, już w czasie najbliższych z nim stosunków, Wincenty prostym swym i praktycznym umysłem dostrzegł w Saint-Cyranie osobliwszą na pozór nieczynność, umyślne osamotnianie się, i oświadczył mu zdziwienie, że zostaje tak bezczynnym. Ale Saint-Cyran podwoił usiłowań dla zyskania go. Pobudzała go do tego grzeczność i przywiązanie coraz większe, jakie mu okazywał święty kapłan, i wpływ coraz większy, jaki zdało mu się że wywiera na jego umysł. Wincenty, zawsze więcéj ceniący innych, niźli swoje zdanie, a szczególniéj ludzi, którzy zdali się mu mówić w interesie kościoła, olśniony wreszcie czczym połyskiem nauki, ochotnie słuchał zręcznego i surowego reformatora, który mówił z nim jedynie o potrzebie doprowadzenia kleru i chrystjanizmu do czystości czasów pierwotnych. Jak tylko Saint Cyran osądził, że już go podbił i stał się panem téj prostéj i ufnéj duszy, zrzucił maskę i odkrył potrochu swe baterje. Codzień coraz jaśniéj mówił, stosując natarcie do postępu, jaki sądził że czyni. Już jednak łatwo rozbudzona wiara Wincentego stała na straży, i gdy Saint-Cyran silniéj napadać począł, odparto go ze stratą!

II. Raz, naprowadził rozmowę na jeden artykuł symbolu kalwińskiego, i zaczął go bronić. „Tak myślisz, mości księże? przerwał Wincenty. — Bez wątpienia, odparł Saint-Cyran, Kalwin nie miał tak złéj sprawy, tylko źle jéj bronił.“ I zaczął daléj dowodzić.— „Mości księże, zadaleko się posuwasz, rzekł jeszcze Wincenty, starając się go wstrzymać. Nauka ta została potępioną na świętym Soborze trydenckim. — Sobór trydencki! odpowiedział Saint-Cyran z pogardą i gniewem, proszę mi o nim nie mówić! Był to Sobór Papieża i scholastyków, same zabiegi i intrygi.“

Sobór scholastyków! Saint-Cyran wszystko w tém wypowiedział, tak głęboko pogardzał scholastyką i jéj dok-

torami. Łatwo pojąć przerażenie pokornego Wincentego na widok takiéj pychy; nawet o dwa wieki odległości zdaje nam się, że widzimy jeszcze przerażenie tego człowieka, tak głęboko uległego postanowieniom Kościoła, wobec tak zuchwale wyrażonego buntu. Bezwątpienia, wiara jego była oświeconą, — i niejeden da nam tego dowód, — ale przedewszystkiém, jako wiara prawdziwa, była czystą i prostą, opartą na słowie Bożém i postanowieniach Kościoła, a nie na własnym sądzie i protestanckim krytycyzmie. Wiara taka zadrżeć musiała zetknąwszy się z zarozumiałém rozprawianiem Saint-Cyrana. Postanowił więc być oględniejszym w stosunkach z nim, i nie zrywając całkowicie, coraz rzadziéj i ostrożniéj z nim przestawać. Zanim zerwał zupełnie, chciał spróbować, czy mu się nie uda nawrócić sekciarza.

Raz, nawiedzając go spostrzegł, że był pogrążonym w czytaniu. Aby nie przerywać, pozostał kilka chwil nieruchomym i w milczeniu. Wkrótce Saint-Cyran podnosząc głowę i zwracając się ku niemu, rzekł: „Widzisz, księże Wincenty, co czytam? Pismo święte. Bóg daje mi doskonałe jego zrozumienie. To téż śmiem mówić, że jeszcze jaśniejszém jest w umyśle moim, jak w rzeczy saméj.“

Drugą razą, Wincenty odprawiwszy Mszę św. w kościele Notre Dame, zamierzył znów odwiedzić Saint-Cyrana, który niedaleko ztamtąd mieszkał w klasztorze. Opat był zamknięty w swoim gabinecie, zkąd wyszedł wkrótce z promieniejącą twarzą. „Założyłbym się, mości księże, rzekł do niego, uśmiechając się pełen miłości święty, żeś pisał, co ci Bóg natchnął dziś rano na modlitwie. — To prawda, odrzekł opat w uniesieniu; przyznaję, że Bóg dał mi i daje wielkie światło. Dał mi poznać, że nie ma już Kościoła. — Nie ma Kościoła, mości księże! — Nie, nie ma już Kościoła. Bóg dał mi poznać, że już pięćset albo sześćset lat jak nie ma kościoła. Przedtém, kościół był jakby wielka

rzeka tocząca czyste wody, ale teraz, to co się nam wydaje Kościołem, jest tylko błotem. Łożysko téj pięknéj rzeki pozostało, ale już to nie te same wody. — Jak to! mości księże, więc wolisz wierzyć swéj osobistéj opinji, jak słowom Chrystusa Pana, który rzekł, że zbuduje Kościół swój na opoce, a bramy piekielne nie zwyciężą go? Kościół jest oblubienicą Jego, i nigdy go nie opuści. — To prawda, że Jezus Chrystus zbudował Kościół swój na opoce, ale jest czas budowania i czas niszczenia. Był oblubienicą Jego, ale teraz jest cudzołożnicą i rozpustnicą, i dlatego wyrzekł się jéj i chce na jéj miejscu postawić inną, która mu pozostanie wierną. — Wierz mi mości księże, odrzekł tylko święty zasmucony, nie ufaj własnemu rozumowi, który poddaje ci uczucia bardzo dalekie od szacunku należnego Kościołowi. — Ale ty sam, mości księże, który tak dobrze mówisz, odparł kwaśno Saint-Cyran, wieszże chociaż, co to jest Kościół? — Kościół, mości księże, jak nas tego uczy katechizm dla dzieci, jest zebranie wiernych pod zwierzchnictwem najświętszego Ojca Papieża i prawych pasterzy. — Ba! ba! sam pan nie wiesz, co mówisz. — Ale to mowa samego Kościoła! — Jesteś pan nieukiem; nietylko nie zasługujesz być na czele swego zgromadzenia, ale raczéj zasługujesz na wygnanie zeń; wielce się dziwię, że cię w niém cierpią. — Niestety! mości księże, ja jeszcze więcéj jak pan dziwię się temu, bom większy jeszcze nieuk jak się wam zdaje, i jeśliby mię słusznie oceniono, niezawodnie wygnanoby mię ze świętego Łazarza.“

N i e r o z u m n y, n i e u k j e s t e ś, oto ostatnie słowo Saint-Cyrana i wszystkich tych pysznych sekciarzy, rzucane swym przeciwnikom, a przez to zamykali im usta i kończyli rozprawę. Wincenty jednak ciągle miał ten przywilej, jeśli nie monopol, że go znieważał Saint-Cyran i jego stronnictwo. Nie uczynimy téj krzywdy jego pamięci, wiekowi, który go uwielbiał i Kościołowi, który go świętym ogłosił,

w części i za jego oświeconą gorliwość przeciw błędowi, żebyśmy zbijać mieli te niecne oskarżenia. Ze zniewag tych, które wzmiankujemy jako tyleż pochwał, pokazuje się zawsze, że Wincenty występował przeciw Jansenizmowi jeśli nie z nauką, to przynajmniéj ze szczerą gorliwością, przekonaniem głębokiém i z całą usilnością. Zobaczymy także, że nauka jego równała się gorliwości. Ale do nauki i gorliwości przyłączył aż do końca miłość. Po ostatniéj rozmowie dopiero co wzmiankowanéj, Wincenty oddalił się od dumnego sekciarza i prawie zupełnie z nim zerwał. Chciał jednak wszelkich środków użyć, by go zatrzymać na brzegu przepaści i zamknąć otchłań przed tymi, którzy wpadliby w nią może za jego przykładem. Tak usposobiony, dowiedział się, że Saint-Cyran miał przedsięwziąć podróż do swego opactwa. Skorzystał z téj sposobności i pod pozorem pożegnawczéj wizyty udał się do mieszkania jego, niedaleko od Luxemburga i Port-Royal. Po przygotowaniu go do łaskawego przyjęcia swych uwag, mówić mu zaczął o obowiązku poddania się pod sąd Kościoła i szanowania postanowień Soboru trydenckiego. Następnie, przytaczając jego zdania poprzednio przywiedzione, pokazał mu, że były przeciwne nauce katolickiéj. „Jesteś pan zgubionym, rzekł mu nakoniec, jeśli nadal brnąć zechcesz w tym labiryncie błędu. Zresztą, sam tylko w nim zginiesz; a przynajmniéj ani Zgromadzenie moje, ani ja nie pójdziemy za panem.“ Zagrzany zapałem i miłością, święty ożywił się powoli, i ku końcowi rozmowy z taką mówił siłą i gruntownością, że Saint-Cyran zamilkł i nic na to odpowiedzieć nie umiał.

Saint-Cyran wyjechał do Poitou, i w miesiąc albo dwa potém napisał do Wincentego list zawiły i dziki, pełen żalów i ciemności, w którym mówił o czterech punktach nauki, o któréj Wincenty rozmawiał z nim w czasie ostatniéj swéj bytności, i starał się co do nich usprawiedliwić. Wincenty, jak mówią Janseniści, nie odpowiedział na list

ten, ale, zaledwie Saint-Cyran powrócił do Paryża, poszedł mu zań podziękować, i okazywał mu nadal przy każdéj sposobności przychylność swą i szacunek. — To tylko pewna, że zachował dawną swą ostrożność względem sekciarza.

III. Prawie zaraz potém, 14go maja 1638, Saint-Cyran został uwięzionym na rozkaz króla, a raczéj Richelieu'go, i zaprowadzonym do wieży w Vincennes. Obszernie a różnie rozwodzono się nad prawdziwemi powodami tego uwięzienia; znajomość charakteru Richeliego i Saint-Cyrana najlepiéj nam je objaśnia: pierwszy nie mógł znosić, aby ktokolwiek podniósł się przeciw powadze Kościoła i państwa, drugiego charakter jeszcze był despotyczniejszy i zaborczy; były to dwie współzawodniczące sobie potęgi, które razem istnieć nie mogły.

Jak tylko wzięto Saint-Cyrana do Vincennes, chciano zaraz uchwycić wszystkie jego papiery, aby w nich znaleść dowód przeciw niemu. Wiele ich w rzeczy saméj wpadło w ręce gwardzistów Richeliego, ale większa część znikła. Dosyć jednak zabrali, by uczynić więcéj jak podejrzaną naukę Saint-Cyrana, i usprawiedliwić opisy historyków świętego Wincentego. Rozmaicie opisują proces Saint-Cyrana. Badano szesnastu świadków, i wszystkie ich zeznania stanowczo go potępiają. Badanie oskarżonego, przywiedzione przez samych Jansenistów, widocznie przeciw niemu się obraca. Był naprzód badanym przez Laubardemont, ale jako przed sędzią świeckim nie chciał odpowiadać, następnie przez doktora Lescot, spowiednika Richeliego, późniéj biskupa z Chartres. Cztery punkta zawarte w liście do Wincentego, i drugi list pisany przez zakonnicę z Poitiers, w którym też błędy się znajdowały, stanowiły podstawę badania. Jaką rolę grał w tym procesie Wincenty? Jeśli to prawda, co mówi ksiądz de Barcos siostrzeniec Saint-Cyrana, jak tylko Wincenty dowiedział się o uwięzieniu sek-

ciarza, oświadczył swe współczucie samemuż Barcosowi i udzielił mu roztropne rady dla przesłania ich oskarżonemu. Skoro Saint-Cyran otrzymał pozwolenie widzenia swych przyjaciół w Vincennes, Wincenty jeden z pierwszych go odwiedził, toż samo uczynił przy uwolnieniu go. Pytany przez Laubardemont z woli Richeliego, oddał świadectwo niewinności swego przyjaciela i usunął szkodliwe mniemania, jakie mogłyby powstać z niektórych jego wyrazów. Sam Richelieu badał go, i również nic nie mógł wyprowadzić przeciw oskarzonemu, wreszcie, przed Lescotem odpowiedzi jego niemniéj były przychylne.

Wincenty à Paulo był rzeczywiście badanym przez Richelieu'go, a dla dobra Kościoła pierwszy raz odkrył zasady i plany reformatora; ale w materji kościelnéj nie chciał odpowiadać przed świeckim sędzią Laubardemont. Niezawodnie nie stawał przed doktorem Lescot, bo akta procesu żadnéj o tém wzmianki nie czynią. Zbyt jest jasném, że nie można uważać za prawdziwe mniemane zeznanie, ogłoszone pierwszy raz w 1730 przez Colberta biskupa z Montpellier, jednego z czterech biskupów apelujących; dziwny to dokument, niewiadomo zkąd wyjęty, ogłoszony przez podejrzane ręce, nieznany wszystkim, przyjaciołom i nieprzyjaciołom przez cały wiek blizko, który sami tylko Janseniści widzieli, przechowywany przez nich z zazdrosną starannością, a upornie odmawiany badaniom katolików; dowód wreszcie, którego natury i charakteru niepodobna określić.

IV. Chcąc dowieść autentyczności tego dokumentu, trzebaby albo zaprzeczyć prawdomówności opisu Abellego, albo utrzymywać, że Wincenty, oszukany z początku przez nieprzyjaciół Saint-Cyrana, powrócił mu potém dawny szacunek wskutek otrzymanych od niego objaśnień. Niepodobna zaś przeczyć opisu Abellego; Barcos usiłował to uczy-

nić, ale nie mógł. Zkądinąd wszystko dowodzi, że Wincenty nie zmienił swego nieprzychylnego sądu o Saint-Cyranie; wszystko, i nauki jego do Zgromadzenia, i wiele listów, które napisał do Rzymu, mianowicie dwa do jednego ze swych kapłanów, księdza d'Horgny, przechylającego się ku nowym opinjom; listy tak przekonywające, że szczególny kładziemy na nie nacisk, bo w nich widać ojca, piszącego w zaufaniu do syna w niebezpieczeństwie, i odkrywającego mu z prostotą serce i duszę całą. W listach tych zaś czytamy prawie dosłownie główne punkta rozmów wyżéj przytoczonych świętego z sekciarzem.

Czyż więc Wincenty nigdy nie zmienił swego zdania o Saint-Cyranie? Nie, bezwątpienia, zmienił i bardzo: od zaufania przeszedł do przerażenia, od szacunku jego nauki i obyczajów do pogardy, nie osoby, ale nauki i postępowania. Doszedłszy raz do tego, pozostał już przy swém przekonaniu, zmienił się tylko w zachowaniu się nazewnątrz i publicznie. Jeśli nie oskarżył wcześniéj sekciarza, to dlatego naprzód, że miłość źle nie myśli, jak mówi św. Paweł, a także przez posłuszeństwo przykazaniu ewangelicznemu, które zaleca upomnieć przekraczającego brata na osobności, zanim doniesiemy go Kościołowi. Zresztą, w początkach widział w słowach Saint-Cyrana tylko brednie pojedynczego człowieka, a nie manifest naczelnika sekty. Projekt i istnienie sekty było jeszcze wtedy tajemnicą dla wszystkich, a szczególniéj dla Wincentego. Ale, gdy szmer powstał na *Augustyna* Jansenjusza, gdy pokazała się książka Arnaulda *O częstéj Kommunji*, a niepokój i spory wcisnęły się do Kościoła i państwa, do szkół i zgromadzeń zakonnych, dojrzał wtedy całą doniosłość zwierzań Saint-Cyrana i usiłowań czynionych na zwiedzenie jego i Zgromadzenia. Wiara jego przelękła się i natychmiast postanowił wszelkich środków użyć dla uchronienia siebie

i swoich, a zarazem skłonić Papieża i biskupów do stawienia przeciw błędowi tamy powagi i kar kościelnych.

V. Ale, zanim przejdziemy do téj części jego historji, jeszcze o paru faktach uczyńmy wzmiankę.

Saint-Cyran z więzienia w Vincennes kierował ciągle swém stronnictwem. Pisał mnóstwo listów, licznych swych gości przygotowywał na przyjęcie książki, którą kładł bezpośrednio „po świętym Pawle i świętym Augustynie“ i którą nazywał „książką do nabożeństwa tych ostatnich czasów.“ Książka ta wyszła w 1640, jest to on sławny *Augustinus*, księga pośmiertna, sierota przy urodzeniu, ale miała znaleść niemało matek, niemało przybranych *ojców*, a także kolebkę i sławę oddawna przygotowaną. Zaledwo książka ta pokazała się we Francji, Saint-Cyran, który przecież znał ją oddawna, pragnął przeczytać ją w wiezieniu, i zaraz stał się jéj gorącym obrońcą. Po wyjściu z więzienia w lutym 1643, we dwa miesiące po śmierci Richeliego, na którą czekać musiał, odebrał bullę Urbana VIII potępiającą książkę *Augustinus*. Gdy przeczytał bullę zawołał: „To zawiele, trzeba im będzie przypomnieć ich obowiązek.“ Arnauld podjął się pomszczenia jéj, pisząc przeciw bulli, którą nazwał podstępną, nieważną i ogłaszając trzy apologje Jansenjusza. To dopiero radość dla Saint-Cyrana, że zostawiał po sobie takiego ucznia i tak silnego obrońcę prawdy! Doczekał jeszcze pociechy, widząc wydrukowaną w sierpniu 1643 książkę *O częstéj Kommunji*, którą natchnął i wzbudził w swéj wieży Vincennes, poczém umarł 11 października tegoż roku.

Prawdaż to, jak utrzymywał Barcos i Janseniści, że Wincenty à Paulo przybył, jeden z pierwszych, oddać umarłemu ostatnią posługę w jego mieszkaniu, kropiąc go wodą święconą? że znajdował się na pogrzebie? że następnie odwiedził samegoż Barcosa i oświadczył pragnienie utrzymy-

wania z nim przyjaźni, jaką miał dla jego wuja? że mu dał jéj dowód, wyrabiając dla niego w radzie duchownéj następstwo na opactwo Saint-Cyrana, i że sam zaniósł mu wiadomość o nominacji? — Wincenty z pewnością nie był na pogrzebie Saint-Cyrana. Może być, że poszedł pokropić wodą święconą trupa, — to odpowiadałoby dosyć jego miłosierdziu, — że odwiedził Barcosa, choćby dlatego tylko, by odwieść go od opinji jego wuja, a nawet, że w podobnym zamiarze, nie sprzeciwił się, a nawet, jeśli chcą koniecznie, i postarał o nominację jego na wakujące opactwo Saint-Cyrana, i to byłoby możebném. Jednak zdaje się, że wszystko w téj sprawie zrobiło wstawienie się Chavigniego, i że d'Andilly doniósł o pomyślnym skutku i przesłał nominację Barcosowi.

II.

Walka Wincentego przeciw Jansenizmowi.

I. Herezja *o dwóch głowach Kościoła* i *Częsta Kommunja*. — II. *Augustinus* i pięć propozycji; odwaga i roztropność Wincentego w walce. — III. Jego działanie bądź we Francji, bądź w Rzymie; pięć propozycji potępione.

I. Sekciarze nawet po śmierci swego patrjarchy nowe czynili usiłowania, żeby zjednać Wincentego, ale przez ogłoszenie swych dzieł sami się postarali, aby go od tego odwieść. W 1643 roku pokazała się, jak już powiedzieliśmy, książka *O częstéj Kommunji*. Niczego nie zaniedbano by uczynić z niéj broń groźną; opatrzono ją aprobacjami biskupów i rzucono przeciw nieprzyjacielowi. To prawda, że do potwierdzenia biskupom przedstawiono samo tylko dzieło, bez przedmowy Barcosa, w któréj głównie jad się zajduje, a jednak, przez tę przedmowę rozpoczęto atak; z jéj téż powodu także, Wincenty zaczął pu-

bliczną walkę przeciw błędowi. Barcos wcisnął do niéj tę propozycję: „Święty Piotr i święty Paweł są dwoma głowami Kościoła, które stanowią jedno.“ Znaczyło to obalić najwyższą władzę papiezką i monarchiczny rząd Kościoła. Propozyję tę oskarżono do Rzymu, gdzie Barcos posłał pisma i doktorów dla bronienia jéj. Wincenty, z pomocą Mazariniego, do którego udał się w téj sprawie, starał się o jéj potępienie, i w styczniu następnego roku propozycja o dwóch głowach została odrzuconą przez Stolicę Apostolską.

Wiele listów Wincentego dowodzi, że starał się w Rzymie zarazem o potępienie dzieła *O częstéj Kommunji*. Ale, tą razą, aprobacje biskupów, choć stronniczo udzielone lub otrzymane przez podstęp, ocaliły dzieło od klątwy. Wincenty jednak, który w pierwszéj zaraz chwili doskonale go osądził, tak dla wewnętrznéj wartości, jak i przez swe skutki, niczego nie zaniedbał dla ochronienia swoich Missjonarzy od tych ułudnych zasad. Tu należą dwa listy do X. D'Horgny, który usprawiedliwiał dzieło nadużyciem, jakie czynią przenajświętszéj Eucharystji, i dla dobrych skutków, jakie sądził, że dzieło to wywarło. Wincenty stawia mu przeciwny obraz i dowodzi, że dzieło to zmierza do zniesienia Kommunji i Mszy św., do oddalenia od ołtarza kapłanów i wiernych; że razem z Kommunją obala także spowiedź, co zniosłoby, jak tego pragną sekciarze, dwa najużywańsze u Chrześcjan sakramenta. Rzecz zadziwiająca prawdziwie, jak na pierwszy rzut oka umiał to wszystko odkryć w dziele Arnaulda.

Arnauld ze wszech stron napadnięty publicznie i prywatnie, chciał się usprawiedliwić, ale zamięszał się w nowe jeszcze błędy, nie uwolniwszy od pierwszych. Wiemy to jeszcze z ustępu Wincentego w pierwszym jego liście do X. d'Horgny, z którego i to się pokazuje, że najgorliwsi i najuczeńsi doktorowie zbierali się dla traktowania tych

kwestji u świętego Łazarza, który stał się przezto, dzięki świętemu kapłanowi, Sorboną, albo filją Sorbony prawowiernéj.

Sąd o książce Arnaulda, wstrzymany długo w Rzymie, podjęto znów po śmierci biskupów, którzy ją potwierdzili, i wydano nakoniec wyrok. Między propozycjami, potępionemi przez Alexandra VIII w 1690, znajdują się dwie, które są treścią i dokładném wyrażeniem opinji, tylko co zganionych przez Wincentego jako niekatolickie o spowiedzi i kommunji. W rzeczy saméj, o tych dwóch propozycjach można wyrzec to samo co Bossuet powiedział o pięciu propozycjach wyjętych z *Augustyna:* „Są one duszą książki, samą książką nawet“.

II. Wincenty à Paulo rozpoczął więc walkę równie rozumnie jak odważnie. Ale, jeśli książka „*O częstéj Kommunji*“ była manifestem stronnictwa i jego wypowiedzeniem wojny, *Augustinus* miał być jego fortecą: około tego to potężnego *in folio,* najsilniejsza miała nastąpić walka.

W 1649, Mikołaj Cornet, doktor z Navarry i nauczyciel Bossueta, dziekan fakultetu teologicznego, streścił tę książkę w pięciu propozycjach, które oskarżył do Sorbony: Niepodobieństwo przykazań bożych, wszechmocność łaski a niemożność woli; oto jéj treść, jeśli dodamy, że Chrystus nie za wszystkich ludzi umarł. Pięć propozycji, oskarżonych przez Corneta, przyjęto pod rozbiór na zebraniu Sorbony. Postanowiono większością głosów, zbadać je i wyznaczono komisarzy, którzy mieli zdać o nich raport. Ale, podczas tego badania, doktor Saint Amort podburzył sześćdziesięciu swych kolegów, którzy założyli apelacją do parlamentu, jak od nadużycia. Doktorowie katoliccy, widząc, że sprawę tego rodzaju chcą oddać trybunałowi świeckiemu, zamyślili wtedy odnieść się do Stolicy Apostolskiéj. Sądzili jednak, że właściwiéj by było, aby zebranie biskupów a nie prosty uni-

wersytet odwołał się do wyroku papieża. Niedługo właśnie zebrać się miało zgromadzenie jeneralne kleru. Biskupi zgromadzeni w 1650 mieli do wyboru: albo sądzić w pierwszéj instancji, wedle prawa przynajmniéj wyłącznego, jakie przyznawał sobie Kościół Gallikański, albo oddać sprawę pod sąd Stolicy świętéj. Nie można było spodziewać się wyroku wedle porządku prawa, bo rozprawy zajęły by i o wiele przeciągnęły czas przeznaczony na zebranie. Pozostawało więc odwołanie się do Papieża; i w rzeczy saméj, biskupi postanowili, za wspólną zgodą, napisać do niego. Ale słusznie obawiając się, aby parlament, wzwyczajony do mięszania się do wszystkiego, i zajmujący się już sprawą pięciu propozycji, nie zaprzeczył odniesienia się do Rzymu, jeśliby radzili nad tém na zebraniach publicznych; lękając się także stronnictw, które tak łatwo zaszczepić można na zebraniach, zdecydowali podpisać, każdy na osobności, wspólny list, napisany przez Haberta biskupa z Vabres. List ten ułożonym nawet został u świętego Łazarza, pod okiem Wincentego à Paulo. Znakomitsi biskupi na zebraniu, podpisali go natychmiast, każdy oddzielnie, i rozesłano jego kopje po prowincjach, dla otrzymania podpisów innych biskupów królestwa; rozesłano je nawet po zgromadzeniach zakonnych w Paryżu, bo chciano jakby jednomyślnéj zgody całego Kościoła francuzkiego, aby Ojciec święty, ze wszech stron proszony, nie odwlekał wydania wyroku.

Tu szczególniéj okazał swą gorliwość Wincenty à Paulo. Od wielu lat, więcéj jak ktokolwiek, walczył w obronie prawéj wiary przeciw błędowi jansenizmu. Jego urząd w radzie duchownéj, gruntowniejsza znajomość zamiarów autora nowych opinji, wielokrotne potępienie błędów które wznawiał, obawa wreszcie, by przez swe milczenie nie zdawał się ich potwierdzać: oto główne powody jego oporu, które rozwija w liście do księdza d'Horgny.

Oprócz tych powodów, z których niektóre mogłyby się stosować do każdéj herezji, miał jeszcze szczególne wzięte z nauki Jansenjusza. Wchodzi więc w szczegóły téj nauki, gruntownie okazując jéj fałszywość, i odpowiada na zarzuty swego korespondenta, który, przez sekretne upodobanie w niéj, nie chciał, by Zgromadzenie mięszało się do téj sprawy.

Z tak głębokiém przekonaniem i gorliwością, dobrowolnie i z osobistego natchnienia, Wincenty miał się poświęcić dla dobréj sprawy. Mówiono już o nim, że inni podsuwali mu myśli, dyktowali wyrazy, układali listy. Zupełnie przeciwnie pokazuje się z jego listów do ks. d'Horgny. W tych dwóch listach, najdłuższych, najściśléj rozumowanych, jakie kiedykolwiek napisał, pokazuje się samym sobą, zostawiony własnéj myśli, własnemu natchnieniu: mówi to i często powtarza. Co do nieumiejętności, o któréj bez ustanku wspomina, nie należy wierzyć mu na słowo. To, co pycha czyni u wielu, pokora sprawiała u tego człowieka, najpokorniejszego jaki był kiedy: zasłaniała przed nim jego rozum i naukę, tak samo jak cnotę. Napisano grube księgi o dziele o *częstéj Kommunji:* ale nic rozumniejszego, nic więcéj stanowczego, jak te kilka kartek Wincentego. Jak uważnie go czytał, jak dobrze pojął, samo w sobie i w jego następstwach! Jak od pierwszego wejrzenia i odrazu trafił, i palec położył niejako na punktach głównych, około których obraca się cała treść téj książki! a jego powody opierania się Jansenizmowi, jak dobrze wywiedzione! Jak gruntownie odróżnia jego zasady od zasad Kościoła, z któremi pomięszać je chciano! Jak niszczy czcze powody, które przytaczano by pomagać albo pobłażać błędowi! Jak obala fałszywe pobudki tego milczenia i téj bezwładności, jakiéj żądało stronnictwo w imię wszystkich cnót chrześcjańskich, aby swobodnie dopełnić swego dzieła zguby!

Bo uczył się więcéj jak myślano, z dzieł i na modlitwie. Wyznaje to przed X. d'Horgny. Ale daleko wcześniéj rozpoczął swe studja nad nowemi opinjami. Świadkiem, jego *kazanie o łasce,* pisane własną ręką, a prawdopodobnie dla nauki bądź Misjonarzy, bądź członków Konferencji świętego Łazarza. Bez wątpienia, Wincenty nie był doktorem z powołania. Dla innych, polemika, uczone pisma, sobie zachował działanie, ale działanie wolne i rozumne. Pod tym względem, nikt nie uczynił więcéj jak on przeciw Jansenizmowi.

III. Zamiarem jego, jakeśmy wyżéj już powiedzieli, było otrzymać jaknajwięcéj podpisów biskupich, na liście napisanym przez biskupa Haberta, aby go przedstawić w Rzymie, jako jednozgodny głos episkopatu francuzkiego. Gdy go podpisali biskupi obecni w Paryżu, i ci, z którymi był w ściślejszych stosunkach, napisał w tym zamiarze do innych list okólny. List ten przyjęto z całą względnością, jaką już oddawna zjednał sobie u biskupów. Prawie wszyscy odesłali mu podpisaną przez siebie kopję listu Haberta. Jednak, na niektórych nalegać musiał, a nawet bezskutecznie. Biskup z Luçon nie odpowiedział wcale. Wincenty, posłuszny rozkazowi Apostoła: „Nalegaj w czas, nie w czas; proś z wszelaką cierpliwością“, napisał do niego drugi raz 23 kwietnia 1651. W przeddzień otrzymał list od XX. Pavillon i de Caulet, biskupów z Alet i Pamiers. Dwaj ci biskupi nie mieli jeszcze innych z Jansenizmem stosunków, prócz skłonności, prawdziwéj i praktycznéj, ku surowym zasadom, głoszonym przez sektę. Porozumieli się z sobą, przed daniem odpowiedzi Wincentemu. Niezgodzili się na podpisanie listu do papieża, ale jedynie przez fałszywą miłość pokoju, bo również odmówili podpisów przeciwnéj propozycji jedenastu biskupów opponentów. Niewłaściwa neutralność, która na równéj linji kładzie prawdę i błąd, a która zbyt często praktykowana

była w XVII wieku przez niektórych z najświątobliwszych i największych biskupów, szczęśliwie służyła stronnictwu. Fałszywa miłość tego omylnego pokoju, który wielokrotnie dawano heretykom, a zawsze go gwałcili; pokoju, którym myśleli, że rozbroją przeciwników, a ci przeciwnie, uważali to za pozwolenie rozszerzania swobodnie i bez oporu swych zasad. Wincenty odpowiedział na powody przytoczone przez dwóch biskupów na korzyść téj niebezpiecznéj polityki. Jeśli ten drugi list nie wywarł na nich bezpośredniego i natychmiastowego wpływu, posłużył przynajmniéj do utrzymania ich jakiś czas w posłuszeństwie dekretom Stolicy świętéj. Ale, mimo téj cząstkowéj porażki, udały się Wincentemu zabiegi u wszystkich biskupów królestwa. W krótkim bardzo czasie, z radością widział list Haberta podpisany przez blisko 88miu biskupów, to jest, przez niezmierną większość episkopatu francuzkiego. Inni, albo milczeli, jak Pavillon i Caulet, albo napisali przeciwny list do papieża. Tych, jakeśmy tylko co wspomnieli, było jedenastu czy dwunastu; nawet wielu z nich, nie tyle broniło jansenizmu, jak ganiło sposób naradzania się, użyty przez swych kolegów.

Stronnictwo źle poparte przez episkopat, postanowiło bronić się samo w Rzymie. Mieli już tam swego ajenta; ale w tak trudném położeniu, sądzili, że potrzebuje pomocy, i posłali jeszcze trzech doktorów. Wincenty zaraz powiadomiony o ich wyjeździe, chciał przeciwstawić im trzech katolickich doktorów, i wsparty przez Oliera i de Bretonvilliers, którzy wspólnie z nim wzięli na siebie koszta podróży i pobytu w Rzymie, posłał Halliera, Joisela i Lagaulta, którzy sami się ofiarowali na spełnienie téj missji. Wszyscy trzej byli doktorami Sorbony, jedni z najzdolniejszych fakultetu, a nadto, żyjący w ścisłych z Wincentym stosunkach. Od niego też żądali instrukcji, i jemu zdać mieli sprawę ze swych czynności po powrocie. Wincenty ze swéj strony nic nie zaniedbał dla poparcia ich we Francji i we Wło-

szech. Otrzymał dla nich najprzód listy od Dworu, i polecił ich swym księżom zamieszkałym w Rzymie. A czas był żeby przybyli; innowierczy doktorowie, wedle wiekuistéj taktyki sekciarskiéj, usiłowali zwieść wszystkich. Nieprzestawali powtarzać, że nie byli wcale jansenistami, że stawali w obronie, nie Jansenjusza, ale łaski Jezusa Chrystusa; że zresztą jansenizm był widmem tylko. — Aby dobrze określić swe stanowisko i oznaczyć o co rzecz idzie, doktorowie katoliccy ze swéj strony oświadczyli, że walczą tylko przeciw Jansenjuszowi, który od dziesięciu lat czyni zamięszanie w kościele całym.

Sprawa stawała się trudną. Wincenty prosił o nowe listy od króla, o wstawienie się książąt krwi, a szczególniéj księcia Kondeusza. Ale zamięszania polityczne, w inną stronę zwróciły uwagę. Wincenty zachęcając i utrzymując posłanników w Rzymie, zajmował się w Paryżu rozbrajaniem gniewu Bożego i stronnictw modlitwą i wspieraniem okropnéj nędzy, zewsząd cisnącéj się do niego, jak do swéj opatrzności.

Posłannicy katoliccy, samym sobie zostawieni, nie opuścili rąk jednak. A potrzeba im było odwagi. Janseniści usiłowali odwlec tylko sprawę, i nadużywali zwykłéj powolności dworu rzymskiego, czekając na śmierć papieża, więcéj jak ośmdziesiątletniego. Chcąc do ostateczności doprowadzić wysłańców katolickich, zmęczonych już długim i kosztownym pobytem, drażnili ich swém sprzeciwianiem się i potwarzami, dokuczaniem i kłamstwami. Taką to była pobożność i surowość zasad stronnictwa! I jeszcze bezczelnie udawali się za ofiary; skarżyli się, że nie chcą ich wysłuchać, że nie przyjmują ich tłumaczeń, i t. d. Nowe kłamstwa! Ale nic nie znużyło odwagi i cierpliwości katolików, gotowych, jak pisali do Wincentego à Paulo, na przelanie krwi za dobrą sprawę. Dzięki Bogu, nic także nie znużyło stałości starego papieża Innocentego X^go. Wincenty, dowie-

dziawszy się o tém, dziękował Bogu i błogosławił wiernych posłanników.

Sprawa zbliżała się do końca, gdy janseniści paryzcy, powiadomieni o blizkiéj swéj porażce, posłali do Rzymu nowych posłów, między którymi był sławny O. Des Mares, najgroźniejszy szermierz sekty, na którym oparli całe swe nadzieje. Ale Innocenty X[ty] oparł się znowu ich odwłokom, i wezwał jedynie do przedstawienia swych opinji w obec ogólnego zebrania kardynałów. O. Des Mares rozwinął całą wymowę. Jego mowa cały dzień trwająca, była tylko gadaniną bez końca. Innocenty X[ty] dosyć miał tego, i niepozwolił na drugie posłuchanie. Poznawszy zamiar stronnictwa, postanowił raz skończyć. Pewnego poranku, poleciwszy się Bogu, wezwał sekretarza i podyktował mu od jednego razu bullę *Cum occasione,* potępiającą pięć propozycji.

III.

Wincenty i Janseniści po Bulli.

I. Postępowanie Wincentego; *fakt* i *prawo*. — II. Program postępowania stałego i pełnego miłości, użytego tak względem zgromadzenia jak i obcych. — III. Prawowierność zgromadzenia Missji po śmierci Wincentego; szkodliwy wpływ Jansenizmu.

I. Jak tylko bulla przybyła do Paryża, Wincenty, pełen wdzięczności i świętéj radości, zaczął od złożenia sam i przez innych podziękowania Bogu. Napisał zarazem do swych księży, zbyt odległych od stolicy, aby mogli dowiedzieć się o niéj jak najprędzéj; napisał także do biskupów, których skłonił do podpisania listu do Stolicy apostolskiéj.

Pełen gorliwości przeciw błędowi, ale i miłości ku osobom, starał się niedopuścić, aby zwycięzcy występowali z tą trjumfującą miną, boleśniejszą dla zwyciężonych od saméj porażki, a rozbudzającą tylko wojnę. Dla tego, udał

się do doktorów, do przełożonych zakonów, i zaklinał ich, aby się przyczynili do zjednoczenia umysłów, zachowując jaknajwiększe umiarkowanie w mowach tak publicznych jak prywatnych, i uprzedzali w grzeczności i przyjaźni tych, którzy utrzymywali zdanie potępione. Odwiedził nawet uczniów Saint-Cyrana, którzy usunęli się do Port-Royal. Przepędził kilka godzin z nimi, winszował im zupełnéj uległości, o któréj rozeszła się pogłoska, i okazywał wszelkie dowody szacunku, przywiązania i ufności; tożsamo uczynił względem znakomitszych osób, którzy uchodzili za opiekunów i podpory stronnictwa: wszyscy przyrzekli zupełne posłuszeństwo wyrokowi Stolicy świętéj.

Niestety! fakta wkrótce zaprzeczyły obietnicom! W 1653 roku, biskupi francuzcy pod przewodnictwem kardynała Mazaryniego, przyjęli wyrok Innocentego X, i janseniści nie mogli już, chyba wyłączając się od kościoła, utrzymywać po prostu naukę pięciu propozycji. Uciekli się więc do wybiegu, i wymyślili rozróżnienie *faktu* i *prawa*. Pięć propozycji legalnie wprawdzie zostały potępionemi i zawierały heretycką naukę, ale nie były potępione w myśli Jansenjusza i nie znajdowały się w jego dziele, znaleźli tym sposobem środek szanowania na pozór bulli Innocentego X^go^, i utrzymywania nadal nauki zawartéj w *Augustynie.* Bo jeśli sądzili się w obowiązku przyjęcia decyzji papiezkich pod względem *prawa* czyli dogmatu, nie byli obowiązani, jak mówili, do takiejże uległości pod względem *faktu,* to jest myśli autora i treści jego dzieła.

Jakkolwiek niedorzeczne były te wykręty, wzięto je pod rozwagę, i w 1654 biskupi francuzcy wyrzekli, że pięć propozycji zostały potępione w myśli Jansenjusza. Innocenty X zaledwo miał czas przed śmiercią podziękować im za gorliwość; ale następca jego Alexander VII. stanowczo oświadczył 2 września 1656, że potępienie ściągało się do saméjże nauki Jansenjusza i myśli jego dzieła.

I na tym punkcie pobici, janseniści mówić zaczęli, że pięć propozycji nie znajdowały się w *Augustynie:* że nikt im tego dowieść nie zdoła; że tylko ślepi mogli je w nim widzieć, albo ludzie podobnie zaślepieni namiętnością: czém, stawiali się w przeciwieństwie nie tylko z oczywistością, ale i z samemi sobą. Zmuszeni jeszcze do ustąpienia, przyznać musieli, że myśl potępiona była rzeczywiście Jansenjusza, że pięć propozycji były w rzeczy saméj dobrze wyjęte, — ale utrzymywali, przynajmniéj najzuchwalsi, że niesłusznie myśl tę potępiono, bo nie różni się od zdania o skutecznéj łasce uczniów św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu. Nie mieli się więc za heretyków, sprzeciwiając się w tém kościołowi, ponieważ widzą w tém jeszcze kwestją nie prawa ale faktu.

Aby wstrzymać postępy błędu i przeciąć od razu próżne wykręty sekty, biskupi francuzcy na swém zebraniu w 1657 r. ułożyli wyznanie wiary, które wszyscy powinni byli podpisać, a obejmujące tak kwestją prawa jak i faktu.

Po długich rozprawach biskupi Francji i Rzym ułożyli wspólnie nowe wyznanie wiary. Wyznanie to miało być podpisaném przez kler tak zakonny jak świecki, nawet przez zakonnice, pod najsurowszemi karami, które zatwierdziła władza królewska. Heretycy rozdzielili się wtedy na dwa obozy: jeden surowych, drugi pojednawczych, za pomocą obłudy i krzywoprzysięztwa. Biskupi podpisali i polecili podpisać wyznanie w swych djecezjach. Czterech się tylko oparło, między nimi biskupi z Pamiers i z Alet. Mimo skłonności Pavillona do sekty, Wincenty utrzymywał nadal dobre stosunki z tym biskupem, w gruncie jeszcze prawowiernym, i wielokrotnie zapraszał go do dawania konferencji przed święceniami u świętego Łazarza. Już nie żył, gdy Pavillon odstąpił wiary kościoła i niedoczekał boleści na widok upadku człowieka, którego z takiém staraniem ukształcił, i tak bardzo kochał.

II. Wincentego prawość i prostota nie mogłaby, już nie mówię wymyślić a tym mniéj przyjąć, ale nawet przypuścić w innych tyle nieszczerości i obłudnych wykrętów; musiano może otworzyć mu oczy na to, czegoby sam nie dojrzał. Hallier i Lagault, pozostali w Rzymie, powiadomili go naprzód o występnych i śmiesznych matactwach jansenistów, następnie, chwaląc go za miłość, z jaką zdawało mu się że przywiódł ich do posłuszeństwa w duchu łagodności, i za pomyślny skutek, jaki udało mu się osiągnąć u wielu, radzili mu używać jaknajwiększéj stałości. Można, mówili, obchodzić się z nimi łagodnie i z szacunkiem; ale, ani powierzać im, ani zachowywać na stanowiskach, z których mogliby siać swe błędy, chyba że okażą żal prawdziwy.

Wiemy, jak łagodna miłość Wincentego potrzebowała rad tak stanowczych. To pewna jednak, że w téjże epoce podawał w jednym ze swych listów do X. d'Horgny program obowiązków Zgromadzenia w pośród tych niezgód. Nie chciał, aby rozprawiano, aby miano kazania w tych materjach; żądał nawet, żeby nie rozmawiać, nie będąc zapytanymi; a i wtedy jeszcze, wymagał odpowiedzi najumiarkowańszéj; nie pozwalał przez to wierzyć każdemu w co by mu się podobało; owszem nakazywał upornych wydalić nawet ze Zgromadzenia.

Program ten, i sam zachowywał w rządzie Zgromadzeniem po bulli Innocentego X^go^. Niechciał już słyszeć o układach: „Spór ten już osądzony, mawiał; innéj zgody nie ma, jedno posłuszeństwo wydanemu wyrokowi. Nie możemy stosować naszéj wiary do zdań tych panów jansenistów; oni to powinni poddać swój rozum pod wyrok głowy Kościoła".

Pierwszém jego staraniem było uchronić swe dzieci od zarazy fałszywéj nauki. Starał się więc zbadać ich sposób

myślenia i skłonności, i wszystkich, których po upomnieniu odpowiedniém, widział skłonniejszych do przekładania własnego zdania nad zdanie pierwszych pasterzy, bez miłosierdzia wygnał ze Zgromadzenia. Czternastu w ten sposób wydalił. Napróżno przedstawiano mu, że Zgromadzenie straci przez to niektórych ludzi bardzo uzdolnionych: „Lepszymi są zewnątrz jak wewnątrz, odpowiadał, a Zgromadzenie oczyści się przez ich wyjście“. Jednak, zachowywał zawsze stopniowanie nakazane przez Ewangelją. Gdy słyszał kogoś odzywającego się ze zdaniem, które zdawało się sprzyjać błędom potępionym, wołał go do siebie: „Wiedz, mości księże, mówił mu, że ten nowy błąd jansenizmu jest jednym z najniebezpieczniejszych jaki był kiedykolwiek w Kościele i szczególniéj muszę dziękować Bogu, że niedozwolił aby pierwsi i najznakomitsi z wyznawców tych zasad, a których znałem blisko i byli memi przyjaciołmi, nie zdołali nakłonić mię na swą stronę. Nie zdołałbym opisać ci pracy jaką w tém zadali sobie; ale zawsze, między innemi, stawiałem im powagę Soboru Trydenckiego, który wyraźnie jest im przeciwnym; a widząc, że nieustawali, zamiast odpowiedzi, odmawiałem po cichu *Credo;* i oto jakim sposobem pozostałem silnym w wierze katolickiéj“.

Gdy uważał za potrzebne dodać do upomnienia karę, i w tém postępował stopniowo, i naprzód poprzestawał na posłaniu do innego domu którego ze swych księży popierającego nową naukę, albo rozmawiającego o niéj z upodobaniem. Ale ze szczególną bacznością czuwał nad nauczycielami młodzieży, i podejrzanych zaraz usuwał z katedry. Nie pozwalał swoim czytać pism sekciarzy, i surowo wymagał, aby zamknięto drzwi, jeśli który z nich przyszedł ich nawiedzić. Toż samo co u siebie, przepisywał zachować zdaleka, zagranicą jak i we Francji, jak się pokazuje z wielkiéj liczby jego listów.

Posłuszeństwa prostego i bez oporu, którego wymagał po swych kapłanach, tym bardziéj żądał od Siόstr Miłosierdzia. Nie on to zaiste mógłby utrzymywać je w téj pysze *prawdy,* którą sekciarze umieli natchnąć zakonnice z Port-Royal. Czyste jak anioły, chciał także aby były pokorne i podległe jak dzieci, a nie pyszne jak szatany; miasto czynić z mniemanéj a wymuszonéj niewiadomości powód do odmawiania posłuszeństwa na głos swych pasterzy, powinny były widzieć w tém nowy obowiązek podległości ich rozkazom. Uczył je, aby poprzestały na współczuciu cierpień Kościoła, modlitwie za potrzeby Jego, a naukę swoją ograniczyły na téj ogólnéj podległości, która nie żąda ani rozumowania, ani rozpraw.

Toż co dla swoich, umiał także uczynić dla wielkiéj liczby zgromadzeń bądź zakonnych bądź świeckich, którym przewodniczył. Utrzymywał w wierze biskupów i doktorów, a szczególniéj tych, którzy należeli do jego konferencji wtorkowych. Następcom ich u świętego Łazarza, młodym uczniom teologji nieustawał zalecać ze świętym Pawłem aby „naukami obcemi nie unosili się“. On to przywiódł królową matkę, że natchnęła młodemu królowi tę odrazę do herezji, którą zawsze odznaczał się Ludwik XIV. W radzie duchownéj, całego użył wpływu na usunięcie od biskupstw i beneficjów, wszystkich podejrzanych o jansenizm, a wyznaczanie kapłanów wiernych na urzędy kościelne. Uważając słusznie katedry profesorskie lub kaznodziejskie jako publiczne źródła nauki i obyczajów, postarał się, aby zajmowali je ludzie wypróbowanéj cnoty; i, jeśli się dowiedział, że jakie zdanie, podejrzane o jansenizm miało być bronione w jakiém zgromadzeniu lub szkole, natychmiast starał się temu zapobiedz.

A jak wiele pracował, równie roztropnie jak gorliwie! by przywieść do uległości błądzących! Najczęściéj poprzestawał na rozumnéj ostrożności, uciekając się do modlitwy,

najlepszego, jak mówił lekarstwa na herezją. Bezwątpienia, radował się, widząc doktorów poświęcających swe pióra i prace na obronę wiary, z ochotą zachęcał ich do tego, ale całą ufność pokładał w modlitwie i pomocy Bożéj. Modlitwa, powtarzał swoim, dokładne spełnianie cnót przeciwnych występkom heretyków, to jest pokory i podległości umysłu przeciwnych ich pysze i zarozumiałości; zamiłowanie wzgardy, przeciwnéj ich upodobaniu w pochwałach; prawość umysłu, prostota serca, ich wykrętom, oszustwom, obłudzie i kłamstwu; miłość, ich nienawiści, ich obmowom i obelgom: oto najlepsza broń na walczenie błędu.

Z tym zdrowym sądem i niejako nieomylnym, który dopomagał jego cnocie, trzymał się tego pośrodka, gdzie prawda i dobro, jak mówi Bossuet, swój tron założyły, równie daleki od dwóch ostateczności: rozwolnienia rygoryzmu! Zaledwo *apologja kazuistów* O. Pirot, została potępioną w Rzymie, powiadomił o tém swych księży, jak to uczynił przy potępieniu *Augustyna.* I tu, zresztą, uprzedził wyrok stolicy świętéj, radząc „świętą surowość, tak zalecaną przez ustawy kościoła i wznowioną przez świętego Karola Boromeusza“, jako „więcéj daleko przynoszącą owocu jak zbytnie pobłażanie“.

III. Oto króciutki zbiór tego, co Wincenty à Paulo uczynił przeciw jansenizmowi. Zdawało by się, że to jedyna jego missja, gdyby nie miał był tylu innych, gdyby nie miał był wszystkich. To téż przy procesie kanonizacyjnym, pewien doktór Sorbony nie lękał się powiedzieć: „Jak przeciw Lutrowi i Kalwinowi wzbudził Bóg św. Ignacego i jego Towarzystwo, tak przeciw jansenizmowi wzbudził Wincentego i jego Zgromadzenie“. W rzeczy saméj, Wincenty zostawił swą gorliwość następcom. Z pomocą ciągłego czuwania i roztropnych wydalań, Zgromadzenie utrzymało się wolném od błędu przez cały wiek XVII., wtedy, gdy

tyle innych rodzin zakonnych mniéj albo więcéj były nim zarażone. Gdy w początkach następnego wieku, jansenizm większe przybrał rozmiary, dał Bóg Zgromadzeniu za przełożonego Jana Bonnet, który na zawsze uchronił je od zarazy. Już pierwéj zadziwiającą była prawowierność Zgromadzenia; odtąd, z trudnością by znalazł drugie we Francji, któreby dowiodło równéj uległości stolicy apostolskiéj.

Wracając, przy zakończeniu, do Wincentego à Paulo, powiemy, że jego wstręt do herezji pochodził z miłości i przeczucia nieszczęść, jakie miało przynieść Francji. Zniszczenia kalwinistów, których był świadkiem w dzieciństwie, kazały mu się obawiać, aby nowa herezja nie obaliła wiary, i aby Francją nie spotkał los Anglji, Szwecji i Niemiec. — Przewidywał także mniéj albo więcéj jasno, że jansenizm wstrzyma ten piękny ruch odrodzenia katolicyzmu, który począwszy od trydenckiego soboru, przebiegł pierwszą połowę wieku, zostawując w ludziach, instytucjach i pomnikach tyle zadziwiających śladów swego przejścia; że i jego dzieło mieć będzie w jansenizmie najgroźniejszego nieprzyjaciela. W rzeczy saméj, od pierwszego wybuchu jansenizmu, wszystko słabnie, wszystko nieruchomieje, tak ludzie jak i rzeczy. Nie ma już tych dusz szlachetnych, poświęcających się aż do heroizmu, których widzieliśmy i obaczymy w tak wielkiéj liczbie na posłudze miłosierdzia Wincentego à Paulo; nie ma świętych. Miejsce heroicznego poświęcenia osób i instytutów, zajmuje lodowata regularność, suchość rygoryzmu zastępuje namaszczenie pobożności. Surowa moralność jest w książkach, ale w obyczajach już tylko rozwolnienie i rozpusta.

Antychrześcjańska opozycja rozpoczyna się w XVIII. wieku w szeregach jansenistów. Potworne przymierze jansenistów, filozofów i zalotnicy, które użyło parlamentu za narzędzie swoje, zrodziło szerokie sprzysiężenie obejmujące całą Europą. Pozorném hasłem było obalenie jezuitów, ale

cel ostateczny o wiele daléj sięgał; i w rzeczy saméj, po zniesieniu jezuitów, wszystkie usiłowania obrócili przeciw papieztwu i kościołowi, którego szacunek, jansenizm przez swe bunty zniszczył w sercach ludów. Jansenizm prowadzi daléj swe dzieło. On pierwszy wprowadził lud do świątnicy, pierwszy stawił kapłana przed Piłatem i wydał sprawy duchowne w ręce trybunałów cywilnych; więcéj jak ktokolwiek przyczynił się do stawienia cezara obok, a nawet wyżéj od papieża: i oto w 1790 r. chce uczynić z religji instytucją czysto ludzką i cywilną. Po krzykach przeciw papieżowi przez dwa blizko wieki, wreszcie chce się obejść bez niego. Smutne już tylko wtedy konanie kościoła aż do 1793 r., w którym we krwi przygnieść go usiłują.

Oto jansenizm i jego dzieło, i oto jakim sposobem wstrzymał dzieło odrodzenia katolicyzmu, którego Wincenty à Paulo najpotężniejszą był we Francji dźwignią. Śmierć świętego kapłana stała się jakby hasłem i początkiem upadku; ale święci mają życie pogrobowe, i zobaczymy, jak niespodziewane jego odrodzenie w naszych czasach, stało się także hasłem odrodzenia wiary i katolickiéj miłości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Missje.

I.

Teorja missji.

I. Missje w ogólności; missje ludowe świętego Wincentego à Paulo. — II. Cnoty misjonarzy; sposób kazania. — III. Porządek missji; missje dla protestantów. — IV. Owoce missji; towarzystwa misjonarzy; nazwisko Zgromadzenia Missji.

I. Prace kościoła, zmierzające do uświątobliwienia ludu, są dalszym ciągiem prac apostolskich. Apostolstwo zaś jest to słowo żywe: kościół więc zawsze naucza. Ale są czasy, są miejsca, w których spokojnie panując nad umysłami, tylko z nieoświeceniem i słabością nierozłączną od natury ludzkiéj walcząc, poprzestać może na słowie zwyczajném, słowie pasterskiém. Słowo to nie tyle jest posiewem co uprawą, nie mieczem do walki, a narzędziem zbudowania. Inaczéj się dzieje tam, gdzie znajduje żywioły buntu, w ziemiach gdzie nigdy jeszcze nie siano, lub gdzie umysły zbrzydziwszy sobie dobro i prawdę, szukają zła i ciemności. Potrzebne wtedy albo słowo pierwotne niejako, jak w początkach chrystjanizmu i między ludem gdzie nigdy jeszcze nie było ogłaszaném, albo wyjątkowe, dla ludu który zapomina lub odrzuca prawdę już dawniéj przyjętą. Z tąd missje nazwane zagraniczne, które więcéj jak inne, są dalszym ciągiem lub odnowieniem apostolstwa; ztąd także

missje dla ludu już chrześcjańskiego, który przez nieumiejętność lub niedbalstwo pasterzy, nieznaczne zaciemnienie lub osłabienie stopniowe w duszach, słowem działanie przeciwne działaniu kościoła, powoli zchodzi ku pogaństwu lub niewierze.

Ta potrójna potrzeba missji, czuć się dawała w początkach XVII wieku. Jużeśmy mówili o stanie duchowieństwa, jego nieumiejętności, jego nierządach, a więc niezdolności do spełniania dzieła apostolskiego; o nieumiejętności także i nierządach ludów grzęznących z dnia na dzień w zapomnieniu prawd chrześcjańskich i głębokiém zepsuciu. Pół wieku politycznéj i religijnéj anarchji, dopełniło wstrząśnienia, jeśli nie zupełnego zniszczenia wiary i obyczajów. Ludy ciągnione na wsze strony przez tysiące różnych naczelników, nie wiedziały już kogo się trzymać. Umysły błąkały się, bo na prawo i lewo słyszały tak i nie w odpowiedzi na też same kwestje. Spory katolicyzmu z herezją chwiały wiarą ludu, bo widział w tém samo tylko sprzeciwieństwo. Pomięszanie ludności powierzchownie wiernéj kościołowi, z ludnością już przez protestantyzm zepsutą, sprowadzało powoli najprzód obojętność praktyczną, potém teoretyczną, a co za tem idzie — i ateizm.

Złe szczególniéj szerzyło się po wsiach, bo tam więcéj jak w miastach był brak kapłanów uczonych i czujnych, więc lud więcéj narażony na podszepty herezji, na wpływ ciemnoty i moralnego zepsucia. To téż do wsi szczególniéj, zwróciła się apostolska dusza Wincentego à Paulo; a raczéj z apostolstwa po wsiach uczynił swe dzieło główne i niejako wyłączne. Bo, jak sam powiedział, dla tego zajął się klerem by zaopatrzyć wsie w pasterzy wiernych, albo wedle trafnego porównania jego: jak zdobywca, zostawiać załogę w podbitych pod swą władzę twierdzach.

Tak jest, opowiadanie ewangelji po wsiach i ubogim, to missja Wincentego i jego zgromadzenia. Missja jedyna

w historji kościoła jak mówił, bo nie było dotąd żadnego zgromadzenia zakonnego, któreby nauczanie ludu wiejskiego obrało za cel szczególny i wyłączny; missja opatrznościowa, w przeddzień pojawienia się demokracji. Oto początek missji ludowych Wincentego, ich stósowność i potrzeba. Do tych szczególnych powodów, łączą się ogólne wszystkich czasów, zkąd widoczna, dla czego missje zawsze istniały w kościele. Są choroby, których nie mogą zleczyć zwyczajni pasterze. Co dzień, co chwila ci sami, zbyt się przyzwyczajono widzieć ich i słyszeć, aby ich nauki i rady zachowały tę moc która przejmuje i porusza dusze. Obcy zjawia się niespodzianie, nie budzi odrazy i niechęci, bo wolny od wszelkiego interesu ludzkiego i miejscowego; a przytém, nowość pociąga do niego; jego słowo nieznane, żywszy wpływ wywiera na dusze obojętne i odrętwiałe, pociąga umysły do wiary, a serca do cnoty.

Skutki to chwilowe, mówiono, po których wkrótce nie pozostaje i śladu; deszcz ulewny, rozbija ale nie użyźnia; działa na wyobraźnią, na nerwy nawet, ale nie na serce i wolą; raczéj wzruszenie przechodnie jak stałe i trwałe nawrócenie. I w rzeczy saméj, jak, w tak krótkim czasie, nauczyć i przekonać? Zamiast nauki, działać trzeba na uczucie. Jak szczególniéj doświadczyć sumienia, przywieść je do ofiar, na które długo nie chciano się zgodzić, zniszczyć zadawnione nałogi? Poprzestać trzeba wtedy na kilku łzach tkliwości nerwowéj, na obietnicach, które wiatr uniesie, postanowieniach jutro już zapomnianych.

Oto, co mówiono w czasach Wincentego à Paulo, co i w naszych czasach powtarzają w podobnych okolicznościach. Na zarzuty takie, same fakta odpowiedzą, ze wszystkich odpowiedzi najwięcej stanowcza. Zobaczymy, że missje Wincentego, przez swą trwałość, porządek ich i doświadczenie, zdolne były sprowadzić odrodzenie szczere i gruntowne; że skutek ten sprawiły rzeczywiście we Francji i za granicą.

Prawda, że uważać je trzeba w połączeniu z innemi dziełami świętego, we współdziałaniu jednych na drugie. Missje, w parze z reformą kléru, brały z niéj moc i żywotność zapewniającą owocom ich trwałość. Owoce te oddawano pod straż odrodzonych pasterzy; albo raczéj, missjonarz gwałtownie rozdzielał skibę i rzucał w nią nasienie; do pasterza należało uprawiać ją; użyźniać i zbierać obfite plony.

Nie można téż gardzić choćby chwilowemi tylko skutkami missji. Już to wiele, jeśli jest szczerość, jeźli złe się wstrzyma, jeźli choć krótki jest zwrot do dobrego; już to wiele, jeźli grzesznik porachuje się ze swém występném życiem, choćby je znów obciążył nowemi grzechami: rachunek stanowczy, jeźli przyjdzie kiedy, choćby w godzinę śmierci, zawsze będzie łatwiejszy; łatwiejszym także będzie ostateczny powrót do cnoty.

II. Nikną wreszcie te wszystkie zarzuty, nie tylko przed faktami, które opowiemy, ale nawet przy świetle nauk, które Wincenty miewał do swych misjonarzy! Przekonany o chorobie ludów i skuteczności lekarstwa, nie ustawał zachęcać swe dzieci do wejścia odważnie w ten zawód missji, który Bóg otwarł im przez niego. W tych cudownych naukach, których niepodobna tu przytoczyć, wystawiał cnoty odpowiednie do wielkości takiego powołania: pokorę i nieufność samemu sobie, wiarę i ufność w Bogu, miłość i gorliwość, łagodność i cierpliwość, prostotę i roztropność, oderwanie od rzeczy ziemskich i obojętność na zajęcia, miejsca, czas i osoby, słowem, wszystkie cnoty chrześcjan i apostołów: „Bo jak mówił, misjonarze powinni być jak kadzie w fontannach, wprzód napełnić się muszą wodą, zanim rozleją ją na drugich, a nie jak kanały, które wypróżniają się same, jeźli chcą oddać ją drugim“.

Ale zawsze powracał do pokory: w rzeczy saméj, wedle wyrażenia jego, nic się nie zyska z djabłem przez pychę,

bo ma jéj więcéj od nas; ale zwyciężyć go można pokorą, bo broni téj nie potrafi użyć. Bez pokory i ducha posłuszeństwa który jéj towarzyszy, naukę, talenta, uważał za niebezpieczeństwo dla zgromadzenia. Z pokory przeciwnie, zrodzić się miało zupełne oddanie się Bogu, z którym wszystkiego się dokaże. Cnota więc, zdawała mu się prawie dostateczną dla missjonarzy, aby mogli stać się użytecznemi.

Jego sposób kazania polegał także na pokorze. Chciał, aby kazanie opierało się na wierze, a nie na rozumie; co do formy, wymagał prostéj i przystępnéj; i przytaczał wtedy smutne następstwa wymuszonéj wymowy. Do tych zaleceń łączył powagę przykładu. Sam mówił sposobem pokornym i prostym, choć silnie i skutecznie; a tak, dochodził lepiéj do prawdziwéj wymowy, jak przez czcze i próżne ozdoby. Bo, powtarzał, „jak piękność naturalna więcéj daleko pociąga od sztucznéj i udanéj, tak samo kazania proste i przystępne lepiéj są przyjęte i łatwiéj wchodzą do duszy, jak wymuszone i sztucznie wygładzone“.

Takiego to prostego sposobu kazania uczył swoich, i sam się doń wprawiał w późnéj nawet starości. Każdy po kolei musiał przed nim mówić. W wieczór dawał o kazaniu zdanie, i żądał jego rozbioru publicznie przez najstarszych w zgromadzeniu, i jeźli kto mówił zbyt uczenie i z wyszukaniem, pokazywał całą tego próżność. Prostoty téj i pokory żądał nie tylko w myślach i stylu, ale nawet w tonie głosu; a to, i dla oszczędzania zdrowia i dla większéj skuteczności w mówieniu sposobem naturalnym.

Całą wymowę świętego Wincentego à Paulo znajdujemy w *skróconéj metodzie kazania* napisanéj przez X. Alméras dla użytku Zgromadzenia Missji i rozesłanéj przezeń po wszystkich domach zgromadzenia w grudniu 1666 r. Oto jéj początek: W samym zawiązku konferencji św. Łazarza, Wincenty zgromadzał od czasu do czasu pierwszych duchownych, którzy ją składali. Podawał materją,

i każdy, od razu, bez książek, wprawiał się do mówienia i pisania; każdy coś powiedział, albo podał na piśmie swą składkę do wspólnego dzieła. „Ja tylko, nic nie umiałem powiedzieć, coby coś było warto“, dodawał Wincenty, przypominając o tém późniéj. Po naradzeniu się, święty zakończał; albo téż zbierano wszystkie pisma i układano z tego konferencją. Wszystko to czyniono poprostu i przystępnie. Ćwiczenie to trwało długie lata. W 1652 i 1653 r., Wincenty urządził specjalne konferencje o sposobie kazania, i kazał zebrać wszystko, co on sam, Portail i inni dawniejsi sądzili za właściwe do uczynienia go zarówno gruntownym jak jasnym i łatwym. Portail w rzeczy saméj, ułożył z tego dość gruby tom *in folio*. Ale późniéj, Alméras osądził słusznie tę pracę za zbyt obszerną, i ponieważ sam bywał na konferencjach w 1652 i 1653 r., i innych miewanych w téj materji w różnych latach przez Wincentego à Paulo, a więc znał doskonale metodę kazania, podaną przez świętego fundatora i długo praktykowaną w zgromadzeniu, streścił to wszystko w kilku kartach, które nawet na trzech wyrazach ograniczyć się mogą: powody, określenie, środki z odpowiedzią na zarzuty; — na tém zależy całe kazanie, w jakiéjkolwiek materji, oto, co Wincenty nazywał *małą metodą*.

Téj to metody używał święty zawsze, tak na missjach, jak w konferencjach miewanych do swego zgromadzenia. W jednéj konferencji z 20 sierpnia 1655 rozwinął ją, i aby dać zarazem przykazanie i przykład, sam w mówieniu zastósował się do niéj. Po kolei, wyłożył jéj powody, określenie i środki; następnie odpowiedział na zarzuty. Przy téj sposobności, przytoczył wzruszające szczegóły o korzyściach téj metody nie tylko po wsiach, ale w Paryżu nawet i u Dworu, wzywając swych dawnych towarzyszy, Portaila, Almérasa, na świadectwo faktów, które widzieli, albo doświadczyli sami.

Zamiłowany coraz więcéj, z głębokiego przekonania i doświadczenia, do *małéj metody*, przedstawił wtedy swoim, aby każdy kazał po kolei, dla wprawy, z wyjątkiem tylko chorych, ale nie samego siebie: „Tak, i ja, choć biedny grzesznik, rozpocznę pierwszy, nie na ambonie, bo bym wejść na nią nie mógł, ale w konferencji jakiéj, gdzie mówić będę o którym punkcie reguły, albo innym jakim przedmiocie".

Tak téż czyniono, tak on sam czynił prawie aż do ostatniéj chwili, bo mamy jeszcze jego konferencje z całego roku 1659, przedostatniego życia, choć miał już 84 lata. Oto jakim sposobem dom św. Łazarza stał się wielką szkołą kaznodziejstwa i sprawił rewolucją w chrześcjańskiem kazaniu. Ambona przez to uwolnioną została od upodobania w erudycji, przesadzie, wytwornym i wymuszonym sposobie kazania, słowem od wszystkich uprzedzeń i wszystkich wad, które aż dotąd tak bardzo były cenione. Gdy metoda ta została rozgłoszoną, każdy chciał ją przejąć. Biegli więc wszyscy uczyć się jéj do Wincentego à Paulo i mówili mu: „Trzeba będzie dojść do tego, k a z a ć p o m i s j o n a r s k u".

III. Opiszmy teraz porządek missji. Jak tylko postanowiono odbyć jaką missję, nowi apostołowie, na wzór Jezusa Chrystusa, posyłali jednego z pośród siebie przed braćmi, aby im przygotował drogi. Poprzednik, w jednem albo dwóch kazaniach, ogłaszał blizkie nawiedzenie Boże w osobie jego ministrów, łaski przygotowane dla ludzi dobréj woli i przekleństwo ciążące na tych, którzy wzgardzą darem Bożym. Zwalczał niesłuszne uprzedzenia, otwierał już serca i przygotowywał sumienia do skruchy i odrodzenia. Przez ten czas, kapłani wyznaczeni na missję, trzech przynajmniéj, przygotowywali się do niéj przez rekolekcje. W dzień wyjazdu, szli do przełożonego po błogosławieństwo i nawiedzali najświętszy Sakrament. Odbywali drogę skupieni

i w milczeniu, i wprawiali się do blizkiéj missji ucząc dzieci i ubogich, a budując wszystkich skromnością. Zbliżając się do miejsca, witali i wzywali anioła opiekuńczego wioski i aniołów stróżów mieszkańców. Do przeznaczonego mieszkania szli skromnie i w milczeniu, już każąc na sposób świętego Franciszka, to jest, przez milczącą pobożność.

Opatrzeni w rozkaz biskupa djecezji, szli prosić proboszcza o pozwolenie odbycia missji w kościele jego. Upadłszy przed nim na kolana prosząc o błogosławieństwo, wypytywali o występki i potrzeby parafji, i odbierali od niego rozporządzenie co do ćwiczeń i dzieł missyjnych. Zaraz nazajutrz rozpoczynano pracę, i prócz wypoczynku jednego dnia w tygodniu, pracowano aż do końca bez zwłoki. Nie zaniedbując ćwiczeń pobożności ani żadnego głównego punktu swéj reguły, Missjonarze cały czas poświęcali ludowi. Przez dziewięć godzin dziennie trwali na swych stanowiskach w konfessjonale, czy byli albo nie penitenci, czekając na grzeszników, swych kljentów, jak kupiec oczekuje na kupujących.

Przez cały ten czas, trzy razy na dzień odbywały się ćwiczenia publiczne: kazanie bardzo rano, aby biedni ludzie mogli potém udać się do pracy, mały katechizm po południu i wielki katechizm wieczór, w godzinie, gdzie wszyscy pokończyli już swe prace dzienne.

I tak, przez piętnaście dni przynajmniéj, a częściéj przez trzy, cztery i pięć tygodni, stosownie do liczby ludności i potrzeby wypróbowania grzeszników. Bo Missjonarze nie działali pospiesznie; zatrzymywali rozgrzeszenie wedle prawa, albo odmawiali stanowczo, jeśli nie było poprawy.

Oprócz pracy na ambonie i w konfessjonale godzili spory, odwiedzali chorych, zakładali bractwo miłosierdzia, kształcili nauczycieli i nauczycielki szkółek, zgromadzali duchownych i starali się zawiązać ich w konferencję.

Zbliżał się dzień Kommunji jeneralnéj, który był zarazem dniem pierwszéj Kommunji dla dzieci. Kaznodzieja miał w przeddzień naukę przygotowawczą; a i w sam dzień także, aby goręcéj usposobić ich przed Kommunją. W wieczór odbywano uroczystą processję z najświętszym Sakramentem; po powrocie do kościoła jeszcze raz ostatni wstępował na ambonę, winszując ludowi darów Bożych i zachęcając do wytrwania. Kazanie to niekiedy odkładano do nazajutrz na Mszy dziękczynnéj, a kończono zazwyczaj zawezwaniem parafjan na Mszę za umarłych, aby i ci mieli udział w dobrodziejstwie missji.

Po ukończeniu téj świętéj pracy, Missjonarze szli jeszcze po błogosławieństwo do proboszcza; jeden z nich udawał się zdać sprawę przed biskupem ze skutku missji, a reszta wracała do domu, gdzie przez krótkie rekollekcje dziękowali Bogu i błagali o przebaczenie za uchybienia. Wkrótce znów szli na nową missję; i tak przez dziewięć miesięcy w roku. Odpoczywali tylko przez czas żniwa i winobrania, gdy wieśniacy zbyt pracą zajęci nie mogli się zbierać w kościele. Był to dla nich czas wytchnienia, ale wytchnienia pracowitego; ani podróży, ani zabaw, ani niepotrzebnych odwiedzin; ale modlitwa i praca. „Apostołowie na missji, mówił im święty, ale Kartuzi w domu.“

W tym jeszcze czasie przerwy, Wincenty, chociaż od razu czyniono mu sprawozdanie z prac swoich, kazał im opowiadać je szczegółowo i dawał mądre nauki. Uczył pokory i wdzięczności tych, którym się udało, a ufności w Bogu tych, którym się nie powiodło; wszystkim zaś zalecał cierpliwość i łagodność z wieśniakami, grzesznikami, a szczególniéj z heretykami. Z tymi zabraniał nietylko wyszydzań i satyry, ale nawet dysput i sporów. Powszechne doświadczenie pięćdziesięciu ostatnich lat życia nauczyło go, jak mało zyskać można na tych publicznych i uroczystych rozprawach, więcéj z miłości własnéj jak miłości

prawdy pochodzących, a osobiste doświadczenie przekonało go o wszechmocy łagodności i miłości. Życie cnotliwe i dobry przykład, wykład gruntowny a prosty prawd chrześcjańskich, rzadkie dysputy, jeśli potrzeba ich wymaga, a i w tych unikać kwestji czysto scholastycznych; miłość, a nawet szacunek względem ich ministrów i innych znaczniejszych osób i obfita jałmużna ubogim, usuwanie od kazań i czytania książek protestanckich: oto jedyna broń, którą używać zalecał przeciw heretykom, jedyne środki wstrzymania i utwierdzenia katolików w wierze.

Pomimo niechęci do dysput, że niekiedy jednak uniknąć ich niepodobna, żądał, aby Missjonarze uczyli się teologji polemicznéj, choćby dlatego tylko, aby umieli odpowiedzieć katolikom na trudności przedstawiane w stosunkach ich z protestantami. Zresztą, wedle maxymy świętego Pawła, każdy chrześcjanin, a témbardziéj kapłan gotowym być powinien na zdanie sprawy ze swéj wiary i na zbicie błędów przeciwnych. Obowiązywał ich więc do odbywania między sobą konferencji spornych i zgłębiania dzieł najsławniejszych teologów ówczesnych.

IV. Któżby teraz opisał niezliczone owoce missji podjętych przez Wincentego i jego uczniów przez więcéj jak 40 lat, nie mówiąc już o liczniejszych jeszcze, odbytych po śmierci sługi Bożego? Aż do czasu objęcia domu świętego Łazarza, Wincenty najczynniejszym był na nich pracownikiem, niezmęczonym apostołem. Nie mógł opuścić drogich swoich wieśniaków, i czas na inne sprawy obrócony uważał za kradzież uczynioną tym biednym ludziom. Kiedy staranie o Zgromadzenie, rozkazy Dworu, jego zajęcia dobroczynne na całe królestwo, i słabość nie dozwoliły mu już oddalać się ze świętego Łazarza, spoglądał ze świętą zazdrością na prace swych dzieci i niezliczone błogosławieństwa, jakie im towarzyszyły. Pisał wtedy: „Jakże się

wstydzić muszę, żem w porównaniu z wami nieużyteczny na świecie! Zaprawdę, nie mogę się wstrzymać, muszę się wam przyznać poprostu, że z tego powodu mam nowe i tak wielkie pragnienie, mimo małych dolegliwości moich, skończyć życie pod jakim krzakiem, pracując w jakiéj wiosce, iż zdaje mi się, żebym był najszczęśliwszym, gdyby podobało się Bogu uczynić mi tę łaskę.“ A miał już wtedy 78 lat!

I któż, jeszcze raz powtarzam, zdoła pojąć wielkość, rozległość i mnogość dobrego, które ztąd wyszło na chwałę Boga i pożytek Kościoła Jego? Iluż nieumiejętnych oświeconych w rzeczach do zbawienia potrzebnych! Ilu grzeszników wyrwanych z przepaści występnych nałogów, przez dobrą spowiedź jeneralną! Ile świętokradztw naprawionych! Co nieprzyjaźni, co nienawiści wykorzenionych! Co procesów pokończonych zgodnie! Co lichwiarstw wygnanych! Co nieprawych związków rozerwanych albo uświęconych przez religję! Co innych zgorszeń usuniętych! Ile ćwiczeń pobożnych, zakładów miłosiernych założonych albo przywróconych! Co kościołów naprawionych, odbudowanych lub opatrzonych! Ile dobrych uczynków i cnót zaszczepionych tam, gdzie nawet nie znano ich z imienia! Wreszcie, co dusz uświęconych i zbawionych! Jest to tajemnica Boża, o któréj się dowiemy dopiero w wielkim onym dniu objawienia.

Cóż dopiero, gdybyśmy mieli sprawozdania z tych missji! Ale synowie Wincentego byli jak on, ludźmi czynu nie pisma. Kilka listów pisanych do świętego założyciela przez biskupów albo missjonarzy, oto wszystkie pozostałe pomniki. Zaprawdę, wszystko to opisane jedno w księdze żywota. Dodajmy wreszcie, że wszystkie dzieła dobre kwitną na polu Kościoła. To, czego Wincenty sam nie mógł uczynić, uczynili inni natchnieni i ukształceni przez niego; naprzykład, missje po miastach, które zabronił swemu Zgromadzeniu. Ponieważ był ich duszą, że były podjęte za na-

mową jego i prowadzone wedle jego planu, że pracownikami byli tam zazwyczaj synowie jego przybrani, kapłani z konferencji, jemu więc także należy się cała z nich chwała i zasługa. A od czasu założenia Zgromadzenia Missji, po wszystkich stronach Francji mnożyły się towarzystwa podobne, zrodzone z zarazy gorliwości i świętego współubiegania. Wincenty à Paulo cieszył się z tego, bo szukając tylko chwały Bożéj, prosząc Go codziennie o przysłanie robotników do winnicy swojéj, nie był wcale zazdrosnym o monopol dobrych uczynków, nikt z równém jemu pragnieniem nie powtarzał onych słów Pisma: *utinam omnes prophetarent*. Nietylko nie bolały go samolubnie te prace, ale przez pokorę niżéj od nich stawiał Zgromadzenie swoje, choć dziękował Bogu za udzieloną płodność małym zajęciom, jak nazywał, swego Zgromadzenia.

To prawda, że często nie było prawdziwego współzawodnictwa, bo Wincenty nie pracował w dużych miastach. Ale że Zgromadzenie jeszcze było nieliczne i nie mogło uczynić zadość żądaniom ze wszech stron zanoszonym, wielu z biskupów powzięło myśl utworzyć małe towarzystwa Missjonarzy na wzór jego. Dwór francuzki i rzymski doniósł o tém Wincentemu. Radzono mu zażądać połączenia tych zgromadzeń ze swojém, a nawet oprzeć się zakładaniu ich. Ochotnie przystał na niektóre projekta połączenia, które nie powiodły się jednak; ale nie przedsięwziął żadnych kroków przeciw podobnym zakładom. Oparł się tylko, aby nie przywłaszczano sobie nazwiska Zgromadzenia Missji; bezwątpienia nie przez pychę dla imienia, ale aby uniknąć niedogodności z pomięszania między wieloma zgromadzeniami, pomięszania, które przez doświadczenie już poznał. Jakikolwiek był skutek tego oporu, Zgromadzenie nosiło w całém znaczeniu tego wyrazu nazwisko Missji we Francji i po całym świecie, bo nie był to dla niego czczy tytuł, ale wyrażenie celu i jakby znamię dzieł jego. I jeśli innym

zgromadzeniom udało się zatrzymać to imię, żadne jednak nie nosiło go z tylą błogosławieństwa, ani tak długo, ani poniosło go tak daleko.

Teraz, gdy synowie Wincentego są w posiadaniu swego świętego imienia, gdy są uzbrojeni w reguły i nauki swego czcigodnego przełożonego i jakby wyćwiczeni w swém apostolstwie, idźmi za nimi na pola walk, które staczać mają ze złém pod wszelkiemi jego postaciami; a że widowisko często byłoby toż samo, dodajmy do ogólnego obrazu, który tylko cośmy skreślili, wydatniejsze tylko i charakterystyczniejsze rysy, wedle porządku czasów, miejsc i osób.

II.

Missje we Francji.

I. Missje w okolicach Paryża i dla armji. — II. Missje u dworu. — III. Missje po prowincjach; missje aż do dni naszych.

I. Od roku 1627 Wincenty i synowie jego już opowiadali Ewangelję w czterech wielkich prowincjach. W tymże czasie mnożyli swe missje w okolicach Paryża. Missje te, ze wszystkich naliczniejsze może, najmniéj są znanemi, bo albo odbywał je sam Wincenty, nie składano mu więc żadnego sprawozdania o nich, albo przez kapłanów jego, więc słownie tylko zdawali mu z nich sprawę. Parę szczegółów o nich znamy tylko z konferencji jego. Ale co więcéj znaczy, mamy ogólny porządek, jaki zachowywali Missjonarze. Wybierali zazwyczaj trzystu albo czterystu ubogich, którym dawali znak szczególny, aby ich rozróżnić w ciągu missji. W dniu danym, ubodzy zgromadzali się wszyscy w kościele, Missjonarz wstępował na ambonę i miał do nich ogólną naukę, poczém inni towarzysze jego dzielili ich na pięć albo sześć oddziałów. Każdy szedł do swego, powtarzał im naukę i odmawiał z nimi modlitwy. Takie było

ćwiczenie poranne. Osoby bogatsze, które zazwyczaj w znacznéj liczbie bywały tam obecne, zajmowały się obiadem ubogich, a we dwie godziny potém zaczynała się druga nauka, po któréj podobne jak wprzód powtórzenie. Kończono dzień jałmużną pięciu soldów, daną każdemu ubogiemu.

Nazajutrz też same ćwiczenia, a to przez ośm albo przez więcéj dni, dopóki wszyscy nie byli dostatecznie nauczeni i przygotowani do przyjęcia Sakramentów świętych. Kommunja ogólna, którą zazwyczaj udzielał jaki biskup albo dygnitarz kościelny, zakończała i jakby uwieńczała missję. Ołtarz był wspaniale przybrany, a ubodzy odziani w najlepszą odzież, jaką z miłosierdzia dostali. Po gorącéj nauce dzielono ich jeszcze przed przystąpieniem do stołu pańskiego na wiele oddziałów, na czele których osoby znakomite miały za zaszczyt postępować. Był to trijumf równości i braterstwa chrześcjańskiego. Po Kommunji odbywała się processja z najświętszym Sakramentem, któréj towarzyszyli wszyscy ubodzy parami, niosąc zapalone świece. Po powrocie do kościoła było ostatnie kazanie i zachęta do wytrwania. W końcu pożegnalny obiad, prawdziwa *agape* chrześcjańska. Panowie, znakomite panie, obchodziły około stołu ubogich, służyły im własnemi rękoma i na wety rozdawały obfitą jałmużnę. Pamięć tylu nauk i pobożnych ćwiczeń, takiéj miłości okazywanéj ciałom ich i duszy, trwała zazwyczaj u ubogich, i długo jeszcze potém odróżniano ich od innych, którzy nie brali udziału w missji.

Powodzenie Missjonarzy w okolicach Paryża ściągnęło na nich uwagę, i było powodem, że wybrano ich do missji innego rodzaju, missji dla wojska.

Zaczynał się wtedy francuzki okres trzydziestoletniéj wojny. Nieprzyjaciele zajęli Pikardję; wielkie było przerażenie w Paryżu, i nawet zgromadzenia zakonne brały udział we wspólnéj obronie. Dom świętego Łazarza był jakiś czas stacją wojskową, nie przerywając jednak świętych ćwiczeń.

Zdobycie Korbji do najwyższego stopnia posunęło przerażenie. Król sam chciał stanąć na czele swéj armji. Ale przed wymarszem, pobożny król zarówno myśląc o uświątobliwieniu jak o zwycięztwie wójsk swoich, polecił kanclerzowi zażądać od Wincentego dwudziestu jego księży dla armji. Na czele małego swego oddziału Wincenty osobiście stanął i przybył do Senlis gotowy na rozkazy królewskie. Przed odjazdem, ten wódz pokoju nie zaniedbał zostawić im planu kampanji. Missjonarze, mówił, uważać się będą zarówno obowiązani do służenia królowi jak i wojsku. Szczególne mieć będą nabożeństwo do Pana Zastępów. Za szczęśliwych uważać się będą, jeśli, choć nie usuną wszystkich, zmniejszą chociaż liczbę grzechów i zbawią kilka dusz. Miłość, gorliwość, umartwienie, posłuszeństwo, cierpliwość, skromność, poddanie się woli Bożéj: oto cnoty, które ciągle wykonywać będą, tak zewnętrznie jak wewnętrznie. Zachowają wszystkie swe reguły, odprawiać będą Mszę św. lub kommunikować codziennie, często czynić będą konferencje o obowiązkach swoich obecnych, w politykę nie będą się wdawać, a przykrości swoje tylko przełożonemu opowiedzą. Przełożony każdemu wyznaczy zajęcie; wszyscy zajmą się zbawieniem żołnierzy. Aby nie narażać się bezpotrzebnie i być gotowymi do służenia wojsku, zdaleka i ostrożnie słuchać będą spowiedzi zapowietrzonych, a innym zostawią staranie około ich posług cielesnych. Choć rozdzieleni po pułkach, starać się jednak będą mieszkać i żyć wspólnie.

Wincenty, niemniéj troskliwy o zdrowie ich jak zbawienie, kazał kupić namiot, posłał im sprzęty i żywność, postarał się dla nich o wózek i muła, wreszcie pobłogosławił i powrócił do świętego Łazarza.

Tymczasem Missjonarze wyruszyli z wojskiem w pochód i byli z niém wszędzie, szczególniéj przy oblężeniu Korbji, gdzie zaraza dostała się i do wojska. Wtedy to

zdwoić musieli pracę i gorliwość. Morowe powietrze szerzyło zniszczenie, i gdy wielu z nich padło pod jego ciosami, Wincenty musiał im przysłać nowych do pomocy. „Jedź, mości księże, pisał do jednego z nich, jedź w tymże duchu, w jakim Franciszek Ksawery udał się do Indji, a odniesiesz jak on koronę, którą Jezus Chrystus wysłużył ci przez najdroższą krew swoją.“

Ani trudy, ani zaraza, ani śmierć, nic nie wstrzymało Missjonarzy. W ciągu kilku dni jeden z nich sam wyspowiadał 300 żołnierzy. Wkrótce już nie na setki, ale na tysiące liczono penitentów. Wincenty cieszył się, że skutek przewyższa jego nadzieje; cieszył się dla Boga i dla króla, widząc, że żołnierze chrześcjanie i waleczniejsi są i wierniejsi, gorliwość o zbawienie dusz i patrjotyzm jego zarówno były zaspokojone.

Wojna jednak trwała daléj. Missjonarze stosując się do ruchów wojska, zmieniali stanowiska codzień prawie, razem ze swemi pułkami. Prace ich mnożyły się w marszu, bo do przechodzącéj armji zbiegało się mnóstwo mieszkańców i Missjonarze, gdy rozbito obóz, dzielili i między nich chleb nauki świętéj i łaskę nawrócenia. Niszczące powietrze ciągle niestety! trwało, tak między wojskiem jak i Pikardczykami, którzy u nich szukali schronienia; umierało ich wielu, ale żaden bez przyjęcia Sakramentów św.

Wojsko, choć dziesiątkowane zarazą, cudów dokazywało umocnione przez religję. Zdobycie Korbji zakończyło kampanję. Missjonarze zmęczeni, dotknięci niektórzy zaraźliwą chorobą, powrócili jedni po drugich do Paryża; żaden jednak nie zginął. Bóg zachował ich na dalsze posługi.

Oto w jaki sposób Wincenty rozpoczął missje dla wojska; od niego także datuje się przeznaczanie kapelanów wojskowych, a także jakeśmy już widzieli, kapelanów okrętowych. Tak dalece jest prawdą, że nie ma dzieła świętego, do któregoby nie dał popędu. To co synowie jego rozpo-

częli w XVII wieku, odnowili w naszych oczach na Wschodzie i we Włoszech.

II. We dwa lata po téj missji, w 1638, król znajdując się w Saint Germain z dworem, zażądał od Wincentego kilku z jego księży do odprawienia tam missji. Pokorny przełożony coraz nowe wynajdywał trudności. „Ja tego pragnę“ odpowiedział Ludwik XIII, i trzeba było być posłusznym. Wincenty wybrał pracowników. „Czy mamy, zapytali go, mówić u Dworu tak samo poprostu, jak po wsiach?—Bezwątpienia, odpowiedział, bo ducha światowego nie zniszczy jedno przez prostotę i pokorę, bo te są przeciwne jego próżności i pysze.“

Missjonarze rozpoczęli więc swe dzieło z całą prostotą, ale także z całą wolnością chrześcjańską. W samym początku powstali przeciw obnażeniu gorsu i wywołali przeciw sobie krzyki próżności i rozpusty, albo szyderstwa piosneczek. Sto razy głośniéj zaczęli wołać, i łącząc czyny do słów, bez miłosierdzia odmówili rozgrzeszenia wszystkim paniom, które nie przestały obrażać skromności.

Musiano ustąpić przed świętym uporem ich gorliwości. Rzecz dziwna, te kobiety, które najgłówniéj z początku krzyczały, to jest panny dworu królowéj, nawróciły się z największém zbudowaniem. Wpisały się do bractwa miłosierdzia, i to nietylko jałmużną, ale osobą swą służąc. Każda, w dniu przypadającym na nią posługiwała chorym, i podzieliwszy się na cztery oddziały, przeciągały ulice Saint-Germain żebrząc jałmużny u wiernych.

Pobożny Ludwik XIII wzruszony tak pomyślnym skutkiem, rzekł do jednego z Missjonarzy: „Bardzom rad ze wszystkich ćwiczeń missyjnych, tak właśnie pracować potrzeba; wszędzie dam o tém świadectwo.“

Anna Austrjacka niemniéj była zadowolniona, i w 1641 zażądała drugiéj missji dla robotników pracujących około

zamku i dla całego Dworu. Nawet Delfin (następca tronu) nie więcéj jak trzechletni wtedy, miał także dla siebie missję; królowa chciała koniecznie, aby go uczono małego katechizmu, i jeden z synów biednego pastuszka z Landes rzucił pierwsze nasiona wiary i pobożności chrześcjańskiéj do serca przyszłego Ludwika Wielkiego.

Nie na tém się skończyły, oprócz nawet rady duchownéj, stosunki świętego Łazarza ze Dworem. Zgromadzeniu powierzono następnie parafje królewskie w Fontainebleau i w Wersalu, a także posługi religijne u Inwalidów i w szkole Saint Cyr.

III. Tymczasem Zgromadzenie mnożyło swe zakłady i dzieła, bo biskupi ze wszech stron żądali jego robotników. W 1630 powołano Missjonarzy do Montauban, które Richelieu zdobywszy, zwrócił królowi i dla katolicyzmu; nie mniéj korzystnie pracowali tam nad nawróceniem protestantów jak i wiernych. Z tymże skutkiem w 1635 działali w Cévennes, przedmurzu protestantyzmu. W tymże czasie inni Missjonarze przebiegali razem ze świętym Franciszkiem Régis, Velay i Valentinois; inni jeszcze pracowali w djecezjach Bordeaux i Saintes; niektórzy w djecezji Saint Flour z opatem Olier, który zawiadamiał konferencję o cudownych skutkach, jakie tam wywierali. W 1637 i 1642 pani d'Aiguillon osadziła ich w swojém księstwie, i prawie w téjże epoce Richelieu zaprowadzał ich nietylko w mieście swego tytułu książęcego, ale także w djecezji Luçon, któréj był dawniéj biskupem. Z Richelieu i Luçon rozszerzyli się po wyższym i niższym Poitou; i niezmęczeni w apostolskich pracach ani nasyceni świętemi zdobyczami, odbywszy missje dla ludów, do których byli wezwani, udali się aż do Angoumois. W 1638 roku także, założono Missję w Szampanji, po wielu miejscach djecezji Troyes i Sens. Ztamtąd, rozgłos ich powodzenia doszedł aż do Chalons-sur-Marne, i biskup

Feliks de Vialart chciał także mieć Missjonarzy dla oświecania swych ludów i kształcenia kleru. Król i arcybiskup z Rheims porozumieli się, by założyć Missję w Sedan, które tylko co weszło pod panowanie królewskie i wiele ucierpiało od protestantyzmu. W Crécy, djecezji Meaux założono drugą fundację królewską. Moglibyśmy w ten sposób przebiegnąć za Missjonarzami wszystkie miejsca i kończyny królestwa: w Tours, Tuluzie, Genewie, Angers, w djecezji Rouen, w Bretanji, zkąd ze swych stanowisk w Saint Méen i Tréguier rozszerzyli się po całéj téj pobożnéj prowincji. Niepodobna wyliczyć wszystkich zakładów powstałych za życia Wincentego à Paulo, albo po jego śmierci. Możnaby zliczyć nie mniéj jak czterdzieści domów missyjnych i dwanaście parafji. Dziś, oprócz trzech domów Missji i dwóch parafji w Algerji, Missji i parafji w Belgji, Missjonarze są we Francji w dwunastu przynajmniéj miejscach, tak parafjalnych jak domach missyjnych. Jest to więc, w stosunku do swych dawnych zakładów przed rewolucją, takaż sama proporcja, jaką zauważyliśmy między ich seminarjami dawniéj, a seminarjami obecnie.

III.

Missje w Europie.

I. Missje we Włoszech. — II. Missje na wyspach Wielkiéj Brytanji. — III. Missje w Polsce, Niemczech i t. d.

I. Jak to już powiedziano poprzednio, Wincenty wcześnie posłał kilku ze swych księży do Rzymu w sprawie potwierdzenia Zgromadzenia, i odtąd zamyślił umieścić ich stale w tym środkowym punkcie katolicyzmu. Bulla Urbana VIII z dnia 11 lipca 1641 upoważniła ich zakłady i prace nad klerem i ludem. Szlachetne dary pomogły im do wybudowania tam domu, a księżna d'Aiguillon szczególniéj

była prawdziwą ich fundatorką. Bogate fundacje księżnéj w 1642 i 1643 postawiły Missję rzymską w stanie rozpoczęcia wszystkich swoich zajęć.

Już około 1638 r. rozpoczęto missje w kampanji rzymskiéj dla pastuszków, którzy sami tylko tam mieszkają. Ale jak zgromadzić te koczujące pokolenia? Jeśli niepodobna w ciągu dnia, czyby nie można wieczorem tyle czynić missji, ile jest chatek? Missjonarze popróbowali, i gdy pasterze zgodzili się na to, rozpoczęli zaraz tę osobliwą missję. Podczas gdy biedni ludzie przygotowywali wieczerzę, oni mówili im o Bogu; poczém czyniono wspólnie modlitwę wieczorną; następnie mieszczono się, jak było można, na resztę nocy, pasterze w swych budkach, Missjonarze na dworze, na jakiéj skórze bydlęcéj, a często i na gołéj ziemi. Tak żyli Missjonarze przez wiele dni, niekiedy i przez cały post wielki. Gdy w jednéj chatce dostatecznie pouczono i pogodzono ich z Bogiem, przechodzili do drugiéj, potém do następnéj jeszcze; i gdy już wszystkie przebiegli, zgromadzali pasterzy w najbliższéj kaplicy, odprawiali dla nich Mszę św., dawali ostatnią naukę i przypuszczali do stołu Pańskiego. Ci biedni ludzie powracali do domów ze śpiewami na cześć Bogu; rzekłbyś, pastuszkowie wracający po oddaniu czci Zbawicielowi u żłobka.

Opowiadając Ewangelję tym pierwszym wezwanym Boga z Betleemu, Missjonarze rozszerzyli się jednocześnie po okolicznych miasteczkach Rzymu i doszli aż na szczyty Apeninów, cierpiąc wiele od ciemnoty i nierządów ludu, niekiedy dla zazdrości proboszczów, ale zwyciężając te przeszkody pokorą, bezinteresownością, cierpliwością i wytrwaniem swojém.

Biskupi państwa papiezkiego więcéj wzruszeni tak pokornemi i chrześcjańskiemi początkami, jak najświetniejszém apostolstwem, wezwali wkrótce Missjonarzy do djecezji swoich. A zaraz zewsząd sypnęły się restytucje, zało-

żono szkółki, powstały banki pożyczkowe; ale szczególniéj ujrzano bohaterskie dowody chrześcjańskich pojednań w kraju niezgód i zemsty zaraźliwéj a dziedzicznéj. Jeszcze dziwniejsze działanie łaski! nawet kapłani wiodący gorszące życie nawracali się publicznie. Takieby były, gdybyśmy zdołali je opowiedzieć, skutki przeszło 200 missji odbytych w okolicach Rzymu jeszcze za życia Wincentego à Paulo. Morowe powietrze, które wtedy wybuchło, dodało nowego blasku odwadze jego synów. Zaraza wprędce tak się rozszerzyła po Rzymie i innych miastach włoskich, że wszystkie sądy ustały, ale nie ustały kazania i spowiedzi Missjonarzy. I owszem, prosili swego ojca, aby im pozwolił poświęcić się posłudze zapowietrzonych, tak przełożeni jak i reszta kapłanów.

W tymże czasie, w samym Rzymie zajmowali się uświęceniem kleru. Już w 1643 pewna liczba duchownych własnowolnie udała się do ich domu przy Monte Citorio dla przygotowania się do święceń. Wkrótce jednak, czy to brak gorliwości, czy opór rodziny, dość, że zapał zmniejszył się. Ale papieże Alexander VII, Innocenty XI i Innocenty XII powiadomieni, i sami widząc szczęśliwe owoce takiego przygotowania, położyli je za warunek nieodzowny do przyjęcia święceń. Te święte ćwiczenia stały się wkrótce sławnemi; biskupi, kardynałowie, jenerałowie zakonów przychodzili słuchać ich nauk, albo sami je dawali tak jak we Francji; duchowni z najznakomitszych rodzin za szczęście poczytywali sobie brać w nich udział; nawet cudzoziemcy prosili o przyjęcie. W ten sposób rozszerzyli się Missjonarze coraz więcéj we Włoszech, a szczególniéj w rzeczypospolitéj weneckiéj. Nowe domy Missji powstały zarazem w Rzymie i państwie papiezkiém, gdzie, choć zniszczone przez rewolucję, po większéj części nanowo przywróconemi zostały.

Ze wszystkich biskupów włoskich, współczesnych Wincentemu à Paulo, którzy usilnie starali się sprowadzić jego synów, najgodniejszym pamięci jest kardynał Durazzo, arcybiskup genueński. Biskup ten czekał właśnie na Missjonarzy francuzkich, gdy jeden z nich wracając z Rzymu do Paryża wstąpił do Genui. Zatrzymał go, i zaraz użył do pracy. Wkrótce potém, w 1645, obiecani Missjonarze przybyli i rzucili się z taką gorliwością i niezmordowaniem do różnych prac swoich, że Wincenty, choć nieprzyjaciel lenistwa, obawiał się aby nie upadli pod ciężarem, i pisał do nich, aby miarkowali się w pracy. Ale jakże mogliby to uczynić, gdy kardynał, choć przy bardzo wątłem zdrowiu, sam dawał im przykład? Odbywał z nimi missje, przejmował się ich sposobem postępowania i co do litery zachowywał ich reguły.

Pod przewodnictwem i oczyma takiego wodza, czegóż nie byli zdolni Missjonarze? Parafje, tchnące przeciw sobie nienawiścią, jakby małe państwa w czasie wojny, rozbrojone zostały przez tych kapłanów pokoju; nawet sławni *bandyci* wyrzekali się rabunku i sztyletów, bo ojciec przebaczał im zamordowanie syna, syn morderstwo ojca. Bractwo Miłosierdzia założono po wsiach z szelążków ubogich; gdzieindziej ustanawiano towarzystwa, których celem było pouczanie nieumiejętnych pacierza i głównych zasad wiary, zwoływanie dzieci z parafji dla nauczenia ich katechizmu. Nie mniejsze były owoce ćwiczeń przed święceniami, a szczególniéj rekollekcji duchownych. Djecezja genueńska inną przybrała postać przez te prace Missjonarzy. W 1656 i 1657 morowe powietrze na nową próbę wystawiło ich miłość. Listy Wincentego z téj epoki pełne są pod tym względem okropnych szczegółów. Ich przełożony X. Blatiron, wracając z missji do miasta, gdzie zaraza z każdym dniem się wzmagała, znalazł ulice pełne trupów, a między nimi cztery osoby jeszcze żyjące. Co tydzień umierało po pięć albo sześć ty-

sięcy. Zdaleka tylko niesiono pomoc temu nieszczęśliwemu miastu, a nikt niemiał siły iść zabrać posiłki wyrzucone dla nich na brzeg morski. Ani zmiana pór roku, ani modły zanoszone przez Kościół z okazji jubileuszu, nic nie mogło odwrócić plagi, ani nawet umniejszyć jéj ciosów. I missjonarze byli nią dotknięci, wielu umarło. Wincenty, wedle zwyczaju, uczcił ich pamięć na jednéj konferencji tkliwą mową żałobną, która była zarazem dla całego zgromadzenia zachętą do męczeństwa. Śmierć ich, jak zawsze, pokazała się płodną, i po śmierci Wincentego à Paulo, Zgromadzenie Missji otrzymało jeszcze trzy nowe zakłady w państwie genueńskiém, które po przejściu rewolucyjnéj burzy, rozpoczęły znowu wszystkie swoje prace.

Z Genui, Missjonarze prześli na wyspę Korsykę, która wtedy należała do rzeczypospolitéj. Nigdzie missja nie była tak potrzebną: Korsyka przecież sławna z *wendetty*. Do dzikości wyspiarzy, dodajmy jakby straszną świtę: ciemnotę, bezbożność, cudzołoztwo, kazirodztwo, kradzież, fałszywe świadectwa, zakazane małżeństwa i rozwody.

Missjonarze bez trwogi szli przeciw tym potworom, i aby pewniéj zwyciężyć, podzielili się na cztéry oddziały. Ale środkowy punkt wojny świętéj był w Niolo, dolinie służącéj za schronienie *bandytom*. Reszta mieszkańców, prócz chrztu, nie miała innéj cechy religijnéj; głęboka ciemnota i brak wszelkich praktyk chrześćjańskich; miejsce cnót zajęły występki.

By zaradzić złemu, zaczęli naprzód Missjonarze od oświecenia religijnego; następnie udało im się rozdzielić nałożników i wyklętych; pogodzili jednych z Bogiem, drugich i z kościołem; między ostatniemi niestety! kilku księży; zamyślili nakoniec przywrócić pokój i miłość w pośród tego dzikiego ludu. Piętnaście dni pracowali bez skutku by wyrwać nienawiść z serca a broń z ręki. Dopiero w ostatnim dniu missji przyszła do skutku zgoda. Nazajutrz byłto dzień

prawdziwie Kommunji jeneralnéj, bo zgody z Bogiem, zgody między ludźmi, zgody ludu z pasterzem, a pasterza z ludem.

W Piemoncie, tak jak i gdzieindziej we Włoszech, Missje rozszerzyły swe dobrodziejstwa na wszystkie klasy społeczeństwa. Kler świecki i zakonny, pasterze i owieczki, szlachta i lud, wszyscy równy w nich udział brali. Tam, nawet w zimie, przynoszono do kościoła trochę pożywienia i pozostawano po ośm i dziewięć dni i nocy czekając przy konfessjonale. Po niektórych miejscach, tak jak w Korsyce, przychodzono na missją ze sztyletem i pistoletami za pasem, ale wkrótce broń wypadała z ręki pod działaniem kapłanów Boga pokoju.

Tak pomyślne skutki, sprowadziły następnie wiele zakładów missyjnych w Sabaudji i Piemoncie, zakładów, które zniszczone, rozproszone, przenoszone, — dziś są w równéj prawie liczbie jak przed rewolucją. Toż samo miało miejsce w państwie Neapolitańskiém i innych prowincjach włoskich.

II. Innocenty X^ty^, przychylając się w 1646 do prośby Henrjetty francuzkiéj, żony Karola I^go^, wezwał Wincentego do posłania kilku Missjonarzy do Irlandji, gdzie katolicy, napastowani w swéj wierze przez anglikanów i prawie bez pasterzy, bardzo potrzebowali kolonji świętych kapłanów. Wincenty był posłuszny, i wybrał ośmiu Missjonarzy, między którymi pięciu Irlandczyków. Posłuszni jak ich ojciec, rzucili się do nóg jego, prosząc przy wyjeździe o błogosławieństwo. Zalecił im wzajemną zgodę i posłuszeństwo Papieżowi; przepisał im porządek w drodze i po przybyciu do swéj Missji. Uniknąwszy tysiąca niebezpieczeństw, Missjonarze przybyli na miejsce i tam rozdzielili się po djecezjach Limerick i Cashel. I tu i tam wpłynęli na poprawę pasterzy i ludu; ale wtedy wybuchło prześladowanie. Krwawa tyranja królobójcy Kromwella, i jego zięcia dzikiego Iretona zaciążyła głównie na katolickich kapłanach. Wincenty, nie chcąc

narażać bezpożytecznie swoich, wezwał ich do Francji, trzech tylko zostawił w Limerick. Ci pięciu Missjonarze przywieźli mu najzaszczytniejsze świadectwa, jakie im wydali przy wyjeździe biskupi z Limerick i Cashel.

Trzéj pozostali w Limerick odprawili, missją która miała niesłychane powodzenie, i tym więcéj utwierdzili się w przekonaniu pozostania na swém stanowisku. Wincenty dziękował im za to. Odwaga ich tym była godniejszą pochwały, że do wojny przyłączyła się zaraza, która sprzątnęła ośm tysięcy osób. Nareszcie wojna dopełniła zguby tego nieszczęśliwego miasta. Ireton zdobył je i dwudziestu dwóch znakomitszych mieszkańców poświęcił zemście swojéj. Wszyscy świątalnie przybrani, szli na męczeństwo jakby w trjumfie. Na rusztowaniu przemówili do ludu tak, że samych katów wzruszyli, i aby nie wątpiono o przyczynie ich męczeństwa, oświadczyli, że umierają za obronę Kościoła Rzymskiego. Trzej Missjonarze zdołali się schronić. Jeden pozostał w Limerick, gdzie umarł; dwaj drudzy Brinn i Barry uszli. Brinn powrócił do swego kraju, a Barry zdołał przedrzeć się do Francji.

Wincenty wielce był niespokojny co się z nimi stało; posyłał właśnie Missjonarzy do wielu innych krajów, i nie strasząc się ani mnogością wydatków, ani prześladowaniem, ani rozbiciem okrętu, postanowił posłać niektórych do wysp Hebrydzkich na zachód Szkocji, archipelagu pozbawionego od czasu anglikańskiéj schizmy, kapłanów i obrzędów katolickich.

Dermot Guy i Francis Whyte, rodem Irlandczycy, puścili się w drogę w marcu 1651, i przybyli do Szkocji przez Hollandją. Przez ośmnaście miesięcy Wincenty nie miał żadnéj o nich wiadomości, bo Anglicy przecięli katolikom wszystkie drogi. Nareszcie list od X. Guy doszedł go w końcu 1652 r. Whyte pozostał w górach Szkockich, a Guy udał się do Hebrydów, gdzie jego odwaga i bezin-

teresowność wzruszyła i panów i ich ludy. To też, pomimo trudów i wszelkiego rodzaju niedostatku, Guy przywiązał się do tych wysp, i prosił o towarzyszy umiejących dobrze ich język, a lepiéj jeszcze znosić głód, pragnienie, i spać na gołéj ziemi.

We dwa lata potém, w kwietniu 1654, Guy pisał drugi list, pełen wdzięczności ku Bogu za pomyślność prac swoich. Zwiedził wiele z tych wysp i kawał stałego lądu: wszędzie nawrócenia były liczne. Opatrzność pracowała z nim i dla niego, sprawując prawie cuda za jego modlitwą. Ożywiony pomyślnym skutkiem a łaknący pracy, gotów był daléj posuwać swe zdobycze, gdy nagle dotknięty chorobą, wyniszczony niezdrowém pożywieniem, nużącemi pochody i całym znojem swego apostolstwa, — jak drugi Franciszek Ksawery na wstępie do Chin, umarł pod wyspą Pabba 17 maja 1558. Kaplica na jego grobie postawiona, dziś jeszcze nosi jego imię.

Wincenty rozesłał po wszystkich swych domach, tę tak smutną a zarazem pocieszającą wiadomość. Ale nie znał szczegółów, bo prześladowanie katolików zdwoiło się. Przesłano krwawe dekreta do Irlandji i Szkocji, a dekret wydzierający rodzicom katolickim ich dzieci, oburzał szczególniéj serce Wincentego. On, co był ojcem i matką opuszczonych dzieci, nie mógł pojąć takiego barbarzyństwa.

W czasie, gdy Dermot Guy nawracał Hebrydy, Francis White pracował już to na zachodnich wybrzeżach, już w górach Szkockich, w pośród większych jeszcze niebezpieczeństw, z równym trudem, ale podobnąż korzyścią. Wiadomość o tém doszła do uszu ministrów, którzy lękając się wydarcia sobie tego kraju, uciekli się do Kromvella. Poprzednie dekreta wznowiono w 1655, i nakazano namiestnikowi Szkocji, wyszukać wszystkich kapłanów rzymskich, i bez procesu, śmiercią ukarać. Rozkaz natychmiast wykonano. Przetrząśnięto kraj cały, i, we środę popielcową odkryto w zamku de Huntly

trzech księży, z których jednym był Francis Whyte. Wrzucony do więzienia w Aberdeen, Whyte sądził się być w przysionku śmierci; gdy Wincenty dowiedział się o pojmaniu, tegoż samego był zdania i zapowiedział bliskie jego męczeństwo przełożonym różychn domów i Zgromadzeniu u świętego Łazarza.

Szczególna opieka Boża! kapłan, aby był skazany na śmierć, powinien wedle praw istniejących, schwytanym być przy odprawianiu Mszy ś. a Whyte niemógł być przekonanym o tę mniemaną zbrodnię. Po pięciu więc czy sześciu miesiącach więzienia wypuszczono go, z zagrożeniem natychmiastowego powieszenia, jeśliby spełniał jakie posługi katolickie.

Uwolniony, udał się zaraz w góry, gdzie rozpoczął znowu swe apostolskie prace. Słowo Boże niedługo więc było związane w Szkocji. Zresztą, już 1653, Wincenty, na pierwszą prośbę księdza Guy, pojmując sam, że dwóch pracowników nie podoła takiemu zadaniu, posłał im towarzyszy, ale prawdopodobnie nie Missjonarzy. Więcéj chciał jeszcze uczynić, ale Francja, która nikczemnie wtedy szukała przymierza z Kromvellem, odmówiła mu pomocy. Pomimo tego, boskie nasienie, rzucone wśród tylu prześladowań, nigdy nie zaginęło. I jeśli katolicyzm panuje dziś jeszcze, mimo prześladowań i wszelkiego rodzaju tyranji na wyspach Hebrydzkich, niezaprzeczenie, po Bogu, Wincentemu à Paulo i jego synom należą się dzięki.

Po śmierci zresztą Wincentego, Missja przetrwała na tych wyspach. Whyte, który przybył do Francji, powrócił znowu do Szkocji, gdzie umarł 1679. Brinn także udał się do Irlandji. Przez Irlandją to znowu Missja powróciła za dni naszych do połączonego królestwa. Obecnie, oprócz seminarjum Irlandzkiego w Paryżu i trzech zakładów w Irlandji, Zgromadzenie posiada domy missyjne w Anglji i Szkocji.

III. *Missjonarze w Polsce* *). Władysław IV król polski, owdowiały po Cecylji Renacie, córce Ferdynanda II, cesarza niemieckiego, zamyślał o wejściu powtórnie w związki małżeńskie. Choć pięćdziesiąt letni i schorowany, starał się naprzód o Krystynę Szwedzką, lecz gdy dla zbytniéj nierówności wieku nie powiodło mu się, posłał prosić o rękę księżniczki Gonzagi, zpokrewnionéj z królewską rodziną Francji. Otrzymawszy pomyślną odpowiedź, wysłał do Francji wojewodę Opalińskiego, ze świetnym pięćset szlachty orszakiem, który w 1645 r. przybył do Paryża. Marja-Ludwika Gonzaga, córka Karola II księcia Mantui, Montferratu, Nevers i Rethel, miała już wtedy 34 lat. Opaliński, wziąwszy z księżniczką ślub prokuracyjny w imieniu króla polskiego w Paryżu, w obecności Ludwika XIV króla dziecięcia, przywiózł Ludwikę Gonzagę już jako królową, w towarzystwie ambassadorowéj Guebrian do Polski. Schorzały król spotkał nową małżonkę dopiéro u stóp ołtarza fary warszawskiéj, gdzie nuncjusz papiezki Jan de Torres ślub potwierdził. Nowi małżonkowie nie kochali się nigdy; królowa pocieszając się po stracie Francji, otoczyła się dworem cale francuzkim; między jéj honorowemi pannami odznaczała się urodą Marja Kazimiera d'Arquien, przyszła małżonka Jana Sobieskiego. Uczeni, oficerowie, nawet awanturnicy francuzcy cisnęli się na ten dwór, gdzie sława i dostatki zdawały się dla nich otwierać. Pokój westfalski uspokoił resztę Europy, ale burze gromadziły się dopiero nad Polską. Pierwszy cios spadł od kozaków, którzy pod wodzą Bogdana Chmielnickiego straszną zadali klęskę hetmanowi Potockiemu pod Korsuniem. Król, z Wilna, gdzie udał się wraz z królową w 1648, zamierzał sam udać się na Ukrainę, lecz zasłabłszy nagle w drodze, zatrzymać się musiał w Mereczu

*) Założenie i pierwsze prace Missjonarzy w Polsce, jako bliżéj nas obchodzące, w obszerniejszym opisie podajemy.

nad Niemnem, gdzie i umarł tegoż roku. Jan Kazimierz, dowiedziawszy się o śmierci brata, złożył purpurę rzymską, i podał się jako kandydat do tronu i ręki królowéj. Obrany jednozgodnie na króla 20 listopada 1648, w sześć miesięcy po tém za dyspensą rzymską pojął za żonę bratowę. Ludwika chętnie na to przystała; podobało jéj się pełne zmian życie byłego kardynała, a widząc go słabym i nieudolnym, spodziewała się panować w jego imieniu. Na domiar szczęścia, chociaż już blizko czterdziestoletnia, pierwszy raz została matką; widziała przez to uwiecznione panowanie swoje. Wojna z kozakami trwała jednak ciągle, Innocenty X. papież, przysłał królowi z uroczystém poselstwie hełm i szpadę, wojsko królewskie przygotowało się do walki przez ćwiczenia jubileuszu, następnie wystąpiło przeciw nieprzyjacielowi. Świetne było zwycięztwo pod Beresteczkiem; zawarto pokój, który choć nie trwał długo, zdawał się jednak kończyć klęski kraju.

Takie było położenie kraju w 1651 r., gdy Missjonarze pesłani przez świętego Wincentego à Paulo wyjechali do Polski. Królowa mieszkając we Francji znała i ceniła bardzo świętego kapłana, należała nawet w Paryżu do bractwa pań miłosierdzia. Przybywszy więc do Polski, powzięła zamiar sprowadzić Missjonarzy, i napisała do świętego Wincentego, prosząc go o kilku kapłanów. Święty uznał w tém wolę Bożą i wysyłając czterech synów swoich, napisał do królowéj list z 6 września 1651 r.: „Oto wreszcie nasi Missjonarze, którzy upadną do stóp waszéj królewskiéj mości, ofiarując swe pokorne służby. Jest ich tylko trzech czy czterech, choć był zamiar posłania ośmiu lub dziewięciu. Sądzę, że ci wystarczą na początek, dopóki wasza królewska mość nie raczy nam rozkazać posłać ich więcéj. Nie umieją języka krajowego, ale, że mówią po łacinie, będą mogli odrazu zająć się wychowaniem młodych duchownych, tak w pobożności i praktyce cnót, jak i innych rzeczach,

które znać i wykonywać mają. Wasza królewska mość będzie mogła dać im około dziesięciu na początek, a po upływie roku, już to będą robotnicy gotowi, których nasi będą mogli wziąść z sobą na missję dla nauczania ludu wiejskiego, który po większéj części nie umie rzeczy potrzebnych do zbawienia, a przez to, jak mówią niektórzy święci, znajduje się w niebezpieczeństwie potępienia. Jeśli wasza królewska mość potwierdzi ten zamiar, a biskup który pozwoli na wykonanie go w swéj djecezji, uczyni jak biskupi we Francji, którzy obowiązują kleryków przed przyjęciem święceń do pozostania jakiś czas w seminarjach, niepodobna pani, aby i jéj seminarjum nie udało się równie dobrze, bez innych kosztów, jak mieszkania, sprzętów i utrzymania Missjonarzy, bo seminarzyści zapłacą za siebie pensją. Niezbyt dawno temu jak mamy seminarja w tém królestwie, a jednak postęp widać znakomity. Jeden z Ichmość księży biskupów raczył napisać niedawno do mnie, że nie może się dosyć nacieszyć, widząc swój kler zreformowany za pomocą seminarjum, przed ośmiu dopiero, czy dziesięciu laty założonego i kierowanego przez czterech księży z naszego zgromadzenia. Dziwy nam tu opowiadają o świątobliwości życia biskupa wileńskiego*). Może rad będzie posiadać to święte dzieło w swéj djecezji, chyba, że wasza królewska mość raczy mu dać początek w Warszawie, aby widzieć jego prace i lepiéj poznać jego ważność i owoce. Jeźli Bóg raczy pobłogosławić świątobliwym zamiarom waszéj królewskiéj mości dla zupełnego szczęścia wielkiego jéj królestwa, które szczycić się może z posiadania jednéj z najlepszych królowych, wasza królewska mość dodasz do błogosławieństw jakie obecność jéj przyniosła, bardzo wiele innych korzyści,

*) Biskupem w Wilnie był wtedy X. Jerzy Tyszkiewicz; a dopiero w 1685 r. biskup Aleksander Kotowicz, sprowadził Missjonarzy do Wilna i powierzył im zarząd seminarjum, ufundowawszy dom na górze zwanéj Zbawiciela.

przez postęp w cnocie stanu duchownego, oświecenie biednych jéj poddanych, a także, założenie nowego i świętego zakonu, jakim są zakonnice Najświętszéj Panny, co da sposobność innym dziewicom poświęcenia się dobremu Bogu i zapobieży zgubie wielu, a wreszcie przez posługę około biednych chorych za pomocą Sióstr Miłosierdzia, których wasza królewska mość żądasz i które są gotowe do drogi. Cóż dobrego możnaby przedsięwziąść, pani, czego by te dzieła nie obejmowały? I czy jest stan w jéj królestwie, któryby przez to nie doświadczył skutków jéj nieporównanéj pobożności?“

Wyjazd zakonnic najświętszéj Panny, czyli Nawiedzenia, opóźniano w skutek oporu rodzin, sprzeciwiających się wysyłaniu swych córek do tak odległego kraju, a szczególniéj niechęci arcybiskupa paryzkiego, niezadowolnionego, że królowa nie do niego bezpośrednio udała się z tém żądaniem. Wiemy o tém z post-scriptum wyżéj przytoczonego listu Wincentego, i drugiego do X. Lamberta z 21 czerwca 1652 r. Wincenty radził królowéj, aby sama napisała do arcybiskupa i królowéj francuzkiéj; ten dopiero wtedy usunął swe veto, a po zwycięženiu innych jeszcze trudności, zakonnice przybyły do Polski w końcu czerwca 1654 r.

Missjonarze po przybyciu do Polski w listopadzie 1651 r., nie mając jeszcze stałego miejsca zamieszkania, pozostawali przy królowéj w zamku, dopóki nie kupiła im małego domku z ogrodem blizko kościoła świętego Krzyża w Warszawie. Było ich pięciu: księża Lambert i Desdames; Guillot subdjakon, Żelazowski kleryk i brat Posny. Aby zrozumieć ofiarę, jaką czynił Wincenty z Lamberta który był wtedy asystentem, to jest pierwszym po nim w domu św. Łazarza, dość czytać, co święty pisał jedenaście lat wprzódy, 1 czerwca 1640 r. do kardynała Ingoli, kiedy miał go posłać do Persji: „Muszę wyznać waszéj eminencji, że taką z niego czynię ofiarę, jakby mi kto oko wyrywał, albo uci-

nał rękę". Wincenty ochotnie go jednak ustąpił na tę trudną i odległą missję, bo znał jego wartość i cnotę, którą niejednokrotnie wypróbował. Raz naprzykład wieczór, zająwszy go pracą aż do późnéj nocy, rzekł mu rozstając się, aby spoczął rano. Nazajutrz rano, Lambert pierwszy był na modlitwie. Wincenty dostrzegł go i przed całém zgromadzeniem, nie wyjmując braci i młodych seminarzystów, każe mu uklęknąć: „Mości księże, rzecze, posłuszeństwo więcéj warte jak ofiara. Za mniejszą winę od twojéj, o mało Jonatan nie stracił życia, i zamięszanie nie wcisnęło się do armji synów izraelskich." I długo jeszcze mówił mu o wartości cnoty posłuszeństwa, chwaląc z jednéj strony jego gorliwość i miłość reguły, ale ganiąc to nadużycie gorliwości, — choć przyznawał, że pierwszy raz dopiero dostrzegł w nim uchybienie przeciw posłuszeństwu. Takiego to człowieka przeznaczył Wincenty na przełożonego nowéj missji w Polsce. Missja ta jednak, jak wszystkie dzieła Boże z początku, a nawet długo napotykała przeszkody. Aby je zrozumieć, wejdźmy w niektóre szczegóły:

Ludwika Gonzaga przy swym romantycznym i awanturniczym charakterze, przejęła się we Francji nowemi opinjami janseizmu. Miała nawet zamiar obrać Saint-Cyrana za przewodnika sumienia, ale, że we cztery dni po tém umarł, znajdowała się tylko na jego pogrzebie z całą okazałością. Należała jednak i do bractwa pań miłosierdzia św. Wincentego; dzieliła więc swe uczucia między św. Łazarza a Port-Royal, więcéj jednak przechylała się ku temu ostatniemu. Matka Angelika, wedle zwyczaju sekty wciągania osób znakomitych, zajęła się nią, miała nawet oddzielne mieszkanie w Port-Royal, gdzie przepędzała czwartki, a niekiedy i tygodnie całe. Słowem, księżniczka zdawała się n a w r ó c o n ą. Powołana na tron polski, od Port-Royal zażądała spowiednika, i dano jéj księdza Fleury, doktora Sorbony, zupełnie poświęconego sekcie. Z Polski, w ciągłych

były stosunkach z matką Angeliką; znane są dwieście przeszło listów Angeliki do królowéj polskiéj. Ludwika, oprócz listów, słała do Port-Royal dary i znakomite jałmużny; po potępieniu pięciu propozycji w 1655 r., pisała nawet do Aleksandra VII., wstawiając się za zakonnicami, i pocieszała Port-Royal w prześladowaniu: „Mój Boże, pisała w 1661 r., dla czegóż nie mogę mieć téj świętéj matki (Angeliki) i wszystkich innych strapionych, u siebie w pałacu, aby je uściskać!“ I ofiarowała im schronienie w swojém państwie. Niejednokrotnie sama, albo z namowy Fleurego, chciała rozmawiać z Missjonarzami o nowéj nauce, zapewne, aby ich pozyskać; a przypominamy sobie, że Wincenty nakazał im pod tym względem najściślejsze milczenie.

Możemy więc teraz pojąć przyjęcie, jakiego doznali Missjonarze po przybyciu do Polski, szczególniéj od Jezuitów. Ci byli już tam od wieku, broniąc kraj przed protestantyzmem. Po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza, jeszcze liczniéj przybyli, mając nadzieję korzystania w interesie wiary z dobrego usposobienia byłego księżęcia kościoła rzymskiego. I oto nagle widzą przybywających tu nieznanych księży, widocznie sprowadzonych przez kapłana podejrzanéj wiary; bo nie ma wątpliwości, że to Fleury, więcéj jeszcze jak pamięć na świętego założyciela Missjonarzy, wpłynął na wezwanie ich do Polski. Tak, Fleury chciał ich przeciwstawić jezuitom, którzy byli panami położenia. Święty Wincenty w téj epoce nie był jeszcze wystąpił publicznie przeciw nowéj nauce, jak to widzieliśmy wyżéj. Fleury nie mógł więc wiedzieć, że synowie jego będą przeciwnemi nowym zasadom, i żywił nadzieję, że zrównoważą wpływ jezuitów pod względem nowych opinji. Jezuici znowu, znając nowo przybyłych jedynie jako protegowanych Fleurego i przeznaczonych do zbliżania się najwięcéj do królowéj, drżeli o prawdziwą wiarę.

I w tém, nie opieramy się na przypuszczeniach tylko, a mamy pewne dowody. Arcybiskup adrjanopolitański, legat papiezki w Polsce, otrzymał od stolicy świętéj rozkaz ogłoszenia bulli przeciw Jansenjuszowi i niedopuszczania, aby nowa nauka wcisnęła się do królestwa. Piątego zaś lipca 1650 r. powiadomił kardynała Pancirole, że Jezuita Piotr Wilhelm Rose, kaznodzieja królowéj, miał kazanie przeciw książce *o częstéj komunji,* przysłanéj z Paryża, nazywając ją pełną błędów i szkodliwą dla wiernych; że X. Fleury, doktór Sorbony i spowiednik królowéj przeciwnie, bronił tę książkę, i wystarał się o obrońców, a między innymi biskupa poznańskiego Andrzeja Szołdrskiego. Zawezwał więc legat kaznodzieję i spowiednika królowéj, zachęcał do milczenia albo mówienia o tych rzeczach z umiarkowaniem, i starał się ich pogodzić. Wpłynął także na królowę i wedle tego co pisał 17 września 1650, udało się mu oddalić ją trochę od sekty i jéj zasad. Pozyskał szczególniéj króla, który zmęczony ciągłemi o to sporami u Dworu, odwołał się do Rzymu 12 września 1650 r., prosząc o decyzję co do dzieła Arnaulda. Innocenty X. odpowiedział mu 9 grudnia tegoż roku, że i on i Urban VIII., potępili naukę Jansenjusza, co zaś do książki Arnaulda, chciał jeszcze jakiś czas ją badać, ale, że zalecił swemu nuncjuszowi w Polsce, aby powagą swoją nakazał milczenie stronom*).

Takie było położenie w Polsce, gdy Missjonarze przybyli. Wprowadzeni przez Fleurego równie jak królową, a bez wątpienia poparci przez biskupa Szołdrskiego sprzyjającego zasadom jansenistów, musieli wpaść w podejrzenie przewidujących a czujnych Jezuitów. Ci więc oparli się ich wprowadzeniu, i przez nuncjusza zapytali, ktoby byli i zkąd

*) Wyjątek z 18 tomów *in folio* Mss. O. Rapina. Dokumenta te przepisane zostały w Rzymie przez O. Rapina z autentycznych dokumentów, udzielonych mu na rozkaz papieża.

przychodzą. Missjonarze uprzedzeni przez Fleurego, który opisał im Jezuitów polskich w najczarniejszych kolorach, przelękli się i żywo użalali się na nich przed swym ojcem. Wincenty zadziwił się, bo żył w zupełnéj zgodzie z Jezuitami we Francji, pośpieszył jednak z przesłaniem im wszystkich dowodów i świadectw, objaśniających prawdziwe ich stanowisko. Napisał zarazem do Lamberta 21 czerwca 1652 r. list, w którym cnota jego zarówno jak wysoka mądrość się pokazuje: „Co do drugiego punktu waszego listu, który mówi o trudnościach, jakie spotyka wasz zakład, uwielbiam w tém wyroki Boże, bo bez Jego rozkazu nic się nie dzieje, i lepiéj zrobimy, uważając te przeszkody jako pochodzące z woli Jego, jak przypisując je komukolwiek. A choćby to było prawdą, żeby ci, o których mówicie, zazdrościli wam i jak najgorzéj z wami postępowali, nie przestanę nigdy szanować, kochać i służyć im o ile będę mógł, bądź tutaj, bądź gdzieindziéj. Posyłam wam jednak autentyczną kopję naszéj bulli, legalizowaną przez wikarjusza jeneralnego paryzkiego i jego excellencją nuncjusza, od którego oczekuję listu do jego excell. nuncjusza w Polsce, świadczącego i polecającego nasze Zgromadzenie. Ufam dobroci Bożéj i sile prawdy, że to będzie dostateczne i że wkrótce będziecie ustaleni".

I byli w rzeczy saméj, ale nieufność i tajemne obawy długo jeszcze dzieliły Missjonarzy i Jezuitów, bo Fleury miał w tém poróżnieniu interes. To téż we dwa lata po tém, 22 maja 1654 r. Wincenty pisał do X. Ozenne, następcy Lamberta nowy list, w którym wskazuje mu za sposób postępowania praktykę pokory i miłości, jedyną jego politykę: „Co do napaści, któréj się lękacie od pewnego Zgromadzenia, ufam dobroci Bożéj że nie nastąpi, i proszę was czynić wszystko, aby tego nie dopuścić, uprzedzając tych dobrych ojców szacunkiem, posługą i uprzejmością, jak to staramy się czynić tutaj, w czém nie mamy wielkiéj trudności, i jestem zdecydowany, choćby mię błotem obrzucili,

nie okazać żadnéj za to niechęci, nie zrywać z nimi, ani umniejszać szacunku i czci jaką im winienem dla Boga; jeźli zaś powiedzą coś, albo uczynią przykrego waszéj małéj łódeczce, choćby nawet w zamiarze zatopienia jéj, znoście to dla miłości Bożéj, który potrafi uchronić was od zguby i po burzy sprowadzi pokój".

Toż samo powtórzył Wincenty w liście z 27 listopada 1654 r., gdzie zaklina Ozenna sam, i w imieniu Zgromadzenia, aby ani mówił o tém, ani żalił się przed kimkolwiek, ale starał się *vincere in bono malum*, to jest mówić o nich zawsze korzystnie i z szacunkiem, nawiedzać ich, służyć przy każdéj sposobności, bo w ten sposób postąpi wedle Boga i prawdziwéj mądrości.

Ale kapłani zarówno przejęci wiarą i gorliwością apostolską, nie mogli trwać dłużéj w nieporozumieniu. Za staraniem Wincentego w 1655 r., Jezuici paryzcy napisali do swych współbraci w Polsce, i odtąd Missjonarze i Jezuici pracowali wspólnie nad wspólném dziełem wiary i poprawy ludu. Zresztą w téj epoce Fleury nie był już spowiednikiem królowéj, a kierownictwo jéj sumieniem przeszło do jezuitów.

Tak więc Missjonarze pozostali w Polsce, ale zanim stanowczo tam się osiedlili, odznaczyli się poświęceniem, które zwróciło na nich oczy ludu i znakomitych panów. Wojna ze Szwedami, Rossją i Kozakami rozpoczęła się na nowo, Polska ze wszech stron była zagrożoną. Na domiar nieszczęścia, powietrze morowe wybuchło w kraju. Lambert na wiadomość o zarazie w Krakowie, pobiegł tam natychmiast ze swemi towarzyszami; posługiwał zapowietrzonym, i rozdawał jałmużny, które dla ich wsparcia dawali mu bogaci, — i przez sześć miesięcy bez przerwy wypełniał to dzieło miłosierdzia. Tym czasem przybyły tam pierwsze Siostry Miłosierdzia posłane przez świętego Wincentego; Lambert uszczęśliwiony z téj pomocy, mógł udać się do

Warszawy, gdźie morowe powietrze silnie panowało. Zabrał się zaraz do dzieła z takiém poświęceniem, że królowa pisząc do Wincentego we wrześniu 1652 r. nie mogła dosyć się go nachwalić, dosyć nadziękować Wincentemu.

„Dobry X. Lambert pisze, widząc jak Polacy boją się morowego powietrza, chciał koniecznie udać się do Warszawy, aby wprowadzić tam lepszy porządek w opiece nad ubogimi. Dałam rozkaz, aby mieszkał w zamku w pokoju samego króla. Co dzień mam o nim wiadomość, i co dzień mu polecam, aby się nie narażał na niebezpieczeństwo. Ma przy sobie wszystko, co tylko potrzeba, aby do mnie powrócił, jak tylko porządek który zaprowadza, będzie ustalony, i zachęcam go, aby się spieszył i jak najprędzéj do mnie wracał. Gdyby nie ta choroba, która wszystkie nasze plany pomięszała, ukończylibyśmy zakład ich w Warszawie. Przed dwoma dniami wasze Siostry Miłosierdzia przybyły, z których bardzo jestem zadowolniona itd.“

Królowa pisząc to, nie znała rozciągłości złego, albo nie chciała straszyć Wincentego; to pewna, że straszna to była plaga. Bogatsi powyjeżdżali z Warszawy, a zaraza szerzyła się przerażająco. Chorych, wyrzucano zaraz na ulicę, gdzie bez żadnéj opieki umierać musieli. Trupy leżały stosami, nikt nie śmiał ich grzebać, a psy pastwiły się nad nimi. W tak rozpaczliwém położeniu było miasto, gdy Lambert tam przybył. Poprzenosił chorych na miejsca, gdzie znaleźć mogli pomoc co do ciała i duszy, dla ubogich umierających z głodu pozakładał domy schronienia, pogrzebał umarłych, we wszystkiém słowem zaprowadził porządek.

Jak tylko Missjonarze przybyli do Polski, królowa starała się o pomieszczenie ich. Myślano najprzód oddać im kościół niemiecki w Warszawie, ale że zamiar ten natrafił na przeszkody, musiano go porzucić. Tym czasem zawakowało probostwo kollacji królewskiéj w Sokółce na Litwie,

oddano go więc Missjonarzom, a Lambert posłał tam X. Desdames w 1652 roku.

Gdy wojna z Rossją wybuchła, a Jan Kazimierz wyruszył z wojskiem na Litwę, królowa uciekając przed morową zarazą udała się za królem, zabrawszy z sobą Lamberta. Biskup wileński, Jerzy Tyszkiewicz poznawszy go tam, oświadczył pragnienie powierzenia swego seminarjum Zgromadzeniu, ale zamiar ten, dopiero w trzydzieści lat po tém mógł być wykonanym. Co do Lamberta, zadanie jego już było spełnione; dwa lata pracy i poświęcenia w Polsce starczyły dla pozyskania mu nagrody w niebie. Wkrótce poczuł pierwsze napady zarazy morowéj, a pragnąc skończyć życie między swoimi, udał się do Sokółki, gdzie pomimo usilnych starań współbraci, opatrzony Sakramentami przez X. Desdames, oddał czystą duszę Bogu 31 stycznia 1653 r., w 47 roku życia. Pogrzebano go przed wielkim ołtarzem kościoła w Sokółce, ale w 1686 r., za pozwoleniem biskupa wileńskiego, a staraniem wizytatora X. Tarły przeniesiono ciało jego do Warszawy, gdzie spoczywa w grobach kościoła świętego Krzyża.

Wincenty boleśnie uczuł stratę tego zacnego Missjonarza, a polecając go modłom Zgromadzenia, pochwałę jego wyraził słowami Pisma: *Dilectus Deo et hominibus, cujus memoria in benedictione erit.* Królowa napisała także do Wincentego list ubolewający nad tą stratą, a wyraziwszy swój żal, kończy temi słowy: „Wreszcie, jeśli nie przyślecie mi drugiego X. Lamberta, nie wiem sama co zrobię.“

Na nalegania królowéj Wincenty szukał dla Missjonarzy polskich nowego przełożonego, i wybrał X. Ozenne, jednego z najdawniejszych i najlepszych kapłanów Missji. Wyjechał więc Ozenne z kilkoma Missjonarzami i zakonnicami Nawiedzenia na okręcie hamburgskim, ale okręt zabrali Anglicy, i chociaż parlament zawyrokował wypuszczenie ich, sprawa ta jednak przewlekła znacznie jego przybycie do Polski. Sta-

nał na miejscu dopiero w styczniu 1654 r., więc w rok blizko po śmierci Lamberta. Przez ten czas Missja w Polsce została bez przełożonego, Missjonarze chwiać się poczęli; mimo zachęty i rad Wincentego, Guillot i kleryk Żelazowski powrócili do Francji.

Ozenne po przybyciu do Warszawy zajął się, jak jego poprzednik, zapowietrzonymi i innemi dziełami miłosierdzia, królowa tymczasem myślała o umieszczeniu stale Missjonarzy, dlatego 12 listopada 1654 nabyła prawo prezenty na probostwo św. Krzyża w Warszawie, a gdy w grudniu tegoż roku X. Jan Zeydlitz dobrowolnie zrezygnował, nowa kollatorka wezwała na proboszcza X. Ozenne, przełożonego Missjonarzy; książę Czartoryjski biskup poznański urzędownie przyjął prezentę i oddał to probostwo w posiadanie Zgromadzenia Missji 19 grudnia 1654. Wtedy X. Ozenne zrzekł się probostwa w Sokółce, gdzie aż dotąd przebywał X. Desdames, i złączył tym sposobem wszystkich Missjonarzy w domu św. Krzyża, który odtąd stał się centralnym domem wszystkich zakładów Missji w Polsce. Królowa umieściwszy Missjonarzy tak blizko swojego pałacu, opatrzyła ich utrzymanie, zwiększając ogród otaczający kościół i za dozwoleniem sejmu zakupiła część wsi Skuły w województwie mazowieckiém położonéj, i też im w wieczyste posiadanie w 1654 oddała. Wszystko więc zdawało się uśmiechać dla młodéj Missji w Polsce, gdy Bóg niezbadany w wyrokach swoich dopuścił na nią i na cały kraj cierpienia, które przez całe trzy lata wyciskały łzy boleści świętemu założycielowi Missjonarzy.

Bohdan Chmielnicki poddał się z całą Kozaczyzną w 1654 carowi Alexemu, ktyry w 80,000 wojska wkroczył w granice Polski; wkrótce potém Karol Gustaw, któremu Krystyna z krzywdą linji męzkiéj Wazów oddała koronę szwedzką, obrażony za protestację Jana Kazimierza, ogniem i mieczem pustoszyć począł nieszczęśliwą ziemię polską.

Wincenty widział w tém zgubę katolicyzmu w Polsce, więc modlił się i zalecał modlitwy i umartwienia Zgromadzeniu dla odwrócenia gniewu Bożego. Niespokojny o dzieci swoje, prosił posła francuzkiego w Szwecji, by się wstawił u dworu za zakonnicami Nawiedzenia, Siostrami Miłosierdzia i Missjonarzami w Warszawie, pisał także do Rzymu wstrzymując wyjazd do Polski X. Berthe i kilku Sióstr Miłosierdzia. Ale Berthe wyjechał już do Krakowa. W każdym liście Wincentego z tych czasów znać głęboką boleść nad nieszczęściami Polski, boleść tém żywszą, że ożywiony wiarą lękał się, by protestantyzm nie wziął przez to przewagi w Polsce, aby królestwo Boże nie było od niéj odjęte. Obawa o katolicką Polskę przemagała w jego sercu obawę o Missjonarzy, których tak przecie kochał. Ze łzami w oczach mówił do swych dzieci u św. Łazarza: „Czyż nie zdaje się, mości księża, że Bóg przenieść chce Kościół swój gdzieindziéj? Tak, jeśli się nie poprawimy, obawiać się trzeba, aby Bóg nie odjął go nam, témbardziéj, że widzimy tak potężnych nieprzyjaciół Kościoła wkraczających doń z olbrzymią armją. Ten groźny król szwedzki, który w niecałe cztery miesiące opanował znaczną część tak wielkiego królestwa, zesłany może od Boga na ukaranie nierządów naszych. Tych samych to nieprzyjaciół użył w tym celu dawniéj, Gotów, Wizygotów i Wandalów, z tamtych stron wyszłych, na zasmucenie swego Kościoła przed tysiąc dwustu laty. Niesłychane te początki strzedz się nam każą. Tak obszerne państwo opanowane w cztery zaledwo miesiące! O Panie! kto wie, czy ten groźny nieprzyjaciel poprzestanie na tém? kto wie? bo *ab aquilone pandetur omne malum;* ztamtąd wyszły wszystkie nieszczęścia naszych przodków, ztamtąd także lękać się i teraz trzeba.“

Do obaw, boleści apostoła, łączyła się obawa i boleść ojca. Za zbliżeniem Szwedów, Jan Kazimierz i królowa uciekli do Szlązka, zabrawszy z sobą X. Ozenne i Siostry

Miłosierdzia. Ten, przewidując nieszczęścia przy zdobyciu przez Szwedów Warszawy, odesłał do Francji młodych Missjonarzy przybyłych przed rokiem, zostawując w mieście tylko XX. Desdames i Duperroy do obsługi parafji św. Krzyża. Łatwo pojąć, co ucierpieli ci dwaj Missjonarze przez parę lat, w czasie których Warszawę wielokrotnie zdobywaną przez Szwedów, znów odbierali Polacy. Bici i rabowani, utracili wszystko, nawet odzież na sobie, ale nie stracili odwagi, nie zbrakło im na poświęceniu. Oto, co Wincenty mówił o nich na zwykłéj konferencji piątkowéj: „Polecam modłom Zgromadzenia dwóch naszych współbraci, XX. Desdames i Duperroy, którzy pracują w Warszawie. Jeden z nich (Duperroy) chory jeszcze po niedobrze wyleczonéj morowéj zarazie, tak że przykładać mu musiano do boku rozpalone żelazo, a tak cierpliwy, że nigdy się nie uskarża, cierpi spokojnie i z poddaniem. Inny rozpaczałby, widząc się chorym o czterysta mil od swego kraju, mówiłby: „Dlaczego posłano mię tak daleko? Czemu mię nie wzywają; to chcą mię opuścić? Inni siedzą spokojnie we Francji, a mnie na śmierć wystawują w obcym kraju!“ Takby mówił człowiek cielesny, rządzący się skłonnościami natury, a nie cierpiącego Chrystusa. O! jakąż naukę daje nam ten Jego sługa, miłowania stanu, w którym spodoba się Opatrzności Bozkiéj nas postawić! Drugi, patrzcie jak oddawna pracuje w pokoju ducha, ani się straszy długością pracy, ani zraża niewygodą, ani lęka niebezpieczeństw! Obaj obojętni na życie i śmierć i pokornie poddani woli Bożéj; ani się niecierpliwią, ani szemrzą, przeciwnie, więcéj jeszcze gotowi cierpieć. Myślemyż tak samo, mości księża i moi bracia? czyśmy gotowi cierpieć co Bóg ześle na nas, i przytłumiwszy popędy natury, żyć życiem Jezusa Chrystysa? Czyśmy gotowi iść do Polski, do Berberji, do Indji, poświęcić mu nasze wygody i życie?.. Wiecież co cierpią w tym kraju? Głód! i to ciężki; morowe powietrze! obaj nań cho-

rowali, a jeden dwukrotnie; wojnę! są wpośród armji i przeszli przez ręce żołnierzy nieprzyjacielskich. Wreszcie, doświadczył ich Bóg wszystkiemi temi plagami. A my, siedzieć tu mamy jak piecuchy bez serca i gorliwości!.. Zbawienie ludów i nasze własne tak wielkiém jest dobrem, że warto go zdobyć za jakąbądź cenę; mniejsza o śmierć wcześniejszą, byle umrzeć z bronią w ręku; szczęśliwi będziemy, a Zgromadzenie nie zubożeje, bo *sanguis Martyrum semen est Christianorum.* Za jednego Missjonarza, co z miłości wyda życie, Bóg wzbudzi wielu innych, którzy dokończą czego on nie mógł...“

Oto prawdziwa wymowa, wymowa apostolska, zdolna wydać apostołów. To też wszyscy odpowiedzieli z prorokiem: „Otom ja, poślij mię!“ Ale jak przebyć armje nieprzyjacielskie? Trzeba więc było czekać sposobniejszéj chwili.

Tymczasem gwałty i zdobycze Szwedów obudziły bojaźń w sąsiednich mocarstwach; car Aleksy zezwolił na zawieszenie broni, cesarz niemiecki Leopold I przysłał posiłki, Danja i Holandja wypowiedziały wojnę Szwecji, — Karol Gustaw spieszyć więc musiał ku obronie własnego kraju, a Jan Kazimierz zniósłszy załogi szwedzkie, odzyskał wreszcie Kraków i Warszawę. X. Ozenne mógł więc powrócić w październiku 1657 do św. Krzyża i zająć odbudowaniem zniszczonego domu. W kilka miesięcy potém już nie żył. Wincenty dzielił smutek osieroconéj Missji w Polsce: „Spodobało się Bogu, pisał 20 września 1658 do X. Jolly w Rzymie, zabrać X. Ozenne, przełożonego naszéj biednéj rodziny w Polsce; gwałtowna gorączka w pięć dni przyprawiła go o śmierć, opatrzonego Sakramentami i gotowego stanąć przed Bogiem. Od czasu wejścia do Zgromadzenia gotował się na to, bo zawsze strzegł się złego, a czynił dobrze; Bóg go teraz nagrodził. Żałują go wszyscy co go znali, a my dużośmy stracili, jeśli zwać można stratą co Bóg zy-

skał, którego wola niech zawsze w nas się pełni i we wszystkiém, co się nas tyczy.“

Jak tylko św. Wincenty dowiedział się o bolesnéj stracie X. Ozenne, naznaczył X. Desdames na przełożonego św. Krzyża. Ten, od siedmiu już lat w Polsce i dostatecznie znając język, gorliwie zajął się missjami, za co św. Wincenty gorąco dziękował Bogu, a proszony o zwiększenie liczby Missjonarzy, obiecał przysłać kilku młodych, którzy łatwiéj nauczyćby się mogli po polsku; ale czekał zawarcia pokoju ze Szwecją. Ten tak pożądany pokój nastąpił dopiero w początku 1660 r.; wkrótce więc potém przybyło kilku Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia do Polski, którzy zaraz zaczęli uczyć się języka, a XX. Desdames i Duperroy sami obsługiwali świętokrzyzką parafję.

W takim stanie była Missja w Polsce do czasu śmierci świętego Wincentego; umierał spokojny o swe dzieci w Warszawie, pełen nadziei, „że Bóg użyje ich i pomnoży ku nauce i poprawie ludu, przyśle im więcéj robotników dla pełnienia wszystkich dzieł Zgromadzenia po różnych miejscach; ale czasu tego czekać trzeba w pokoju i z poddaniem, bo kto wierny w małych rzeczach, tego postawią nad wielą.“ *)

Opisawszy obszerniéj sprowadzenie i pierwsze prace Missjonarzy w Polsce do czasu śmierci św. Wincentego, zobaczmy jeszcze krótko, bo w zakres tego dziełka nie wchodzi historja Missji polskiéj szczegółowa, jak ta przepowiednia i obietnica jego sprawdziła się na Zgromadzeniu XX. Missjonarzy w Polsce.

Zamiarem Marji Ludwiki, sprowadzając Missjonarzy do Polski było, nietylko użyć ich do nauczania biednego ludu po wsiach, ale główniéj jeszcze może do urządzenia seminarjów dla młodzieży duchownéj i rozszerzenia przez

*) List do X. Desdames z 21 lutego 1659 r.

to kapłańskiego ducha w kraju. Powolny woli królowéj, ksiądz Desdames, jak tylko okoliczności pozwoliły na to, zajął się budową obszerniejszego i trwalszego domu przy kościele św. Krzyża. Śmierć Marji Ludwiki 1667 i późniejsze zamieszki krajowe wstrzymały budowę, i dopiero na początku 1677 r. biskup poznański wraz z kapitułą kollegjaty warszawskiéj założył w domu św. Krzyża seminarjum dla kleru swéj djecezji, a dziekan warszawski X. Raciborski majątek swój Dawidy na ten cel za zgodą Stolicy apostolskiéj do Zgromadzenia wcielił. Jednocześnie prawie, X. Eveillard przełożony domu naówczas, założył seminarjum Zgromadzenia, które aż dotąd składało się z samych kapłanów przybywających z Francji i niektórych świeckich księży, którzy doń wstępowali.

Widzimy więc w domu warszawskim u św. Krzyża, jedynym dotąd Zgromadzenia w Polsce, początek wszystkich dzieł Missjonarzy: missje po wsiach, seminarja, rekollekcje, parafja. Seminarjum warszawskie, postawione jakby na świeczniku w stolicy, zwróciło wkrótce uwagę biskupów. Już w 1676 Innocenty XI papież, zaledwo wstąpił na katedrę Piotrową, zachęcał biskupów polskich do zakładania seminarjów dla duchownéj młodzieży i powierzania ich kapłanom Missji. Widzimy téż z listu Kazimierza Szczuki, opata podówczas paradyzkiego, a późniéj chełmińskiego biskupa, pisanego do Innocentego XI 21 października 1676 r. *) że wezwanie to ochotnie przyjął król Jan III Sobieski i biskupi polscy; wkrótce więc mnożyć się poczęły fundacje Zgromadzenia w Polsce, tak, że do 1700 roku liczyli już 9 Domów, w których wychowaniem kleru, odprawowaniem missji i zarządem niektórych parafji trudnili się. Z postę-

*) Znajduje się w dziele O. Theiner: „*Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae gentiumque finitimarum historiam illustrantia.*“ *Romae 1863*, t. III, p. 639.

pem czasu liczba Domów przeniosła 40; mieli pod swym zarządem 20 seminarjów, 20 parafji i z każdego domu wedle możności odbywali po wsiach missje. Składali ciągle jednę prowincję polską, a cztery seminarja Zgromadzenia: w Warszawie, Krakowie, Wilnie i Lublinie, dostarczały potrzebnych do tak licznych dzieł pracowników. W takim stanie przetrwali Missjonarze do rozbioru Polski. Odtąd zmniejszać się też poczęła liczba domów Zgromadzenia. W części austrjackiéj Józef II już w 1782 zniósł 8 Domów, inne wskutek praw przeciwnych wolności Kościoła i przymusowéj bezczynności chylić się poczęły do upadku. W częściach przypadłych Prusom i Rossji, domy pozostały jakiś czas w dawnym stanie, utrudniona tylko komunikacja zmusiła Missjonarzy do podziału prowincji polskiéj na dwie: polską i litewską. Ta ostatnia przetrwała do 1832 r., w którym ukaz Cesarski z 10 grudnia, znosząc Zgromadzenie Missji w prowincjach litewskich, rozprószył Missjonarzy po parafjach. Prowincja polska, choć znacznie uszczuplona, istniała do 1864 r.; ukaz z 8 listopada togoż roku znosząc klasztory w królestwie polskiém, objął i Missjonarzy. Dziś, z tak dawniéj kwitnącéj prowincji, parę zaledwie pozostało domów, pod rządem austrjackim zostających.

Te tak liczne fundacje tém więcéj zaszczytu przynoszą Zgromadzeniu, że przyjmowali je z trudnością i po długim oporze i wahaniu się, już to dla braku do tak mnogich dzieł ewangelicznych pracowników, już, wierni zasadzie świętego swego ojca nie chcieli wyprzedzać zamiarów Opatrzności. Wiele innych ofiarowanych sobie zakładów nie przyjęli, bo każdy z pobożnych magnatów polskich, widząc owoce ich missji, pragnął mieć Missjonarzy w swym majątku dla duchownéj pomocy swych poddanych. Nie ma prawie zakątka w całéj dawnéj Polsce, gdzieby nie odbyli missji, a zadziwiające nieraz nawrócenia, pobożność i wdzięczność ludu, najpiękniejszą były ich nagrodą.

Dla dopełnienia historji Zgromadzenia w Polsce i po krajach słowiańskich i niemieckich wspomnieć wypada o missjach w Austrji i Prusach.

W 1760 r. na żądanie kardynała Migazzi, arcybiskupa wiedeńskiego i wolą cesarzowéj Marji Teresy, Missjonarze pierwszy raz weszli do Austrji. Kardynał arcybiskup zachęcony postępowaniem ich i zdolnością, zażądał ich więcéj, tak dla Austrji jak Węgier; pragnąłby, jak mówił, powierzyć im wszystkie seminarja w Niemczech. Ale system józefiński zamknął wkrótce te zakłady, i dopiero w tych ostatnich latach synowie świętego Wincentego à Paulo weszli znowu do austrjackiego państwa.

W Prusach, podobnie jak w Austrji, przejście zakładów polskich pod obce panowanie spowodowało rozproszenie ich. Krótki powrót do Poznania i Chełmna przerwało obecnie uznanie ich za zpokrewnionych z Jezuitami, których los podzielili. Osiedlili się niedawno także w Prusach nadreńskich, zkąd obecnie ustąpić musieli.

By dokończyć wzmiankę o Missjach w Europie, wspomnijmy o Missji w Hiszpanji, o której nieraz była mowa za życia św. Wincentego à Paulo, ale powstała dopiero w 1704 r. Po wielu przejściach, wznowioną znów została niedawno, nietylko na półwyspie, ale i wyspach Majorce, Minorce i innych okolicznych.

W dwadzieścia dopiero lat potém powstał Zakład w Portugalji. W 1739 r. wskutek obchodu uroczystości kanonizacji świętego Wincentego à Paulo , Jan V zezwolił na zachowanie wszystkich reguł Zgromadzenia. Odtąd, Missjonarze spełniali w tém państwie zwykłe swe obowiązki, i najcięższe chwile przebyli. Zniesieni dopiero w 1834 razem z innemi Zgromadzeniami zakonnemi, wrócili w 1857, ale nie zdołali jeszcze pokonać ślepych namiętności.

Słowem, od czasu śmierci świętego założyciela nie upadła Missja w Europie. Zachowała albo odebrała we Francji

i gdzieindziéj swe dawne stanowiska, a nawet zdobyła nowe. Rozszerzyła się nawet we Włoszech, gdzie po rewolucji odzyskała dawne swe domy. Bez przytułku na wyspach Wielkiéj Brytanji za czasów świętego Wincentego, dziś stale tam pozostaje. Wreszcie od 1660 powstała, powróciła znów do Hiszpanji i odradza się w Portugalji. Równie więc, jak pierwotnego swego ducha, nie utraciła téż swéj płodności, i spodziewać się można, że w kilka lat odzyszcze, a może z lichwą, wszystkie straty, jakie rewolucja jéj zadała.

IV.

Missje zagraniczne.

I. Missja w Madagaskar. — II. Inne Missje zagraniczne.

I. Wielokrotnie przed XVII wiekiem, Europejczycy usiłowali utworzyć kilka stacji handlowych na brzegach wielkiéj wyspy Madagaskar. Jezuici poczęli nawet głosić Ewangelję, ale tak osadnicy jak Missjonarze opuścili krainę przezwaną odtąd cmentarzem Europejczyków.

Kompanja wschodnia utworzona wtedy we Francji, otrzymała od kardynała Richelieu wyspę Madagaskar; posłano więc tam kolonję, ale Pronis, jéj naczelnik, protestant, rozpustnik i zdzierca, gnębił katolickich osadników, ściągnął na się nienawiść Malgaszów przez rabunek i porywanie kobiet, a nawet właśni jego rodacy znienawidzili go z powodu niesprawiedliwości i złego zarządu.

Kolonja chyliła się do upadku, skoro Kompanja wschodnia zawiadomiona o wszystkiém pomyślała o innym zarządcy, i w tym celu wybrano jednego ze wspólników, hrabiego de Flacourt. Zajęto się zarazem posługą religijną dla osadników, a pragnąc posłać tam dobrych księży, udano się z prośbą do kardynała Bagni, nuncjusza we Francji,

który w swém imieniu zażądał dwóch Missjonarzy od św. Wincentego à Paulo.

Mieszkał wtedy w Richelieu młody kapłan, który od czasu wejścia do Zgromadzenia wzdychał za missją zagraniczną; nazywał się Karol Nacquart. Jego wybrał Wincenty, i w marcu 1648 napisał do niego długi i piękny list, w którym zawiadamia go o tém zaszczytném powołaniu, wylicza cnoty niezbędne mu wpośród ludu, którego bałwochwalstwo mało co złagodzone odrobiną mahometanizmu i chrystjanizmu, a nierząd wszelkie przechodzi pojęcie. Poczém nakreślił mu plan podróży, jak ma się zachować z osadnikami i poganami, a zakończył upadając w duchu do stóp jego jako do stóp apostoła.

Za towarzysza przeznaczył mu Mikołaja Gondrée, jeszcze subdjakona wtedy, którego pospiesznie wyświęcono na kapłana, a pisał o nim z największą pochwałą.

Na ten list Nacquart odpowiedział: „Ponieważ jesteście ojcem dla mnie na ziemi, pójdę jak dziecię na ślepo, by poznać, czy ta ziemia jest obiecaną.“

Nacquart i Gondrée spotkali się w Richelieu i przyspieszyli wyjazd. Przez miesiąc pobytu w Rochelli, u przylądka Zielonego, na brzegach Senegalu, u przylądka Dobréj Nadziei, wszędzie słowem szerzyli swe prace apostolskie, głosząc słowo Boże i pełniąc dzieła miłosierdzia. Zamienili okręt w klasztor niejako, bo ćwiczenia pobożne odbywały się z zakonną regularnością. Wreszcie, po sześciomiesięcznéj podróży ujrzano Madagaskar. Natychmiast Nacquart zawezwał towarzyszy podróży, aby wzajemnie przebaczyli sobie urazy i jeden z pierwszych wysiadł na ląd, a zginając kolana ofiarował się Bogu, w którego Imię objął w posiadanie tę ziemię.

Dwaj Missjonarze zamieszkali w chatce drewnianéj, pokrytéj liśćmi i otoczonéj palisadą z bambusów, ale poznawszy położenie, ulękli się na widok tyle rozpusty, gra-

bieży, pożarów. Ich przedstawienia odrzucono z gniewem; niedość, urzędnicy kompanji dokuczali im wszelkiemi sposoby i ani myśleli dotrzymać zawartéj ugody. Żywić się więc musieli za trochę przywiezionych pieniędzy, a i tém dzielić się jeszcze z biednymi negrami. Uczyli się jednak gorliwie języka krajowego i wkrótce zaczęli kazać. Gondrée zajął się Francuzami a Nacquart obiegał chatki Malgaszów. Prześladowania nie ustały przecież i niemożebną czyniły ich duchowną pracę. Nacquart rozmówił się z hr. Flacourt, żądał albo poparcia przez rządcę, albo powrotu do Francji. Już wsiadał na okręt, skoro francuzi i krajowcy zatrzymali go mówiąc: „Jak to, dobry ojcze, ty odjeżdżasz! a kto będzie modlił się za nas do Boga?“ — „I to, opowiada Nacquart, przykuło moją wolę, że stała się niewolnicą Bożéj, objawionéj głosem ludu.“ Flacourt ponowił wtedy obietnice i wierniéj odtąd je dopełniał.

Missjonarze przybywszy do Madagaskar, zastali tylko pięcioro dzieci Malgaszów ochrzczonych, ale wkrótce znacznie zwiększyli tę liczbę. Naprzód przybyło im pięciu protestantów francuzkich, którzy się nawrócili, daléj, negrzy tłumem przybiegali do ich chaty, żądając nauki i chrztu. Z białymi trudniejsza była sprawa, bo wstrzymywała ich pycha rodowa rasy.

Flacourt urządzał jednak kolonję i odwiedzał Djanów czyli naczelników kraju, ze swéj strony Nacquart odbywał także wizyty apostolskie. Udał się do jednego z Djanów nazwiskiem Ramach, który dawniéj ochrzczony w Goa, powrócił był do bałwochwalczych przesądów i usiłował nawrócić go do chrystjanizmu. Ale ten, mimo obietnic łudził go tylko. Missjonarz korzystając przynajmniéj z dobrego przyjęcia, rzucał ziarno zbawienia w serca jego poddanych. Trochę późniéj wezwano go do sąsiedniego naczelnika nazwiskiem Romanore. Naczelnik ten, niebezpiecznie chory, napróżno żądał wyleczenia od swoich ombjassów (ka-

płanów) i od ulisów (genjuszy), chciał więc chrztu spróbować. Nacquart pouczył go i zarazem wszystkich poddanych jego wioski, ale nie sądził, żeby można udzielić chrztu człowiekowi, który widocznie więcéj dbał o ciało jak o duszę. W rzeczy saméj, Romanore wróciwszy do zdrowia, zapomniał dobrych postanowień, pozwolił tylko ochrzcić dwoje dzieci swoich.

Zatwardziałość naczelnika, tysiące zabobonów i nierządne nałogi wstrzymywały dorosłych. Uczęszczali wprawdzie na obrządki chrześcjańskie, z całą możebną okazałością odbywane, ale niestety! wszystko kończyło się na podziwie. Że jednak pragnęli się oświecić, Nacquart pełnym był pociechy i nadziei, tymczasem P. Bóg gotował mu najdotkliwsze z utrapień.

W czerwcu 1649 Flacourt chciał odwiedzić Djana Ramach w towarzystwie jednego z Missjonarzy, i wziął z sobą Gondrego. Brak pokarmu, niesłychany upał i trudy podróży pieszo, zmusiły Gondrego do położenia się w łóżko w Faushère; zapadł na gorączkę i dysenterję. Sprowadzono go do twierdzy Delfina, ale gorączka jeszcze gwałtowniejsza powróciła po kilku dniach wypoczynku. Zaledwo odzyskał przytomność, zażądał Sakramentów. Udzielił mu je Nacquart, prosząc Boga, aby go nie zostawiał sierotą i nie ogałacał kolonji. Chory troszczył się tylko o nawracanie heretyków i bałwochwalców, żałował jedno, że opuści swych biednych drogich wyspiarzy. Widząc śmierć blizką, wspominał o Wincentym à Paulo swym drogim ojcu, rodzinie, i dwukrotnie jako spadek zostawił swemu współbratu obietnicę cierpienia i prześladowań. Nacquart, myśląc o swém długiém może osamotnieniu, zapytał go, czyby miał siłę go rozgrzeszyć; nagle chory podnosi się, i omdlewającą ręką udziela Nacquartowi ostatnie rozgrzeszenie. W kilka godzin już nie żył.

Nacquart sam pogrzebł ciało apostoła i męczennika, i głosem przerywanym łkaniem odprawił żałobne nabożeństwo. Nawet negrowie, którzy przecież zaledwie go znali, powtarzali płacząc: „Przedtém nie widzieliśmy podobnych ludzi, którzy ani łają ani złorzeczą, a z miłością mówią nam o zbawieniu.

Sam jeden, o 4000 mil od kraju, walcząc z trudem i cierpieniem, które wkrótce i jego do grobu doprowadzić miało, Nacquart zrobił testament, w którym urządził duchowne interesa kolonji po swéj śmierci, — poczém błagał Chrystusa Pana o udzielenie mu cząstki łask zmarłego, aby mógł podołać podwójnéj odtąd pracy, a czując się wysłuchanym co do ciała i duszy, wziął się do dzieła z poddaniem i odwagą.

Zajął się naprzód ułożeniem w jezyku krajowym nauk katechetycznych, które z dziwną łatwością głosił. Opowiadał Chrystusa sam albo przez drugich przy każdéj sposobności; jeśli francuzi wyruszali na jaką wyprawę, przygotowywał naprzód ich dusze, najzdolniejszych wybierał na missjonarzy niejako i zalecał im opowiadać Ewangelję poganom za pomocą nauk, które dawał im na piśmie.

Bo od czasu śmierci Gondrego nie mógł już wydalać się z kolonji, témbardziéj, że choroby licznie panowały między francuzami, nad którymi miał pieczę duchowną. Na kilka dni tylko czasem czynił wycieczki w okoliczne ziemie, i tak, raz ochrzcił syna Djana Ramach, siał po wsiach ziarno zbawienia, które inni zbierać mieli. Wedle rady Wincentego uczył z pomocą obrazków, a wyspiarze równie chciwie słuchali ich objaśnienia, jak podziwiali rysunek i kolory. Ale pomimo tak dobrego usposobienia mieszkańców, nie mógł ukończać rozpoczętéj pracy, zmuszony powracać prędko do twierdzy Delfina. Na szczęście, Malgasze, synowie Djanów odwiedzali go tam i uczyli się. Na święta Wielkiéjnocy 1651 r. uświetnił uroczystość kościelną w nowo

zbudowanym kościółku, przez chrzest, pierwszą Kommunję i ślub wielu dorosłych Malgaszów. Wzmagało się więc żniwo; nadzieje jeszcze były większe, bo odkładał chrzest wielu neofitów aż do czasu ich ślubu, jedynéj nadziei wytrwania w dobrém u tak rozwiązłego ludu. Do tego trzeba przydać nawrócenie wielu protestantów, liczne małżeństwa francuzów, żyjących dotąd na wiarę z murzynkami, wreszcie dobroczynne projekta, mianowicie co do wychowania kobiet i dziewcząt krajowych, które choć nie były doprowadzone do skutku, policzył Pan Bóg słudze swemu.

Tak szczęśliwe usposobienie ludu do przyjęcia Ewangelji wzmagało boleść Missjonarza, bo sam niewiele mógł uczynić. Pisał więc do Wincentego prosząc o robotników. Święty, jak tylko dowiedział się o śmierci Gondrego, już sam myślał o tém; nie chciał narażać Nacquarta na trudy, pod których ciężarem wkrótce upaśćby musiał. W tym celu powołał X. Jakuba Mounier i X. Bourdaise; ale zamieszki krajowe i kłótnie kompanji wschodnich nie dozwoliły im puścić się w drogę przed początkiem 1654 r., i 16 sierpnia dopiero przybyli do twierdzy Delfina.

Już od trzech lat Nacquart nie żył, choć wiadomość o śmierci jego nie doszła przez tak długi czas do Francji. Po trudach świąt Wielkiéjnocy i Wniebowstąpienia poczuł się blizkim śmierci; rozporządził więc wszystkiém, udzielił ostatnie rady i błogosławieństwo francuzom i oddał czystą duszę Bogu. Mimo niepamięci, jaka zwykle czeka nas po śmierci, Nacquart po trzech latach żył jeszcze w sercu swych rodaków i negrów, to téż z szacunkiem i serdecznie przyjęli Mouniera i Bourdaise'a. Negrowie ochrzczeni przez pierwszych Missjonarzy, przybiegli do ich następców, przywodząc tłumy swych rodaków na naukę wiary, ze wszystkich stron kraju, tak, że chatka wkrótce okazała się zamałą, i trzeba było budować drugą obszerniejszą, przeznaczoną wyłącznie na katechizmy.

Bo téż i francuzi i negrowie z wielu powodów pragnęli przyjazdu Missjonarzy. Flacourt widział, że kolonja z każdym dniem się zmniejsza pod ciosem chorób i Malgaszy, a żaden okręt nie przybywał z Francji na pomoc. Smutna zazdrość kupiecka między dawną kompanją wschodnią a marszałkiem de la Meilleraye opóźniła przysłanie nietylko nowych kolonistów ale i nowych Missjonarzy, bo Wincenty nie wiedział, do kogo się zgłosić. Zmuszony w końcu przyjść z pomocą swoim, wybrał okręty marszałka de la Meilleraye na podróż XX. Mounier i Bourdaise. Ci, zaledwo przybyli, rozpoczęli uczyć się języka i po kilku miesiącach mogli już uczyć katechizmu negrów, oddając zarazem duchowne posługi francuzom. Wszystko szło jak najlepiéj, gdy rewolucja wybuchła w zarządzie kolonją. Flacourt pojechał do Francji i zlecił rządy Pronisowi; zmiana ta nowe sprowadziła niepokoje. Wyprawa przeciw Malgaszom najnieszczęśliwiéj się skończyła; Pronis wziął z sobą Mouniera, który zaledwie oswoiwszy się z klimatem, już w końcu lutego 1655 musiał się udać w drogę. We trzy miesiące potém przerażające przyszły wiadomości. Ci z francuzów, co uniknęli żelaza Malgaszów, pochorowali się wszyscy; Mounier bardzo już chory wlókł się jakiś czas bez odrobiny żywności, w końcu przybył do obozu niesiony przez sześć dni przez murzynów. Bourdaise spieszy do obozu francuzów i wchodzi do chaty Mouniera. Po charczeniu poznaje, że towarzysz jego dogorywa. W rzeczy saméj, Mounier czekał tylko niejako na ostatnie Sakramenta, i zaledwie je przyjął, spokojnie zasnął w Panu. Wyprawa w politowania godnym stanie powróciła do kolonji z trupem Mouniera, którego Bourdaise pogrzebł obok Nacquarta i Gondrego.

Znów sam jeden, powrócił do swéj apostolskiéj pracy. Upoważniony przez gubernatora, obiegał chaty, wypędzał

nierządne kobiety, i z pociechą niejednę zmienił w pokutującą Magdalenę.

Ale nowe a zawsze niepomyślne wyprawy, zmiany gubernatorów, egzekucje zarówno nierozważne jak niesprawiedliwe i krwawe, podkopywały coraz więcéj kolonję i blizką zwiastowały burzę. Naczelnicy skazani na śmierć zażądali chrztu, który Bourdaise, bezsilny świadek tych scen odrażających, udzielił im. Inni naczelnicy, sami wydali siebie i synów w ręce francuzów. Wszyscy chcieli oświecić się w wierze, uczęszczali na modlitwy i ceremonje obrzędów chrześcjańskich, i już Bourdaise gotował się ich ochrzcić, skoro zawarto pokój; powrócili więc do swéj ziemi, prosząc tylko Missjonarza, aby przybył nauczać ich poddanych.

Cóż, kiedy kraj zniszczony rabunkiem i spalony suszą nie wydał płodów. Francuzi byli wycieńczeni, negrowie umierali z głodu. Bourdaise, choć sam bez zasobów, chodzi odedrzwi do drzwi, by wyżebrać trochę ryżu i owoców, i codzień rozdaje po garnku zupy zgłodniałym, podobnie jak w tymże czasie czyniono to u furty św. Łazarza. Miłosierdzie takie wzrusza tych biedaków; wszyscy, naczelnicy i poddani żądają chrztu. „O! gdyby nas tu było dwóch albo trzech księży, pisał wtedy Missjonarz do Wincentego, za rok cały ten wielki kraj byłby ochrzczonym. Usiłuję chociaż wzbudzić pragnienie, aby ten chrzest *in voto* zastąpił go w potrzebie.

Wincenty à Paulo i de la Meillerayé nie zapominali o Madagaskarze, o którego stanie pod względem religijnym dowiedzieli się przez Flacourta. Cztery okręta gotowe na wyjazd do téj wyspy czekały w porcie Rochelli. Trzej Missjonarze: Maturyn de Belleville, Klaudjusz Dufour i Mikołaj Prevost wsiedli na pokład 29 października 1655 r. Zaledwo flota straciła z oczu brzegi Francji, Belleville umarł. Po siedmiomiesięcznéj podróży, dwaj tylko Missjonarze przybyli do twierdzy Delfina. Bardzo jednak ucieszył się

Bourdaise widząc drogich swych towarzyszy. Było to w wigilją święta Bożego Ciała; odprawili je z nieznaną dotąd w Madagaskarze okazałością, która zachwyciła dobrych neofitów.

Ale, krótko trwała radość. Po kilku dniach pobytu w twierdzy Delfina, gdzie Dufour, choć sam cierpiący na szkorbut, był pocieszycielem, opiekunem i lekarzem chorych, Missjonarz ten udać się musiał do Świętéj Marji, miejsca swego przeznaczenia, by się złączyć ze swym towarzyszem Prevostem, — i Bourdaise znów sam pozostał.

W Świętéj Marji Missjonarze zastali francuzów chorych i zgłodniałych. Z początku dzielili się z nimi szczupłą swoją racją, potém na ścisły się post skazali, żeby całą im oddawać. Dufour, choć sam chory, zmęczony, wycieńczony pracą jaką podejmował około chorych na ciele i duszy, powziął jeszcze myśl poświęcić Świętą Marją dwunastu apostołom, i w tym celu udał się w głąb wyspy, by w każdéj z dwunastu jéj części postawić krzyż. Przebywał więc w bród rzeki, spał na gołéj i wilgotnéj ziemi, wystawiony na deszcze i promienie słońca równikowego. Przy dziesiątéj stacji upadł z wysilenia. Przywiedziony do swego towarzysza, w ośmnaście dni umarł; w miesiąc potém Prevosta także już nie było.

Osamotnienie Bourdaise'a z tymczasowego zmieniło się w ciągłe; boleść swą i straty opisał świętemu Wincentemu, a dla pociechy opowiadał także swe prace i błogosławieństwo jakie Bóg im daje. Postawił teraz chatkę między francuzami a negrami, żeby w potrzebie jednym i drugim łatwiéj mógł posługiwać. Zbudowano także obszerniejszy kościół na pomieszczenie licznych neofitów, duży dom na katechizmy, drugi na szpital, spodziewając się doczekać dnia, w którym Siostry Miłosierdzia mogłyby zastąpić go przy chorych. Rachując na przybycie nowych Missjonarzy, przyjął do seminarjum pięciu młodych chłopców, którzy z czasem

mogliby zostać księżmi i najłatwiéj nawrócić swych rodaków. Czterech młodych Malgaszów wychowywano także w tymże celu u ś. Łazarza.

I na innych projektach nie zbywało, ale sam jeden musiał się ograniczać. Dużo jeszcze było do zrobienia; ludzie tłumnie przychodzili na naukę religji. Zgromadzał ich więc w kościele, i te różnorodne a niezgodne głosy mężczyzn i kobiet, starców i dzieci, bogatych i ubogich, złączonych wiarą w jednego Boga, najmilszą były dlań harmonją. Mnożyły się chrzty i śluby; obrzędy chrześcjańskich pogrzebów, szczególniéj Dianów ochrzczonych, w podziwienie wprawiały negrów. Tłumnie się zbierali, by popatrzeć na pogrzeb tych, których przedtém uważali za bogów. Uwielbiali religją katolicką, tak za świętą równość jaką daje przy śmierci, jak i miłość w udzielaniu ostatnich posług tym, którzy wczoraj jeszcze, przed chrztem ją prześladowali. Trochę lekarstwa, maść przyłożona na czasie, szczęśliwa operacja, starczyła do pogardzania Ombjasem i Ulisami, a do zaufania nauce Missjonarza. Zresztą, Bourdaise nie zaniedbywał i Ombjasow, i pracował nad nawróceniem tych, którzy przez mniemaną naukę i czary, mieli uważanię u ludu.

Słowem, dzieło Boże rosło, i Bourdaise, pomimo najgłębszego poczucia swéj nicości, mógł powiedzieć sobie: Gdybym umarł, cóżby się stało z tym biednym Kościołem? To téż bez ustanku powtarzał Wincentemu słowa Proroka: „Proszę, Panie, poszlij kogo masz posłać!“ A bojąc się, by śmierć najlepszych jego księży nie odwróciła go od téj Missji, gromadził w swych listach na poparcie powody i przykłady.

Wincenty, pełen ufności w Bogu przy największych uciskach, nie zniechęcał się ani śmiercią swych dzieci, tak bolesną jednak jego sercu, ani radami przyjaciół nalegających, aby się zrzekł dzieła, które niebo zdawało się potępiać; ale zachęcał jeszcze energiczniéj swoich kapłanów do

objęcia opróżnionych przez śmierć, tak chwalebnych stanowisk.

Na tak święte wezwanie, kapłani i bracia powstali gotowi do wyjazdu. Wincenty wybrał dwóch księży: Boussordée i Hebrona, i brata Krzysztofa. Wszyscy trzéj wsiedli na okręt w Nantes 30 października 1656 r. Zaledwo okręt wypłynął z Loary, wepchnęła go nazad burza, i jedynie dzięki cudownéj opiece Opatrzności, Missjonarze uniknęli rozbicia i śmierci. Powrócili więc do Paryża, gdzie Wincenty na nowo przygotowywał wyjazd. Marszałek de la Meilleraye i dawna kompanja Wschodnia ciągle się kłócili i procesowali. Po wielu wahaniach, Wincenty zdecydował się na marszałka, i posłał mu czterech księży z bratem Krzysztofem i jednym z negrów wychowanych u ś. Łazarza.

Wyjechawszy z Nantes 13 marca 1658, Missjonarze, choć uniknęli burzy, to znów dostali się w ręce hiszpanów. W następnym roku, Wincenty ciągle stały i ufny, trzecią przygotował wyprawę. Feydin, d'Averoult i Des Fontaines, wyjechali 15 grudnia 1659 z Paryża do Rochelli, a Estienne, przełożony téj Missji i brat Patte ruszyli morzem z rzeczami. Trzeci raz burza! Wiadomość o rozbiciu i śmierci wszystkich podróżnych, lotem błyskawicy doszła do Paryża. Wincenty nie mógł wątpić o tém nowém nieszczęściu; już nowy przełożony gotował się do wyjazdu do Rochelli, i jadł na wyjezdném obiad, skoro przybyły listy. Z jakąż radością Wincenty poznał na jednéj kopercie pismo Estienna, który opowiadał cudowne swe ocalenie!

Estienne i Patte, wkrótce połączyli się z towarzyszami w Rochelli, i razem wypłynęli do Madagaskar 25 stycznia 1660 r. Wieźli piękny list do Bourdaise'a, w którym Wincenty opłakiwał śmierć jego towarzyszy, tłumaczył opóźnioną wysyłkę pomocy, winszował prac, udzielał rady, ale szczególniéj wyrażał obawę, czy śmierć nie połączyła go już z braćmi. „Umarłbym szczęśliwy, mówił kończąc list, gdy-

bym wiedział, że żyjesz, i wielu, tak dzieci, jak dorosłych ochrzciłeś; ale, jeśli nie dowiem się o tém na ziemi, spodziewam się wkrótce widzieć to na łonie Boga“.

List ten, w rzeczy saméj, nie doszedł swego adresu; ten do którego był pisany, już nie żył, a i posłańcy nie stanęli u celu podróży. Ich okręt rozbił się u przylądka Burz, i powrócili do Europy na flocie batawskiéj. Tu dowiedzieli się o śmierci ś. Wincentego; udali się więc do następcy jego Almerasa, który uważając missją w Madagaskar jako najdroższą spuściznę, nie wahał się posłać nowych Missjonarzy. Estienne i Patte poświęcili się znowu, dodano im Missjonarza Manié, świeckiego księdza Frachey i brata Lebrun. Przybyli nareszcie wszyscy do Madagaskar w końcu 1662 r. „ah! wołali przyjmując ich francuzi, teraz, ponieważ tu jesteście, nie lękamy się już śmierci, i nie wątpimy, że Bóg przywróci tę ziemię do dawnego jéj stanu.“ Od pięciu lat byli już bez księży, bo Bourdaise umarł 25 czerwca 1657 r.

Umierając, Bourdaise zostawił kolonją w pomyślnym stanie. Nie tak zastali ją następcy, tak pod względem religijnym jak politycznym. Malgasze ochrzczeni, powrócili po największéj części do bałwochwalstwa, albo zamordowani zostali przez swych rodaków; a francuzi przez rozpustę, łupieztwa i okrucieństwo zniszczyli kraj i przywiedli go do powstania. Trzeba było wszystko rozpoczynać na nowo; Estienne i towarzysze jego wzięli się do dzieła i wkrótce stanęły rzeczy na dawnéj stopie. Gubernator, rozsądném postępowaniem uspokoił wyspę. Dla ukończenia dzieła tak pod względem politycznym jak religijnym rachowano na nawrócenie Diana Mananghe. Estienne udał się do niego z bratem Patte i jednym francuzem: wszystkich trzech otruto w czasie uczty: oto pierwsi męczennicy Madagaskaru!

Gubernator chciał się pomścić: ale wszystkie siły wyspiarzy otoczyły go, a właśni rodacy grozili.

Powstała nowa indyjska kompanja. Pierwsze jéj okręty wiozły sześciu kapłanów Missji: XX. Cuveron, Boussordée, Roguet, Montmasson, Bourrot i Veyrat, nadto sześciu braci: Pomadé, Parisot, Moutier, Galot, Bourgoin i Pilliers. Ale Boussordée i Pomadé utonęli u Przylądka Zielonego; reszta przybyła do Madagaskar, ale mimo najpiękniejszych obietnic kompanji, czekało ich tam pokrzywdzenie, brak sprawiedliwości i wszelkiego rodzaju ucisk.

Wkrótce potém, 10 marca 1667, cztery nowe okręta wpłynęły do przystani Delfina. Przywiozły dwóch nowych Missjonarzy, Jourdié i Grohan i braci Boucher, Gérard i Tranchant; trzeci ksiądz, Brisjone, pozostał chory w Teneryffie.

Pomimo tego, Missja chyliła się do upadku; stawiano im zawady; brak było wszystkiego, prawie wszyscy Missjonarze pochorowali się; księży Montmasson i Jourdié posłano na wypoczynek na wyspę Bourbon, Bourrot przełożony, ciężko chorował na febrę; Boucher i wielu innych braci utonęło łowiąc ryby, żeby nie umrzeć z głodu; Cuveron umarł niedługo, reszta zaledwo starczyła do posługi duchownéj francuzów.

Mananghe wsparty przez anglików, skorzystał z nowéj zmiany administracji, by zniszczyć do reszty kolonją. Missja upadała coraz więcéj; febra w kilka dni zabiła Maniego, a z jego śmiercią zamknięto seminarjum, w którym wychowywało się ze dwudziestu krajowców. To chociaż pocieszyło go przed śmiercią, że mógł powierzyć staranie około chorych pani La Ferrière pobożnéj wdowie, która przyjęła suknią Sióstr Miłosierdzia.

Reszta Missjonarzy, bez przełożonego, bez wiadomości z Francji, nie mogli utrzymać się dłużéj. Z neofitów ochrzczonych przez X. Bourdaise i następców, zaledwo pozostało czterech, a i z tych czterech, Roguet na jednego tylko mógł liczyć. Inni odeszli od francuzów i wyrzekli się chrystja-

nizmu z obawy śmierci, jaką zagroził im dziki Mananghe. I Missjonarze co chwila czekali śmierci, bo na ich głowy naznaczono cenę. W tym czasie dwóch tylko księży Roguet i Montmasson i czterech braci pozostało w Madagaskarze; inni albo umęczeni przez dzikich, albo pomarli, spełniając posługi miłosierdzia. Z tych czterech braci, dwóch jeszcze Pilliera i Gallot zabili dzicy, napadając na folwark.

Skoro więc przełożony jeneralny X. Jolly powołał Missjonarzy do Francji, czterech tylko wsiadło na okręt. Dwaj bracia Bourgoing i Gérard umarli w drodze, Roguet i Montmasson sami powrócili do ś. Łazarza w 1676 roku. W ośm dni potém Roguet umarł, Montmassona zachowała Opatrzność, by służył za nabój do armaty dzikim algierczykom w 1683, jak to opisaliśmy poprzednio. Tak się zakończyła Missja w Madagaskarze, która przez 25 lat istnienia, kosztowała Zgromadzenie, nie licząc znakomitych wydatków, 27u Misjonarzy, 17tu księży i 10ciu braci, oprócz 4rech księży świeckich; — ale wzbogaciła je czterema męczennikami: Estiennem i trzema braćmi Patte, Pilliers i Gallot.

Podobnież się zakończyła kolonja na téj wyspie, która kosztowała Francją, oprócz niezliczonych skarbów, 1500 żołnierzy lub kolonistów, z liczby 4000, których tam posłano. Reszta albo powróciła do Francji, albo rozbiegła się po kolonjach francuzkich w Indji, na wyspie Bourbon i Maurycego, — filjach Madagaskaru.

II. Kolonje na wyspach Bourbon i Maurycego, tak pod względem religijnym jak politycznym były filjami Madagaskaru, zanim, wzrosłszy same, powzięły nadzieję zaszczepić znów chrystjanizm tam, zkąd go same zaczerpnęły. W rzeczy saméj, Missjonarze osiadłszy na wyspie Bourbon w 1714, a Maurycego w 1721, dla tego tylko, mimo różnorodnych przeszkód, i niemożności działania na kolonje, utrzymywali się tam, że mieli nadzieję powrócić do Mada-

gaskaru, by znów pracować na missji założonéj przez świętego ich ojca. Wyspy te, były dla nich, jakby strażą przednią, niby rezerwą, zawsze gotową rzucić się w ślady poprzedników. Nadzieja ta, urzeczywistnić się miała w przeddzień rewolucji, — ale nastała burza, i trzeba było czuwać nad zachowaniem życia. Wytrwali jednak na swych stanowiskach i tam najgorsze dni przebyli. Z powrotem spokoju, wszystkie kolonje francuzkie upadły, ale Missjonarze nie opuścili téj ziemi, z którą wiązały ich tak święte węzły, i missja na wyspie Bourbon skończyła się dopiero ze śmiercią ostatniego w 1825 r. Zastąpiły ich w 1859 r. Siostry Miłosierdzia.

Dodać jeszcze musimy dla uzupełnienia tego rozdziału parę słów, o kilku missjach zagranicznych, o ktorych myślał Wincenty, a podjęli je po nim synowie jego, spadkobiercy apostolskiéj jego gorliwości.

W 1640 r. św. kongregacja propagandy, zażądała od Wincentego kilku Missjonarzy, a jednego z nich przeznaczała na koadjutora Jana Duval, pierwszego biskupa Babilonu. Pokorny kapłan drżał przed taką godnością i szukał naprzód świeckiego księdza, ale nie znajdując prawdziwie zdolnego, na modlitwie poznał wolę Bożą, i postanowił być posłusznym. Przeznaczył na tę mozolną godność Lamberta-aux-Conteaux, — po Portailu, najdroższego ze swych synów, późniéj przełożonego Zgromadzenia w Polsce. Ale zamiar ten napotkał na trudności, nie ze strony Wincentego albo jego dzieci, bo we dwa lata po tém, święty pisał: „Maluczkie to Zgromadzenie, o ile to od niego zależy, zawsze gotowe słuchać, kiedy spodoba się Jego Świątobliwości, wysłać ich *a capite ad calcem* do tych krajów“. Sprawa ta zwlekała się jednak: śmierć Urbana VIII. wszystko przerwała. Wznowiono ją w r. 1646; Wincenty szukał znowu u obcych, ale nie znalazłszy, wybrał jednego ze swoich. Poprzestał Pan Bóg na dobréj jego woli, i zamiar missji w Babilonie upadł. Wnosić jednak można z listu pisanego w 1647, że wyszukał do Persji świeckiego księdza.

Za dni naszych synowie świętego Wincentego podjęli się missji w Persji. Osiedleni w 1841 r. w Khosrowie i Urmiah, bronią katolików przeciw schyzmie i herezji i niemało już różnowierców nawrócili do kościoła rzymskiego. Te dwie missje zależą od prowincji konstantynopolitańskiéj. W rzeczy saméj, missje wschodnie powierzone teraz jego dzieciom, można odnieść do missji Babilońskiéj, którą za życia św. Wincentego miano zamiar założyć.

Jezuici je rozpoczęli. Po zniesieniu towarzystwa Jezusowego, rząd francuzki powierzył missje wschodnie Missjonarzom, a dekret papiezki z 1782 r. oddał im wszystkie missje Jezuitów na Wschodzie. Podczas rewolucji i wojen cesarstwa, missje te nie mogły wzrastać. Dziś istnieją w szesnastu różnych punktach państwa Tureckiego, Grecji i Egiptu. Wszędzie mają kościół, kolegjum albo szkołę, a niektóre dwie, dla chłopców i dziewcząt; te ostatnie utrzymywane przez Siostry Miłosierdzia. Ich zarząd podzielony na dwie prefektury apostolskie: w Konstantynopolu i Damaszku. Missja w Abisynji zamierzona w 1839 a urządzona w 1840 zależy od prowincji Syryjskiéj *). Za życia jeszcze św. Wincentego była mowa o posłaniu Missjonarzy do Ameryki, jak to się pokazuje z wielu jego listów. Myślał o Ameryce, nie wiedząc nawet o tém, wtedy, gdy pracował w końcu życia, nad urządzeniem missji chrześcijańskiéj do Brezylji. Usilnie do tego zachęcał kanonika z Lisieux X. Jana Binot Paulmier de Gonneville „prawnuka jednego z książąt ziem południowych przywiezionego do Francji w początku XVI wieku. Ta ziemia południowa, nieznana wtedy, do któréj chciano wysłać Missjonarzy, jest jak to dziś dowiedzioném, Brezylja. Ale dopiero w 1818 r., synowie Wincentego rozbiegli się po Stanach Zjednoczonych, Brezylji, Mexyku, Chili, Peru,

*) Dziś tworzy oddzielny wikarjat apostolski. (Przyp. tłum.).

La Plata, gdzie zajmują się missjami, seminarjami, dyrekcją Sióstr Miłosierdzia i szpitali.

Wincenty w swéj gorliwości apostolskiéj myślał nawet o Chinach. „Taki był zamiar nieboszczyka X. Wincentego, naszego błogosławionego ojca, pisał w 1664 r. X. Estienne męczennik Madagaskaru, abym aż do Chin się udał.“ Estienne sam nie był w Chinach, ale przez swój szczodrobliwy zapis otworzył ten kraj pierwszym Missjonarzom. Dopiero jednak w końcu XVII i początku XVIII wieku, powstała missja w państwie Chińskiém. Przerwana przez śmierć pierwszych jéj apostołów, podjętą znów została w r. 1783, gdy i tam król i Papież oddał im ją po Jezuitach. Po kilku ciężkich latach, rozwinęła się w tych czasach i dziś liczy w Chinach siedm prowincji, które obsługują tak europejscy, jak krajowi Missjonarze.

Tak więc, nietylko we Francji i Europie, ale i za morzami, Zgromadzenie Missji nie zmniejszyło swéj działalności od dwóch wieków, — przeciwnie, postęp jego niezmierny. W czasie śmierci świętego jéj założyciela, Missjonarze byli tylko w Algierze i Madagaskarze, dziś posiadają cztery domy w Algierji; Abisynja zastąpiła Madagaskar, gdzie zresztą powróci może przez wyspę Bourbon. Dwie missje w Persji i siedmnaście na Wschodzie, o których marzył zaledwo i projektował św. Wincenty, dziś są rzeczywistością. Toż samo w Chinach, toż w Ameryce, — świadkiem jedenaście domów w Stanach Zjednoczonych, sześć w Meksyku i na wyspie Kuba, dwanaście w Brezylji, La Plata, Chili i Peru. Oceanja jedna ze wszystkich części świata dla nich zamknięta, a i to może nie na długo. Trwa więc w nich ciągle duch św. ich założyciela, który tak gorąco pragnął rozszerzać wszędzie wiarę i królestwo Jezusa Chrystusa. Z wysokości niebios święty Wincenty nie przestaje zlewać na nich ducha apostolskiego, widzi ich prace, błogosławi im i użyźnia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Siostry i Panie Miłosierdzia. — Szpitale.

I.

Siostry Miłosierdzia.

I. Panna Le Gras. — II. Początek i założenie Sióstr Miłosierdzia. — III. Pierwsze zebranie, ustawy i wykład reguł. — IV. Dzieła i zakłady Sióstr Miłosierdzia za życia i po śmierci św. Wincentego à Paulo. — V. Siostry Miłosierdzia w Polsce.

I. Nie raz już wspomnieliśmy, że Wincenty i synowie jego, na każdéj missji urządzali bractwo miłosierdzia, jakby pamiątkę ich pobytu. Przez kilka lat, święty odwiedzał te pobożne stowarzyszenia sam, lub posyłał którego ze swoich kapłanów, aby utrzymać ducha pierwotnego i czuwać nad zachowaniem ustaw. Ale wkrótce liczba ich tak zadziwiająco wzrosła, a prace jego i księży Zgromadzenia tak bardzo się zwiększyły, że wizyty te z początku coraz rzadsze, następnie stały się niemożebnemi. A słusznie można się było obawiać, aby stowarzyszenia te, opuszczone, nie straciły po trochu pierwotnéj gorliwości, by członkowie zamiast słuchać ustawy, nie rządzili się raczéj kaprysem, by wspólne działanie, które całą ich siłę stanowi, powoli osłabione, nie zerwało się wkrótce, a biedni nie wpadli napowrót w nędzę, z któréj wyrwała ich czynna miłość Wincentego.

Pragnął więc i modlił się, aby Bóg zesłał mu osobę, która mogłaby go w tém zastąpić i iść, i pozostać tam,

gdzieby ani pójść, ani pozostać nie mógł, która obiegała by w jego imieniu, miasta i wsie, budząc i utrzymując ducha miłosierdzia, zachęcając i kierując dziełami, czuwając nad zachowaniem przepisanych ustaw, słowem, ucząc jak posługiwać chorym.

Tajemne wreszcie przeczucie mówiło mu, że rodzina miłosierdzia którą stworzył, powinna, by być zupełną, składać się jak ludzkość z dwóch płci; że i on sam, aby mógł pełnić miłosierne uczynki, potrzebował *pomocnika podobnego jemu;* że biednym którzy już mieli ojca, trzeba było matki.

Jedno i drugie znalazł w pannie Le Gras. Urodzona w Paryżu 12 sierpnia 1591 r. z Ludwika de Marillac, pana na Ferriéres i Małgorzaty Le Camus, panna Le Gras straciła matkę w dzieciństwie. Najstaranniejsze odebrawszy wychowanie, najprzód w klasztorze Poissy, po tém w domu rodzicielskim, młoda jeszcze, przed obiorem stanu została sierotą. Jéj pobożność, pogarda światem skłaniały ją do życia zakonnego, ale Bóg, który do większych ją rzeczy sposobił, dozwolił, że rodzina namówiła ją do małżeństwa. W lutym 1613 r. zaślubiła Antoniego Le Gras pierwszego sekretarza Marji de Medicis. Małżonka i wkrótce matka, czas pozostały od spełnienia obowiązków domowych i wychowania syna, poświęcała posłudze około ciała i duszy ubogich chorych. Dla obeznania się i wprawy w czynności, do jakiéj przeznaczała ją Opatrzność, namówiła wiele pań, by dzieliły z nią zaszczyt posług podobnych. Zresztą, czytania pobożne, rozmyślania, gorąca modlitwa, — takim był jéj wypoczynek po pracy, którym krzepiła zarazem swą miłość ubogich.

Pan Bóg doświadczywszy ją już cierpieniami moralnemi, uzupełnił to przygotowanie, dotknąwszy długą chorobą jéj męża, z któréj umarł 21 grudnia 1625 r. Już w 1623 r. 23 maja w dzień św. Moniki, ślubowała Bogu, jeźli za-

bierze jéj męża, zachować święte wdowieństwo o którém mówi apostół; po śmierci męża nic jéj nie przeszkadzało do dopełnienia ślubu.

Pozostawała dotąd pod duchownem kierownictwem krewnego swego Jana Piotra Camus, biskupa z Belley, ale że ten powrócić musiał na rezydencją do swéj djecezji, szukał odpowiedniego dla niéj spowiednika, i wybrał Wincentego à Paulo. Po długiém wahaniu, Wincenty przyjął. Wkrótce panna Le Gras *) poznała całą wartość nowego dyrektora, a dla łatwiejszego korzystania z rad jego, opuściła parafję Zbawiciela, gdzie mieszkała dotąd, i przeniosła się do parafji św. Mikołaja du Chardonnet, w blizkości kolegjum des Bons-Enfants, które niedawno objął był Wincenty w posiadanie. Zacząwszy to nowe życie, postanowiła złożyć w ręce swego spowiednika pełniejsze jak dotąd poświęcenie się Bogu i napisała akt, którego oryginał religijnie zachowują jéj córki.

Widując częściéj świętego kapłana, uderzyła ją naprzód wielka jego dla nieszczęśliwych miłość, i pierwszą jéj myślą było, przyłączyć się osobą i majątkiem do tak wielkiego dzieła. Ale Wincenty chciał doświadczyć ją naprzód, i dopiero w 1629 r. po wielu prośbach, zaczął korzystać z jéj gorliwości do odwiedzania bractw miłosierdzia. Własną ręką napisał jéj wskazówki, jak w tym razie ma postępować. W towarzystwie kilku pań pobożnych, które się przyłączyły do tego apostolstwa miłości, odbywała drogę lichą bryką, zatrzymywała po nędznych oberżach, aby doświadczając nędzy ubogich, wcielić się w ich życie niejako. Woziła z sobą duży zapas bielizny i całą aptekę; jałmużny, koszta podróży, wszystko opłacała sama. Przybywszy do wsi, uda-

*) We Francji w owym czasie, tylko osoby najznakomitsze urodzeniem lub znaczeniem nosiły tytuł pani, inne, choć zamężne nazywano pannami. *Przyp. tłum.*

wała się najprzód o pozwolenie do proboszcza, następnie zgromadzała osoby należące do bractwa, uczyła je, zachęcała, pracowała nad zwiększeniem ich liczby; słowem, tak osoby jak rzeczy przywodziła do stanu i ducha w jakim je chciał mieć święty założyciel. Nie dość, dla dania przykładu, napełniała darami zbyt często wyczerpnięte zasoby ubogich; nie tylko majątkiem, więcéj jeszcze własną płaciła osobą: odwiedzała sama i służyła ubogim chorym, zbierała dziewczynki i uczyła je katechizmu, dawała rady nauczycielce wiejskiéj, i odjeżdżała dopiero wtedy, gdy wszystkie potrzeby biednych i maluczkich były zaspokojone.

Jako odpoczynek po powrocie do Paryża, odwiedzała Bractwa Miłosierdzia po parafjach, powiększała ich liczbę, i znów rozpoczynała swe miłosierne podróże. Jeźli była zdrową, Wincenty dziękował Bogu, że mogła pracować dla dobra dusz tylu; chorą, zalecał jéj cieszyć się i z tego, przestrzegał jednak, by oszczędzała zdrowie „dla miłości Chrystusa Pana i biednych Jego członków“; ale więcéj jeszcze chronił ją przed próżnością, jak tylko się dowiedział, że z powodu jéj cnót, cześć jéj okazywano.

Takie były pierwsze kampanje panny Le Gras w świętych potyczkach miłosierdzia, pod wodzą i rozkazami Wincentego à Paulo; dojrzała tym sposobem i stała się zdolną, choć i nadal posłuszna i uległa, kształcić i dowodzić całą armją miłosierdzia.

II. Dopóki Bractwa Miłosierdzia po wsiach tylko były zakładane, kobiety je składające, urodzeniem i zwyczajami nawykłe do pracy, posługiwały same chorym. Ale po miastach, a szczególniéj w Paryżu, bądź moda, bądź szlachetniejsze cele napełniły Bractwo znakomitemi paniami. Z początku, wszystkie wedle reguł stowarzyszenia same służyły ubogim, ale powoli i jedne i drugie, jakikolwiek był cel ich wstąpienia, pieniędzmi tylko zasilały bractwo. Myślały więc,

kimby się zastąpić; naprzód posyłały swe służące, ale jakąż posługę oddać mogły osoby, dopełniające ten obowiązek chrześcjański z musu tylko, bez wprawy i delikatności koniecznéj? Poznano, że trzebaby na ten cel osób z powołania poświęcających się służbie ubogich chorych. A takie, gdzie znaleźć? A znalazłszy nawet, jak je ukształcić do czynności wymagających tyle zdolności i cnoty?

Święty Wincenty, którego się poradzono, myślał o tém przed Bogiem. Przypomniał sobie, że nieraz na missjach spotkał kilka dobrych dziewcząt, które nie chcąc iść za mąż, a nie dość zamożne, by wstąpić do klasztoru, zdały mu się sposobne poświęcić się dla miłości Boga służbie ubogich chorych. Wiele takich przybyło do Paryża, i po kilku miesiącach świętéj nauki, rozesłano je po różnych parafjach.

Ale bez spójni, wzajemnéj korespondencji, nowicjatu, przełożonéj któraby kierowała niemi, osoby te otrzymawszy zaledwo kilka rad od św. Wincentego, albo panny Le Gras, nie miały dość zdolności i cnoty do tak trudnych obowiązków; nadto, ani reguły, ani jednostajności, ani możebnego wzrostu. Nie było więc ładu, i w przypadku zmiany któréj z nich, nie było jéj kim zastąpić w posłudze ubogich. Uznano więc wkrótce potrzebę zgromadzenia dostatecznéj liczby dziewcząt, przygotowanych do służby ubogich i ćwiczeń życia duchowego, spojonych religijnie z dziełem i między sobą, przy ciągłym nadzorze i kierownictwie.

Panna Le Gras zaraz ofiarowała się na ten cel, chciała nawet zobowiązać się ślubem nieodwołalnym, ale Wincenty, w spokojnym i powolnym działaniu naśladujący Boga przedwiecznego, dwa lata jeszcze doświadczał jej gorliwość. Wreszcie, w 1633 r. wybrał trzy czy cztery dziewice z pomiędzy wielu innych, które się przedstawiły i oddał je w jéj ręce. W kilka miesięcy,— bo nagląca potrzeba ubogich nie dopuściła zatrzymywać je dłużéj, — miały już dość cnoty i zdolności potrzebnéj do ich nowego stanu miłosierdzia. Za ich

przykładem, inne, w większéj liczbie przyszły je zastąpić. Wtedy panna Le Gras powtórzyła swą prośbę i za pozwoleniem Wincentego 25 marca 1634 r., zobowiązała się do tego dzieła ślubem wieczystym. Dwudziesty piąty marca dla Sióstr Miłosierdzia, jak 25 stycznia dla Missjonarzy, stał się odtąd dniem pamiętnym: dniem fundacji i założenia, w którym odnawiają i powtarzają swe zobowiązania.

Siostry Miłosierdzia przez dwanaście lat blizko w takim pozostały stanie. Zwiększała się ich liczba w miarę powiększania zajęć. Przeznaczone z początku do odwiedzania ubogich po parafjach, tylko w imieniu bractwa Miłosierdzia, ubogich, którzy czy to z braku miejsca, czy niechęci, nie szli do szpitali, wkrótce prawem zdobyczy miłosierdzia, opanowały i szpitale; stały się matkami podrzutków, nauczycielkami ubogich dziewcząt, aniołami pocieszycielkami galerników i więźniów, opatrznością wszelakiéj nędzy. Nie tworzyły jednak z początku, właściwie mówiąc zgromadzenia i nie miały reguł stałych. I tutaj Wincenty, zanim napisał reguły, chciał wypróbować je w praktyce, a fakta jeszcze więcéj jak u Missjonarzy dowiodły, że miał słuszność. Ktoby z początku mógł przewidzieć taki postęp, tak rozliczne zajęcia? Gdyby więc od razu dał reguły, te, zastósowane do posług po parafjach, nie byłyby właściwe po szkółkach, więzieniach i szpitalach.

Kiedy Wincenty dostatecznie już zbadał i przygotował wszystko, na prośbę panny Le Gras zrobił podanie do arcybiskupa paryzkiego, prosząc o erekcją Sióstr Miłosierdzia w bractwo, opierając się na posługach, jakie już oddały, i jeszcze większych w przyszłości. Jan Franciszek de Gondi chętnie się na to zgodził 20 października 1646 r., a król potwierdził dyplomem królewskim. Ale że dokumenta te zaginęły, zgłoszono się drugi raz do arcybiskupa paryzkiego, którym był wtedy sławny kardynał de Retz.

Panna Le Gras zastanowiła się jednak nad znaczeniem pierwotnéj erekcji, która bezwarunkowo poddawała Zgromadzenie pod władzę arcybiskupa. Wprawdzie arcybiskup mianował Wincentego dyrektorem dożywotnim; ale gdyby nominacja ta zależała od niego, czyżby nie mógł po śmierci Wincentego rozdzielić duchowną jego rodzinę i oderwać Siostry Miłosierdzia z pod rządu przełożonego Missji? Panna Le Gras lękała się tego, i w rozmowach z Wincentym, w listach przez nią pisanych, nalegała, aby starał się o zamianowanie przełożonego Missji dyrektorem wiekuistym Siostr Miłosierdzia. W takim więc duchu napisał Wincenty drugie podanie, na które zgodził się kardynał de Retz, i na tych podstawach wydał potwierdzenie 18 stycznia 1655 r., zatwierdzone następnie przez króla i Stolicę Apostolską. Potwierdzono zarazem statuta i reguły Zgromadzenia. Statuta te oznaczają naturę, urządzają wewnętrzny zarząd Zgromadzeniem i osobami tak pod względem ich postępu w doskonałości jak i posług miłosierdzia. Pamiętać jednak powinny, „że jeśli potrzeba lub posłuszeństwo woła, przekładać mają posługę ubogich nad praktyki pobożności, pewne że czyniąc to, opuszczają Boga dla Boga“.

Dodać wypada jeszcze, że Siostry Miłosierdzia nie tylko nie czynią ślubów solennych, ale nawet prostych na zawsze. Dla tego Wincenty nazywał je świeckiemi. Mają tylko śluby roczne. Co rok, 25 marca wstają wolnemi od zobowiązań, — ale wszystkie biegną przyjąć nazad święte jarzmo służby Bogu i biednym.

III. W sierpniu 1655 r. Wincenty odbył pierwsze zebranie nowego Zgromadzenia. W tym celu powołał wszystkie Siostry, które znajdowały się w Paryżu, mówił o założeniu opatrznościowém ich Zgromadzenia i potrzebie reguł. Powiadomił następnie o akcie fundacji, zamianował na pierwszy raz urzędniczki; i gdy w ten sposób Zgromadzenie zostało

urządzone w swym zarządzie i częściach składowych, przeczytał reguły tak wspólne wszystkim, jak zastósowane wyłącznie do każdego pojedyńczo zajęcia. Wskazał potrzebę wiernego ich zachowania, obiecując takim wszelkie błogosławieństwa. Następnie zapytał swe córki, czy chcą wiernie zachować reguły: „Czyż nie chcecie wszystkie i całém sercem wedle nich żyć i umierać? — „Tak, mój ojcze“ odpowiedziały jednozgodnie: a święty we wzniosłéj modlitwie błagał Boga dla nich o wytrwanie. Wtedy wiele z nich prosiło o przebaczenie za uchybienia, które przeciw regułom popełniły; po czém Wincenty dodał: „Proszę Chrystusa Pana, moje córki, aby wam przebaczył. I ja, nędzny, proszę Go o przebaczenie i was moje córki. Ileż przeciw wam uchybiłem! Proście Boga, aby mi to przebaczył, a dla tego prosić będę Pana naszego Jezusa Chrystusa, aby sam dał wam swe święte błogosławieństwo, ja wam go dziś nie dam, bom tego dla mych win niegodny“. I święty upadł i pocałował ziemię. Na te słowa i taki widok, panna Le Gras i wszystkie siostry, głęboko zasmucone, że ich ojciec odmawia im błogosławieństwa, przez święty gwałt chciały mu je wyrwać. Po długim oporze, Wincenty rzekł nakoniec: „Wymagacie tego, moje córki, proścież więc Boga, by nie zważał na moją niegodność, ale w miłosierdziu swojém zlać na was raczył swe święte błogosławieństwo, wtedy, gdy jego słowa wymawiać będę: Benedictio Dei omnipotentis Patris etc.“

Ta wzniosła scena, godna téj, którąśmy opisali przy oddaniu reguł Missjonarzom, przywodzi nam na myśl konferencje św. Wincentego do Sióstr Miłosierdzia, w których swoboda w mowie nie umniejszała szacunku, poufałość wzniosłości, wzjemna rozmowa, władzy i powagi godnego dyrektora. Poznajemy z nich także naturę tych zebrań i porządek jaki zachowywano. Wincenty oznaczał wcześniéj przedmiot konferencji, wszystkie zastanawiały się nim na modli-

twie. Jak skoro dzień wyznaczony nadszedł, zapytywał najprzód znaczną liczbę: każda odpowiadała z prostotą, niekiedy z tą wzniosłością myśli, jaką Bóg chętnie udziela prostocie. Wincenty chwalił, rozbierał odpowiedzi; następnie sam mówił i w ciągłéj już mowie traktował obrany przedmiot. Aby go słyszeć, zbiegały się jego córki ze wszystkich stron Paryża, słuchały chciwie i zbierały wszystkie jego słowa. W ten to sposób zachowano przeszło sto tych konferencji, które dziś jeszcze, są po Piśmie św. Biblją Sióstr Miłosierdzia.

Od chwili pamiętnego zebrania w sierpniu 1655 roku, aż do wigilji śmierci, Wincenty już ośmdziesiątletni tłumaczył te reguły prawie co tydzień, tak w ogóle, jak w szczególności każdą, wskazywał ich doniosłość tak w całości jak każdego artykułu. Nieraz już i przedtém, od 1634 do 1655 pokrótce je wykładał, oczekując chwili zebrania ich na piśmie i oddania każdemu domowi, by służyły za zwykłą materję rozmyślania i czytań. Ale dopiero od czasu stanowczego ich zredagowania, ciągle i szczegółowo je wykładał.

Mówił jeszcze o konieczności reguły potrzebnéj każdemu Zgromadzeniu, jako środek pewny podobania się Bogu, i wyłożył powody skłaniające do wiernego jéj zachowania. Od téj wierności lub lekceważenia, zależy zbawienie lub potępienie nie tylko sióstr, ale wielkiéj liczby ich biednych, zależy także przyszłość Zgromadzenia. Pierwsze siostry są początkiem wielkiego dobra, które wzmoże się i trwać będzie wiecznie, jak przeciwnie chylić się będzie i zginie, wedle tego jaki przykład i wzór dadzą tym, które po nich nastąpią. Jaki fundament, taki gmach. Reguły te, zresztą są od Boga, bo On to wzbudził Zgromadzenie; zgodne są z ewangelją, bo opierają się na ubóstwie, oderwaniu od świata i zaparciu samych siebie; pomagają do wytrwania w powołaniu; dają zasługę i zadośćuczynienie za grzechy; są łatwe, tak pod względem całodziennych zajęć, jak i w za-

chowaniu różnych przestróg; łatwe w tém, co nakazane, jak i w tém, co jest tylko radą; łatwe szczególniéj w porównaniu do reguł daleko surowszych wielu innych Zgromadzeń; są nakoniec niezbędne dla dojścia do doskonałości, tak konieczne, jak ptakowi skrzydła do lotu.

Środki do zachowania reguł są: modlitwa, mocne postanowienie, czytanie ich z rozwagą, rekollekcje roczne i miesięczne, a szczególniéj zamiłowanie przestróg i upomnień za wszystkie uchybienia.

Po tych ogólnych uwagach święty wytłumaczył naturę i cel Zgromadzenia, prawdziwy jego stan; cnoty właściwe: pokorę, prostotę i miłość we wszystkich czynach, tak w domu jak za domem, wzgardę maxym światowych a zamiłowanie maxym Jezusa Chrystusa, zdanie się na Opatrzność i t. d. W taki sposób tłumaczył wszystkie artykuły reguł. Zatrzymał się szczególniéj nad służbą ubogich, która tak dalece jest główném powołaniem Zgromadzenia, że jeśli potrzeba, wszystko dla nich opuścić trzeba, wszystkie punkta reguły, a nawet modlitwę i Mszę św., bo jeszcze raz powtarzał, opuszcza się wtedy Boga dla Boga.

W tych cudownych konferencjach święty korzystał ze wszystkich okoliczności, które mogłyby posłużyć za naukę. Zachęcał swe córki wzajemnemi przykładami ich poświęcenia, i choć zawsze zalecał im pokorę, nie lękał się przytaczać heroiczne czyny trafiające się siostrom. Inną razą, szczególniejsza opieka Opatrzności, jakiéj doświadczyły niektóre, posłużyła mu za przedmiot nauki. Panna Le Gras powtarzała te ojcowskie przestrogi, rozbierała je, dodawała swe słowa matki, bądź na domowych konferencjach, bądź przy pożegnaniu sióstr wyjeżdżających na dalekie missje, bądź w niezliczonych listach. W ten sposób utworzonemu Zgromadzeniu, zaopatrzonemu w naukę, cnotę i miłość ewangeliczną, Wincenty powierzył swe dzieła miłosierdzia.

IV. Więc naprzód, opieka nad ubogimi i chorymi po domach, pierwszy cel, tak co do daty jak ważności nowego instytutu. Przez to, w szpitalu głównym (Hotel-Dieu) ubyło dwie trzecie ubogich, bo każde poddasze, gdzie weszła Siostra Miłosierdzia, zmieniało się w szpital. Prawie jednocześnie powołano Siostry na matki podrzutkom. Ojciec sierót najczulszemi wyrazy starał się natchnąć tym matkom-dziewicom uczucia godne tak słodkiego powołania. Razem z dziećmi, Siostry Miłosierdzia adoptowały jeszcze rodzinę wymagającą więcéj poświęcenia i odwagi: rodzinę biednych galerników. Tak jak Missjonarze, przyjęły także do domu osoby swéj płci na ćwiczenia duchowne; panna Le Gras była ich dyrektorką zdolną i gorliwą, wedle instrukcji swego czcigodnego ojca. Obsługiwały prawie wszystkie szpitale w Paryżu, i nie cofnęły się nawet przed niebiezpieczną i odrażającą posługą warjatów.

Rozgłos ich poświęcenia, zdolnéj a bezinteresownéj pracy, rozszedł się wkrótce po prowincjach, i wiele miast francuzkich prosiło o nie świętego ich założyciela. Pierwszy ich zakład na prowincji stanął w szpitalu świętego Jana w Angers. Działo się to w Grudniu 1639 r. Twarda była zima, a zdrowie panny Le Gras bardzo zachwiane. Pojechała jednak, ale zaledwo przybyła na miejsce, rozchorowała się. Wróciwszy trochę do zdrowia w styczniu 1640, umieściła swe córki w szpitalu św. Jana, wedle przepisanéj przez Wincentego formy, zachowywanéj prawie bez zmiany odtąd przy wszystkich fundacjach Sióstr Miłosierdzia po szpitalach. Przykładem swoim równie jak słowną zachętą nakłoniła panie zebrane w tym celu do przyjęcia metody praktykowanéj w Hotel Dieu przez panie bractwa paryzkiego, i zajęcia się tym sposobem szpitalem w Angers dla zreformowania nadużyć, kradzieży i nieładu, który w swym raporcie wykazali administratorowie szpitala, a wprowadzenia wszędzie należytego porządku. Pobyt jéj przedłużył się do

trzech miesięcy. Wreszcie opuściła swe córki i powróciła do Paryża, ale opuściła je wyuczone i przygotowane aż do heroizmu na te święte prace. Następnego roku wybuchła morowa zaraza; przebyły ją, pielęgnując zapowietrzonych z równą łatwością i poświęceniem jak zwyczajnych chorych. „Zdawało się, opowiadał Wincenty, że lękała się ich zaraza.“

Panna Le Gras ledwo wróciła do Paryża, pomyślała o opuszczeniu La Chapelle, gdzie mieszkała od 1636 r. Zajmowała się tam, wróciwszy ze swych missji, uczeniem katechizmu co niedziela i święto osoby swéj płci, wychowywała w swym domu młode dziewczęta, które za wynagrodzeniem wyrywała przed niebezpiecznym wpływem ich panów. Ten pobyt w La Chapelle podobał się jéj z początku, bo mogła w téj wiosce kształcić swe córki do życia prostego, pokornego i pracowitego. Ale, choć bliżéj swego dyrektora, jak w dawném swém mieszkaniu u św. Wiktora, jeszcze było to daleko, i w 1641 przeniosła się ze swém Zgromadzeniem naprzeciwko św. Łazarza.

Córki panny Le Gras, mieszkając aż dotąd pod namiotami niejako, jak dzieci Izraela, znalazły nareszcie stałe pomieszczenie i swój Syon miłosierdzia. Tam w rzeczy saméj zbiegała się wszystka nędza, ale i wszystkie jałmużny Paryża. Lekarstwa, żywność, ciągle rozdawano tam ubogim, często ujmując na to ze stołu Zgromadzenia. Tam jeszcze założono seminarjum, gdzie wychowywały się siostry przeznaczone do wszystkich domów w Paryżu, na prowincji i za granicą. Od tego czasu zażądano ich do wszystkich prawie parafji w Paryżu, do szpitali i więzień. W r. 1646 miasto Nantes dowiedziawszy się o posługach, jakie oddawały w Angers, zażądało ich do swego szpitala i panna Le Gras musiała udać się w drogę wioząc ośm Sióstr swoich, wziąwszy jak zwykle instrukcje od św. Wincentego, który zawsze w podobnym razie zgromadzał małą kolonję i tkliwie do nich przemawiał. Wyjechała więc 26 lipca,

a stanęła na miejscu 8 sierpnia. Chociaż nie chciała powiedzieć dnia, w którym przybędzie, by uniknąć zwyczajnéj owacji, wybiegnięto naprzeciw niéj z miasta, a nawet z okolicznych wiosek; miejscowe panie przyszły ją nawiedzić, równie jak wielu przełożonych zreformowanych zakonów, i musiała udać się do wielu żeńskich klasztorów, by uczynić zadość pragnieniu widzenia jéj siostr i ich ubioru.

Zaraz nazajutrz Siostry Miłosierdzia objęły szpital, i w kilka dni taka nastąpiła zmiana, że wszyscy biegli tam przez ciekawość. Natłok przy jedzeniu ubogich tak był wielki, że ani do stołów ani łóżek chorych zbliżyć się prawie nie było można.

W Nantes założyła także panna Le Gras bractwo miłosierdzia takież jak w Hotel Dieu w Paryżu; urządziła wszystko z administratorami szpitala, i zostawiwszy swe siostry w najlepszém usposobieniu, powróciła pełna pociechy i nadziei.

Nie dość było dla Siostr Miłosierdzia szpitali, szkółek i domów po parafjach, królowa zawezwała je w 1654ym, 6ym i 8ym roku do opatrywania rannych i chorych żołnierzy, szczególniéj w Calais. Wincenty wybrał ich cztery, i w chwili wyjazdu ze wzruszeniem rzekł do nich: „O Zbawicielu! ludzie idą na wojnę by zabijać drugich, a wy, moje córki idziecie tam, by ich ratować!“ Te cztery siostry najzdrowsze były z całego Zgromadzenia; w kilka dni, dwie zużyły się nadmiarem pracy, umarły z bronią w ręku. Na głos królowéj i Wincentego dwadzieścia stawiło się, gotowe je zastąpić. Wincenty wzruszony takim heroizmem, nie lękał się na przyszłéj konferencji dać je za wzór nawet kapłanom, których posyłał na pewną śmierć po wszystkich częściach świata.

Oto pierwsze prace Siostr Miłosierdzia w posłudze żołnierzom. Odtąd aż do naszych czasów, na Krymie, we

Włoszech i w ostatniéj wojnie, obozy i ambulanse były ich zwykłemi i upragnionemi stanowiskami.

V. *Siostry Miłosierdzia w Polsce.* *) Wtedy, gdy jedne Siostry jechały do Calais, drugie udawały się do Polski, gdzie królowa Marja Ludwika prosiła o nie już w 1652. Królowa, jak to widzieliśmy poprzednio, należała w Paryżu do bractwa Pań Miłosierdzia, podziwiała, jak wszyscy, poświęcenie panny Le Gras i jéj córek, widziała posługi oddawane ubogim; nie dziw, że patrząc w Polsce na nędzę i opuszczenie nieszczęśliwych, a litościwa z natury, zapragnęła przyjść im w pomoc sprowadzając do swego państwa Siostry Miłosierdzia. Wincenty, czuły na cierpienia ubogich, chętnie na żądanie jéj przystał, i trzy siostry wysłane 6 września 1652 puściły się w drogę, i szczęśliwie przebywszy Niemcy, stanęły w listopadzie tegoż roku w Polsce. Królowa niezmiernie im rada, pisała dziękując Wincentemu: „Wasze Siostry Miłosierdzia przybyły tu od dwóch dni i szczerzem z nich kontenta, zdają mi się być bardzo dobre.“ Zatrzymała je jakiś czas przy sobie dla poduczenia się języka i oswojenia z krajem; ale niedługi to był spoczynek, morowa zaraza wybuchła w Krakowie, Missjonarze od roku już osiedli w Polsce pobiegli służyć zapowietrzonym, Siostry Miłosierdzia nie mogły pozostać bezczynne. „Jest was trzy, mówi im królowa, jednę z was, siostrę Małgorzatę Moreau, zatrzymam przy sobie, a dwie udadzą się do Krakowa służyć biednym. — Ah! pani, odpowie siostra, co mówisz? Trzy nas tylko na służbę ubogich, a wasza królewska Mość ma w królestwie tyle innych osób zdolniejszych jéj służyć! Pozwól nam pani robić to tutaj, czego Bóg żąda i co gdzieindziéj robiemy.“

*) Podobnie jak o Missjonarzach wyżéj, wiadomość o sprowadzeniu Sióstr Miłosierdzia do Polski podajemy obszerniéj. (Przyp. tł.)

Na nalegania królowéj siostra odpowiedziała łzami; widząc to rzecze Ludwika: „Jak to, moja siostro, nie chcesz więc mi służyć? — Daruj pani, ale poświęciłyśmy się Bogu tylko na służbę ubogich.“ I zaprawdę. siostra Małgorzata i dwie jéj towarzyszki co innego miały do roboty, jak służyć królowéj; zapowietrzeni padali po ulicach, ranni błagali o pomoc, złupieni i bez przytułku, — następstwa krwawych wojen, — tułali się bez chleba po drogach, — jakież obfite żniwo dla Sióstr Miłosierdzia przybyłych do Polski!

Plac boju, jak widzimy, zaraz stanął gotowy dla ich poświęcenia, tutaj, jak wszędzie, pokazały się bohaterkami miłości.

Zaraza rozszerzając się doszła do Warszawy, X. Lambert, a za nim siostry Miłosierdzia przybyły i tam na pomoc, a przy troskliwéj ich opiece i staraniu, otucha powoli wstąpiła do serc zrozpaczonych mieszkańców. I nietylko w tém mieście, ale i innych morowém powietrzem dotkniętych, pierwsze z pomocą biegły Siostry Miłosierdzia, zbierały po ulicach chorych i w przygotowanych domkach troskliwie opiekowały się nimi.

Ustąpiła zaraza, ale po zmarłych rodzinach pozostały bez opieki sieroty, więc znów miejsce matek zajęły Siostry Miłosierdzia. Królowa dała im już osobne mieszkanie w jednym domu za kościołem św. Krzyża w Warszawie, gdzie przez dwa blizko lata, oprócz opieki nad ubogimi chorymi, wychowywały i uczyły opuszczone dziewczątka. Takiéj pracy niesposób trzem podołać, królowa więc uwielbiając cnoty i poświęcenie sióstr, prosiła Wincentego o pomoc, i trzy siostry z listem panny Le Gras i świętego ich ojca pisanym do siostry Moreau, wyjechały pod opieką X. Berth do Polski w 1655 r.

Ale i zakład Sióstr Miłosierdzia w Polsce przejść musiał przez próby. Nieszczęśliwa wojna ze Szwedami wygnała na Szlązk królowę, która dla ochronienia Sióstr przed orę-

żem nieprzyjaciół, zabrała je z sobą. I tam nie pozostały bezczynne, pielęgnowały rannych żołnierzy, a po skończonéj wojnie powróciły z królową do dawnych zajęć w Warszawie. Aż do 1659 r. nie miały stałego mieszkania, dopiero w tym roku królowa kupiła folwark nad Wisłą przy Warszawie leżący, i tam zbudowała dom pod nazwaniem św. Kazimierza, a opatrzywszy go funduszem przeznaczonym na utrzymanie Sióstr i sierót, oddała go wieczystym aktem przez Stany rzeczypospolitéj na sejmie w 1662 potwierdzonym, na własność Siostrom Miłosierdzia. Akt ten, zagubiony wskutek wojen, potwierdził Jan III Sobieski dekretem datowanym z Jaworowa 1681, w którym wznawiając fundację królowéj Marji Ludwiki, potwierdza nadane przywileje i Siostry Miłosierdzia pod swą i swych następców szczególną opiekę i protekcję bierze, a jedyny i bezpośredni nad niemi zarząd przełożonemu jeneralnemu Zgromadzenia Missji oddaje. Dom św. Kazimierza, pierwsza fundacja Sióstr Miłosierdzia w Polsce, przeznaczony na wychowanie sierót, stał się domem centralnym prowincji Sióstr w królestwie polskiém.

Przy zwiększających się zajęciach nagliła potrzeba zwiększenia także liczby Sióstr, bo trzy pierwsze upadały pod ciężarem pracy. Wysłał był wprawdzie Wincenty, jak to widzieliśmy, jeszcze w 1655 nową kolonję Sióstr do Polski, ale z powodu wojny i niepokojów musiano zatrzymać je w drodze i dopiero po zawarciu pokoju ze Szwecją w 1660 trzy Siostry puścić się mogły w drogę i w listopadzie tegoż roku stanęły w Warszawie. Wysłanie to Sióstr było jednym z ostatnich czynów życia św. Wincentego, bo list jego w téj okazji pisany nosi datę 16 września 1660 r. W dziesięć dni potém święty już nie żył, a w trzy dni po jego śmierci i siostra Małgorzata Moreau odebrała w niebie zapłatę za swe poświęcenie.

X. Alméras, bezpośredni następca Wincentego w zarządzie Zgromadzeń Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, odziedziczył po swym św. Ojcu i jego cnoty, nie przestawał więc wysyłać nowych Sióstr i czuwać nad utrzymaniem ducha wzrastającego Zgromadzenia w Polsce. Zwięzłość tego opisu nie dozwala nam podawać nazwisk i dat ich przybycia, zaznaczamy tylko imię pierwszéj wizytatorki Sióstr w Polsce; była nią siostra Marja Boullard, już w 1668 przybyła do Warszawy.

Jeszcze Marja Ludwika zakładając Dom Sióstr Miłosierdzia w Warszawie, przeznaczyła fundusz na seminarjum sióstr, gdzieby osoby pragnące wstąpić do tego Zgromadzenia mogły przejąć się jego duchem i przysposobić do tak zaszczytnych zajęć. Seminarjum to dostarczało wyłącznie, aż do podziału Polski, sióstr do licznych zakładów, które powstały po wszystkich częściach dawnéj Polski. Podział królestwa, a ztąd utrudniona komunikacja w zarządzie Siostrami Miłosierdzia, spowodował utworzenie dla każdéj części oddzielnéj prowincji, to było powodem, że jedna dotąd prowincja polska rozpadła się w końcu przeszłego wieku na trzy: warszawską, litewską i galicyjską; czwarta poznańska powstała dopiero w 1848 r.

Wracając do Sióstr Miłosierdzia we Francji, znajdujemy je po szpitalach założonych przez św. Wincentego w prowincjach zniszczonych przez wojnę, a które przez tyle lat wspierał. We wszystkich jego dziełach wiernie mu zawsze pomagały, lecz wszędzie mimo ich gorliwości było ich zamało. Żądano je na wszystkie strony; i chociaż nie było ich wiele, mógł Wincenty za życia posłać je oprócz do Paryża, do dwudziestu ośmiu zakładów: szpitali, szkółek albo domów miłosierdzia. Liczniejszym jeszcze i prawie zadziwiającym był wzrost tego ziarnka gorczycznego po jego śmierci, szczególniéj za granicą. Za życia świętego jedna tylko gałęź wyszła z Francji, gałęź polska; potém świat

cały siecią miłosierdzia pokryło. Takim zresztą był zamiar i nadzieje świętego; bo bezustannie mówił o posłaniu swych córek wszędzie w ślad za Missjonarzami, do Europy, i aż do Afryki i Indji.

Z czasem osiadły w Pjemoncie, by ztąd rozejść się po księstwach, i zająć Włochy podobnie jak Francję. Hiszpanja, Szwajcarja, Belgja, prowincje Nadreńskie, przyjęły je z kolei. Niedawno weszły do państwa austrjackiego, Wielkiéj Brytanji i Portugalji. Dziś znajdujemy je w Afryce francuzkiéj, na wszystkich punktach Wschodu, w Egipcie, Persji, Chinach i po całym obszarze obydwóch Ameryk.

Liczą się na tysiące, a ich zakłady na setki. Zakłady te zarówno różnorodne jak liczne, każdy wiek, wszelakie potrzeby, wszystkie nędze życia ludzkiego obejmują. Są żłobki dla nowonarodzonych, szpitale dla starców, ochrony dla dzieci, dla służących, dla ociemniałych, warjatów i epileptycznych; są domy dla podrzuconych dzieci, dla sierót obojga płci; szkoły dziewcząt, dorosłych i głuchoniemych; szwalnie i domy opieki; są konserwatorja, w których dziewczęta wiejskie, jak dawniéj córki biednéj szlachty w Saint-Cyr, wychowywują się aż do ślubu, i domy, do których biedni przychodzą, albo siostry im niosą lekarstwa i pomoc; są wreszcie niezliczone stacje, gdzie miłosierdzie czuwa, i po, albo bez wezwania biegnie nawiedzić i wesprzeć w chorobie i ubóztwie po domach. Znajdzie Siostry Miłosierdzia po kolonjach rolniczych, schronieniach dla ubogich, po więzieniach; są na czele wszystkich domów przytułku, szpitali cywilnych i wojskowych. Widzieliśmy już w początkach Zgromadzenia siostry pielęgnujące żołnierzy wszędzie, wśród i po bitwach, to téż po szpitalach wojskowych znajdzie i dotąd Siostry Miłosierdzia.

II.

Panie miłosierdzia.

I. Początek i założenie bractwa Pań miłosierdzia. — II. Hôtel-Dieu; inne dzieła Pań miłosierdzia.

I. Służebnice, szafarki ubogich, potrzebowały funduszu, by starczyć na tyle wydatków, a święte te dziewice, ubogie same, zkądże go wziąść miały? Trzeba im więc było bankierek, któreby z własnego majątku albo przez stosunki z bogatymi znalazły środki konieczne do utworzenia i zasilania bezustanku skarbu dobrych czynów: rodzaj kasjerek jeneralnych, zbierających podatek miłosierdzia i zawsze gotowych udzielać go na potrzeby wszystkich nieszczęśliwych; słowem, Siostry Miłosierdzia potrzebowały dla dopełnienia: Pań Miłosierdzia.

Nowe to dzieło powstało w 1634 r. Wincenty powrócił był z podróży, gdy prezydentowa Goussault przybyła do św. Łazarza, podając mu myśl dzieła, które oddawna już ją zajmowało.

Między biednymi, których najchętniéj odwiedzała, byli chorzy w szpitalu Hôtel-Dieu w Paryżu, bo przewidywała tam okazję spełniania najpiękniejszych uczynków miłosierdzia. Zakład ten przyjmował rocznie do 25,000 osób, wszelkiego wieku, płci, kraju i religji; gdyby to obszerne pole dobrze było uprawionéem, jakiż plon zebraćby można Bogu! Ale prezydentowa przez częste odwiedziny nabyła przekonania, że ubogim brak było pomocy, tak co do ciała jak i duszy.

Po wysłuchaniu jéj opisu, Wincenty dobrze znając potrzeby ubogich i czego im tam brakowało, nie mógł zaprzeczyć słuszności jéj uwag i prawdy w użalaniach; — „Lecz, odpowiedział, Hôtel-Dieu pod względem duchownym i doczesnym rządzony jest przez ludzi, których uważam za bar-

dzo roztropnych, a nie wypada mi mieszać się do rzeczy które do mnie nie należą“.

Pomimo tego, prezydentowa wielokrotnie wznawiała nalegania, a nie podoławszy sama, użyła pomocy arcybiskupa Paryzkiego. Ten, wysłuchawszy żywego i naglącego jéj opowiadania, zawiadomił Wincentego, że pragnie, aby przystał na projekt prezydentowéj, i założył towarzystwo pań, któreby się opiekowały chorymi w Hotel-Dieu.

Widząc wezwanie swego biskupa, Wincenty nie wątpił, że to wola Boża i bez odwłoki i dłuższego namysłu zaprosił kilka pań znakomitych i pobożnych, żeby się zebrały w dniu oznaczonym u prezydentowéj. Poświęciwszy się zupełnie nowemu dziełu otworzył narady mową tak energiczną, tak dobrze wykazał potrzebę, ważność i wzniosłość tego dzieła, że wszystkie zobowiązały się mu poświęcić. Na następny poniedziałek oznaczył drugie zebranie, i polecił im zaprosić osoby znajome, o których miałyby przekonanie, że zgodzą się na to samo; ale nadewszystko prosił, by poleciły tę sprawę Bogu i poszły na tę intencją do kommunji św. Prosił także o modlitwy pannę Le Gras zawiadamiając ją, że w dniu oznaczonym będzie jéj potrzebował z czterema Siostrami.

Drugie zebranie liczniejsze było jak pierwsze; ponieważ projekt stanął już na poprzedniém, pozostawało tylko uorganizowanie dzieła: Wybrano więc trzy urzędniczki bractwa: przełożoną, asystentkę i kasjerkę. Naturalnie, wybrano na pierwszą przełożoną prezydentową Goussault, a Wincenty został dyrektorem dożywotnim. W kilka dni, bractwo wzięło się już do dzieła, i liczyło przeszło sto pań. Liczba ta wzrosła, podwoiła się w parę lat, a wchodziły doń osoby wysokiego urodzenia, księżniczki nawet, które uważały za zaszczyt przed Bogiem, poniżać się przed ubogimi. Dwór królewski także chciał mieć swoje bractwo i proszono o ustawy Wincentego à Paulo.

Ale szczególniéj do pań jego bractwa, jak je nazywano odtąd, do pań przeznaczonych głównie na posługi ubogim w Hotel-Dieu, święty zwrócił uwagę. Napisał dla nich reguły: czynić dobrze otwarcie, dla dobrego przykładu; zajmować się duszami chorych więcéj jeszcze jak ich ciałem; czynić wreszcie tak przezornie, by nie można było zarzucić zaniedbania osobom, które zobowiązały się do dobrego: na takich to zasadach urządził ich stosunki względem zakonnic, chorych i świata.

II. Tak téż zachowały się panie. Postępowaniem prostém a uprzejmém pozyskały wkrótce serca zakonnic z Hotel-Dieu. Z zupełną wolnością mogły przebiegać sale i zbliżać się do chorych, żeby pocieszać ubogich, mówić im o Bogu, zachęcać do korzystania z choroby, i przygotowywać do śmierci chrześcijańskiéj. Aż dotąd, zwyczajem było w Hotel-Dieu, że chorzy przy wejściu do szpitala musieli się spowiadać i komunikować. Wyprosiły zniesienie tego nadużycia; przedewszystkiem zajęły się oświeceniem chorych, nauczyły ich czynić rachunek sumienia, wpajały uczucia żalu za grzechy i dobrych postanowień, a wszystko to z prostotą wedle zalecenia, współbolejąc z nieszczęśliwymi i nie tyle ucząc, jak raczéj opowiadając co im samym było powiedzianém. Nauczywszy i przygotowawszy chorych, dopiero wzywały spowiedników. Dobrały sześciu do dawnych, i płaciły za ich utrzymanie, a Wincenty podjął się przygotować ich pod względem duchowym. Zanim weszli do Hotel-Dieu, odbyli rekolekcje u św. Łazarza, i co rok mieli powracać zaczerpnąć w tém źródle miłości, mocy do spełniania swych obowiązków. Tymczasem panie odwiedzały i nadal chorych w Hotel-Dieu. Tak piękny przykład wpłynął i na mężczyzn, którzy zapragnęli podobnież oddawać posługi.

Aby zmniejszyć pracę pań, których życie tak było drogiém dla biednych, Wincenty we dwa lata po założeniu

bractwa wydał przepisy, które przynosząc im ulgę, nie szkodziły téż chorym. Rozdzielił zajęcia na dwie klasy i poprzeznaczał je paniom, wedle ich zdolności: jednym powierzył opiekę nad ciałem, innym posługę duchową biednych. Pierwsza nie mniéj miała być delikatna i uprzedzająca, bo służyć mogła za wstęp do drugiéj. Od poczatku téż postanowiono nająć dom w pobliżu Hotel-Dieu, i umieścić tam Siostry Miłosierdzia dla przygotowania śniadań i kolacji dla tysiąca chorych. Siostry Miłosierdzia skupowały żywność, a panie poczytywały za zaszczyt pomagać im, bądź w przygotowaniu, bądź w rozdawaniu pokarmów.

Zazwyczaj panie przychodziły do Hotel-Dieu o pierwszéj z południa i pozostawały aż do czwartéj. Po nawiedzeniu Najświętszego Sakramentu, przechodziły do stancji, gdzie zakonnice opasywały je białym fartuchem; każda brała wtedy dary i broń miłosierdzia, i w towarzystwie córek panny Le Gras dzieliły między siebie sale, przechodząc od łóżka do łóżka i rozdając chorym czego który żądał. Skończywszy tę pracę, zdejmowały święte oznaki swych zajęć, a wracając przed Najśw. Sakrament, dziękowały Bogu za zaszczyt i łaskę, że im pozwolił służyć sobie w osobie ubogich, i modliły się o ich zdrowie i zbawienie.

Niesposób opisać, w jakie zachwycenia wprawiał lud i szlachtę widok kobiet tego znaczenia, opiekujących się biednymi z pokorą służebniczki a czułością matki; ile przyczynił jałmużn, ile osób nawrócił! Bóg tylko zna liczbę chorych, którzy przejęci wdzięcznością za posługi w chorobie, wrócili do wiary która natchnąć umie takiém poświęceniem i żyli odtąd, albo umierali po chrześcjańsku. Zaczęto tak cenić Hotel-Dieu, że bogaci mieszczanie ubiegali się o przyjęcie ich w chorobie, i hojnie płacili za wydatek, byle opiekowano się nimi tak jak biednymi.

Takiém miłosierdziem przejęte były wychowanice Wincentego à Paulo. Tak, wychowanice, bo widocznie ukształciły

się w jego szkole; zgromadzał je często, zalecał wierność w uszczęszczaniu na zebrania wspólne i wykazywał ich korzyść. Jego mowa zagrzewała pobożnych słuchaczy, i ile razy pokora zamykała mu usta, bolały panie nad tém. Treść jego nauk dochowała się dotąd, i z tych kilku niedokładnych rysów, sądzić jednak można o wrażeniu jakie musiał sprawiać, gdy im mówił o szczytności ich dzieła, rozwijał korzyści, tłumaczył naturę i wskazywał środki wedle zwykłéj jego *małéj metody*.

Nauka z 11 lipca 1657 najdokładniéj się przechowała. Zebrano się w tym dniu u pani d'Aiguillon prezydentki na ten czas bractwa. Wincenty miał rodzaj mowy-raportu, na miejscu przez towarzyszącego mu Missjonarza pochwycony, którego trojakim przedmiotem było: zamierzony wybór nowych urzędniczek, zdanie sprawy z działań bractwa i zachęcenie do wytrwania. Między temi dziełami na czele, stawia Hotel-Dieu, kolebkę, podstawę i źródło wszystkich innych. Przechodząc do powodów zajmowania się chorymi, pokazuje w tém dzieło Boże i chwałę Jezusa Chrystusa. Jakież byłoby nieszczęście, gdyby to wszystko ustało! Co do środków wytrwania, — to naprzód, gorące pragnienie własnego postępu duchowego, a pogardzenie duchem, zasadami i zwyczajami świata; oświadczenie otwarte, że się chce służyć Bogu i wieść życie chrześcjańskie, wypełniając święcie wszystkie obowiązki powołania; nie robić nad siły, w końcu starać się wprowadzić do bractwa panie, któreby zastąpiły opróżnione śmiercią miejsca i pomagały dźwigać ten ciężar.

Wincenty, wedle swéj poufałéj a dramatycznéj metody, zapytał następnie wiele pań co o tém myślą. Wszystkie potwierdziły jego rady; niektóre nalegały o wierne zbieranie się na sesje, o zachęcanie się wzajemne przy śmierci do czynienia pobożnych zapisów dla ubogich, co usilnie Wincenty potwierdziwszy, przystąpił do głosowania na nowe urzędniczki. Gdy wszystkie dały zdanie, że pragną zatrzymać

dawniejsze, tak zakończył: „Oto dobrze moje panie, podziękujmyż Bogu za to zebranie; prośmy, by przyjął ofiarę, którą uczynimy klęcząc, oddania się Boskiemu Jego Majestatowi całém sercem, dla otrzymania z dobroci jego nieskończonéj ducha miłosierdzia, by nam dał łaskę odpowiedzenia w tymże duchu zamiarowi jaki ma nad nami po szczególe i nad całém bractwem i wzbudził wszędzie ducha miłosierdzia za przykładem Jezusa Chrystusa, byśmy wyjednali obfitość jego w nas, a czynnie objawiając go na tym świecie, stali się miłemi Bogu Ojcu w drugim. Amen.“

Obecny czy nie, Wincenty prezydował na tych zebraniach. W czasie swych podróży, szczególniéj w 1649 roku, obszerne pisywał do nich listy, z których, jak i z poprzedniéj mowy pokazuje się, że bractwo niedługo ograniczyło się na samym szpitalu Hotel-Dieu ale nie opuszczając tego pierwszego stanowiska, które było punktem wyjścia i początkiem jego, wkrótce rozszerzyło swe miłosierdzie na wszystkie dzieła św. kapłana. Jak Rzym dla Fabjoli*), Paryż nie dość był obszerny dla ich gorliwości, którą wkrótce po za morza i na wyspy poniosły. W rzeczy saméj, wspierały jałmużnami missje we Francji, Europie i po za morzem, o których już mówiliśmy; przyczyniły się do wykupu niewolników z Berberji;— zobaczymy za chwilę, jak wpłynęły czynnie na założenie szpitali, a późniéj wsparcie zniszczonych przez wojnę prowincji.

Oto posłannictwo kobiety chrześcjańskiéj, a dzięki Wincentemu, takiemi były w pierwszéj połowie XVII. wieku. Takie mając narzędzia, wszystko mógł przedsięwziąść Wincenty; to téż zobaczymy, jak założył fundamenta swych największych dzieł miłosierdzia.

---

*) S. Hieronim. in epitaphio Fabiolae.

III.

Szpitale.

I. Podrzucone dzieci. — II. Szpital imienia Jezus. — III. Szpital jeneralny. — IV. Szpital świętéj Reginy. — V. Święty Łazarz.

I. Chrystjanizm wyswobodził dzieci z pod okrutnego wyroku, jaki poganizm przeciw nim wydał i wykonywał. To téż, przez wszystkie wieki chrześcjańskie widzimy wzruszające instytucje dla osieroconych albo zaniedbanych dzieci. I tu więc, jak we wszystkich prawie dziełach, Wincenty nie był twórcą, ale odnowicielem tylko. Ale, co przed nim istniało tylko jako próba niepewna i niestała, on to wykończył, urządził, nadał trwałość i na obszerną skalę zbudował; przeprowadził w prawo i zwyczaj po chrześcjańskich państwach; tak, że od niego zdają się datować prawie wszystkie dobroczynne instytucje; do niego, do jego urządzeń trzeba powracać, chcąc im wrócić pierwotną żywotność; a odstąpiwszy od nich, odstępuje się zarazem od prawdziwych zasad chrześcjańskiego miłosierdzia, a gubi w fałszywéj i zimnéj filantropji, która nie ma wpływu ani na duszę, ani nawet na materjalną nędzę biednego.

W chwili, gdy święty zwrócił był na dzieci podrzucone swą tkliwą opiekę, obchodzono się z nieszczęśliwemi często na sposób pogański. Raz, wracając wieczorem z missji, spotkał pod murami Paryża żebraka, który łamał członki dziecięcia dla wzbudzenia po tém litości publicznéj. Zdjęty oburzeniem, przybiega: „Ah! barbarzyńco, woła, oszukałeś mię, zdaleka wziąłem cię za człowieka!“ Wyrywa mu ofiarę, unosi w swych objęciach, przebywa Paryż, wzywając wszystkich o litość, opowiada co widział zgromadzonemu około siebie tłumowi, i otoczony ludem, udaje się na ulicę Saint Landry.

Tam to, u jednéj wdowy, w domu zwanym *żłobkiem*, tłoczono te nieszczęśliwe ofiary. Cały zarząd składał się z wdowy i dwóch służących. Te, nie starcząc pracy, a nie mając za co utrzymywać mamek, na głodną śmierć wystawiały biedne dzieci; zmęczone ich krzykiem, dla spoczynku w nocy, wprawiały je za pomocą usypiających lekarstw w sen, z którego już się nie budziły więcéj. Jeźli nie oddawały ich kobietom złego życia, handlowały niemi po barbarzyńsku. To téż prawie wszystkie były skazane na śmierć, a jeźli jéj uniknęły, zwiększały liczbę żebraków albo nierządnic.

Wincenty przybywszy do tego domu, był świadkiem tych okropności. Jego wiara, równie jak uczucie ludzkości cierpiało, skoro się dowiedział, że wiele z tych biednych dzieci umierało bez chrztu. Ale, przy najżywszéj gorliwości nigdy nie działając nagle, chciał naprzód lepiéj zbadać stan rzeczy. Polecił więc kilku paniom swego bractwa zbadać posługę żłobka. Te panie zdały raport, że stan tych dzieci był gorszy jeszcze jak zamęczonych z rozkazu Heroda. Wincenty powrócił tam z paniami; chciałby zabrać wszystkie sieroty, ale nie będąc w stanie, wybrał losem dwanaście, i pobłogosławiwszy je, oddał w ręce panny Le Gras i Sióstr Miłosierdzia.

Działo się to w 1638 r. Dwanaście małych wybrańców Opatrzności przeniesiono naprzód do domu w pobliżu kościoła Saint-Landry, a potém blizko bramy św. Wiktora. Liczba ich rosła w stosunku do funduszów; za przybyciem jakiego miłosiernego daru, biegł zaraz Wincenty do *żłóbka* i brał nowe sieroty. Niestety! trzeba było zawsze losem je wybierać, bo niesposób jeszcze przysposobić wszystkie! Przynajmniéj podrzutki miały choć schronienie, a tyle innych jeszcze rzucano po drogach i po przedsionkach kościelnych! Czyż nie tym trzeba było wprzód nieść pomoc? Więc, w noce zimowe, gdy śnieg pokrywał ulice, przebiegał czę-

ści miasta zamieszkane przez ubóstwo i występek, najodleglejsze przedmieścia, i zbierał biedne ofiary zaniedbania i nędzy; w miejsce pieluszek i kolebki swym płaszczem okrywał biedne maleństwa, rozgrzewał je na piersiach i szedł daléj, dopiero wtedy powracając, jak już pod ciężarem upadał. Tym czasem czuwały Siostry Miłosierdzia, gotowe do przyjęcia dzieci które im przyniesie.

Z początku dzieło szło powoli, bo szczupły fundusz był zapewniony; i chociaż liczba dzieci przyjętych rosła ciągle, to jeszcze bardziéj zwiększała się liczba opuszczonych; i nadal losem wybierano dzieci, które miano zostawić w domu i żywić. Od dwóch lat Wincenty wzdychając, musiał na to przystać. W końcu, zdało mu się to okrucieństwem. W pierwszych dniach 1640 roku tak wymownie przemówił do pań, że zobowiązały się zaopiekować wszystkiemi. Nad możność przyrzekły, ale święty hojnie sam przyszedł z pomocą w potrzebie; pobudził litość Anny Austrjackiéj, która bez nadziei aż dotąd, została wreszcie matką; a przez królową, trafił aż do króla. W 1642 roku 12.000 liwrów rocznie zapewniono na to dzieło; ale by sprostać wydatkom, trzy razy tyle jeszcze trzeba było zebrać z jałmużn prywatnych, a to w pośród największych potrzeb publicznych. Oświadczyły więc nakoniec panie, że tak wielki wydatek przechodził ich siły, i że trzeba tego zaniechać.

Przestraszony takiém postanowieniem, drżąc o swe drogie sieroty, więcéj jak kiedykolwiek matka o własne dzieci, Wincenty à Paulo uciekł się do miłosierdzia panny Le Gras i jéj corek, które swą pracą, pożyczkami i umniejszeniem koniecznych nawet potrzeb własnych, utrzymały jakiś czas cały ciężar wydatków. Ale taki stan rzeczy nie mógł trwać długo. Dla tego, Wincenty zwołał w 1648 r. panie i podał pod rozwagę rozpoczęte dzieło: czy prowadzić go nadal, albo zaniechać? W tym to dniu wyrzekł te

piękne słowa, które wszyscy znają: „No, moje panie, przyjęłyście z litości i miłosierdzia te małe stworzenia za własne dzieci; byłyście im matkami wedle łaski, odkąd opuściły je ich matki wedle natury. Chcecież je teraz porzucić? zapomnijcie w téj chwili, żeście ich matkami, a stańcie się sędziami: ich życie i śmierć w waszym są ręku. Zbiorę teraz głosy: czas już wydać na nie wyrok i poznać, czy nie chcecie już mieć nad niemi miłosierdzia. Żyć będą, jeźli nadal opiekować się niemi będziecie, a przeciwnie umrą i niewątpliwie zginą, jeśli je opuścicie: doświadczenie nie pozwala wam wątpić o tém“. Wszystkie odpowiedziały łzami, a po chwili zdecydowano jednozgodnie podjąć się nadal tak dobrego dzieła.

Nie szło już o rzecz samą, ale o środki wykonania. Proszono więc i otrzymano od króla zamek Bicêtre, gdzie przeniesiono wszystkie dzieci nie potrzebujące już mamek. Ale zbyt ostre powietrze w Bicêtre zaszkodziło znacznéj ich liczbie, i wkrótce trzeba je było przenieść do Paryża. Umieszczono je na przedmieściu św. Łazarza, gdzie dziesięć do dwunastu Sióstr Miłosierdzia zajmowało się ich wychowaniem. Karmione były przez miejscowe mamki, dopóki wiejskie nie przyszły je zabrać do czasu odsadzenia od piersi. Wracały następnie do szpitala, i pozostawały pod wyłącznym nadzorem Sióstr Miłosierdzia. Te święte dziewice, kierowane odwiedzinami i radą Wincentego, uczyły je mówić i pacierza; po tém jakich małych robót i przysposabiały powoli do zarabiania pracą na życie.

Wincenty zajmował się bez przestanku swą przybraną rodziną; zalecał ją ciągle modłom Zgromadzenia i wspaniałomyślności dusz litościwych. Czuwał nad temi biednemi dziećmi nie tylko w Paryżu, ale po wsiach, gdzie je za staraniem jego odwiedzano. Ale szczególniéj lubił o nich mówić z paniami Bractwa. „Zauważono, mówił im, że liczba podrzuconych dzieci prawie taż sama co rok, i że tyle ich, co

dni w roku. Patrzcie proszę, jaki porządek w tym nierządzie, i ile dobrego panie czynicie, opiekując się temi biednemi stworzeniami, opuszczonemi przez własne matki, wychowując je, ucząc, i dając możność zarobienia na życie i zbawienie. Aż dotąd, nikt nie zasłyszał od pięćdziesiąt lat, by choć jedno z podrzuconych dzieci żyło: wam to panie, Pan Bóg zachował tę łaskę, że z waszą pomocą dużo ich żyje i dobrze żyje. Ucząc się mówić, uczą zarazem modlić, i powoli pracują wedle siły i zdolności każdego. Troskliwa czujność zawczasu poprawia złe ich skłonności; szczęśliwe, że na wasze padły ręce, a byłyby nieszczęśliwe w rękach rodziców, którzy zazwyczaj są biedni albo występni". W tych mowach, powiadamiał je Wincenty o postępie dzieła i zdawał rachunki z przychodów i wydatków. Niezmierna była zawsze różnica między jedném a drugiém, a brak trzeba było zastąpić jałmużną. Wincenty pierwszy brał z dochodów św. Łazarza, albo obracał na podrzucone dzieci jałmużny dawane jego Zgromadzeniu. W ten sposób trwało dzieło, a litość prywatna i władze rządowe, przychodziły także z pomocą. Po śmierci Wincentego, sam Ludwik XIV. został pod tym względem jego spadkobiercą, i odtąd wszystkie chrześcijańskie rządy brały na siebie to przybrane ojcostwo. Odtąd, te biedne dzieci tak długo skazane na śmierć, mówić mogą z prorokiem: „Ojciec i matka opuścili mię", ale dzięki Wincentemu, Pan mię wziął w opiekę, i dał mi więcéj jak utraciłem.

II. Po dzieciach, Wincenty zajął się starcami: wziął więc w opiekę dwie ostateczności życia ludzkiego, obydwie słabe, pozbawione pomocy, tak godne politowania i troskliwości.

W początku 1653 r. jeden mieszczanin paryzki przyszedł do Wincentego, jako przedstawiciela i kasjera opatrzności i powiedział mu, że czuje się wewnętrznie pobu-

dzony do oddania posługi Bogu w osobie biednych; powolny temu natchnieniu, oddaje do jego rozporządzenia summę 100.000 liwrów, zostawując go panem i sędzią celu na jaki ją użyje, zawczasu potwierdzając wszystko i zrzekając się prawa reklamacji. O jedną tylko rzecz prosi, by Bóg tylko znał jego nazwisko.

Wincenty, jak zawsze zastanowił się i poradził Boga. Po rozwadze i ułożeniu planu, nie chciał, choć pełnomocny, wziąść się do wykonania, nie zapytawszy wprzód pobożnego dawcy. Udał się więc do niego i rzekł: „Widzimy co dzień mnóstwo rzemieślników, którzy nie mogąc dla choroby lub starości zarobić na życie, są skazani na żebraninę. W tym stanie, zajęci jedynie utrzymaniem życia, zaniedbują zwykle zbawienie. Dając im przytułek, możnaby zarazem opiekować się ciałem ich i duszą: podwójne miłosierdzie, nieskończenie miłe Bogu.“

Projekt ten spodobał się dawcy, spisano więc kontrakt potwierdzony przez władze cywilną i duchowną, i od 1653 roku szpital „*Imienia Jezus,* na przedmieściu św. Marcina był w stanie przyjąć czterdziestu starców obojga płci. Wincenty umieścił ich w dwóch skrzydłach budynku, oddzielnie jednych od drugich, ale tak urządzonych, że kobiety i mężczyźni mogli słuchać jednéj mszy św. i tegoż czytania przy stole, nie widząc się ani rozmawiając. Dał im jednego ze swych księży i Siostry Miłosierdzia do posługi duchownéj i doczesnéj, a sam zastrzegł sobie częste odwiedziny dla nauczania i przygotowania ich do śmierci. Napisał im także ustawy, arcydzieło wiary i mądrości. Podzielił czas na modlitwę i pracę; zakupił więc rzemieślnicze narzędzia by mogli się zająć wedle sił i zdolności. Nikt lepiéj od Wincentego nie znał moralności pracy: to téż we wszystkich dobroczynnych zakładach, przepisywał ją zawsze. Wszyscy w szpitalu Imienia Jezus musieli pracować, wszyscy pracowali; istny obraz życia pierwszych uczniów Jezusa Chrystusa,

pracownia chrześcjańska, klasztór raczéj jak szpital. Z tego powodu nie budził między biednymi odrazy, przywiązanéj zwykle do tego rodzaju przytułków. Długo naprzód ubiegano się o miejsca, i osoby godniejsze zda się lepszego losu, uważały za szczęście być tam przyjętemi.

Szpital Imienia Jezus, jak wszystkie dzieła Wincentego, miał przywilej trwałości; nawet rewolucja zmieniła go, ale nie zniosła, został szpitalem nieuleczonych. Ale szczególniéj odznaczył się płodnością, bo z niego powstał najobszerniejszy zakład miłosierdzia nowszych czasów, dziw w tym rodzaju za panowania Ludwika XIV, — Szpital jeneralny.

III. Zaledwo umieszczono czterdziestu starców w domu „Imienia Jezus“, dobra opinja o tym zakładzie rozeszła się po całym Paryżu. Znakomite a pobożne osoby, szczególniéj Panie Miłosierdzia, często go odwiedzały; przez sprawozdania jakich żądały i naocznie, zbadały gruntownie rozumne jego urządzenie. Czterdziestu starców żyjących w najdoskonalszéj jedności, bez szemrania i obmowy, posłuszni z religijną a chętną regularnością na głos dzwonka, wzywającego tak do pracy jak szczególniéj na modlitwę, wielbiący słowy a niekiedy łzami Boga i swych dobroczyńców: jakiż to widok, nietylko dla wiary, ale i dobrze zrozumianéj ekonomji! Bo zaraz przyrównywano tych tak dobrze zachowujących się starców, do mnóstwa złego życia żebraków, którzy snuli się po ulicach Paryża. Nigdy, zaprawdę, żebractwo nie było tak ohydne i przerażające jak wtedy; była to hańba i niebezpieczeństwo zarazem dla stolicy arcychrześcjańskiego państwa. Liczba żebraków wynosiła do czterdziestu tysięcy, prawie piąta część ówczesnéj ludności; niezmierna armja, grożąca nietylko majątkom, ale wolności i życiu obywateli. Z końcem dnia zbierali się na *przedmieściu cudów*, ich głównym obozie, tak przezwanym

z powodu, że co wieczór dziwna tam zachodziła zmiana ubiorów i roli, — niegodna parodja słów Ewangelji: „Ślepi widzą, głusi słyszą, kulawi chodzą.“ Nie było tam, aż do nazajutrz, ani ran, ni choroby ani wrzodów. Lud bez Boga i prawa, bez wiary i obyczajów, — istne zwierzęta!

Nie mało środków próbowano, by zaradzić tak strasznemu złemu, ale napróżno, dopóki nie pomyślano o Wincentym à Paulo, prosząc go o wykonanie tego, czemu nie podołali najpotężniejsi ministrowie, parlamenty i króle. Chodziło o to, aby rozciągnął do ubogich stolicy, a następnie państwa, to co uczynił dla biednych „Imienia Jezus“. Tak obszerny zamiar powzięły Panie, i uważały, że Wincenty, jego synowie i córki, przy błogosławieństwie szczególniéj, jakie Bóg dawał wszystkim jego zamiarom, jest w stanie go wykonać.

Przed objawieniem mu jednak tego zamiaru chciały wprzód zbadać opinję téj, która dzieliła wszystkie jego myśli i uczestniczyła we wszystkich dziełach. Panna Le Gras ujrzała w tém zaraz i korzyść publicznego porządku, i miłosierny uczynek, a żądając pod pierwszym względem pomocy męzkiéj, zachęciła je w szlachetném natchnieniu. Postanowiono więc, że na pierwszéj sesji przedłożą zamiar Wincentemu à Paulo. Odtąd wszystko w ich oczach zależało na tém, żeby Wincenty zezwolił, reszta przyjdzie sama przez się. Żeby jednak go nakłonić, nie przestały na słowach i planie, ale jedna z pań przyrzekła 50,000 liwrów, a druga 3000 liwrów rocznie.

Na zebraniu uczyniono propozycję. Tak olbrzymie dzieło zastraszyło naprzód Wincentego, i pochwaliwszy ich zamiar odłożył to na drugi tydzień. Na drugiém zebraniu Panie jeszcze więcéj okazały się zdecydowane, i tak usilnie nalegały, że odrazu wzięto tę sprawę pod rozwagę. W kilka chwil potém już była postanowioną; co więcéj, zacząć ją miano bez odwłoki. Nigdy święty nie widział się tak na-

gląco pociągniętym. Lękał się tego, ale wznosząc oczy ku niebu, widział w tém rękę Opatrzności.

Szło już teraz tylko o znalezienie niezmiernego miejsca na pomieszczenie tak olbrzymiéj liczby biednych. Wincenty otrzymał od króla wielki dom i plac de la Salpetrière. „No, to już mamy dom, rzekły wtedy panie, jest trochę pieniędzy. bielizny, sprzętów, a reszta musi przyjść w swoim czasie; i dlaczegóż jeszcze odwlekać? Wezwijmy biednych, by przyszli dobrowolnie, a jak nie zechcą, to sprowadzić ich siłą. Nie chcemyż to ich dobra? a w jaki sposób, mniejsza o to.“

Ani taki pośpiech, ani środki nie mogły podobać się Wincentemu à Paulo. Zwykła jego powolność wstrzymywała go, a łagodność brzydziła się przymusem. „Wedle mego zdania, rzekł, trzeba naprzód zrobić próbę, wziąść stu albo dwustu biednych, a do tego tych tylko, co zechcą przyjść dobrowolnie, nie przymuszając nikogo. Jak tym będzie dobrze i będą zadowolnieni, zachęcą innych; w ten sposób zwiększać się będzie liczba o tyle, o ile Opatrzność ześle funduszów. Działając tak, będzie pewność, że nic się nie popsuje; a przeciwnie pośpiech i przymus mógłby być przeszkodą w dziele Bożém. Jeśli ten zamiar pochodzi od Niego, uda się i trwać będzie, ale jeśli tylko jest dziełem ludzkiém, ani dobrze, ani daleko zajdzie.“

Mądre i chrześcjańskie to zasady, zupełnie przeciwne tym, które przemogły w téj fundacji!

W rzeczy saméj, po wielu projektach i przeszkodach Ludwik XIV wydał w kwietniu 1656 r. sławny dekret ustanawiający szpital jeneralny. Wszyscy żebracy, zdrowi czy chorzy, dobrowolnie czy przemocą, mieli tam być zamknięci i zmuszeni do pracy. Duchowna dyrekcja szpitala miała być powierzona kapłanom Missji. Oprócz nauki religji żebracy mieli uczyć się rzemiosł. Wreszcie, znaczne dochody zapewniono, które miały starczyć na olbrzymie ko-

szta takiego zakładu. Samowładna w tém wola Ludwika XIV pragnąc wykorzenić nietylko żebraninę ale nawet ubóstwo, doszła aż do postanowienia pewnego rodzaju taksy na ubogich. I dopiero parlament wciągając edykt do ksiąg swoich, zmienił go odpowiedniéj do ducha miłości chrześcjańskiéj, stanowiąc opłatę już nie przymusową, ale dobrowolną.

Ustawa wydana w tymże co edykt czasie stanowiła, że żebracy nienależący do miasta Paryża lub jego przedmieść odesłani będą do miejsc zamieszkania, z warunkiem jednak, że istnieć tam będą miejsca przytułku, albo stałe wsparcie; inaczéj, znajdą schronienie w szpitalu jeneralnym. Włóczęgi zaś, a do tego zdrowi, mieli być wypędzeni z Paryża i przedmieść, i robić co zechcą, albo co Bogu się spodoba.

Budowa szła szybko, i szpital jeneralny ukończono już 7 marca 1657 r. Wydano więc rozkaz ubogim, aby od 7 do 13 maja zebrali się na dziedzińcu *de la Pitié*, zkąd mieli być podzieleni na różne oddziały, z których się składał szpital jeneralny. Pięć tysięcy zaledwo, ósma część klasy żebraczéj stawiła się na wezwanie, reszta albo pokryła się w Paryżu, albo rozbiegła po prowincjach, wieść nadal niezależne i nierządne życie. Przekonywający dowód złego i konieczności lekarstwa; dowód także, że złe nie zostało zniszczoném, i oddziaływać miało, jak to w rzeczy saméj nastąpiło, przeciw usiłowaniom władzy publicznéj i miłosierdzia.

Jednak, urządzenie jeneralnego szpitala niezmierną posługę oddało Paryżowi; posługę nawet całemu królestwu, bo wkrótce większe miasta przyjęły tenże system. Nie dziwmy się więc, że wszyscy współcześni, a między nimi chluba owego wieku, Bossuet, sławili na wyścigi tę obszerną i wspaniałą budowę. Bossuet wielokrotnie tam kazał, mianowicie 29 czerwca 1657 r., gdzie na wezwanie Wincentego powiedział sławny swój panegiryk św. Pawła, to arcydzieło chrześcjańskiéj wymowy.

I tu widać także rolę Wincentego à Paulo, w olbrzymiém dziele szpitala jeneralnego, rolę czystego miłosierdzia, choć spaczoną przymusem władzy rządowéj. Pierwsza myśl wyszła od niego, on usunął główne przeszkody, otrzymał od króla miejsce na pomieszczenie, dostarczył pierwsze sprzęty przez robotników jego domu sporządzone, nakoniec on to założył bractwo Pań Miłosierdzia, którego gorliwość usunęła tyle przeszkód, tyle dokonała dziwów.

Ale raz jeszcze powtarzam, absolutyzm Ludwika XIV spaczył pierwotny jego zamiar. Jaki on był, jużeśmy powiedzieli: działać z miłością, powoli, zachęcać raczéj jak zmuszać ubogich, a dopóki nie przekonają się o korzyściach zapewnionego przytułku i regularnego życia, znosić ich w Paryżu przy czujnym nadzorze policji i utrzymywać jałmużną. To téż, skoro dzieło to stanęło, Wincenty nie chciał wziąść w niém udziału bezpośredniego i osobistego, a datkami tylko wspierał. Zrzekł się w swojém i swoich księży imieniu duchownego zarządu nad szpitalem; ale żeby nie cierpiało duchowne dobro ubogich, namówił X. Ludwika Abelly, że przyjął urząd rektora. Abelly przyciśnięty tym ciężarem, dobrał do pomocy kilku gorliwych księży, z których wielu podobnie jak i on, należało do konferencji wtorkowych, i w podobnym kierunku wykształconych. Oprócz zwykłéj pracy odbyli wspólnie missje po różnych oddziałach szpitala, które wprowadziły tam ducha porządku i pokuty. A gdy praca nad siły zwątliła zdrowie Abellego, zastąpił go inny wychowaniec Wincentego à Paulo. W ten tylko sposób święty kapłan zarządzał nadal szpitalem, a nie chcąc sam ani przez swych Missjonarzy, stawiał tam ludzi duchem swoim przejętych.

Pojmujemy teraz teorję dobroczynności Wincentego: pragnął zniesienia żebraniny, ale pod dwoma warunkami: nie zmuszać ubogich, chybaby wymagał tego porządek publiczny; powtóre, wynaleźć wprzód dla nich środki utrzy-

mania. Tak jest, więcéj jak ktokolwiek pragnął usunąć żebraninę, zabójczą dla ciała, zabójczą szczególniéj dla duszy biednego; wszystkie jego dzieła miłosierdzia, wszystkie bractwa zmierzały do tego: głównym celem wszystkich, było roznoszenie wsparcia po domach, jedyne a skuteczne i chrześcjańskie lekarstwo na żebraninę, Ale przekładał jałmużnę daną do ręki nad uwięzienie biednego, i chciał ją zachować, póki biedni, żebracy, nie nabiorą zamiłowania do życia porządnego i nie przysposobi się im wszędzie dostateczpomocy.

IV. Wincenty opatrzył już zwykłe nędze różnych epok życia człowieka, ale trafiają się wyjątkowe, o których nie mogło zapomnieć jego miłosierdzie.

W Alise, małém miasteczku sławném przez zwycięztwo Cezara nad sprzymierzoną Gallją, znajdują się mineralne wody i grób, które od niepamiętnych czasów gromadzą mnóstwo chorych i pielgrzymów, nietylko z Burgundji, ale i wielu innych prowincji; są to wody i grób świętéj Reginy panny i męczenniczki. Jeden mieszczanin paryzki, nazwiskiem Desnoyers, odbył tam ze swą żoną pielgrzymkę około 1658 r. Z boleścią widział mnóstwo nieszczęśliwych, którzy po trudach podróży zmuszeni byli w braku chrześcjańskiéj gościny, spać na gołéj ziemi w stodole jakiéj, albo i po ulicach miasta, wystawieni na zmiany powietrza, a ztąd cięższych daleko nabawiali się chorób, jak tych, których uleczenia szukali. Ale co smutniejsza, niemniéj byli opuszczeni co do duszy jak ciała, i w chorobie, przy śmierci pozbawieni zupełnie religijnéj pociechy. To téż po największéj części ginęli marnie, opuszczeni niejako od Boga i ludzi.

Wróciwszy do Paryża, Desnoyers złączywszy się z kilką pobożnemi osobami, zamyślił oddać swą osobę i majątek na posługę najuboższych i chorych, ale niedługo spostrzegł, że praca ta przechodziła ich siły. Zakłopotany udał się jak

wielu innych, do wielkiego intendenta dzieł Opatrzności, do Wincentego à Paulo. Święty starzec pochwalił ich zamiar, ale czuł całą jego trudność. Zachęcił ich jednak do poradzenia się Boga na rekollekcjach. Ze swéj strony, modlił się także. Po rekollekcjach rozpoczęto znów układy, pytał ich nanowo, a gdy trwali przy swym zamiarze, objawił śmiało, że to dzieło Boże i że trzeba je rozpocząć. Żądał nawet, żeby rozpoczęli z tą trochą zebranych funduszów nie czekając na więcéj, ani zniechącając zapowiedzianém prześladowaniem.

Wróciwszy na miejsce, zaczęli służyć ubogim i budować szpital; a zanim ten stanął, postawili łóżka w jednéj szopie i opatrywali chorych jak mogli. Przyszły wtedy przepowiedziane przeciwieństwa, ale nie zniechęciły przygotowanych na nie; nie dziwiąc się więc ani cofając przyspieszyli robotę, i już w następnym roku szpital był w stanie przyjąć ubogich pielgrzymów. Wincenty nie poprzestał na jałmużnie rady i zachęceń, wystarał się o poparcie Anny Austrjackiéj i potwierdzenie królewskie. Sam i przez drugich słał im jałmużny, tak że szpital zaczęty z dziesięcią tysięcy liwrów, wkrótce mógł wydawać po sto tysięcy rocznie. Odtąd przyjmowano tam corocznie, oprócz trzystu albo czterystu chorych, przeszło dwadzieścia tysięcy pielgrzymów. Znajdowali tam dla ciała i duszy najtroskliwsze starania, bo Wincenty w braku własnych księży, którzy zresztą inne mieli zadanie, opatrzył szpital gorliwymi księżmi i posłał doń Siostry Miłosierdzia. To téż wyzdrowienia moralne niemniéj były tam liczne, jak i fizyczne.

Jak wszystkie dzieła, do których przyłożył rękę Wincenty, i szpital świętéj Reginy istnieje dotąd w tychże samych co przed dwustu laty warunkach.

V. Wszystkie te dzieła zgromadził niejako Wincenty pod swą rękę i oko w domu św. Łazarza, aby ztamtąd roz-

pościerać swój wpływ miłosierny, i na téj drodze kształcić swoich uczniów. W rzeczy saméj, dom św. Łazarza nietylko był seminarjum Missji, głównym domem Zgromadzenia, miejscem, gdzie odbywały się konferencje i ćwiczenia duchowne, ale nadto był szpitalem i więzieniem. Aż do rewolucji przyjmowano tam według pierwotnéj fundacji, trędowatych miasta i przedmieści. W oddzielnéj oficynie mieszkali księża chorzy. Za małą opłatą przyjmowano także znaczną liczbę szalonych, któremi opiekowano się z najczulszą troskliwością. Mieszczono wreszcie, za upoważnieniem i udziałem policji, młodych ludzi znakomitszych rodzin, którzy przez swą niepoprawną rozpustę, hańbę i niepokój przynosili rodzinom, a tam często wracali na drogę cnoty i honoru.

Tak więc, Wincenty był, jak go nazywano, ucieczką grzeszników, równie jak ucieczką i wsparciem nieszczęśliwych. Ale, jakkolwiek wielkie są dzieła opisane dotąd, niczém są prawie w porównaniu do opieki, jaką rozciągnął nad obszernemi prowincjami zniszczonemi przez wojny. Tutaj to pokaże się nam on jako przedstawiciel, jakby wcielona Opatrzność.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rada duchowna.

I.

Posługi oddane Kościołowi.

I. Śmierć Ludwika XIII. — II. Święty Wincenty à Paulo w radzie duchownéj; ogólne jego postępowanie. — III. Usunięcie nadużyć; lista beneficjów. — IV. Posługi oddane biskupom i zakonom. — V. Posługi oddane zakonom żeńskim; zakonnice Nawiedzenia N. P. (Wizytki). — VI. Magdalenki; zakonnice Opatrzności; dziewczęta sieroty; córki św. Genowefy; bractwo miłosierdzia Najświętszéj Panny; córki Krzyża. — VII. Inne posługi oddane zgromadzeniom żeńskim.

I. Ludwik XIII niedługo przeżył Richelieu'go; urządziwszy rejencję, o tém już tylko myślał, by umrzeć jak na króla arcychrześcjańskiego przystało. Wraz ze swym spowiednikiem ojcem Dinet, innych jeszcze księży chciał wezwać dla religijnéj pomocy i pociechy w téj ostatniéj godzinie. Za poradą Anny Austrjackiéj wziął Wincentego à Paulo. Było to w końcu kwietnia 1643 r. Wincenty udał się do Saint-Germain, że jednak król czuł się zdrowszym, krótko tylko zabawił; ale na trzy dni przed śmiercią zawezwał go, i Wincenty pozostał przy królu aż do skonania. Mimo pewności blizkiego skonu, Ludwik XIII tworzył plany chrześcjańskiego rządu; chciał szczególniéj pracować nad nawróceniem protestantów i godnie obsadzić posady duchowne: „Oh! księże Wincenty, mówił, jeśli mi Bóg wróci

zdrowie, nie zamianuję nikogo biskupem, aż trzy lata przebędzie z tobą.“

Wkrótce jednak wracał do myśli o śmierci, i pytał Wincentego o najlepszy sposób przygotowania się do niéj: „Najjaśniejszy panie, odrzekł święty, najlepiéj naśladować przygotowanie się na śmierć Jezusa Chrystusa, i zdać się zupełnie na wolę Ojca niebieskiego. — O Jezu, mówił pobożny monarcha, z całego serca tego pragnę.“ Następnie wesoło prawie mówił o swéj ostatniéj podróży. Kazał otworzyć okna wychodzące na Saint-Denis, i na widok wież bazyliki, mówił z uśmiechem: „Oto gdzie będę wkrótce, a długo pozostanę. Bardzo się potłucze moje ciało, bo strasznie złe drogi.“ I pewny blizkiéj śmierci, nie czuł się w obowiązku zwyciężać odrazy do pożywienia; ale miał o to wątpliwość, i skinąwszy na świętego rzekł: „Księże Wincenty, doktorzy naglą mię, żebym się posilił; odmówiłem, boć i tak trzeba umrzeć; jakże mi radzisz? — Najjaśniejszy panie, odpowiedział Wincenty, doktorzy mają za zasadę dawać posiłek chorym, póki ostatniego nie wydadzą tchnienia, spodziewając się zawsze powrotu do zdrowia; dlatego, jeśli zechce wasza królewska mość, dobrze uczyni biorąc posiłek.“ I król, wołając na Séguin'a, kazał sobie podać buljonu. Ale zaraz po tém, podając rękę doktorowi: „Séguin, rzecze ze stałością, zbadaj mi puls i powiedz mi proszę, ile jeszcze godzin żyć będę; ale zastanów się dobrze, bobym rad wiedzieć napewno.“ Séguin rachował kilka chwil w milczeniu, poczém odpowiedział zimno: „Wasza królewska mość może żyć jeszcze dwie albo trzy godziny najwięcéj.“ Składając wtedy ręce i spoglądając w niebo, zawołał król spokojnie: „Ha, mój Boże, zgadzam się, i z całego serca!“ A podając znów od strony Wincentego swą schudzoną i osłabioną rękę: „Patrz, rzecze, księże Wincenty, czyż to ręka królewska? Widzisz, co pozostaje z króli, jak i innych ludzi!“ Bovart wziął go znowu za rękę i rzekł: „Najjaśniejszy

panie, jeśli się nie mylę, dusza waszéj królewskiéj mości wkrótce się uwolni z więzów ciała, bo już nie czuję bicia pulsu. — Mój Boże, zawołał monarcha, miéj miłosierdzie nademną!“ I zaczęto modły za umierających, na które odpowiadał jeszcze słabym i gasnącym głosem. W kilka chwil potém skonał na rękach ojca Dinet i Wincentego à Paulo.

Oddalono królowę, która aż do ostatniéj chwili modliła się przy łóżku. Wincenty poszedł ją pocieszyć, i wrócił do Paryża nakazać modły za nią i zmarłego króla. Już nazajutrz odprawiono uroczyste żałobne nabożeństwo w kościele św. Łazarza, a wszyscy kapłani Missji wdzięczni za dobrodziejstwa króla, ofiarowali najświętszą ofiarę za spokój jego duszy.

II. Wedle rozporządzenia Ludwika XIII, królowa Mazariniego tylko miała się radzić w sprawach Kościoła, ale pobożna Anna Austrjacka postanowiła ustanowić radę duchowną, gdzieby rozbierano wszystkie sprawy religijne i badano przymioty przedstawionych na godności kościelne.

Wincenty à Paulo został naczelnikiem téj rady. Znaczyło to dla pokornego kapłana: wejście i ranga u dworu, hołdy od pragnących wyniesienia, pewien rodzaj wszechmocy na wszystkie sprawy i dobra Kościoła we Francji. Proszę sądzić o jego boleści i usiłowaniach, jakie czynić musiał, żeby się od tego uwolnić! Długo miał tę nadzieję i uciekał się z prośbą do Boga i ludzi, ale królowa nie mogła przystać na pozbawienie się jego posług, a cnotliwy kardynał de la Rochefoucault włożył na niego obowiązek w imię Boga i dobra Kościoła we Francji, by pozostał w radzie duchownéj. Dziesięć lat jego prac w radzie, najwybitniéj cechują jego cnotę, wpływ i zasługi. Wtedy szczególniéj zajaśniała jego pokora wpośród zaszczytów, a cierpliwość w prześladowaniach, gorliwość i stałość w popieraniu interesów Boga i Kościoła, jego szacunek dla biskupów,

miłość zakonów, a bezinteresowność dla siebie i swoich. Bezinteresowność o tyle godniejsza pochwały, że domy jego Zgromadzenia, wszystkie prawie bardzo ubogie, obciążone jeszcze były missjami, które bezpłatnie odbywali; bezinteresowność niezachwiana w pokusach, rozciągająca się na dobra równie jak łaski, bez względu, co jeszcze trudniejsze może, na imię, na wdzięczność i przyjaźń.

W tém miejscu żywota, czytelnik dosyć już mógł poznać cnotę i charakter Wincentego, byśmy potrzebowali dodawać, jakim duchem się rządził na radzie królowéj. Bez namiętności, powodowany jedno miłością Boga i kraju, bez przesądów i téj gwałtowności i uniesienia, które drażni osoby i psuje interesa, zachowywał zawsze w duszy, ruchach, słowach, a nawet na twarzy ten spokój i pogodę, która w dobrym czy złym bycie nadaje umysłowi swobodę rozwagi, pozyskuje serca i pociąga samochcąc ku prawdzie i dobru. Zarazem stały i powolny, niezachwiany tam, gdzie nie pozwalało sumienie, ale zawsze gotów ustąpić lepszemu zdaniu. Czy przystano na jego opinję albo się sprzeciwiono, nigdy skargi, nigdy urazy. Spokojny, gdy uczynił zadość obowiązkowi, milczał po wziętém postanowieniu, oddając Bogu chwałę z dobrego, a w interesach polegając na Opatrzności Bozkiéj. Jeśli milczał na radzie, témbardziéj po za radą; nigdy i słowa nawet do najbliższych o tém, co tam mówiono, jakie postanowienie wzięto.

Człowiek ten, gotów zawsze się oskarżać z uchybień mniemanych w zarządzie bądź Missjonarzy, bądź Sióstr Miłosierdzia, nigdy, o ile zapamiętamy, nic nie wyrzucał sobie co do postępowania na radzie duchownéj,— tak rozważnie, z taką czystością intencji i odwagą tam działał. Powolny w namyśle, zbadaniu rzeczy, wzięciu postanowienia, ale raz się zdecydowawszy, śmiało i prosto szedł do wykonania, nigdy nie żałując tego. Bo wiedział, że intencja jedno w mocy jest człowieka, ale skutek w ręku Boga. A że nie

mógł wątpić o czystości i świętości swéj intencji, jakkolwiek sprawa poszła, nie niepokoił się, bo zawsze widział w tém wolę Opatrzności.

Takie zasady Wincentego na radzie duchownéj zbyt były sprzeczne z zasadami Mazariniego; wkrótce téż wybuchnąć miało sprzeciwieństwo i walka,— tymczasem święty kapłan zdołał dać dobrych ministrów kościołowi, a nawet, choć oddalony z rady, wpływał jeszcze na mianowanie biskupów, dzięki pobożnemu zaufaniu królowéj. Było to jakby ukończeniem, uwieńczeniem posług oddanych przezeń z woli Bożéj Kościołowi francuzkiemu.

Zmuszony do przyjęcia ciężaru, otrzymał chociaż od Anny Austrjackiéj łaskę nieprzychodzenia na pokoje, chyba wezwany przez królowę. W ten sposób mógł kierować Zgromadzeniem i dziełmi miłosierdzia, i uwolnić się od cząstki chociaż nalegań ambitnych. Przybywał na pokoje tak samo jak na missje po wsiach, w grubéj, połatanéj sukni; nie chciał jéj zmieniać nawet idąc do Luwru, a gdy do stancji podrzucono mu nową, jeśli nie znalazł staréj, wyszukiwał podobnéj u swych księży, i tajemnie przemieniał. Ubiór jego, choć biedny, zawsze przecież był czysty: „Bez plam i dziur“, odpowiadał na pochwały albo szyderstwa, jakie z tego powodu odbierał. W ten sposób starał się upokarzać nietylko wewnętrznie, ale przed wszystkimi, i odpokutować za mimowolne wyniesienie i zaszczyty, które męką dlań były.

III. Na pierwszych zaraz sesjach rady Wincenty przeprowadził swój program, a łagodność niektórych jego ustaw dowodzi wielkości złego, które chciano zleczyć. Często dzieci otrzymywały beneficja, bez powołania więc, ani zamiaru wejścia do stanu duchownego, korzystały z dochodów kościelnych; biskupstwa nawet rozdawano w ten sposób, a częściéj opactwa zakonnic; dawano w dożywocie prawo do pobiera-

nia dochodów z opactw, i przyjmowano podstawionych następców; ale największém może nadużyciem było ogłaszanie beneficjum za wakujące: duchowni chciwi, dopóty grozili swym wpływem i dokuczaniem prawym posiadaczom beneficjów, że zmuszali ich albo do ustąpienia, albo opłacenia się pieniędzmi od niesłusznego ucisku. Powierzyła więc rada Wincentemu zbadanie słuszności powodów przedstawianych do zrzeczenia się duchownych posad; święty z taką sprawiedliwością postępował, że bardzo wielu zmusił do zrzeczenia się pretensji, i wielu zacnych księży utrzymał na beneficjach, którzy zmęczeni walką, albo przez gwałt, mieli być wyrzuceni; przytłumił wreszcie mnóstwo procesów gorszących zawsze, a często zabójczych dla słuszności sprawy, przez swą długość i niepewność wygranéj.

Wykorzeniał więc naprzód nadużycia. Dla wynagrodzenia szlachty rannéj na wojnie, dawano im pensje obciążające beneficja; Wincenty chętnie polecał ich względom królowéj, ale nie mógł ścierpieć, by dobra kościelne służyły na donacje i emerytury za cywilne posługi.

Beneficja rozdawane jedynie z powodu znakomitości rodu, nie samym duszom przynosiły szkodę, ale i budowlom opactw; tacy, pobierali dochody, a budynki i kościoły upadały w ruinę. Wincenty wyjednał na radzie, że napisano w imieniu króla do wszystkich prokuratorów królewskich, by wystąpili przeciw takim posiadaczom, i zmusili zagrożeniem zabrania dochodów do większéj staranności i reparacji koniecznych.

Symonja szczególniéj oburzała go. Łagodnie więc naprzód upominał tych, którzy przez niewiadomość albo nierozważną chciwość w ten sposób brali godności kościelne; ale jeśli nie zważali na łagodną przestrogę, spadała na nich surowa jego sprawiedliwość. Ścigał wtedy symonję w najtajniejszych jéj zakątkach, i jak tylko wykrył ten niecny występek, ani wzgląd ludzki, ani obietnice ni groźby nie

wstrzymały go od wygnania jéj ze świątyni. Szydzono z niego, potwarzano czarno, by zgubić go w opinji królowéj, ministra i zacnych ludzi: to było nagrodą za jego gorliwość, ale nigdy nie chciał się usprawiedliwiać.

Usunąwszy wedle możności nadużycia, utworzył listę beneficjów. Mniejsze, któremi mógł sam rozporządzać, oddawał duchownym dworu królewskiego i kapelanom wojskowym, którzy dobrze spełniali swe obowiązki. Gorliwość w pracy pełnéj niebezpieczeństw, była dlań dowodem gruntownéj cnoty. Wymienione było w téj liście, co każdy już posiadał, a tak, z najściślejszą sprawiedliwością rozdzielał każdemu wedle zasług i potrzeby. Co zaś do wyższych godności i biskupstw, nigdy nie pozwolił na przedstawienie niegodnych, czy to udawano się do niego, czy téż narzucić chciano wybór. Rozsądną, chrześcjańską swą radą nieraz odwiódł duchownych, zakonników, a nawet świeckich ludzi od rządzenia się chciwością i pychą.

Ale niezawsze znajdował dusze gotowe przyjąć bezinteresowne jego rady; rzadko szczególniéj mógł wpłynąć na zrzeczenie się ambitnych pretensji do godności kościelnych. Wtedy, jeśli mógł, milczał i nie wnosił żądań na radę, ale niezawsze zbył się tak łatwym kosztem, jeśli żądania wnosiły znakomite panie. Na odmowę w tym razie odpowiadały obelgami, które Wincenty w cichości i z pokorą przyjmował; większy jednak jeszcze miał kłopot, gdy udawano się do niego w imieniu królowéj, albo kardynał Mazarini wszechmocny odtąd, a radzący się tylko polityki, mianował sam na godności kościelne, żądając tylko zatwierdzenia czynu dokonanego. Wtedy. jeśli przychodzono z ramienia królowéj, uciekał się do samychże interesantów, a od ministra do królowéj; w potrzebie i na niebezpieczeństwo nie zważał: raz, pewna księżna rozgniewana jego oporem, rzuciwszy mu stołeczek na głowę, szeroką zrobiła ranę. „Nie jestże to rzecz dziwna, rzekł obcierając się do bra-

ciszka, który mu towarzyszył, do czego doprowadza miłość macierzyńska!“ Na tém się skończyła cała jego zemsta.

IV. Biskupom, których nominację wyjednał, opactwom, które godnymi przełożonymi obsadził, nie przestawał wszelakich posług czynić.

Oprócz miłości Kościoła, z szacunku ku biskupom poczytywał za obowiązek oddać na ich posługę swą osobę, swych księży i wpływ swój; ani w nich upatrywał ludzi, którzy po największéj części jemu zawdzięczali swe wyniesienie, ani uchybień, które mogły niekiedy zaćmić ich święty charakter, ale jedynie majestat Boży, którego byli przedstawicielami. Czém więcéj okazywali mu wdzięczności i zaufania, tém bardziéj uniżał się przed nimi. Jeśli przyszli go nawiedzić, rzucał się im do nóg, na klęczkach jedno chciał mówić, i przemocą prawie musieli go podnosić. Gorliwszy o ich interesa jak o własne, zajmował się ich sprawami u dworu, w parlamencie, wszędzie; nieustannie polecał ich królowéj, kardynałowi, kanclerzowi, znaczniejszym urzędnikom; nic go nie wstrzymało na ich rozkaz, ani wiek, ani dolegliwość, pora roku albo zajęcia; jak sługa ewangeliczny, szedł gdy mu iść kazano, wracał gdy powiedziano by wrócił. Starał się o przywrócenie pokoju po djecezjach, pośredniczył w sporach między biskupem a klerem, wpływał na panów i lud, by poddali się ich władzy. Cieszył się ich radością, a pocieszał w zmartwieniach. Z równym szacunkiem jak roztropnością a niekiedy wdziękiem, pobudzał lub miarkował ich gorliwość. Bez końca przepraszał, skoro nie mógł im jakiéj posługi uczynić, a upokarzał gdy go się radzili. Zniechęconych albo niestałych, namawiał do wytrwania na stanowisku, albo znów wyszukiwał godnych następców, gdy wiek albo choroba, zmęczenie lub obawa odpowiedzialności przed Bogiem do rezygnowania zmuszała. Uprzedzał zgorszenia i usuwał wszystko, coby mogło zamą-

cić ich spokój. Szczególniéj starał się służyć biskupom, których djecezje niepokoiła herezja; opierał się nadużyciom hugonotów i nie dopuszczał im przekraczać granic naznaczonych edyktem, bronił wstępu do urzędów i mieszanych małżeństw z katolickiemi rodzinami.

Jakichże nie dołożył starań, by wstrzymać nadużycie apelacji od wyroków duchownych, która zaprowadzona pierwiastkowo dla wzmocnienia karności kościelnéj i utrzymania w swéj mocy ustaw kanonicznego prawa, sprzyjała już tylko intrygom i zepsuciu złych księży, i mięszaniu się władzy świeckiéj do spraw czysto duchownych! wpływał więc na urzędników; starał się, by biskupi dla zapobieżenia temu, dobrze urządzali swe konsystorze, i obsadzali cnotliwymi i uczonymi w obojgu prawie sędziami, zarówno nieugiętymi i biegłymi w wymierzaniu sprawiedliwości, jak uważnymi w zachowaniu i w najdrobniejszych szczegółach formalności. Ale sprawiedliwość nigdy u Wincentego à Paulo nie szkodziła Miłosierdziu; to téż pragnął, by dopiero w ostateczności wymierzano kary kościelne. Łagodność ta jednak, nie była słabością, jak to się pokazuje z natury posług które czynił zakonom i wpływu jego na wszystkie reformy. Zawczasu począł świadczyć dobrodziejstwa zakonnikom. Już w r. 1621 Franciszek de Maïda, przełożony jeneralny Minorytów, z uwagi na posługi oddane synom św. Franciszka à Paulo udzielił mu patent assocjacji.

Widzieliśmy, że pomógł komandorowi de Sillery, do reformy domów i ziem zakonu maltańskiego, za co kawalerowie przez usta wielkiego mistrza Pawła Laskarisa oświadczyli mu swą wdzięczność.

Ale szczególnym okazał się protektorem zakonów w czasie swego urzędu w radzie duchownéj. Nie ma takiego, któremu by nie wyświadczył posług, bądź ogólnych, bądź szczegółowych. Gdy toczyła się sprawa jego kanonizacji, jenerałowie albo przełożeni: świętéj Genowefy, Premonstra-

tensów, de Chancellade, św. Antoniego i św. Bernarda, przyznali, że jemu zawdzięczają przywrócenie karności zakonnéj. Pomagał Dom Grzegorzowi Tarrisse do zreformowania zakonu Benedyktynów i Zgromadzenia św. Maura. Wspierał szczególniéj radą i pomocą Karola Frémont, reformatora klasztoru Grandmont. Wszystkich poruszał sprężyn dla odnowienia Zgromadzeń. Niedopuszczał królowéj potwierdzać wyboru zakonników, którzyby nie zgodzili się na wprowadzenie reformy. Roztropnie a łagodnie przywracał zgodę i pokój w poróżnionych klasztorach. Z jakąż pociechą widział przywróconą pierwotną regularność! Ale jakże bolał, jeśli przemogło rozwolnienie ustaw! Nie radził przynajmniéj zakonnikom wstępować do nieregularnych klasztorów; bo nie tylko rad służył zakonom, ale i pojedyńczym ich członkom. Wszyscy radzili się go, czy skoro chcieli wstąpić do klasztoru, czy przejść do innego; ale rzadko, chyba w przypadku rozwolnienia jakiego zakonu, pozwalał na zmianę.

Jego miłość klasztorów rozciągała się tak do doczesnych jak i duchowych potrzeb. Do niego się udawali i chętnie się przyczyniał o wyjednanie tak trudnych w czasie wojen wypłat czynszów, jakie mieli na dobrach królewskich. Wstawiał się za nimi do królowéj i kardynała; bronił szczególniéj klasztory na granicach państwa będące, przeciw napaściom żołnierzy; utrzymywał prawa ich i przywileje nadane lepszemi czasy.

Z tego cośmy powiedzieli, dostatecznie widać gorliwość i życzliwość jego dla zakonów, gorliwość pokorną i bezinteresowną, bo w myślach, słowach i czynach przekładał je zawsze nad swoich. Polecał swym kapłanom i Siostrom Miłosierdzia szacunek dla wszystkich, niedopuszczając do ich myśli ducha zazdrości i współubiegania. Tak téż sam działał, z ochotą składając na innych zaszczyty i korzyści które ofiarowano jemu.

V. Toż co dla zakonników, czynił także dla Zgromadzeń żeńskich.

Wróciwszy z Chatillonu, poznał się ze św. Franciszkiem Salezym. Dwaj ci ludzie odgadli się od razu, a szacunek, wzajemna miłość łączyła ich odtąd aż do śmierci. W oczach Wincentego, słodycz, skromność i majestat Franciszka Salezego robiły wrażenie jakby Chrystusa na ziemi; Franciszek Salezy mówił znowu, że nie znał zacniejszego, świętszego kapłana jak X. Wincenty. Więc jak skoro w r. 1619 biskup Genewski założył pierwszy dom Nawiedzenia Najśw. Panny przy ulicy św. Antoniego w Paryżu, po poradzeniu się Boga i pani De Chantal, mianował Wincentego pierwszym jego przełożonym. Znaczący wybór, bo św. Franciszek zwykł był powtarzać, że dyrektora sumień wybierać trzeba z dziesięciu tysięcy; przyznał więc tém, że Wincenty posiadał przymioty potrzebne dobremu dyrektorowi: wielką cnotę, szczególniejszą miłość, rozległą naukę i dużo doświadczenia. Klasztory Nawiedzenia pomnożyły się wkrótce w Paryżu: wszystkie przeszły pod dyrekcję Wincentego. Po śmierci biskupa Genewskiego w 1622 r. został jakby przełożonym nowego zakonu.

Przyciśnięty wiekiem, dolegliwościami, pracą, zajęty dyrekcją coraz to liczniejszych domów Missjonarzy i Siostr Miłosierdzia, nie raz pragnął uwolnić się od tych obowiązków; ale zakonnice Najświętszéj Panny tyle proźb i listów pisały, poruszyły w tym celu tyle osób znakomitych, albo posiadających wpływ na świętego kapłana, użyły nawet pomocy arcybiskupa Paryzkiego, tak, że święty przeszło czterdzieści lat i aż do śmierci pozostał przełożonym domów Nawiedzenia. Zakonnice uszczęśliwione były z tego; przyznawały mu szczególniéj dar oświecenia, pociechy i uspokojenia dusz strapionych. Dość było zwierzyć się przed nim: cierpienia i pokusy znikały zaraz. On tylko posiadał lekarstwo na cierpienia duszy, podobne do moralnego konania;

wiedział o tym darze Bożym, i chętnie pomagał duszom, które się udawały do niego. Z równą cierpliwością słuchał ostatniéj nowicjuszki, jak i najstarszéj zakonnicy.

Jakże wymownie zalecać umiał jedność serc i umysłów, posłuszeństwo przełożonym i regule, wzajemne znoszenie się, łagodność i uprzejmość tak zalecane i praktykowane przez św. Franciszka Salezego! Nauczał zresztą przykładem: nigdy i słowa któreby raniło miłość; uprzejmość i szacunek dla wszystkich; dobrze mówił o wszystkich, źle jedno o sobie. Jeźli trzeba było upomnieć kogo, tyle zaraz dodawał pochwał, że znikało prawie pierwsze wrażenie; Strofując za uchybienia, mówił: „Wejdź w sąd z Bogiem i sobą samą“, ale z taką miłością przygotowywał umysły do upomnień, że więcéj namaszczenie słów jego, jak gorycz przestrogi pamiętano. Silnie jednak przestrzegał za uchybienia przeciw Bogu i świętym ustawom; jakkolwiek łagodny, upominał ze stałością, ale miarkowaną przez roztropność i rozwagę. Czekał z upomnieniem sposobnéj chwili, wstrzymywał się i milczał, jeźli widział pomięszanie: „nie trzeba, mówił, chyba w wielkiéj potrzebie, dawać lekarstwa podczas gorączki“. Ale upokarzał pysznych z dziwną łatwością i wprawą; wyniosłe tylko drżały przed nim, — inne, przy całym szacunku, jaki budził, z łatwością otwierały przed nim serca; bo i jakaż nagroda czekała za wyznanie najbardziéj upokarzających słabości! przyjmował je z dobrocią, — tłumaczył, jak najczulsza matka tłumaczy uchybienie swego dziecięcia. Naznaczając pokuty, znać było, że mniéj by go kosztowało samemu je dopełnić.

Jakąż korzyść odnieść musiały domy Nawiedzenia z częstych jego odwiedzin! Jakkolwiek gorliwe, gorliwszemi jeszcze stawały się po każdéj wizycie, sam ślad stóp jego wydawał zapach cnoty, która rozlewała woń w Zgromadzeniu aż do następnych odwiedzin. Nie mówił przecież z wyszukaniem, ani podawał nowych, przesadzonych zasad świą-

tobliwości: zazwyczaj mówił mało, by i sam uczcił i innych skłonił do uczczenia milczenia, które Syn Boży tak długo zachował na ziemi. Ale świątobliwość jego życia, duch Boży który w nim i przezeń mówił, więcéj sprawiał iak wszystkie kazania. Udawał się kto o radę w jakim smutku wewnętrznym: odpowiedział w trzech słowach, ale tak trafnie, że światło i pokój powracały do duszy. Zazwyczaj zachęcał tak wszystkie, jak każdą po szczególe zakonnicę do cenienia łaski powołania i życia wedle ducha instytutu, szanowania reguł czy to nakazują co, lub radzą, bo na tém zakładał doskonałość ich stanu. W rzeczy saméj, badał bez ustanku, co zawierały konstytucje zakonne i zdanie o każdym artykule ich świętego ojca i świętéj założycielki. Nie używał swéj władzy na wprowadzenie i najmniejszéj zmiany; owszem, potwierdzał je, zalecał wierność tak w małych jak i większych rzeczach. Wszystko co do nich mówił, czerpał w pismach św. Franciszka Salezego i św. Franciszki Chantal, które jak mówił, aż do łez go wzruszały. Nie radził im czytać co innego, bo lękał się dla nich niedobréj ciekawości czytania i poznania wszystkiego, a szczególniéj niebezpiecznych książek, które krążyły w owych czasach po klasztorach żeńskich.

Korzystano z obecności jego, aby mu opowiedzieć domowe przykrości, na które odpowiadał roztropnie, jasno i z zadziwiającą znajomością rzeczy, niczém niezmięszany, zawsze był gotów rozwiązać wszystko. Napróżno niekiedy radzono się uczonych i przewodników zakonnic, jedno jego słowo, nie szkodząc miłości bliźniego, wyprowadzała zgromadzenie z kłopotu.

Przy końcu wizyty, proszono go o błogosławieństwo; klękał wtedy i skupiwszy się z najgłębszą pokorą ducha błogosławił prosząc, aby Bóg zlał swe łaski na nie i ich zajęcia. Polecał wreszcie zapisanie najważniejszych rzeczy powiedzianych i zrobionych podczas wizyty, i odczytywanie

tego od czasu do czasu na kapitule, bo czytanie takie, mówił, ściąga błogosławieństwo Boże. Przekonały się o tém z doświadczenia: odczytując treść tych wizyt, czuły się odnowione na duchu.

Te domy, któremi tak dobrze kierował, zamykał starannie przed duchem światowym i rozszerzonemi wtedy w kościele błędami. Utrzymując je w pokorze, zaparciu się siebie, zdala od szacunku i widoku stworzeń, zabraniał stosunków z innemi zakonami, a tym bardziéj osobami świeckiemi. Z największą stałością nie pozwalał wstępu do klasztoru i najznakomitszym paniom, księżniczkom nawet, które bądź przez ciekawość, bądź źle zrozumianą pobożność, chciały je nawiedzać. Wyjątek jedynie stanowiły dobrodziejki, których miał dokładną listę; — ale nie samemi tylko darami można było nabyć ten tytuł, chyba że łączyły zarazem żywą wiarę i gruntowną cnotę. Nie pozwalał świeckim osobom mieszkać w domach Wizytek z obawy, aby razem z niemi nie wszedł téż duch światowy; — nad korzyść doczesną przekładał duchowe dobro zakonu. Nie jedną z tego powodu zniósł niechęć i prześladowanie: pomimo tego, pozostał niewzruszonym.

Zalecał nadewszystko klasztorom paryzkim nie przyjmować duchownych, zarażonych nowemi opinjami; na siebie zresztą brał odpowiedzialność za te surowe środki, a że sam kierował zewnętrznemi interesami, zakonnice nie cierpiały na tém. W każdym innym razie, za wspólną działał zgodą. W ważniejszych wypadkach, nie tylko pytał o zdanie przełożoną, ale i starsze zakonnice, chcąc uczcić w ich osobie Boga, którego przedewszystkiém się radził. Zanim odpowiedział na wątpliwość jaką, zastanawiał się w skupieniu i dopiero usłyszawszy odpowiedź ducha Bożego, zaczynał od słów: In nomine Domini! zwykły początek mowy tego człowieka, który chwałę Bożą tylko miał na celu, i we wszystkiem chciał iść, po boku, jak mówił, Opatrzności.

Jeźli radził się przełożonych, tém bardziéj świętéj ich założycielki pani de Chantal. Od czasu śmierci świętego Franciszka Salezego, pani de Chantal jego tylko zasięgała rady względem domowego porządku i wzrostu zakonu; przed nim także odkrywała swe sumienie z równém zaufaniem jak przed świętym biskupem genewskim; a w nieobecności pisywała często o radę. Ostatnie widzenie się, jakby przygotowanie na śmierć blizką, było w 1641 r., w pięć tygodni zaledwie po swém wyjeździe z Paryża, umarła w Moulins w 69 roku życia.

Na wiadomość o niebezpiecznéj chorobie pani de Chantal, Wincenty modlić się począł za nią, i ujrzał jéj duszę i św. Franciszka Salezego, jakby dwie kule ogniste zlewające się w trzeciéj, wyrażającéj istność Bożą. Po dwakroć miał to widzenie, które opisał, przewidując już jéj kanonizację.

Jeźli wpłynął przez to na kanonizacją świętéj de Chantal, nie mniejsze posługi oddał w procesie kanonizacyjnym świętego Franciszka Salezego. Już w r. 1657 uzyskał wznowienie przerwanego procesu, a w dwa lata po tém, przy ukończeniu już sprawy, zakonnice Nawiedzenia wiedząc, jaki miał wpływ w Rzymie, prosiły by przyłączył swe prośby do próśb wielu znakomitych osób. Uczynił to, „nie tylko na wezwanie, ale przez szacunek i szczególniejszą cześć, jaką miał dla tak wielkiego świętego, jednego z największych w niebie, i dla wielkich cnót, których sam w wielu okazjach był świadkiem;“ ale uczynił „zawstydzony, czując się niegodnym otrzymania takiéj łaski“, i odzywania się po tylu osobach „tak wiele zacniejszych od niego, biednego nędznika“. Nie doczekał skutku swych starań; — beatyfikacja biskupa genewskiego nastąpiła 28 grudnia 1661 roku, w rok przeszło po śmierci jego świętego przyjaciela.

VI. Niesposób wyliczyć tak ogólnych jak szczegółowych posług, które Wincenty oddał Zgromadzeniom żeń-

skim; biskupi naprzykład, używali go często, by przez swą wizytę przywrócił porządek, albo zagrzał w pobożności. — Ograniczymy się więc na Zgromadzeniach, gdzie działanie jego nie było przypadkowém i przelotném, ale gruntowném i trwałém. On to użył zakonnice Nawiedzenia do zarządu domem pokutnic zwanych Magdalenkami, ufundowanym blizko Temple przez margrabinę de Maignelay; bronił je przeciw potwarzom, prześladowaniom i różnorodnym przeszkodom, które bądź z wewnątrz, bądź z zewnątrz na nie spadły. Przez swe rady, listy i wizyty, które niekiedy po tygodniu trwały, pomógł do wprowadzenia porządku w domu św. Magdaleny. Łagodnością i opieką, zakonnice Nawiedzenia pozyskały serca, nie tylko dobrowolnych pokutnic, ale i tych, które sprowadzono z rozkazu rodziny, albo przez policję. Przywiedzione przemocą, wkrótce zostawały dobrowolnie, a niektóre nawet czyniły śluby zakonne.

Podobne, ale rozleglejsze, bo nie tylko dla pokuty, ale w celu zapobieżenia złemu, było dzieło *córek Opatrzności,* utworzone przez panią Pollalion, z którego powstały inne: dzieło *chrześcijańskiego zjednoczenia* i *rozszerzania wiary* albo *katolickich wiadomości.*

Za wpływem Wincentego à Paulo, pani Pollalion powzięła zamiar poświęcić się wyłącznie biednym zwiedzionym a pokutującym dziewczynom, i tym, których młodość i uroda przy nędzy i złém prowadzeniu rodziców, narażała na pewną zgubę. Zgromadziła ich naprzód czterdzieści w domu de la Pitié, którego Wincenty był wtedy przełożonym. Wkrótce, około 1630 r. utworzyła Zgromadzenie z trzydziestu trzech dziewic, pod nazwaniem *Opatrzności,* przeznaczone do wychowania młodych osób szukających tam schronienia przed zepsuciem. Wincenty à Paulo gorliwie popierając to dzieło, często go nawiedzał. Zostawszy przełożonym tego domu, uzyskał w 1643 i 1647 roku zatwierdzenie go przez króla i arcybiskupa, a chcąc rozszerzyć dzieło, powziął zamiar

utworzyć stowarzyszenie dziewic i pobożnych niewiast, rodzaj missjonarzy gotowych iść wszędzie, gdzie powoła je potrzeba służby Bogu i bliźnim. Wybrał siedm najgorliwszych i najodważniejszych córek Opatrzności, i te pod imieniem *chrześcjańskiego zjednoczenia* zobowiązały się pracować nad zbawieniem dusz. Wkrótce wiele utworzyły domów, otwartych szczególniéj dla nowo nawróconych, albo gotowych do nawrócenia się protestantek, domów znanych pod imieniem *rozszerzenia wiary* albo *katolickich wiadomości.*

Na prośbę bezwątpienia Wincentego à Paulo, Anna Austrjacka darowała w 1651 roku pani Pollalion obszerny lokal przy ulicy Arbalète, stykający się ze wspaniałym klasztorem Val-de-Grace, gdzie przepędzała główniejsze święta w roku. Zgromadzenie to rozprzestrzeniwszy znacznie dom, wprowadziło się tam i żyło wedle reguł, które mu Wincenty à Paulo przepisał. W kilka lat po tém, pani Pollalion umarła wśród błogosławieństw pobożnych nauczycielek przez nią ukształconych, i 180 dziewcząt, tą razą podwójnie sierot. Ale został im ojciec w osobie Wincentego à Paulo, ten ojciec wszystkich sierót i opuszczonych.

W rzeczy saméj, zapominając jak zawsze o najgwałtowniejszych potrzebach swego domu w tych tak ciężkich latach, chciał dowieść, widoczna opatrzność, tym biednym dziewczętom, że nie próżno się zwały córkami Opatrzności. Nazajutrz po pogrzebie pobożnéj ich założycielki, zwołał na ich korzyść bractwo pań miłosierdzia, późniéj wielokrotnie liczniejsze jeszcze zebrał składki, — bo zmniejszona w kilka dni po śmierci założycielki liczba stu ośmiudziesięciu sierot, następnie o wiele wzrosła. Najsławniejsze z tych zebrań Pań Miłosierdzia odbyło się w lutym 1659 r., na którém Bossuet przełożony *Rozszerzenia wiary* w Metz, powiedział kazanie *o wysokiéj godności biednych w kościele,* — pierwsze zapewne które wygłosił w Paryżu.

Także, panna de Lestang otworzyła dom dla dziewcząt sierót przy Pré-aux-Clercs. Wincenty wspierał ją w największych potrzebach; znajdował się na wielu zebraniach na jéj korzyść odbytych; duchowny zarząd domu powierzył jednemu kapłanowi ze swéj konferencji, sam kierował sumieniem pobożnéj założycielki i poznajomił z panną Le Gras, tak biegłą w sztuce rządzenia.

Miał także udział w fundacji *córek św. Genowefy*. Jego to się radziła panna de Blosset ich założycielka, i wedle jego rady i zachęty urządziła liczne i doskonałe szkoły w parafji św. Mikołaja du-Chardonnet. Oprócz głównego ich zajęcia: uczenia bezpłatnie, córki św. Genowefy kształciły nauczycielki wiejskie, opiekowały się ubogimi, rozdawały lekarstwa, słowem, pełniły różnorodne dzieła miłosierdzia tak co do duszy jak ciała. Do tego to zakładu, pani de Miramion przyłączyła potém swą *świętą rodzinę*.

Są i inne zgromadzenia, którym Wincenty, choć nie tak wielkie, oddał jednak posługi. Między innemi, licznym zgromadzeniom, które powstały w pierwszéj połowie XVII. wieku dla posługi chorych i pielgrzymów, — na przykład Zgromadzeniu *Miłosierdzia Najświętszéj Panny*, którego przejrzał i potwierdził ustawy.

Ale mało zgromadzeń żeńskich, któreby więcéj mu zawdzięczać mogły, jak *Córki krzyża* założone w Roye w Pikardji, a tak nazwane przez lud z powodu licznych prześladowań, przez które przeszły. Wezwany do wyegzaminowania dwóch księży, pierwszych założycieli tego dzieła, Wincenty dowiódł ich niewinności, ale wniknąwszy zarazem swém doświadczoném okiem aż do głębi nowego instytutu, podjął się odtąd bronić go i rozszerzać.

Jedna z pierwszych sióstr z Roye, przebywająca w Paryżu w interesie prześladowanego instytutu, poznała się z panią de Villeneuve, która starała się wtedy założyć bezpłatne szkółki w parafji św. Pawła. Ta, widząc w instytucie

córek krzyża wszystkie jakich żądała warunki, założyła dla nich dom w Vaugirard, następnie w Paryżu i sama do nich wstąpiła. Odtąd, nic nie zdało się brakować nowemu zakładowi, nawet szacunku ludzi którzy prześladowali go z początku; ale trzeba było, aby i ta druga założycielka miała udział w krzyżu, którego imię nosiła. W rzeczy saméj, wewnętrzne niepokoje tak przycisnęły panią de Villeneuve, że już chciała zdać na kogo innego zarząd jéj powierzony. W tych cierpieniach i wątpliwości, udała się do Wincentego à Paulo, który wielokrotnie już wsparł ją swemi radami. Wincenty skłonił ją do wytrwania i w rzeczy saméj, pozostała aż do śmierci w 1650 r.

Śmierć ta ciężkim była ciosem dla téj młodéj rodziny. Straciły matkę, a nie było czém choć w części zastąpić jéj stratę; na domu ciążył dług 40.000 liwrów, pod którego ciężarem upadały siostry i ich przyjaciele, a zgromadzenie składało się z tak różnorodnych żywiołów, że zdawało się, iż jedynie zdolności i cnota założycielki mogły utrzymać je w jedności. Najgorliwsze więc ich opiekunki nie widziały środka, jak złączenie ich z *córkami Opatrzności*. Wincenty oparł się temu: „Choćby pozostało tylko dwie albo trzy *córki krzyża* rzekł, byle zgodnie działały, jeszcze tworzyć będą prawdziwe Zgromadzenie. Mały ten zawiązek rozrośnie się wkrótce; strumyk narośnie wodą, i wielką rzekę utworzy“. Tak mówił i powtarzał na wielu zebraniach; zrzeczono się odtąd zamiaru zniesienia albo przyłączenia, i zastanawiano się nad środkami zapewnienia życia osieroconéj rodzinie. Wincenty poprawił byt materjalny zgromadzenia i urządził duchowy. Wszystko lepiéj iść poczęło; nie tylko utrzymały się *córki krzyża,* ale rozszerzyły i objęły wszystkie dzieła miłosierdzia dla osób ich płci: szkoły bezpłatne, pensje, domy rekolekcji, szpitale i td. W tém wszystkiem pomagały córkom Wincentego, i godnemi się okazały wspólnego ojca. Łatwo więc pojąć ich cześć dla świętego kapłana

i wdzięczność za posługę, któréj tylko bezinteresowność dorównywa ważności, bo prawie ze szkodą Sióstr Miłosierdzia Wincenty popierał Córki krzyża, tenże cel i wspólne dzieła mające; powoływał obce i rywalki do podziału korzyści i praw, których monopol zostawić mógł swéj rodzinie. Ale chrześcjańskie współubieganie polega na mnożeniu a nie przeszkadzaniu współpracownikom; co najwięcéj ubiegać się mogą w poświęceniu i gorliwości, — a pod tym względem, Siostry Miłosierdzia nie mogły być zwyciężone.

Wartość posług oddanych Córkom krzyża, i użyteczność ich instytutu podnosi jeszcze ta uwaga, że Wincenty przeciwnym był z zasady mnożenia nowych Zgromadzeń. Wola tylko Boża i nadzieja uzasadniona znacznéj korzyści dla kościoła, mogły go skłonić do popierania nowych zakonów żeńskich, zresztą uważał za dostateczne, starać się o poprawę i dobry porządek już istniejących; — nad tém właśnie gorliwie pracował w radzie duchownéj.

VII. Jeśli opactwa posiadały prawo wyboru, zachowywał go, nie dopuszczając intryg niektórych zakonnic, które straciwszy nadzieję przełożeństwa drogą wyborów, chciały dostać się na nie przez wpływ swych rodzin i powagę króla. Toż samo czynił względem ksień, które wybrane na trzy lata wedle zwyczajów zakonnych, starały się o przedłużenie władzy powagą królewską. W takich razach opierał się wszelkiéj władzy, nawet pewnych biskupów, którzy woleli mieć przełożone dożywotnie, jak co trzy lata zmieniane. Potrzeba nawet reformy nie mogła go skłonić do przystania na tę zmianę bez dozwolenia Stolicy Apostolskiéj. Jeśli zawakowało jakie opactwo, na które król mianował, zaraz starano się o nie przez osoby mające wpływ, w imię posług oddanych krajowi, albo urodzenia tylko. Pierwsze natarcie spadało na Wincentego; ale ani szlachectwo, ani zasługi ojców, nie zastąpiły rozumie się, w jego

oczach, cnoty córek, które chciano stawić na czele klasztoru. Powziąwszy postanowienie, szedł prosto do celu; obalał, tłumił nadużycia, a po tém pokrywał wszystko swą cierpliwością i miłością.

Nadużycia te nie jednego były rodzaju. I tak, ksienie pod pozorem wieku albo choroby, przedstawiały na koadjutorki z prawem następstwa swe siostry, siostrzenice i inne krewne. Czułości te, rachuby ludzkie zawsze wykrył i zniweczył Wincenty, Opactwa takie, po śmierci przełożonéj, mogła zreformować druga, swobodnie wybrana, a koadjutorki idąc w ślady poprzedniczek, utrzymywały rozwolnienie i nieład. Toż samo było ze zrzeczeniem się przełożeństwa: interes rodziny i chciwość często się do tego mięszały: Wincenty nie pozwalał na to, aż po dokładném zbadaniu powodów. Jeźli, przeciw jego zdaniu, mianowano niezdolne na przełożone opactwa lub przeorstwa, wyjednywał chociaż, że przepędziły jakiś czas w klasztorze gorliwym, dla nabycia tam ducha powołania i potrzebnych do przełożeństwa przymiotów. Często w ten sposób wprowadzał jako pensjonarki do klasztorów Wizytek, których znał regularność, ksienie, albo zamianowane z prawem następstwa koadjutorki. Jeźli w jakim klasztorze było zamięszanie i rozdwojenie: wysyłał tam osoby cnotliwe i doświadczone, które władzą otrzymaną od króla, przywracały porządek i pokój; albo téż polecano biskupom i przełożonym czuwać nad wykonaniem reguły.

Nie wszystkie to jeszcze posługi, które Wincenty oddał kościołowi podczas rejencji Anny Austrjackiéj. Oprócz tego, że ukrócił bluźnierstwa i pojedynki, nałożył jeszcze hamulec na bezbożną i niemoralną prasę; powstrzymał zuchwałość żołnierzy niszczących kościoły, znieważających osoby poświęcone Bogu, a przez to ściągających niebłogosławieństwo Boże na królewską armję. Nie mogąc usunąć komedji, upoważnionéj przykładem, a popieranéj przez dwóch ministrów,

książąt kościoła, postarał się przynajmniéj o wzbronienie zbyt nieskromnych i gorszących przedstawień. Otrzymał wreszcie od królowéj, że jeden pobożny ksiądz z jego konferencji mógł odwiedzać więźniów stanu w Bastylji, zaniedbanych dotąd, i przez pogodzenie się z Bogiem usposobić ich do pojednania się i z królem.

Większy, zbawienniejszy jeszcze dla kościoła we Francji byłby wpływ Wincentego à Paulo przez te dwadzieścia lat, gdyby dano wolność działania gorliwości jego. Ale wkrótce ukryta opozycja między zamiarami jego a Mazariniego wybuchła i przeszła do czynów na radzie i w rządzie. Kiedy pierwszy szukał jedynie Boga i dobra religji, drugi myślał tylko o swéj ambicji i o polityce, któréj w potrzebie ustępować musiały nawet sprawy Boga i kościoła: dwie, jak widzimy, drogi, odległe od siebie jak niebo od ziemi.

II.

Święty Wincenty à Paulo w polityce.

I. Wincenty i Mazarini; opozycja religijna. — II. Opozycja polityczna; podróż do St. Germain. — III. Odwiedzenie domów Zgromadzenia. — Powrót do Paryża; powóz Wincentego. — V. Wincenty dyplomata. — VI. Prawdziwa polityka Wincentego.

I. Opozycja Wincentego przeciw polityce Richelieu'go i Mazariniego, długo była ukrytą; wstrzymywała go, tak wdzięczność, jak zasada jego nie mieszania się o ile możności do spraw królów i państwa. Nie na politycznéj też drodze spotkał się najprzód z Mazarinim, ale na religijnéj: w radzie duchownéj. W początkach zdawało się, że obydwa zgadzać się będą dla wspólnego dobra kościoła; ale wkrótce wielka zaszła różnica w ich widokach i postępowaniu. Mazarini przez swój tytuł kardynalski i rozdawanie beneficjów, zupełną objął władzę nad klerem, podobnie jak przez wpływ

polityczny już ją posiadał na inne stany królestwa. Przewidując i doświadczywszy już nawet silnego oporu w radzie, a szczególniéj od świętego Wincentego à Paulo, chętnie mu ulegał w małych rzeczach, ale co do ważniejszych, radził się tylko polityki. Nie tego chciała rada duchowna. To téż Mazarini obawiał się jéj, chociaż zewnętrznie okazywał szacunek; starał się o ile możności trzymać ją na uboczu, rzadko zwoływał, a szczególniéj strzegł się jéj przyznać publicznéj, legalnéj władzy. Potrzebował, dla utrzymania swego znaczenia politycznego, mieć w ręku kler, a nie mógł tego innym sposobem dopiąć, jak rozdając, dla pozyskania, dochody i dobra kościelne.

Symonja taka zniechęcała coraz bardziéj dobrych biskupów; przeciwstawili więc Wincentego à Paulo, który odtąd stał się jakby kanałem, przez który wszystkie skargi i zażalenia dochodziły do królowéj. Wincenty znów pobudził ojca de Gondi. Wkrótce przyłączyło się do tych dwóch ludzi w opozycji przeciw kardynałowi, mnóstwo osób obojga płci, wielu znakomitych urodzeniem, a wszystkich pobożnością, następnie zgromadzenia zakonne, prawie wszystkie kierowane albo odbierające natchnienie od przełożonego św. Łazarza.

Mazarini by przełamać ten opór, rozesłał wielu do swych djecezji, i sam zaczął rozporządzać beneficjami. W radzie duchownéj tylko już Wincenty à Paulo stawiał opór jego widokom; nie mógł go podobnież odsunąć. Z drugiéj znów strony, nie mogąc na takiego człowieka wpłynąć zwykłemi środkami, bo ani go zastraszyć, ani skusić mógł przez ambicję i chciwość, nie chcąc znowu otwarcie wystąpić przeciw temu, który miał za sobą u dworu i w duchowieństwie cały szereg panów i biskupów najznakomitszych, innego użył środka: zawiesił na jakiś czas posiedzenia rady, potém coraz rzadziéj zwoływał, a w końcu zupełnie zaprzestał. Szczęściem dla Kościoła we Francji, pobożna

Anna Austrjacka nie przestawała radzić się skrycie Wincentego à Paulo przynajmniéj w wyborze biskupów, co nie dopuściło zgubnéj polityce Mazariniego zawładnąć wyższém duchowieństwem.

II. Nadszedł jednak czas Frondy, i czysto religijna dotąd opozycja Wincentego à Paulo, przybrała i polityczny charakter. W styczniu 1649 r. Dwór przeniósł się do Saint-Germain, zostawując Paryż na łup głodu, wojny domowéj i niezgód. Wincenty w przeddzień wielkich nieszczęść, powziął zamiar ocalenia od nich kraju; chociaż potępiał rewolucję, uznał jednak, że niektóre zarzuty ludu i panów przeciw Mazariniemu były słuszne, i postanowił przedstawić je królowéj. Szlachetny ale niebezpieczny zamiar, bo narażał się na to, że w Saint-Germain mogli go uważać za stronnika Frondy, a w Paryżu za sprzyjającego Mazariniemu. Ale szło o Boga, o dobro tronu i ludu: więc nic nie zastraszyło wiary i miłości kapłana, wierności i poświęcenia poddanego i obywatela.

Wyszedł więc z Paryża rano 13 stycznia 1649 r. i przed nikim nie zwierzywszy się ze swych planów szedł po drodze do Saint-Germain. Cały Paryż był wtedy pod bronią, a rozstawione po przedmieściach czaty zmusiły go do obrania dłuższéj drogi. Jeszcze było ciemno, i zaraz w Clichy wzięto go za nieprzyjaciela; ale poznany przez swych dawnych parafjan, ze czcią przeprowadzony był dalej. W Neuilly nowe niebezpieczeństwo z powodu wylewu Sekwany; zdawszy się jednak na Opatrzność, odważnie i szczęśliwie dostał się na brzeg. O dziewiątéj rano już był w St. Germain. Długą zaraz konferencję odbył z królową, i użył całéj swéj pobożnéj wymowy, by ją skłonić do zaniechania zamierzonego oblężenia Paryża. Dodał nawet śmiało: „Jeśli obecność kardynała jest powodem zamięszania w kraju, nie jestże obowiązkiem poświęcić go, przynajmniéj na jakiś

czas?“ Ztamtąd udał się do samego Mazariniego i rzekł mu nawet: „Ustąp na jakiś czas eminencjo, i rzuć się w morze dla uspokojenia burzy. — A to ostra nagana, odpowiedział łagodnie Mazarini, nikt jeszcze nie ośmielił się powiedzieć mi tego; jednak, mój ojcze, pójdę, jeśli pan le Tellier jest tegoż zdania.“ Le Tellier, kreatura Mazariniego, naturalnie nie zgodził się na to, i postanowiono, że kardynał nie wyjedzie z królestwa.

Wincenty nie miał już nic do czynienia w St. Germain, gdzie wystąpienie jego uważano może za występek; i w rzeczy saméj, w pierwszéj chwili rozeszła się pogłoska, że wpadł w niełaskę. Ale nie było tak rzeczywiście, królowa, nie widząc go zapytała, gdzieby był. Le Tellier, którego nazajutrz zaraz prosił o paszport, przysłał mu podpisany przez samego króla. Młody monarcha dał mu nawet eskortę aż do Villepreux.

Nie chciał Wincenty powracać odrazu do Paryża, gdzie, pomimo że wystąpił jako stronnik prawie Frondy, niezawodnie, ponieważ mu się nie powiodło, uważanoby go za przyjaciela Mazariniego i rojalistę, to jest, nieprzyjaciela. W rzeczy saméj, nienawiść tych, których ambicji oparł się w radzie duchownéj, dziko naraz wybuchła. Dom św. Łazarza wydano na rabunek i spalono, a folwark Orsigny pod Wersalem, główne źródło utrzymania Zgromadzenia, zrabowali wałęsający się żołnierze królewscy. Procenta zalegały także, słowom, tak w naturze jak pieniądzach upadły środki utrzymania. Wincenty dowiedziawszy się o tém, poddał się woli Bożéj i nieustannie powtarzał: „Dziej się wola Boża! dziej się wola Boża!“ ale cierpiał myśląc o swych dzieciach i biednych. Odwołał prawie wszystkich księży z Paryża, a trochę zboża co pozostało u św. Łazarza, częścią sprzedano niżéj ceny, częścią rozdano wspaniałomyślnie. Cieszył się z tego Wincenty; wszystkie jego listy z téj epoki biednymi tylko się zajmują. Jego Missjo-

narze z podobnąż postępowali miłością, i rozdawali biednym nawet swe codzienne pożywienie; témbardziej nie oszczędzali na przyszłość.

Ich ojciec dawał im przykład. Było to zimą; bardzo wtedy ostra zima już dość cierpienia sprawiała siedmdziesiąt trzechletniemu starcowi, błądzącemu od wioski do wioski, bez schronienia i źle odzianemu. Ale nie przestał na zimnie, surowszą jeszcze naznaczał sobie pokutę: cierpiał głód, ale więcéj jeszcze łaknął zbawienia dusz tylu.

III. Z St. Germain udał się do O. de Gondi do Villepreux, a ztamtąd, korzystając ze sposobności, przedsięwziął wykonać dawny zamiar odwiedzenia wszystkich domów Zgromadzenia, i skierował się ku Etampes, do folwarku Fréneville w parafji Val-de-Puisseaux, własności Zgromadzenia. Zimno i śniegi wstrzymały go tam cały miesiąc; użył tego czasu na nauczanie biednego ludu. Choć sam odarty ze wszystkiego, udzielał jednak pomocy zniszczonéj przez wojsko okolicy; jednym wystarał się o pracę, innym o zboże do siewu, narzędzia rolnicze, ubiór, pieniądze; darował długi swym dzierżawcom, a chcąc oszczędzić wstydu żebraniny, kupił trochę gruntu od biednych wieśniaków, który dwa razy drożéj zapłacił. Wezwał do pomocy Siostry Miłosierdzia i przez dziesięć lat własnym je kosztem utrzymywał.

W końcu lutego udał się do Mans, gdzie stanął 2go marca, zdrów mimo złych dróg i trudności ówczesnych. Nie spodziewano się go, szczególniéj w téj porze roku, i synowie jego równie zdziwieni jak uszczęśliwieni przyjęli go jak anioła Bożego. Dziesięć albo dwanaście dni myślał tylko pozostać u nich; piętnaście musiał poświęcić, dla zaspokojenia tak synów swoich, jak miasta i okolicy.

Jak zwykle, pracował w Mans, a pokończywszy interesa puścił się w drogę do Angers, gdzie Siostry Miłosier-

dzia znaczny już miały zakład. O mało nie utopił się w drodze, a wyciągnięty z wody przez swego towarzysza, osuszył się u sąsiedniego biednego włościanina. Obydwom okazał swą wdzięczność: zbawił życie duszy temu, który go ocalił, a temu, który go przyjął na chwilę, wystarał się o zleczenie ciężkiéj ruptury. Przez pięć dni tylko bawił w Angers, a pokrzepiwszy w cnotach powołania Siostry Miłosierdzia, wedle zamiaru zwrócił się ku Bretanji. Raz jeszcze, cudem Opatrzności uniknąwszy śmierci przy przebywaniu rzeki, przybył do Rennes, gdzie musiał się ukrywać, ale poznany i wzięty za rojalistę, cudownie uniknął zasadzki jednego stronnika Frondy. Następnie piętnaście dni zabawił w St. Méen na wizycie domu i pracy duchownéj; daléj, przebywszy Nantes, dojechał do Luçon. Ztamtąd zamierzał udać się do Saintes, a przez prowincję Guyenne dotrzeć do Marsylji, chcąc ukończyć w ten sposób wizytę domów Zgromadzenia, skoro królowa przysłała mu rozkaz przybycia natychmiast do Paryża, gdzie właśnie król powrócił.

IV. Spełniając rozkaz, wyjechał zaraz do Richelieu, gdzie strudzony tak długą podróżą, rozchorował się. Ledwo wrócił do zdrowia, znów puścił się w drogę, i przybył do Paryża w koczyku, który mu przysłała księżna d'Aiguillon. Oto historja tego powozu: na kilka lat przedtém, panie należące do bractwa, widząc tak słabość jego, jak lichą szkapinę na któréj jeździł, lękały się, żeby mu się nie zdarzył ciężki jaki przypadek w codziennych po Paryżu wycieczkach; kupiły więc wygodny powóz, ale tak prosty i ubogi, iż zdawało się, że go przyjmie, mimo odrazy do wystawności. Pomimo tego, nigdy go nie używał, i powóz starzał się w wozowni. Otóż, ten sam powóz, trochę naprawiony, posłała do Richelieu księżna d'Aiguillon. Nie widząc, z powodu swéj słabości innego środka do powrotu, musiał go wziąść na drogę, ale zaledwo wrócił do Paryża,

z tysiącem podziękowań odesłał go księżnéj. Ta, cały znów ekwipaż odesłała do św. Łazarza. I wszczął się wtedy, między litością pani d'Aiguillon a pokorą *biednego wieśniaka* spór, ukończony dopiero za pośrednictwem królowéj i arcybiskupa. Wincenty zresztą potrafił i z tego mniemanego honoru znaleść powód do upokorzenia się; odtąd, nieszczęśliwy powóz zwał zawsze „swoją hańbą i wstydem.“ Do żadnego zresztą powozu nie możnaby właściwiéj zastosować nazwiska powozu *publicznego;* w rzeczy saméj, w domu i po za domem wszyscy się nim posługiwali. Żeby konie nie próżnowały, a więcéj jeszcze, żeby nie stały się zapokaźne, Wincenty jeźli nie wyjeżdżał, kazał je wprzęgać do pługa. Jeźli spotkał ubogiego po ulicach Paryża albo na wsi, zaraz go sadzał obok siebie; dopiero wtedy przebaczał sobie powóz, i miłość rozbrajała pokorę. Oto codzienny użytek téj sławnéj karety; ale pomijając te szczegółowe akty miłosierdzia, posłużyła głównie do dzieł użyteczności powszechnéj, bo pozwoliła Wincentemu à Paulo, w dziesięciu ostatnich latach jego życia, przedsięwziąść i dokonać najważniejszych spraw dla dobra kościoła i kraju.

Za powrotem do Paryża, złożywszy uszanowanie królowi i królowéj, starał się Wincenty naprawić część szkód zdziałanych przez żołnierzy w okolicach stolicy, począwszy od kościołów. Następnie, podniósł trochę interesa domu, który w bardzo smutnym znalazł stanie. Zasoby, pieniądze, dochody, wszystko wyczerpane, wszystkiego brak, a tu trzeba było utrzymywać rozpoczęte dzieła miłosierdzia, ubodzy nie mogli odwyknąć od drogi do św. Łazarza, jedynéj ich gospody w czasach nieszczęść publicznych. Zazwyczaj z rodzicielską czułością starał się, aby kapłani jego za powrotem z missji znaleźli pożywienie choć skromne, ale zdolne pokrzepić ich zwątlone siły, a teraz musiał im dawać chleb zrazu jęczmienny, a potém i owsiany. Ale przykład jego umartwienia nie dopuszczał pokusy szemrania; przykładem

jeszcze, uczył ich cierpieć więcéj z powodu nieszczęść ubogich, jak własnego. „Ah! biedni, powtarzał im bezustannie, biedni nie wiedzą gdzie się udać i co robić, tyle już cierpią, a liczba ich codzień wzrasta; to ciężar dla mnie i boleść!“

Ciężar codzień się wzmagający, boleść coraz większa, bo zamięszania z każdym dniem rosnące zwiększały nieszczęścia publiczne, a do wojny domowéj przybyła wojna zagraniczna.

V. Wtedy to w całém świetle okazała się rola polityczna Wincentego. Próżno powtarzać, że potępiał bunt, ale potępiał także, jak wiemy, politykę Mazariniego; osobliwie nie chciał, żeby kardynał był przyczyną i służył za pretekst do wojny i nieszczęść publicznych, a pokój zdawał mu się tanio okupiony kosztem jego usunięcia się z królestwa. Jeźli nie był stronnikiem Frondy, to mniéj jeszcze Mazariniego.

Opinje takie czyniły go naturalnie pośrednikiem wszystkich stronnictw. Jego wierność, poświęcenie dla sprawy królewskiéj, jednały mu zaufanie u dworu; a opozycja przeciw polityce Mazariniego i niezważanie na własną osobę, czyniły go niepodejrzanym książętom; Mazarini nawet nie mógł się gniewać i opierać człowiekowi, którego cnota i bezinteresowność nakazywały przynajmniéj szacunek, który mówił i działał zawsze z taką pokorą i względnością. Nie jego to było można oskarżać, że szukał w zamięszaniach publicznych interesu, ambicji lub fortuny; bo widocznie pragnął jedno dobra państwa i ludu.

To téż podczas pobytu w St. Denis, Wincenty biegał bezustannie od dworu do pałacu książąt, od pałacu książąt do dworu, dając tu i tam rady pełne mądrości i zgody, niosąc od jednych do drugich żądania albo ustępstwa, które mu powierzano. Mówił po szczególe do każdego z książąt,

przedstawiając powody zastosowane do charakteru, urodzenia i stanowiska ich u dworu. Tam znowu, chodził po kolei do królowéj i Mazariniego: téj przedstawiał, że tu idzie o nią, jéj syna i królestwo, którym poświęcić powinna swe przywiązanie do ministra, zdolnego może, ale którego osoba i polityka nieznośną była wszystkim stanom państwa; tamtemu pokazywał obowiązek poświęcenia się dla uśmierzenia burzy, ofiary zresztą, która jedynie, mówił, ocalić może jego głowę obecnie, i zapewnić w przyszłości fortunę. Słowem, tak z jednéj jak z drugiéj strony, opierał swą dyplomację już na ustępstwach królewskich, już obietnicach książąt, i na tém budował podstawę traktatu pokoju; tylko, że w jego intencji i ustach, ustępstwa i obietnice, wszystko było szczere, wszystko prawe.

Przerwano wkrótce układy. Mazarini ustąpił chwilowo z królestwa; cóż, kiedy z wygnania kierował jeszcze interesami, które zakończyć się miały jego trijumfalnym powrotem. Wincenty pomijając niewielką skłonność do Mazariniego i jego polityki, wiedział, z przyczyny wstępu, jaki jego znane miłosierdzie i cnota dawały mu wszędzie, że nienawiść ku Mazariniemu była wspólną wszystkim namiętnością, a wygnanie jego, jedynym punktem wyjścia do pogodzenia się z dworem; więc powrót jego, jedyną, niezwalczoną przeszkodą do powrotu króla do stolicy i władzy.

Napisał w téj myśli do kardynała 11 września 1652 długi list, w którym zarzuty, które samolubna jego ambicja mogła czynić, stanowczo są zbite dowodami historji i położeniem stronnictw w owym czasie; powody nakazujące tę ofiarę rozwinięte biegle; a żeby nie przywieść do rozpaczy nienasyconych jego pretensji, przedstawia tę ofiarę jako czasową tylko, a raczéj chwilowe ustępstwo dla zapewnienia mu długiéj przyszłości.

Nie wiemy, jakie wrażenie wywarł list ten na Mazarinim, a więc, o ile wpłynął na jego postanowienie. To

pewna, że dwór powrócił bez niego do Paryża; ale w kilka miesięcy potém już wrócił na swe stanowisko, potężniejszy niż kiedykolwiek. Nie śmiał okazać widocznie niechęci Wincentemu à Paulo, ani mścić się nad nim, jednak, szczególniéj od tegoż 1653 r. o ile mógł, usunął świętego kapłana od wpływu na radę królewską, rzadziéj ją zwoływał i w końcu zniósł zupełnie. Widział w Wincentym nieprzyjaciela politycznego. Co prawda, to polityka świętego, pomimo jego stanowczych opinji i usiłowań przeprowadzenia ich, głównie zależała na modlitwie i miłosierdziu.

VI. Wincenty, przeświadczony z wiary i głębokiego przekonania o solidarności chrześcjańskiéj, naprzód i bezustannie błagał Boga, by zmiękczył gniew swój i miłosiernie udzielić raczył pokój, na który nie chciały przystać ambicja i polityczne namiętności. U św. Łazarza, po wszystkich klasztorach, między osobami pobożnemi, utworzył święty spisek modlitw i dobrych czynów, który odważnie i z ufnością przeciwstawił spiskom stronnictw. Dla utrzymania swych synów w duchu modlitwy i pokuty, mówił im często o nieszczęściach publicznych, plagach wojen, które dotykały Francję i tyle narodów chrześcjańskich, a więc i o konieczności, by dusze pobożne modliły się, upokarzały przed Bogiem i pokutowały. Upadał potém na kolana z całém Zgromadzeniem, zaczynał litanję o Najświętszém Imieniu Jezus, a doszedłszy do wezwania: „Jezu, Boże pokoju“, dwakroć je powtarzał z pobożnością poruszającą serca i trafiającą do tronu Bożego.

Zjednoczenie to modłów i dobrych czynów nie ograniczył na samym Paryżu, ale starał się za pośrednictwem biskupów rozszerzyć je i po prowincjach. W interesie króla i ludu zachęcał biskupów do mieszkania po swych djecezjach, dla uśmierzenia stronnictw, wspierania nędzy i prze-

wodniczenia świętym błaganiom. Mnożąc stosunki w celu otrzymania pożądanego pokoju, i coraz wyżéj sięgając w hierarchji społecznéj i duchownéj, doszedł z prośbą o modlitwy aż do Ojca świętego.

Tak mówił, tak czynił przez cały czas wojny domowéj. Skoro wojna ta szczęśliwie została ukończoną w początku 1653 r., przedstawiano mu, że wypada odtąd umniejszyć umartwień i postów, które z tego powodu wprowadził. Ale wojna z Hiszpanją trwała jeszcze: „Nie, mówił, nie trzeba na tém przestać, umartwiajmy się jeszcze dla uproszenia ogólnego pokoju.“ I w rzeczy saméj, publiczne supplikacje, uczynki pokutne, trwały u św. Łazarza aż do pokoju pirenejskiego w 1660 r. Zdawało się, że czekał ze śmiercią na ten pokój tak usilnie pożądany, dla którego tyle pracował i tyle cierpiał; — i on także mógł zawołać z radością: „Teraz Panie, wypuść sługę Twego w pokoju!“

Ale modlitwa, umartwienie, starania polityczne, nie starczyły temu człowiekowi niezmiernéj miłości. Starając się o zakończenie tylu nieszczęść, trzeba było tymczasem o ile możności łagodzić je, a po zawarciu pokoju goić pozostałe rany. Wtedy to miłość jego rozwinęła się w całéj rozciągłości, bo przez ćwierć wieku był rzeczywiście widomą i czynną opatrznością, zbawcą Paryża i wielu obszernych prowincji.

III.

Ocalone prowincje.

I. Nieszczęścia Lotaryngji i miłosierny wpływ Wincentego à Paulo. — II. Zwiększone miłosierdzie Wincentego; Lotaryngja w Paryżu; szlachta lotaryngska i angielska; Stowarzyszenie Panów. — III. Starania o pokój; wojna i miłosierdzie. — IV. Brat Mateusz Renard. — V. Nieszczęścia Pikardji. — VI. Pierwsze wystąpienie Wincentego; pierwszy opis Missjonarzy. — VII. Pikardja i Szampanja (1651—1660). — VIII. Inne prowincje wsparte; suma ogólna jałmużn; panie św. Genowefy. — IX. Okolice Paryża; Etampes; urządzenie posług. — X. Przedmieścia paryzkie. — XI. Bezpośrednie działanie Wincentego.

I. Już w 1639 r., w ostatnim perjodzie trzydziestoletniéj wojny, Wincenty odbył niejako w Lotaryngji pierwszą swą kampanję miłosierdzia, i odrazu dokonał zadziwiających czynów, które mógł potém rozszerzać, mnożyć, ale nie przewyższyć. W téj epoce wszystkie klęski trapiły Lotaryngję. Zniszczona przez nieurodzaj, zdziesiątkowana przez morowe powietrze, na domiar spadła na nią długa wojna, wskutek intryg i niezdecydowania jéj książęcia Karola IV, i ambicji Richelieu'go. Wystawiona, przez swe położenie jeograficzne między Francją a cesarstwem, na chciwość i grabież dwóch wielkich państw walczących z sobą naówczas, spustoszoną została przez siedm korpusów armji, które potykały się tam w 1635 r. Ucierpiała szczególniéj od band luterskich najętych przez Francję. Puściwszy wodze zajadłości religijnéj i wszystkim namiętnościom, bandy te rabowały kościoły i klasztory, nie szanując ani naczyń kościelnych, ani dziewic poświęconych Bogu. Na jednéj chorągwi przedstawiono wizerunek kobiety rozrąbanéj napół i otoczonéj żołnierzami trzymającymi miecze i pochodnie, a wokoło czytano napis: *Lotharingia;* wierny rzeczywiście obraz nieszczęśliwego kraju! Francuzi, choć zdaleka, wstępowali w ślady band luterskich, a wojska Karola IV współubiegały się w rozbojach. Lotaryngczycy nawet, wypędzeni

ze swych siedzib, straciwszy wszystko, zdobywali zamki i żyli z kradzieży i rabunku. Głód był niezmierny, bo ani zasiewu ani zbioru po polach zniszczonych przez żołnierzy; pozostałe w prowincji zboże zabrano dla wojska żyjącego z łupów, jakby w zdobytym kraju; ludność coraz się zmniejszała. To też ówczesni historycy nie wahają się przyrównywać tego stanu do wojen żydowskich i zdobycia Jerozolimy. Porównywając te dwie wielkie klęski, żadnegoby nie zbrakło podobieństwa: ani żywienia się ciałem ludzkiém, ani matek pożerających swe dzieci, ale w saméj tylko Lotaryngji może znalazłby matki, jedzące wspólnie i po kolei owoc ich żywota, młode dziewczyny zabijające nowonarodzone dzieci, żeby się żywić ich ciałem, a szczególniéj kobietę, zabijającą i jedzącą własną swą matkę. W późniejszych latach, ludność coraz bardziéj się zmniejsza, głód coraz większy, śmiertelność liczniejsza; Nancy nawet zmieniłoby się w pustynię, gdyby nie chroniący się tam mieszkańcy wsi. Wyrobnicy wychodzili za granice szukać roboty i chleba, wszystkie klasy społeczeństwa równą cierpiały nędzę, szlachta zarówno z włościanami; księża, sprzedawszy na chleb dla siebie i parafjan święte naczynia kościelne, opuszczali swe miejsca i błąkali się po polach. Zakonnice, nie chcąc przełamać klauzury, o mało nie pomarły z głodu, a dzwon wzywający o jałmużnę, przez całe miesiące się odzywał.

Wpośród wojsk, zarazy i głodu, zbrodni i nieszczęść, umarłych i umierających rzucił się ze swą miłością Wincenty à Paulo. Zuchwałe wmięszanie się, podczas gdy siła i prawo, wojska i układy, równie były niezdolne do położenia końca złemu. Zkąd wreszcie środki na tę pokojową walkę? Francja wyniszczona na utrzymanie pięciu armji już nic nie miała dla nieszczęśliwych, bo roztropność nakazywała zachować na przyszłość to, czego nie zużyła teraźniejszość.

Wincenty jednak rozpoczął walkę z równą jak Richelieu odwagą, a większém zaufaniem w wygranę. Jak zawsze, zwrócił się naprzód do pań swego bractwa, pobudził ich litość rozczulającym opisem nieszczęść, które chciał zleczyć. Natchnąwszy je swym duchem, pchnął na wyszukanie skarbów miłosierdzia, a sam udał się do księżnéj d'Aiguillon, zwykłéj swéj kasjerki, do Anny Austrjackiéj, któréj radził zapomnieć o jéj godności królowéj, a pamiętać jedno o obowiązku chrześcjanki, do króla nawet, którego błagał o zleczenie ran otwartych przez jego politykę. Sam téż dał przykład miłosierdzia. Od czasu oblężenia Korbji w 1636 r. umniejszył swym dzieciom o jednę potrawę, która nie wróciła już nigdy, ale w czasie nieszczęść Lotaryngji na czarnym tylko chlebie poprzestali. Prawdziwe miłosierdzie chrześcjańskie, ofiarą własną przysparzające jałmużny!

Zgromadziwszy w ten sposób zasoby, zdołał Wincenty ocalić życie, a często i honor mieszkańcom dwudziestu pięciu miast i niezliczonéj liczbie miasteczek i wsi, do ostatniéj przywiedzionych rozpaczy. Zebrał chorych rozrzuconych po lasach lub leżących na publicznych placach, wystarał się o lekarstwa i pomoc; żywił mnóstwo zgłodniałych; okrył nagość nietylko biednego ludu, ale szlachty, duchowieństwa, zakonników i zakonnic w podobnéj znajdujących się nędzy. Wszystko to uczynił z ładem i oszczędnością, którą wszędzie wprowadzić umiał: rozdający jałmużnę mieli instrukcje, a zachowując je, osięgli pomyślny skutek; chroniąc skarb jałmużny, starczył na najgwałtowniejsze potrzeby; nie obrażał przez to władz duchownych i świeckich, nie dopuszczał szemrania i dopominań biednych, których cierpienie pobudza często do gniewu i niesprawiedliwości; w ten sposób wreszcie mógł usprawiedliwić się z powierzonych zasobów i uzyskać nowe, pokazując, ile zagojono cierpień, a ile pozostało do zleczenia.

Urządziwszy to wszystko, rozesłał dwunastu Missjonarzy gorliwych i zdolnych, po różnych punktach Lotaryngji, dodał im kilku braciszków, tak, że jedni rozdawali jałmużnę, drudzy znając się na medycynie i chirurgji, a opatrzeni w lekarstwa, opiekowali się chorymi. Razem lub pokolei obiegali miasta i okolice Toul, Metz, Verdun i Nancy. Świadectwa, które przez wdzięczność kapłani i urzęda posyłały Wincentemu, zachowały nam rozczulające opisy miłosierdzia, które wykonywali około ciała i duszy mieszkańców. Liczniejsze jeszcze byłyby te dowody, gdyby Wincenty przez pokorę nie oparł się był z początku ich ogłaszaniu; późniéj przedstawiono mu, że zamilczając, obudziłby szemrania i podejrzenia co do zużytkowanych jałmużn, a szczególniéj, że dowody tego rodzaju, w których nędza opisana obok pomocy, nie tyle były nagrodą za oddane posługi, ile zachętą do liczniejszych jeszcze darów. Pokora wtedy ustąpiła przed słusznością i miłosierdziem, a tym sposobem dowiedzieli się choć w części ludzie o tém, co chciał, żeby było samemu Bogu wiadomém.

II. Oto pierwsza kampanja miłosierdzia podjęta przez świętego Wincentego w Lotaryngji. Tak bardzo zubożył swój dom i worki pań, że ze smutkiem czekać musiał końca 1639 r., zanim rozszerzył pomoc na Bar-le-Duc, a w kilka dopiero miesięcy potém na Saint-Mihiel i Pont-a-Mousson.

W Bar, jeden z dwóch posłanych tam Missjonarzy German de Montevit umarł w 28 latach, męczennikiem miłości; ale ani śmierć synów, ani coraz zwiększające się wydatki nie zniechęciły Wincentego i w połowie 1640 r. wysłał znów Missjonarzy do Pont-a-Mousson i Saint-Mihiel. Dobrzy ci kapłani, ztamtąd, jakby ze środkowego punktu, rozbiegali się na wsze strony, roznosząc pomoc po wsiach,— pomoc na duchowe jak i fizyczne cierpienia. Nie przestając na missjach w miastach, spełniali duchowne posługi po

licznych parafjach pozbawionych pasterzy, a gdzie nie mogli sami, wyszukiwali za odpowiednią opłatą zastępców.

Przebiegłszy w ten sposób kraj, przesyłali Wincentemu przerażające opisy nędzy, któréj byli świadkami. Opisy te zdawały się nie do uwierzenia nawet świętemu kapłanowi; a jeśli ufność jaką miał w swych Missjonarzach, zmuszała go do wierzenia, zastanawiał się, jak zaradzić tylu potrzebom. Żeby więc zbadać rozciągłość złego, i zdać sprawę z użycia posłanych zasobów, jakotéż wejrzeć w porządek dopełnianych posług duchownych i spieszniejsze urządzenie pomocy, któréj opóźnienie mogłoby kosztować życie tylu nieszczęśliwych, wysłał w 1640 r. jednego z najstarszych księży Zgromadzenia, polecając mu odwiedzić na miejscu wszystkich Missjonarzy w Lotaryngji i zdać mu raport z ich prac i prawdziwego położenia kraju.

W kilka tygodni wizytator ten przesłał mu rozpaczliwy raport: żebraków bez liku; szlachta umiera z głodu, a woli umrzeć jak żebrać; ubodzy karmią się najobrzydliwszemi rzeczami; młode dziewice kładą na szalę chleb i cnotę, — i chleb niekiedy przeważa; kapłani za kawałek chleba zaprzęgają się do pługa; ale z drugiéj strony, dziwy nawróceń i cnoty pod ciężarem nieszczęścia, które zdało się być narzędziem miłosierdzia, więcéj jeszcze jak gniewu Bożego. Co najwięcéj dziwiło wizytatora, jak Missjonarze starczyć mogą na tyle jałmużn; i by to wytłumaczyć, uciec się musiał do błogosławieństwa Bożego, i przypomnienia manny na puszczy i rozmnożenia chleba,— cudów, wznowionych bezwątpienia na modlitwę świętego kapłana.

Przeczytawszy to sprawozdanie, Wincenty postanowił prowadzić daléj rozpoczęte dzieło, a nawet rozszerzyć je do innych miast i wsi Lotaryngji, któréj, w ówczesném położeniu Francji, jedynym był karmicielem i zbawcą. W miłosierdziu swém nie poprzestał na szukaniu nieszczęśliwych Lotaryngczyków w ich kraju, wielką ich liczbę ściągnął do

Paryża. Sprowadził szczególniéj mnóstwo młodych dziewic, których cnota zarówno wystawioną była na] pokusy głodu, jak brutalstwo rozpasanych żołnierzy; a także wielu młodych chłopców, tak sierót, jak należących do zniszczonych rodzin, w każdym razie, na pewną śmierć skazanych. Wziął do siebie młodych chłopców, a dziewice powierzył pannie Le Gras. Jednych i drugich wychowywano, dopóki nie mogli zarobić na życie.

Wkrótce wyemigrowała cała prawie Lotaryngja. Widziano tych biednych ludzi gromadzących się w karawany, przebywających nieprzyjacielskie armje i przychodzących szukać przytułku do Paryża i innych miast królestwa. A nie był to czyn chwilowéj rozpaczy, — opuszczenie to kraju, długie trwało lata. Missjonarze niezdolni wstrzymać tych nieszczęśliwych przez dostateczną pomoc, sprzyjali temu; i czy to wskazywali im adres ich ojca, czy inni go dawali, albo też dostatecznie był znany z powodu powszechnego miłosierdzia, słowem, wszyscy zbiegali się do św. Łazarza, gdzie otrzymywali chleb codzienny, dawano im schronienie, ubiór, dopóki nie mogli powrócić do kraju albo zarobić na życie. A że wielu z nich oddawna nie uczęszczało do Sakramentów świętych, zarządził Wincenty dwie missje, które pobudziły publiczną litość równie jak ich pobożność, i nietylko pożywienie dla duszy, ale i chleb materjalny im dały.

Raz, całe zgromadzenie Benedyktynek z Saint-Mihiel, odbyło za staraniem Wincentego rekollekcje, które dały początek wzniosłéj instytucji Pań Najświętszego Sakramentu, dotąd istniejących w Paryżu. W tymże prawie czasie zaopatrywać musiał potrzeby znacznéj liczby szlachty lotaryngskiéj, która przybyła szukać schronienia w stolicy. Biedna ta szlachta wydawszy aż do ostatniego szeląga, zamknęła się dumnie w swéj nędzy, gotowa wszystko raczéj cierpieć, jak uczynić poniżające wyznanie. Wincenty zawiadomiony o téj nędzy, rzekł ze wzruszeniem: „Tak, należy się we-

sprzeć tę biedną szlachtę, by uczcić Chrystusa Pana, który był zarazem i bardzo szlachetnego rodu, i bardzo ubogi.“ I zaraz, żeby nie umniejszyć pomocy rozpoczętym dziełom, powziął zamiar stowarzyszenia panów, którzyby mieli za obowiązek religijny i punkt honoru, wspierać zarazem członki Chrystusa Pana i członki ich stanu, — ludzi, z którymi podwójne łączyło ich braterstwo: wiary i herbu.

Zebrał więc naprzód siedmiu albo ośmiu, a między nimi barona de Renty, jednego z najgodniejszych swych współpracowników, z liczby tych znakomitych chrześcjan, jakich wielu znajdzie w pierwszéj połowie XVII wieku, współubiegających się gorliwością z temi podziwienia godnemi kobietami, tak licznemi wtedy. Stowarzyszenie zaraz się utworzyło, i dawało co miesiąc składki, dla przyjścia z pomocą wykrytéj nędzy; a to przez ciąg dwudziestu lat trwania stowarzyszenia Panów, godnéj pary bractwa Pań i na jego wzór utworzonego; jeszcze jedno wielkie dzieło Wincentego, które przyniosło niezmierne zasoby, wstrzymało mnóstwo nadużyć, jak pojedynków i bluźnierstw, a wreszcie przysporzyło niezliczone korzyści dla wiary i nieszczęśliwych.

Stowarzyszenie to opiekowało się szlachtą lotaryngską przez ośm lat blizko, a z jakże delikatną miłością! jałmużna osobiście przez panów rozdawana, była sprawą szlachcica z szlachcicem, chrześcjanina z chrześcjaninem. Po zakończeniu wojny, miłosierdzie Wincentego towarzyszyło jeszcze szlachetnym lotaryngczykom w drodze i aż do powrotu do kraju.

W tymże czasie, — bo wszystkie prawie dzieła tego człowieka razem powstały, — zajął się także z baronem de Renty nowém stowarzyszeniem, mającém na celu wsparcie mężczyzn, których prześladowanie religijne i polityczne wygnało wtedy z Anglji, Szkocji i Irlandji. Trwało to aż

do 1660 r., w którym przywrócenie Stuartów pozwoliło katolikom angielskim powrócić do ojczyzny.

Toż co dla panów, uczynił Wincenty dla ludu, a szczególniéj księży irlandzkich. Miewał także do nich konferencje, dla oświecenia ich w rzeczach powołania i następnie wystarał się o jakie zajęcie duchowne.

Tak worek jak serce jego, miało udział w tych miłosiernych uczynkach. Nie raz, gdy zabrakło na miesięczne wydatki, wyczerpnął kasę św. Łazarza, nie troszcząc się o jutro, a zdając się z całą ufnością na opatrzność Boską.

III. Cierpiał jednak nasz święty: nie o siebie, ani nawet o swoich, których natchnął swą namiętnością oddania wszystkiego dla nieszczęśliwych; ale cierpiał, że imię Boże było znieważane tylą świętokractw i profanacji, że tyle prowincji zniszczyła wojna, głód i zaraza, że miljony niewinnych, płaciło majątkiem i życiem rachubę nieludzkiéj polityki. Idzie więc do Richelieu'go, i ze śmiałością, którą miłość tylko natchnąć umie, a za którą kardynał,— oddajmy mu sprawiedliwość, — nie rozgniewał się, rzuca mu się do nóg, i woła głosem przerywanym łzami: „Pokój! mości książę, pokój!“ Richelieu. sam wzruszony, najpiękniejsze dał obietnice, ale pokój którego niedopuszczała ambicja i polityka, dopiero w dwadzieścia lat późniéj nastąpił!

Wincenty nie był przecież stronnikiem pokoju za jaką bądź cenę: gdzie interes Francji zgadzał się z religją i sprawiedliwością, umiał zachęcać do wojny. Widzieliśmy jego usiłowania w celu otrzymania wyprawy do Berberji. Także w imię wygnańców angielskich i Papieża starał się o zwrócenie przeciw protestanckiéj i rewolucyjnéj Anglji, broni francuzkiéj, skierowanéj wtedy przeciw katolickiéj Austrji. Było to prawdziwą polityką francuzką, bo z Anglji przyjść miała rewolucja do Francji; Anglja groźniejszą miała zostać rywalką jak cesarstwo. Ale Richelieu, miasto chwycić

się tego zamiaru, wolał wieść dalej wojnę przeciw Lotaryngji i domowi austrjackiemu; Wincenty więc nie poprzestał także modlić się, umartwiać i czynić dobrze. W tym nowym perjodzie, rozszerzając swe miłosierdzie na wszystkie prawie miasta Lotaryngji, szczególniéj się zajął zgromadzeniami zakonnemi obojga płci zniszczonemi przez wojnę, a którym brakowało nie tylko chleba, ale odzieży nawet.

Kto zliczy, do jakiéj sumy doszły wszystkie te jałmużny przez lat tyle? Brat Mateusz, zwykły ich roznosiciel, ocenia je w jedném sprawozdaniu na 1,600.000 liwrów! A uważmy, że w téj i tak ogromnéj sumie, nie objęte ani sprzęty, ani materje, kielichy i inne kościelne przedmioty. Dodawszy te jałmużny w naturze, przynajmniéj na dwa miljony liczyć można wszystko, to jest 6,000.000 przeszło franków dzisiejszéj monety, a to w czasie, w którym i najbogatsi byli zubożeni, Dwór nawet nie miał pieniędzy. Cenniejsza jeszcze była pomoc dana w Paryżu, bądź młodym dziewicom i zakonom które tam sprowadzono, bądź szukającemu przytułku ludowi i biednéj szlachcie, pomoc, którą trzebaby dodać do liczby dwóch miljonów, by ocenić, co miłość Wincentego à Paulo uczyniła dla téj nieszczęśliwéj prowincji.

IV. Nie możemy téż pominąć milczeniem tych, którzy byli jego narzędziami, a szczególniéj owego brata Mateusza Renard, któremu zawdzięczamy zresztą najrzewniejsze z dopiero co opisanych wspomnień. Ileż to poselstw, patetycznie opisanych w historji, mniejszą mają zasługę przed Bogiem, na mniejszą téż pochwałę zasługują przed ludźmi, jak to nieznane poselstwo i ten pokorny poseł, którego każdy krok, każdy świątobliwy podstęp zmierzał jedynie ku ulżeniu cierpienia!

W czasie, w którym żołnierze, złodzieje i rozbójnicy bezustannie przebiegali po kraju, ani życie ani worek podróżującego po Lotaryngji nie mógł być bezpiecznym. Każ-

dego co niósł pieniądze, obdzierano bez skrupułu, jeźli nie zamordowano bez miłosierdzia. Kroaci szczególniéj rozstawieni po fortecach, zaczajali się i wypadali na podróżnego przebywającego równinę, czy to był przyjaciel czy nieprzyjaciel, ale ze szczególną dzikością obchodzili się z bogatszymi podróżnemi. A tu brat Mateusz niósł zawsze najmniéj 20.000 liwrów jałmużny, często 10 albo 11.000 talarów w złocie, a raz nawet 50.000 liwrów! I z tak bogatym łupem, wśród tylu niebezpieczeństw, pięćdziesiąt cztery razy odbywając tę drogę, nie stracił nigdy ani włoska na głowie, ani szeląga pieniędzy. Cudowny trijumf zręczności i rozumu, bezwątpienia, ale widoczniejsza jeszcze opieka Opatrzności!

Gdy wracał do Paryża, królowa często wzywała go do siebie i lubiła słuchać opisu jego wypadków i tysięcy podstępów których używał przy spotkaniu, zmieniając je bezustannie, skoro zwiedzieli się o nich rozbójnicy. Winszowano mu zdolności i szczęścia; — ale on pomyślność tę przypisywał wierze i miłosierdziu, modlitwom i umartwieniu św. Wincentego à Paulo. Tak czynili Missjonarze, kiedy chcieli wytłumaczyć przed drugimi i samymi sobą, szczęśliwy skutek ich słów i jałmużn; — to Wincenty, mówili, a raczéj duch Boży mówił przez ich usta i kazaniom ich takiéj udzielał mocy; błogosławieństwo to, które im dał na wychodném, mnożyło jałmużny w stosunku do takiéj nędzy: bo jałmużny te, jakkolwiek niezmierne, rozdzielone między niezliczoną liczbę potrzebujących, niczem by były, — a jednak starczyły na zaspokojenie najnaglejszych potrzeb.

V. Nie ustały jeszcze jałmużny rozdzielane między biednych Lotaryngczyków w Paryżu i ich ojczyźnie, skoro Pikardja, Szampanja i inne okolice zniszczone wojną i plagami które za nią idą, obszerniejsze jeszcze pole otwarły miłosierdziu Wincentego. Co najwięcéj dziwi, raz jeszcze powtarzamy, to że wszystkie dzieła tego człowieka były je-

dnoczesne, dzieła, które po kolei nawet dopełniane, jużby były ciągiem cudów; podjęte jednocześnie, tworzą ciężar, który miłość tylko i wiara do najwyższéj wyniesione potęgi, mogły podjąć i utrzymać.

Dopiero w 1650 r. posłał Wincenty do Pikardji pierwszą pomoc i pierwszych swych ajentów. Ale od piętnastu już lat, prowincja ta i okoliczne wystawione były na łup nieszczęść, których opisowi dzisiaj trudnoby uwierzyć, gdyby nie świadczyły o nich najautentyczniejsze dokumenta.

Ze wszystkich okolic, których straszne zniszczenie opisujemy, najnieszczęśliwsze były miasta i okolice Laon i Soissons. W skutek ich położenia jeograficznego, miejsca te, przez dwadzieścia lat przeszło, były bądź to zbornym punktem wojsk francuzkich, bądź celem napadów nieprzyjacielskich armji, a zawsze jakby wielkim gościńcem korpusów, choć różnych pochodzeniem, ale zarówno niekarnych, które opierały się o te pograniczne kraje. Regularnie co rok powtarzały się wzajemne napady, miasta brane szturmem i odbierane, a zwycięztwo albo przegrana zarówno były zgubne dla nieszczęśliwych okolic. Czego nie zniszczył nieprzyjaciel, to znów francuz czyhający tam na sposobność zaczepnego działania, zabierał, a nawet niedopuszczał uprawy roli. Po pokoju Westfalskim, pokoju z cesarstwem, zanim wybuchła domowa wojna, pierwsze śledztwo policzyło rany i zbadało straty. Jakież to rany i straty! Morderstwa, gwałty niezliczone, zamki, kościoły i opactwa zburzone, konie i bydło zabrane, płody pożęte albo raczéj zniszczone przez nieprzyjaciela, wsie opuszczone, bo ludność uciekła, morowa zaraza dziesiątkuje ją po lasach i lepiankach, a szczególniéj wyludnia miasta.

Równie nielitościwi jak Hiszpanie i zaraza, Francuzi bez żołdu, żywności, odzieży, a szczególniéj bez karności, żyli tam, jakby w kraju zdobytym. Rabowali zboże i bydło, których nie zabrał nieprzyjaciel, podobnež popełniali okru-

cieństwa, chwytali resztę pozostałych po wsiach wieśniaków zmuszając ich do posług i pracy w obozie, i wyludniając w ten sposób kraj, dopełniali jego zniszczenia. Z drugiéj znów strony, obecność wojska, wstrzymała zupełnie bieg sprawiedliwości; występki spełniano bezkarnie; rozboje panowały wszędzie: prawdziwy trijumf stanu dzikości.

Luterskie bandy barona Erlach na żołdzie Francji, przewyższyły wszystkie te okrucieństwa. Barbarzyństwo, bez względu na znaczenie, płeć, stanowisko, kapłaństwo, zrównało wszystkie głowy. Znakomita pani i jéj córka, znieważane wspólnie z wieśniaczką i pasterką; kobiety wszystkich stanów spędzane do obozu i wydane na brutalstwo żołdactwa, a tego kto je chciał bronić, wieszano bezzwłocznie. Przywilej, — bo istniał jeszcze, — ale przywilej haniebniejszego i okrutniejszego postępowania, zachowano dla kościołów i duchownych: kościołom rabunek i płomienie, — dla księży shańbienie i niepojęte okrucieństwa.

Nie oszczędzano i wieśniaków; równie jak szlachcic i ksiądz, i oni tracili mienie i życie. Zmuszeni do wydania zboża i bydła, wypędzeni z wiosek spalonych, chronią się do kościołów pod opiekę Boga. Żołnierze zarzynają ich tam, gwałcą kobiety na ołtarzu nawet, a jeźli stawiają opór, duszą dymem jak dzikie zwierzęta po kniejach. Jeźli, żeby uniknąć spalenia rzucają się do drzwi albo skaczą przez okna, padają na podstawione piki żołnierzy.

Wojsko niemieckie więcéj jeszcze nagromadziło ruin jak hiszpańskie; czterdzieści przeszło wsi spaliło i wymordowało znaczną część ludności. To téż wyludnienie straszne poczyniło postępy; — wyprowadzone śledztwo dowiodło umniejszenia o dwie trzecie ludności, — dwie trzecie także ziemi leżało odłogiem, połowa kościołów i wsi spalone i niezamieszkałe.

Po Niemcach, Anglicy rywalizując z poprzednikami, rabują także, palą, gwałcą, zabijają. Co miała czynić reszta

ludności? Z czego żyli nieszczęśliwi w pośród zniszczonego i nieuprawnego kraju przed przybyciem synów Wincentego à Paulo? Tego nie wiemy. Widziano ich jednak włóczących się gromadą po żebraninie z proboszczem na czele, siejąc trupami po drodze; bo kler, zniszczony przez nieprzyjaciela, rozdał resztę pozostałości ubogim.

Ktoby uwierzył? to dopiero początek cierpień dla tych nieszczęśliwych prowincji, a sam rok 1650 więcéj okropności przyniósł, jak piętnaście poprzednich. Szczęściem, miłosierna Opatrzność ześle im w tym właśnie roku, aniołów pociechy i poświęcenia.

VI. W 1650 r. właśnie, Wincenty wysłał dwóch Missjonarzy na pomoc rannym i chorym żołnierzom, który po oswobodzeniu oblężonego miasta Guise, umierali rozrzuceni po okolicy bez opieki tak dla ciała jak duszy. Dwaj ci księża wzięli około 500 liwrów i konia obładowanego żywnością. Przybywszy na miejsce i rzutem oka zmierzywszy rozległość nędzy, poznali od razu, że małe ich zasoby niczem są w porównaniu do potrzeb; bo nie kilku żołnierzy, ale prowincje całe trzeba było ratować. Odnieśli się z tém do Wincentego. Raz jeszcze Opatrzność, w miejsce szczupłych rozmiarów dzieła, które święty kapłan zamierzył, stawiła olbrzymie zadanie. Nie zawahał się przecież, pomimo braku zasobów w Paryżu, trapionym już wojną domową, mimo, że wydał co miał na pomoc Lotaryngji i podrzuconych dzieci, mimo zagranicznych missji, które utrzymywać wtedy musiał.

Przedstawił więc paniom bractwa nowy ten ciężar, — i te niewiasty mężne przyjęły. Żeby je nie przeciążać, starał się by i inni podjęli go razem. Na prośbę jego, arcybiskup paryzki wydał list pasterski wzywający o pomoc dla Pikardji i Szampanji. Wincenty też wydrukować kazał wyjątki z pisma św. i ojców zalecające jałmużnę, do których dodał *instrukcją*

dla wsparcia ubogich. Ale najskuteczniejszym środkiem było ogłoszenie listów Missjonarzy; czytający, znalazł tam obraz nędzy, o jakiej i najbujniejsza wyobraźnia zamarzyć by nawet nie mogła. Pierwszy ten opis wyszedł we wrześniu 1650 r. Wincenty rozrzucił go po Paryżu a nawet po prowincjach, i znaczną przez to zebrał sumę, bo też w prostym i malowniczym stylu stawiał przed oczy cierpienia, które i najzimniejszych do litości pobudzały.

Tak pomyślny skutek zachęcił Wincentego, — w następnych miesiącach nowe wyszły opisy, listy Missjonarzy, biednych proboszczów, radców miejskich, pisane ze łzami wdzięczności, a usilną modłą o zmiłowanie. Powstał odtąd jakby dziennik miesięczny: roczniki nędzy i miłosierdzia, którego dowolna prenumerata niezliczone sumy przyniosła. Wydawnictwo to trwało mniéj więcéj regularnie przez pięć lat blizko. Wkrótce, do opisów pogranicza Pikardji i Szampanji dodać musiano Paryż i okolice, równie zniszczone w skutek domowéj wojny.

Uważmy przedewszystkiem, że Wincenty à Paulo nie ograniczył się do roli pośrednika i zbieracza jałmużn; nie poprzestał nawet na wysłaniu, dla wsparcia tych prowincji, swych Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, ale skazał swój dom w tym szczególniéj czasie, na najtwardsze próby, wydał dla ubogich wszystko co pozostało w kasie św. Łazarza, i oddał na ich wsparcie wszystkie sumy dane dla jego Zgromadzenia.

Ponieważ nagliła potrzeba, a godzina spóźnienia mogłaby kosztować życie wielu nieszczęśliwych, Wincenty, jak tylko otrzymał pierwsze listy Missjonarzy, nie czekał na skutek swych starań, ale z czém tylko mógł zebrać, wysłał różnemi czasy szesnastu swych księży, którzy rozbiegli się po okolicach Vermandois i Thiérache, znacznéj części prowincji Soissońskiéj, Remeńskiéj i Laonneńskiéj, — stronach najnieszczęśliwszych. Wkrótce potém wysłał kilka Sióstr Miłosierdzia, jedynie zdolnych zleczyć tyle ran, nędzy tyle osłodzić.

Wkrótce po przybyciu, posłały mu z różnych swych stanowisk opisy pełne strasznych szczegółów i przerażającéj jednostajności, ale już zbawiły życie dwu tysiącom przeszło osób. A przecież z początku ograniczyć się musiały do pielęgnowania tylko licznych chorych; wypadało więc zbierać, mnożyć jałmużny, by rozszerzyć miłosierną pomoc.

Wezwanie nie minęło bez skutku, i w następnym miesiącu Missjonarze lepsze już podać mogli wiadomości. Ale w miarę zwiększających się jałmużn, wynoszących przeszło 6.000 liwrów na miesiąc, rosła także, w porze deszczów i zimna, liczba chorych, bez dachu i pokrycia, wystawionych na zmiany powietrza. Umarli i umierający leżeli wspólnie, ale najbardziéj trapiło tych dobrych księży, że nieszczęśliwym brakło wszelkiéj pomocy duchownéj. Ani kościołów, ani pasterzy! Biedni Missjonarze zastępowali ich jak mogli, ale to praca niezmierna. Ciągle w drodze, narażeni na napad włóczęgów, biegać musieli do tysięcy chorych rozrzuconych po różnych miejscach, — bo podobnie jak wojsko rozstawione po różnych punktach tego nieszczęśliwego kraju, siało wszędzie rabunek i śmierć, tak Missjonarze rozdzieliwszy kraj na różne stanowiska, roznosili pokarm i życie. Wincenty powtarzając te smutne opisy, podwajał miłosierne nalegania o nowe ofiary. Do głosu jego księży przyłączyły się urzędowe sprawozdania stwierdzające toż samo. W rzeczy saméj, nie przesadzali Missjonarze nawet dla pobudzenia publicznéj litości, a tym mniéj, pokorni synowie Wincentego à Paulo, zachwalać chcieli swe posługi mówiąc, że nieszczęśliwi im winni swe życie. Wszystkie dokumenta świadczą, że duchowieństwo i szlachta podobnie jak biedny lud, zarówno zniszczeni, za całą pomoc mieli tylko miłosierdzie św. Wincentego i jego księży.

VII. W następnych latach toż samo. Do Pikardji przydano w 1651 r. Szampanją, która niemniéj ucierpiała

od wojsk Turenjusza i Hiszpanów. Posłano Missjonarzy i pomoc do Reims, Rethel, Sainte-Menehould, Chalons-sur-Marne, Neufchâtel i przyległych wiosek, nie opuszczając stanowisk w Pikardji. Tam to, na obszerną skalę rozwinęli dzieło chrześcijańskich pogrzebów, do których Missjonarze zabrali się z pobożną gorliwością, godną pochwał które Pismo św. przyznaje Tobjaszowi. Na polu bitwy w Rethel szczególniéj, 2.000 trupów przez dwa miesiące leżało bez pogrzebu na pastwę psom i wilkom. Niekształtna ta i obrzydła masa, którą zwierzęta nawet wzgardziły, zapowietrzała całą okolicę, — Missjonarz Deschamps pogrześć ją kazał.

Ale jakież wydatki! dochodziły już do 3.000 liwrów na tydzień, a wkrótce urosły do szesnastu i 20.000 liwrów na miesiąc w dwoch prowincjach, nie licząc sprzętów i ubiorów rozesłanych dla kościołów i ubogich; nie licząc także 20.000 liwrów na zboże do siewu, — wyborne dzieło miłosierdzia, którém się zajęto wtedy. Oprócz niezliczonych chorych i biednych, Missjonarze musieli utrzymywać dużo sierót, tłumy ludzi szukających przytułku po miastach, nieszczęśliwych księży i całe klasztory, bo wszystko to żywiło się zdechlizną, korzonkami, żabami i ślimakami.

Podobnie jak w Lotaryngji, i tu Wincenty ustanowił intendenta, czyli naczelnego inspektora dzieł miłosierdzia — to jego prawe ramię i oko, jego minister wydziału miłosierdzia zagranicznego. Miał obowiązek bezustannie przebiegać obie prowincje, upatrując w jakich miejscach potrzebne stanowisko, i zbadać prawdziwy stan biednych; czuwać i kierować działaniem Missjonarzy, wyszukiwać im do pomocy osoby miłosierne tam, gdzie sami nie mogli podołać; rozdzielać zasoby, zwiekszając je, albo zmniejszając w miarę liczby i potrzeb ubogich i chorych. Z tego wszystkiego zdawał sprawę Wincentemu, który znowu zawiadamiał panie miłosierdzia na sesji, którą co tydzień zbierał dla narady o potrzebach tych prowincji.

Trwało to długie lata, — przechód wojsk w lecie niszczył na pniu gdzieniegdzie pozostałe zboże, zabierał nieszczęśliwéj ludności resztę zasobów, honor i życie; w zimie za cały przytułek i sposób do życia, niezmierna ruina. Obraz ponuréj jednostajności, oświecony jedynie promieniem miłosierdzia!

Do tylu nieszczęśliwych, przyłączyć trzeba było w r. 1654 i 1655 resztki katolickich pułków irlandzkich, przybyłych do Troyes z gromadami wdów i sierót. Wszystko to przebyło spustoszone wojną kraje, boso wśród śniegów i dziewięć dni bez kawałka chleba. Przybywszy do Troyes, leżeli w zimie bez schronienia po placach, zbierając z ulic czego i psy nietknęły. Nędza ta zaledwo doszła do uszu Wincentego i pań bractwa, pomimo wycieńczenia na jałmużny, posłali do Troyes Missjonarza rodem Irlandczyka z pomocą. Sieroty i wdowy umieszczono w szpitalu, a mężczyznom dano przytułek, odzież i pożywienie. Miłosierdzie takie wzruszyło serca tych nieszczęśliwych i podniosło na duchu. Chętniéj zaczęli słuchać Missjonarza, który dwa razy na tydzień uczył ich katechizmu w poście, dla przygotowania do wielkanocnéj spowiedzi.

Stanął nareszcie pokój Pirenejski, a z nim koniec tego perjodu nieszczęść; nie było już przynajmniéj nowych ran, bo dawne, długie jeszcze lata trzeba było goić i leczyć! Święty Wincenty w sprawozdaniu, które miał 11 lipca 1657 na zebraniu pań bractwa, streściwszy co uczyniono aż dotąd, wyliczywszy sumy, odzież, sprzęty kościelne które rozdano, wzmiankuje, że w téj epoce, nędza i miłosierdzie, choć w zmniejszonym stosunku, wiodły jeszcze swój bolesny ale i pocieszający duet. A list świętego, pisany 1 lutego 1660 roku, mówi o jednym bracie bezustannie zajętym rozdawaniem jałmużn na pograniczach Pikardji i Szampanji.

VIII. Z pośród dokumentów owego czasu, znajdujemy list Wincentego z 15 marca 1652 r. w którym mówi, że i inne prowincje „równie prawie były wyniszczone jak Pikardja i Szampanja“. Łatwo to pojąć, jeźli wschodnie i północne prowincje więcéj ucierpiały wystawione zarazem na domową i zagraniczną wojnę, to sama wojna domowa starczyła na wyniszczenie prowincji południowych, zachodnich i środkowych.

W rzeczy saméj, opisy współczesne w niemniéj smutnym jak Pikardja i Szampanja stanie, podają dziesięć albo dwanaście innych prowincji, jak Berry, Poitou, Beauce, Touraine, Perche, Vermandois, Blaisois i td., a naprawdę, trzebaby toż samo rozciągnąć do całéj prawie Francji w tym perjodzie od 1636 do 1660 r., ćwierć wieku prawie, który wiecznością zdał się dla tylu nieszczęśliwych! I tu jeszcze Wincenty posłał swych księży po wszystkich prowincjach i rozdał, nie licząc przedmiotów w naturze, przeszło 200000 liwrów.

A jak zliczyć jałmużny w Pikardji i Szampanji? Wziąwszy za podstawę do rachuby sprawozdanie z 11 lipca i kilka listów św. Wincentego, w przypuszczeniu ledwo dojść można do jakiegoś rezultatu, bo z pewnością pokorny święty liczył tylko sumy, które same panie zebrały i oddały jemu, a zamilczał te, które bezpośrednio zebrał, tymbardziéj pieniądze, które ujął od przyzwoitego utrzymania, a nawet koniecznych potrzeb swego Zgromadzenia. Jakkolwiekbądź, nie będziemy dalecy od prawdy utrzymując, że do 1,600.000 liwrów wydanych w Lotaryngji, trzebaby dodać dwa miljony na inne prowincje: półczwarta przeszło miljona, które przynajmniéj potroić trzeba, by dojść do dzisiejszéj ich wartości! A nie koniec to jeszcze, bośmy nic nie mówili dotąd o okolicach Paryża!

Dzieło to na prowincjach także było trwałe i płodne. Nawet po odwołaniu Missjonarzy, Wincenty pozostawił nie-

ktorych na miejscu, którzy aż do ogólnego pokoju wspierać mieli biednych i zaspokajać najnaglejsze potrzeby kościołów i proboszczy. Jeden z nich, z polecenia Wincentego, utworzył w różnych miastach Pikardji i Szampanji bractwo Miłosierdzia z najpobożniejszych i najznakomitszych położeniem i majątkiem kobiet; przepisał zwykłe ustawy, przydawszy odpowiednie do okoliczności uwagi, i sam z początku kierując ich dobroczynném działaniem, powierzył późniéj dyrekcji miejscowych proboszczy, którzy utrzymywać je mieli w pobożnych praktykach miłosierdzia. Stowarzyszenia te, przetrwały jak wszystkie inne, na wielką korzyść ubogich.

Trwałość ta i płodność dzieł świętego Wincentego à Paulo i tu jeszcze zadziwiająco się objawia. Podobnie jak z bractwa Miłosierdzia widzieliśmy powstałe za dni naszych dzieło ubogich chorych, tak z opieki nad nieszczęśliwymi pogranicznych prowincji, powstało w 1851 r. dzieło świętéj Genowefy, albo przedmieść paryzkich, które dziś wszystkie obejmuje parafje, i z pomocą pań i Sióstr Miłosierdzia przynosi ulgę wszystkim nędzom fizycznym i opłakańszym jeszcze nędzom moralnym i religijnym: *Mur nieprzerwany* wiary i miłości, lepiéj strzegący stolicę, jak jéj wały i fortyfikacje! Jeźli więc, jakie dzieło świętego Wincentego nie miało trwałego i bez przerwy życia, to jest przynajmniéj fenixem, który wcześniéj czy późniéj odradza się z popiołów, gdzie tlała zawsze żywa iskra miłości.

Bez tego człowieka, coby się stało w XVII wieku z licznemi prowincjami, których opłakany stan przez ciąg 25 lat dopiero cośmy opisali? W pośród nich, tam, gdzie ustawiczny widok nędzy łatwiéj by mógł wzbudzić politowanie i pomoc, — niepodobny zasiłek, bo i najbogatsi musieli żebrać, bo i Kościół, źródło i matka miłosierdzia, sam potrzebował pomocy. Te prowincje, które nie ucierpiały w domowéj albo zagranicznéj wojnie, doświadczały jednak ogólnéj nędzy, przygniecione zwykłemi i nadzwyczajnemi kontry-

bucjami, przewidując niezgody i zniszczenie u siebie, więc roztropność nakazywała im oszczędzać własne zasoby. Miałaż przyjść pomoc z Paryża? Ale w Paryżu, klasy wyższe, klasy bogate, wyłącznie zatopione w ambicji, intrygach, wypadkach politycznych i wojennych miałyż czas myśleć o wsiach i miastach Pikardji i Szampanji! A zresztą, nie miałyż przed oczyma i ręką tyle i więcéj nędzy ile wesprzeć mogły? Bo do Paryża to właśnie i okolic przywodzi nas nić opowiadania; a tam czeka nas tenże widok nieszczęść, ale téż dzięki Bogu, tenże widok niesłychanego miłosierdzia, które tylko wdanie się świętego Wincentego à Paulo wytłumaczyć i do prawdy podobném uczynić może.

IX. Pod murami Paryża i w okolicach mieścił się głównie teatr wojny Frondy. Ciągłe marsze tam i nazad wojsk przez cały rok 1652, po tylu już nieszczęśliwych latach i nędzy opisanéj wyżéj, uwalnia nas od opisu, ile zniszczenia i nędzy zostawić musiały po sobie. Główne ich stanowiska, stały się także stanowiskami miłosierdzia, zkąd rozchodziło się po okolicznych wioskach.

Missjonarze przybyli z Pikardji i Szampanji, więc oswojeni z posługą ubogich i wprawni w czyny miłosierdzia, udali się do Palaiseau, do Etampes i okolic. Znaleźli Etampes zburzoném i otoczoném trupami. W pozostałych domach pełno chorych, skórę tylko mających na kościach, bez chleba, bez szklanki wody nawet, by zaspokoić palące pragnienie. Natychmiast urządzili sześć kuchni, a Siostry Miłosierdzia przybyłe z pomocą Missjonarzom, rozdawały żywność i pielęgnowały rannych.

Ale co zrobić z trupami, które zalegają domy, ulice i obwód miasta? Cmentarze są za małe; nie mieszczą umarłych i wilcy pożerając zdobycz rzucają się nawet na żywych. Przedewszystkiem więc zająć się trzeba umarłymi, którzy zarażają powietrze. A zkąd zebrać do tego ludzi? Mieszkańcy

Etampes osłabieni chorobą i głodem. Tutaj to pierwszy raz pojawiają się kompanje *pogrzebników*, których Missjonarze zkąd mogą zbierają, — rodzaj czyścicieli trupów, których znajdziemy wszędzie w okolicach Paryża. Pod wodzą Missjonarzy i za zapłatą, pogrzebnicy ci oczyszczają ulice z okropnych stosów, obrzydłéj mięszaniny ciał mężczyzn, kobiet i koni, które gniły od czasu pobytu wojska w tém mieście. Po usunięciu za złoto i poświęcenie tego stosu, okadzono place i domy, żeby je uczynić mieszkalnemi. I Missjonarze nie oszczędzają się w téj odraźliwéj pracy. Znajdujemy tam X. Deschamps, który na wielką skalę odbył już swą pierwszą kampanję pogrzebową na placu boju w Rethel. Jeszcze raz uniknął śmierci, ale zabrała X. David, jednego ze współbraci.

W Etampes z początku ograniczyć się trzeba było do chorych w mieście, a opuścić do czasu leżących po wsiach: księża i siostry nie mogli nastarczyć pracy, zmuszeni sami robić wszystko. Nikt w Etampes nie był w stanie im pomagać, do tego stopnia, że nie znaleziono nawet kobiety dla czuwania przy choréj Siostrze, która umarła opuszczona prawie, opiekując się przedtém przez dwa lata ubogimi w Pikardji i Szampanji.

Oto w obojéj rodzinie pierwsi męczennicy miłosierdzia: inni zwiększą wkrótce niebieskie żniwo, bo kapłani i siostry liczniéj padali w okolicach Paryża jak po prowincjach, zatruci zepsutém powietrzem, którém oddychali, osłabieni raczéj jak wzmocnieni przez złe pożywienie, powaleni wreszcie nieustanną pracą dniem i w nocy na posłudze ubogich.

Toż samo co w Etampes, działo się po wszystkich okolicach Paryża. Już nie Francja żywiła Paryż, on to na odwrót żywić musiał Francję, a przynajmniéj otaczające go wsie, gdzie wojska cały zbiór zniszczyły.

Jak tylko było można, to jest, zawsze po ustąpieniu wojska, arcybiskup paryzki za naleganiem Wincentego à Paulo urządził miłosierną posługę dla swéj nieszczęśliwéj djecezji. Pozostały dokument daje nam ją poznać. Więc naprzód ogólny pobór ze wszystkich zakonów i świeckich księży, jakby armja miłosierdzia, która rozdzielić się miała na opuszczone przez wojska królewskie stanowiska, by naprawiać zrządzone przezeń szkody. Oddziały te otrzymały instrukcje i władzę od wikarjusza jeneralnego; zdawać mieli raporta do Paryża, co téż uczynili. I cóż znaleźli na miejscu? Alboż nie wiemy, i trzebaż powtarzać umieszczone wyżéj szczegóły? Większa część ludności umiera z głodu, albo zatruci wyziewem z trupów, wychodzącym z własnych albo sąsiednich domów, których usunąć sił zbrakło. Bez odzieży, chronią się na noc w gnój jak zwierzęta, a dniem leżą na słomie, lub wyciągnięci na słońcu, gryzieni przez robactwo z ran wyszłe. Missjonarze, żeby się ustrzedz od zapowietrzenia, obwijać muszą głowę w nocy. Chorych niezmierna wszędzie liczba; dla braku ciepłego pożywienia umierają z głodu obok chleba miłosierdzia; mróz zabija innych. W niektórych wioskach nie pozostało i jednéj żywéj duszy. Missjonarze przebiegają ulice i znajdują ludzi, którzy przepędzili noc na deszczu; przenoszą ich do obór i tam udzielają ostatnie Sakramenta. Też same posługi oddają proboszczom, którzy nie pomarli: leżą po swych zrabowanych domach, okryci dla zimna w kapy kościelne.

Krótki opis, dokument, z którego podajemy te szczegóły, kończy się wezwaniem o miłosierdzie. Trzeba więc utworzyć zasób na utrzymanie Missjonarzy, proboszczy, chorych i ubogich. W tym celu potwórzyły się po całym Paryżu stowarzyszenia miłosierne. W każdéj parafji założono magazyn u proboszcza, gdzie składano żywność, bieliznę, ubiór, narzędzia rolnicze, i — smutno mówić! — drągi żelazne i motyki dla kopania dołów i grzebania zmarłych;

to najpotrzebniejsze narzędzia dla Missjonarzy, bo przedtém rękoma wykopywali ziemię, a umarłych nieśli na drabinach, jeżeli je znaleziono jeszcze. Utworzono nadto ogólny magazyn, gdzie składano zebrane w parafjalnych magazynach zasoby, i ztamtąd rozsyłano w trzech kierunkach w okolice Paryża, zkąd dopiero rozdawano wedle rozkazów Missjonarzy.

Trafne to urządzenie pomocy dało powód do gazety pod nazwaniem: *Magazyn miłosierny*. W tymże czasie pojawiły się opisy, albo sprawozdania z tego, co uczyniono wedle poprzedniego programu. Rozesłano wszędzie pogrzebników do zakopywania trupów i zgnilizny; wszędzie także Siostry Miłosierdzia i felczerów, a Wincenty zalecił nie oszczędzać niczego dla pomocy chorych i biednych. Znakomite osoby zwiedzały także okolice pilnując wykonania.

Przy tak urządzonéj posłudze, takich zaleceniach i robotnikach, nie brakowało chorym niczego. Zarówno opiekowano się nieszczęśliwymi i sierotami. Pomoc ta kosztowała sześć do siedm tysięcy liwrów tygodniowo, a to bez zasobów, przy ogólnéj nędzy, dzięki miłosierdziu, biegłości i gorliwości zawiadowców i pracowników; dzięki także widocznéj opiece Opatrzności. Skarbonę magazynu wypróżnianą ciągle, znowu znajdowano pełną. Beczka także soli zawsze była pełna, choć ciągle z niéj brano; wszystko to w podziwienie wprawiało Wincentego à Paulo.

Wszyscy, nawet najbiedniejsi w Paryżu składali jałmużny; ale dom św. Łazarza, oprócz pierwszéj myśli i wpływu przełożonego, najwięcéj się stosunkowo przyłożył. Dom został prawie pusty, tak z powodu, że trzeba było coraz nowych słać robotników do miejsc przez chorobę albo śmierć opróżnionych, jako téż, by zmniejszyć wydatek i obrócić pozostałość na biednych. Przez jakiś czas pozostało tylko kilku starców i chorych, którzy niezdolni do pracy, wznosili ręce do nieba, podczas gdy ich bracia walczyli na téj

wojnie miłosierdzia. Podobnież, podczas gdy jedne Siostry Miłosierdzia poświęcały się na trudy i śmierć, drugie pracowały w magazynach, szyły odzież dla biednych, ornaty dla kościołów, sutanny dla biednych proboszczy.

Ileż zresztą tajemnych i osobistych jałmużn posyłał Wincenty w okolice Paryża! Zawsze jaki braciszek był w drodze, wysłany na rozdawanie pomocy. Ów wózek, który codzień prawie posyłał do wsi Palaiseau, do ostateczności przywiedzionéj przez pobyt wojska, jego był obciążony darami. Nikt o tém nie wiedział, i przypadkiem tylko odkryło się to miłosierdzie pokornego kapłana. Z początku działał w skrytości, i dopiero jak wszystko wydał, przypuszczał innych do tajemnicy i udziału w dziełach miłosierdzia.

Wincenty literalnie był zbawcą téj wsi, i drugiéj Genevilliers, zalanéj powodzią Sekwanny, która wylała w tymże 1652 r., razem z wojną, głodem i zaraźliwemi chorobami. Posłał tam wielki wóz naładowany chlebem, z bratem i dwoma księżmi, którzy rozdawali żywność z narażeniem życia. Ludność Genevilliers, po ustaniu tych plag, wysłała do niego w poselstwie celniejszych mieszkańców z podziękowaniem imieniem wszystkich.

X. Czytelnik zauważył, co zresztą mniéj więcéj wyraźnie już było powiedzianém, że razem ze wsparciem okolic Paryża, rozdawano nie mniéj wielką pomoc w samym nawet Paryżu. Obecność armji pod murami i na przedmieściach stolicy, ogromną sprowadziła nędzę; powszechna obawa, wstrzymując pracę, przywiodła z braku zarobku większą część wyrobników do żebraniny; wreszcie, jeźli ludność Lotaryngji, Pikardji i Szampanji chroniła się do Paryża, témbardziéj zbiegać się tam musieli mieszkańcy okolicznych wiosek. Ztąd napływ nędzy, ale także usiłowań miłosiernych, których obraz zostawiły nam opisy z owych czasów.

Pierwszą pomoc dla tych nieszczęśliwych, z których wielu pomarło już z głodu, urządzono w początkach 1652 r. Tak byli liczni w sześciu przedmieściach paryzkich, że musiano wybierać tylko tych, co obciążeni dziećmi, nie byli zdolni do pracy. Brak zasobów nie pozwalał rozszerzyć pomocy do innych parafji, gdzie uciekający z prowincji zwiększali coraz liczbę nieszczęśliwych. Myślano zająć się wszystkimi, a szczególniéj umieścić w kilku domach pewnych biedne dziewczęta wiejskie, których nędza narażała na utratę cnoty.

Porachowano więc wszystkich biednych: zliczono ich od dziesięciu do dwunastu tysięcy, oprócz żebraków. Pomnożono więc kuchnie miłosierdzia, gdzie wszyscy szli po żywność; umieszczono biedne dziewczęta, dając im utrzymanie i naukę, dopóki nie będą mogły powrócić do swych wiosek. Ale jakże wielki to był wydatek! Licząc po trzy grosze tylko na dzień na każdego biednego, wyniósłby już cztery tysiące liwrów na tydzień. A nie rachujemy tu trzech bogatszych przedmieść, gdzie pobożność parafjan żywiła swych biednych. Gdzieindziéj liczba tych nieszczęśliwych z każdym dniem rosła; w kilka miesięcy już ich było piętnaście do szesnastu tysięcy. Przestraszona policja wielokrotnie zamyślała radzić, ale zamiast pomocy, zmniejszyła jeszcze jałmużny. Nie można już było rozdawać zupy codzień, a biedni wyrobnicy, w dniach, w których nie otrzymali zwykłéj porcji, szli na przedmieście św. Antoniego, i cięli po kawałku zdechłego ścierwa końskiego, które tam leżało od czasu bitwy.

Na szczęście, zaczęto znów rozdawać zupę, która od października jedynym była środkiem do życia dla dziesięciu tysięcy biednych. Leczono zarazem tysiąc dwieście albo trzysta chorych; najwięcéj ich przybywało ze wsi, szukając w Paryżu w braku innéj pomocy, przyjęcia chociaż Sakramentów św. i śmierci spokojnéj zdala od okrucieństwa żoł-

nierzy. Znajdowali ich księża pod strychem albo w piwnicy leżących na zgniłéj słomie, która za łóżko i sprzęty im służyła, a za całe pożywienie kiszki zdechłych zwierząt; umierających wreszcie w takich śmieciach, że przy pogrzebie trzeba ich było czyścić jakby wyjętych z błota. Z największém wprawdzie poświęceniem starano się wyrwać ich od śmierci, i posługa ta kosztowała 4000 liwrów miesięcznie, ale śmiertelność była wielka, i przez część 1652 r. umierało dziennie po dziesięć tysięcy osób.

XI. Naturalnie Wincenty, i podwójna jego, Missjonarzy i Sióstr rodzina, przyłożyli się hojnie osobą i majątkiem do tak dobrego dzieła. Przedewszystkiem Wincenty myślał o zbawieniu tych nieszczęśliwych; nie mogąc odbywać missji po wsiach, które zresztą przeniosły się wtedy do Paryża, tam ich nauczać kazał, a sam podjął się nauki dzieci. Podzieliwszy je na kilka oddziałów, żeby i lepiéj nauczyć i łatwiéj być usłyszanym, czcigodny starzec wykładał im katechizm. Nadto przez cały czas missji, rozdawał dwa razy na dzień żywność wszystkim biednym. Wynalazł także schronienie dla zakonnic przybyłych ze wsi, a u siebie przyjął proboszczy i wikarjuszów, których żywił na ciele i duszy.

Jedyną wtedy troską dla niego byli biedni. „Martwię się o Zgromadzenie, mówił, ale zaprawdę więcéj jeszcze bolą mię ubodzy. My, jak nie będziemy mieć chleba, pójdziemy do innych domów naszych, a jeźli i tam nic nie ma, będziemy służyć za wikarjuszów po parafjach; ale ubodzy, cóż zrobią? i gdzież pójdą? Przyznaję, że to mój ciężar i boleść. Mówiono mi, że po wsiach biedni ludzie mówią, że dopóki mają owoce, jeszcze mogą żyć, ale potém, nie pozostanie im, jedno pokopać doły i pogrzeźć się żywo. O Boże! jakaż to ostateczność nędzy! i jak temu zaradzić?“

Mógłże inaczéj czuć człowiek tak wielkiego miłosierdzia? człowiek, do którego wszyscy się zbiegali ze swobodą, którą dobroć jego upoważniała, a która w zwyczaj już weszła? z równym szacunkiem jak czułością obchodził się z ubogimi; wcześniéj jak oni zdejmował kapelusz, i dając im jałmużnę, mówił z odkrytą głową. Często ściskał ich albo nogi całował zanim udzielił pomocy; słowem, postępował z nimi, wedle wyrażenia jego, jak ze swymi panami i przełożonymi. Nawet zniewagi nie mogły go zrazić, témbardziéj wystrzegał się skarżyć na złe postępowanie, którego on albo bracia jego doświadczali często rozdając jałmużnę.

Święty Łazarz był zawsze ucieczką dla wszystkich nieszczęśliwych, nietylko z Paryża, ale i całéj Francji. Wszyscy biegli do Wincentego bądź o jałmużnę, bądź pożyczkę, i dawał każdemu wedle stanu i potrzeb. Jeźli już nic nie zostało u św. Łazarza, uciekał się do panny Le Gras, a jak i ona nie miała, pożyczał dla ubogich gdzieindziéj, niekiedy 16 i 20,000 liwrów na raz. Do wszystkich wstawiał się za nimi, a wyczerpnąwszy już zasoby prywatne, w ostateczności uciekał się do królowéj. Anna Austrjacka nic mu odmówić nie mogła, w braku pieniędzy dawała mu klejnoty, a gdy chrześcjańska księżniczka prosiła o sekret, Wincenty odpowiedział: „Daruje mi wasza królewska mość, że jéj w tém nie usłucham, ale nie mogę zataić tak pięknego czynu miłosierdzia. Wypada, aby Paryż, a nawet Francja cała dowiedziała się o tém, i sądzę, że mam obowiązek ogłosić to wszędzie.“

Oto jakim sposobem syn biednego rolnika mógł wydać w ciągu życia na jałmużny sumę przenoszącą 1,200,000 luidorów, przeszło 12,000,000 liwrów!

Jałmużny te rozdawano częścią u św. Łazarza, częścią przez ręce Missjonarzy. Jeden z braci miał sobie powierzonych chorych, którzy przychodzili, albo im zanosił lekarstwa i pomoc, Co piątek dwóch księży, więc z kolei i Win-

centy, odwiedzali chorych po parafjach; zwyczaj, który do dni naszych zachowuje się w Zgromadzeniu.

Od Bożego Narodzenia 1641 r. po dwóch ubogich codzień zapraszano na obiad do św. Łazarza. Odtąd przełożeni jeneralni Missji zachowali ten pobożny zwyczaj, jako najcenniejszy spadek po świętym założycielu.

Codzień także, nie licząc tego, co dawano przechodnim żebrakom, u furty św. Łazarza rozdawano porcje zupy, chleba i mięsa biednym rodzinom. Trzy razy w tydzień dawano w południe zupę każdemu kto przyszedł. Na sta ich zawsze liczono, a niekiedy liczba ich dochodziła do sześciu i ośmiuset. Korzystając ze sposobności, uczono ich wtedy artykułów wiary, praktyk religijnych, mówiono o niebezpieczeństwie i korzyściach, przywilejach i obowiązkach ubóstwa.

W czasie niepokojów w Paryżu żywiono w ten sposób do 2000 biednych. Karmiono żywych, a dla umarłych dawano trumny na pogrzeb. Wincenty, nowy Eljasz, zostawił uczniom płaszcz swego miłosierdzia. Przez cztery lata po jego śmierci, nowe jałmużny rozdane po prowincjach przeniosły sumę 500,000 liwrów. Pięćset tysięcy liwrów wyszłe z jego grobowca, który odtąd stał się kolebką wszystkich dzieł miłosiernych, 500,000 liwrów, które od dwóch wieków wzrosły do kilku miljardów. Oto w jaki sposób zasłużył na imię, które mu dało wiele miast zawdzięczających jego miłosierdzie, imię tak szlachetnie okupione: zbawcy i ojca ojczyzny!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Śmierć świętego Wincentego à Paulo.

I.

Wizerunek i dzień.

I. Wizerunek. — II. Dzień.

I. Zanim śmierć zabierze nam świętego Wincentego à Paulo, przyjrzyjmy się ostatni raz jego rysom, nakreślmy fizyczny i moralny jego obraz, i obaczmy zajęcie jednodzienne, bo wszystkie dnie jednostajnie były zapełnione pobożnemi ćwiczeniami i uczynkami miłosierdzia.

Wincenty à Paulo był wzrostu więcéj jak średniego, kształtnych i proporcjonalnych rysów. Głowę zawczasu łysą miał dużą, ale odpowiednią do reszty ciała; piękne czoło, szerokie i majestatyczne, nos duży, oczy żywe i przenikające, twarz niezbyt tłustą, rysy wyraziste, stanowiące całość, która zwracała uwagę i wbijała się w pamięć.

Wielu myli się jednak, nadając téj fizjonomji postawę dobroduszną, któréj jedynie cześć religijna nie dopuszcza nazwać mazgajowatą. Wynika to zapewne z chęci wyrażenia na jego twarzy téj łagodnéj dobroci, którą posuwają aż do grymasu i karykatury. Nie tak zaiste wyglądał święty Wincenty à Paulo. Krwistego a szczególniéj żółciowego temperamentu, z natury był smutny i melancholiczny, i tylko przez wysiłek cnoty odjął swym rysom pewną twardość i cierpkość. Jeźli zdołał nacechować je dobrocią odpowie-

dnią do słodyczy w przyjęciu i całéj postawie, to zawsze pozostała tak w rysach twarzy jak ruchach pewna powaga i szlachetność.

Jeszcze bardziéj mylono się co do jego umysłu. Był to człowiek, mówiono, zadziwiającej dobroci i miłosierdzia, ale miernych zdolności; człowiek wielkiego serca ale małéj głowy, a raczéj, serce pochłonęło wszystkie władze duszy.

Na tém miejscu jego historji, skorośmy już widzieli tyle wielkich przedsięwzięć, tak dobrze pomyślanych, a jeszcze lepiéj wykonanych; tyle dzieł różnorodnych, z których każde zaciężyłoby i najsilniejszéj naturze, któremi kierował tak rozumnie, że jedno nie szkodziło drugiemu; tyle płodnych fundacji i na wieki niejako ustalonych, mamyż potrzebę dodawać, że Wincenty miał umysł przenikliwy, rozległy, zdolny objąć wszystko, rzeczy wielkie jak małe? Posiadał szczególniéj, i to w najwyższym stopniu, ten zdrowy rozum, którym mógłby był rządzić królestwem, którym zarządzał trudniejszemi jak państwa sprawami; zdrowy rozum w swém zdaniu, słowach, przedsięwzięciach i całém postępowaniu.

Ten to zdrowy rozum sprawiał, że zawsze trzymał się w naukach zdala od ostateczności, ducha nowości i zmienności; że nie cierpiał krętactwa, mowy dwuznacznéj, nierozważnéj i plotkarstwa, że umiał trafnie ocenić, jakiego kto ducha, nauki i działania; że kierował duszami tak mądrze, decydował na pewno, i jak raz się na co zdecydował, działał stale i bez wahania. Ale działał powoli, a raczéj nie znosił pośpiechu: wypływ tak zdrowego sądu jak cnoty; lękał się zawsze, jak mówił, wyprzedzać zamiarów Opatrzności. Skoro jednak zapewnił się o woli Bożéj, nic go już nie wstrzymało; nie lękał się ani liczby, ani trudności w sprawach. Załatwiał je z mocą ducha, niezachwianą odwagą, któréj żadna nie wstrzymała przeszkoda, czy to pochodziła od osób albo rzeczy, sprzysiężenia żywiołów albo namię-

tności ludzkich. Działał z przenikliwością pełną porządku i światła, znosząc trudności, przykrości i odwlekanie spokojnie, bo oparty na świętéj ufności, i wytrwale, bo z religijną pewnością pomyślnego skutku.

Dusza prawdziwie wyższa. pewnego i praktycznego zdania, któréj namiętności nigdy, jak u większéj części ludzi, nie skrzywiły celu, któréj przeciwnie, cnota wszystkiemi rządziła drogami.

Podstawą téj cnoty, — mamyż potrzebę powtarzać? — była pokora tak głęboka, że żaden może święty nie posiadał jéj w tak wysokim jak Wincenty à Paulo stopniu. Pokora niesłychana, która straszy nietylko naszą pychę, ale nawet rozum, kiedy widzimy, że ten nadzwyczajny człowiek stawia się niżéj od ziemi i piekła; wyżéj od siebie ceni zbrodniarzy, galerników, a nawet szatanów! Jednak, taka pokora daje nam jedynie pojąć Wincentego à Paulo, bo wiodąc go do ustawicznéj ofiary z siebie samego, tłumaczy równie niesłychane miłosierdzie. Dlatego był najmiłosierniejszym, że był najpokorniejszym z ludzi.

Nie myślał, żeby można w tych dwóch cnotach przesadzić, kiedy rozważał o Tym, który się wyniszczył i poświęcił aż do śmierci. Bo w myślach, słowach i uczynkach, jak wiemy, brał natchnienie od Jezusa Chrystusa, mówił Jego słowy, wzorem Jego postępował. Jezus Chrystus zawsze, Jezus Chrystus wszędzie, Jezus Chrystus we wszystkiém i wszystkich: oto jego nauka, jego moralność i polityka, którą jedném słowem określał: „nic mi się nie podoba, jedno w Jezusie Chrystusie.“

Oto, pod względem fizycznym i moralnym, Wincenty à Paulo. Przypatrzmy się teraz jednemu z dni jego, będziemy mieć próbę całego życia.

II. Czwarta godzina rano. Choć stary, chory, zaledwo od kilku chwil w łóżku, a często jeszcze bezsennie przepę-

dzonych, Wincenty wstaje, i drugie uderzenie w dzwonek już go nie zastaje w tém samém jak pierwsze położeniu. Posłuszeństwo regule wyznaczającéj godzinę wstawania rano, uważa za pierwsze i najważniejsze w porządku dziennym, toż samo zaleca swym dzieciom. Na pierwszy więc znak wstaje z łóżka, czyni znak Krzyża św., klęka i całuje ziemię. Po tym pierwszym akcie religijnym, ściele sam łóżko i idzie do kościoła, gdzie pomimo puchliny starych nóg, które obwiązywać musiał, przybywa wcześniéj od najzdrowszych i najmłodszych. Widok swéj duchowéj rodziny wobec Chrystusa Pana cieszy jego duszę; błogosławi najpilniejszych, a opóźniający się martwią go. On zawsze przychodzi na modlitwę poranną, nawet przy najliczniejszych zajęciach, bo najgłębszém i religijném uczuciem ceni modlitwę; uważa ją jakby mannę, którą co rano trzeba zbierać, żeby nie umrzeć na téj puszczy życia. Modli się więc gorliwie, choć przez pokorę ukrywa skutek modlitwy; ale niekiedy po jéj ukończeniu czoło mu błyszczy jak Mojżeszowi, a gorącość uczucia pokazuje się na twarzy, w słowach i czynach. Nauki jego, po téj rozmowie z Bogiem, gorętsze jeszcze wiarą i miłością; pokora, umartwienie, cierpliwość, wszystkie słowem cnoty, nowym blaskiem świecą.

Modli się także podczas długiéj bezsenności, modli w chwilach wolnych od zajęć i posługi bliźniego; i co rok, przy największych pracach, poświęci jéj przynajmniéj ośm dni, w czasie których przerwie i najświętsze stosunki, by z Bogiem tylko rozmawiać.

Namawia do téj modlitwy porannéj wszystkich, na których wpływ jaki wywiera; zaleca ją duchownym przed święceniami i rekollektantom, ucząc jak ją odbywać, a wierność nadal téj praktyce za najcenniejszą korzyść rekollekcji uważa. Wpaja jéj potrzebę księżom swéj konferencji, a nawet paniom bractwa Miłosierdzia.

Ale przedewszystkiem zachęca do niéj swoich Missjonarzy, w ich własnym i bliźniego interesie. Nie uwalnia nawet chorych, którym zaleca nie tyle rozważanie, do którego nie byliby zdolni w tym stanie, ale skłonienie woli, przez częste akty poddania się woli Bożéj, skruchy, cierpliwości, ufności, wytrwania i miłości.

Wymaga całéj godziny modlitwy, tak w dniach spoczynku jak pracy, przy najliczniejszych zajęciach, jak i zwykłéj każdodziennéj pracy. Zaleca ją szczególniéj kaznodziejom, katechetom i spowiednikom.

Rano też skończywszy modlitwę, daje Wincenty rady i nauki Missjonarzom. Przynajmniéj dwa razy na tydzień żąda od nich zdania sprawy z dobrych myśli i uczuć, które Bóg dał im na modlitwie. Zapytuje ich pokolei, nawet braci; wzajemne to, wspólne zbudowanie się, a zarazem szkoła, lekcja praktyczna, na któréj nowoprzybyli i niedoświadczeni kształcą się w trudnéj umiejętności rozmyślania. To *powtórzenie modlitwy* buduje go i zachwyca; czyni je nawet w podróży. Odbywając drogę z świeckiemi osobami, nietylko wspólnie z niemi odprawia modlitwę rano, ale także rozmawiają potém o dobrych myślach, które Duch Boży natchnął każdemu.

Po skończeniu modlitwy i powtórzenia, Wincenty sam na głos odmawia litanję o Najświętszém Imieniu Jezus, i z pośród wezwań, które Mu daje Kościół, ze szczególném uczuciem wymawia: „Jezu, Ojcze ubogich!“ Potém, codzień prawie się spowiada, nie mogąc ścierpieć cienia nawet grzechu. Prawie nigdy spowiednik nie może znaleść materji do rozgrzeszenia: „Ah! mój ojcze, mówi pokorny święty, gdyby Pan Bóg dał ci mię poznać, inaczéjbyś sądził!“

Następnie przygotowywa się do Mszy św., i choć tylko co wstał od modlitwy, jeszcze znaczny czas na to poświęca; ubiera się wreszcie i odprawia najświętszą Ofiarę. Wychodzi do ołtarza, jakby Jezus Chrystus, ofiara i ofiar-

nik: ofiara, uniża się i upokarza; ofiarnik, jest poważny i majestatyczny jak Zbawiciel, a zarazem pełen słodyczy, pokoju i miłosierdzia. Odmawia modlitwy Mszy św, i czyni ceremonje ani zbyt powoli ani pospiesznie, tak, żeby nie przeciągnąć nad pół godziny; wymawia wszystkie słowa, a szczególniéj Ewangelji świętéj, głosem miernym i przyjemnym, wyraźnie i pobożnie, tak, że jawną jest zgoda ust z sercem. Wszyscy obecni odchodzą zbudowani: „Mój Boże, mówią", jak ten ksiądz dobrze Mszę św. odprawia!"

Po skończonéj Mszy słucha, a często służy do drugiéj. Przeciążony zajęciem, stary, ośmdziesiątletni, nie może chodzić bez kija, i z trudnością tylko przyklęknąć; mniejsza o to, czcigodny przełożony, z prostotą młodego kleryka, a większym jeszcze szacunkiem i pobożnością, służy do Mszy ostatniemu ze swych księży. Czyni to z wiary i miłości, a także, żeby dać przykład swoim klerykom, żeby w swéj obecności nie pozwalali świeckim służyć do Mszy św.

Pobożność jego nowym świeci blaskiem w dnie świąteczne i uroczyste nabożeństwa. Przejrzał wprzód i starannie się wyuczył wszystkich ceremonji, to téż i sam żadnéj nie przekracza rubryki i innym tego nie dozwala. Jeźli zdaje mu się, że uchybił, to po nabożeństwie przeprasza klęcząc całe Zgromadzenie. Sobie także przypisuje błędy, popełnione przez innych, ale zarazem, pomimo wielkiéj swéj łagodności, strofuje ich za to surowo.

Jakim się pokazuje przy publicznych nabożeństwach, takim jest przed okiem Boga samego, odmawiając kapłańskie pacierze, zawsze z odkrytą głową i klęczący;- klęcząc także i z gołą głową czyta codzień Nowy Testament.

Poświęciwszy w ten sposób przeszło trzy godziny rano na modlitwę, i w najcięższéj nawet zimie, klęcząc zawsze na gołéj ziemi w kościele i nie pozwalając podesłać nawet prostéj dery, idzie do swéj stancji. Stancja to skromna, mała

i uboga. Ściany wybielone wapnem, prosta podłoga, za całe sprzęty stół bez przykrycia, dwa stołki słomiane i liche łóżko; krzyż drewniany i obrazek z papieru przylepiony do muru stanowi całą jéj ozdobę. Ani ognia, nawet na kominku, a to do ośmdziesiąt przeszło lat; dopiero wtedy dzieci jego zmusiły go do wzięcia innéj stancji, ogrzanéj, z powodu ran, które opatrywać musiał. Ale jak za to upokarzać się będzie! jak oskarżać swe grzechy, które go przywiodły do takiéj nędzy, którą nazwie zgorszeniem! Z jaką oszczędnością brać będzie drzewo, które jak wszystko zresztą, nazywa dobrem ubogich!

Już teraz przyjmuje odwiedziny i zajmuje się sprawami; ani ich różnorodność ani mnóstwo nie ujmują jego spokojności, jednostajności charakteru i skupieniu. Przyjmuje z dobrocią i słucha uważnie wszystkich, domowych i obcych. Nie przerywa nigdy, a jeszcze, zanim odpowie, zatrzymuje się chwilę, by się zastanowić i poradzić Boga. Do świętego Łazarza przychodzą po radę z Paryża i prowincji wszyscy, zanim coś przedsięwezmą dla dobra religji i ubogich, a przynajmniéj proszą Wincentego o pomoc w modlitwach.

Ale nie dość na tych zajęciach w domu. Codzień, a często i dwa razy na dzień święty kapłan wychodzi, obiega cały Paryż, gdzie tylko potrzebna jego obecność, albo odwiedza który ze swych zakładów dobroczynnych. Idzie do pałacu królewskiego, bądź na sessję rady, bądź prosić o jałmużnę królowéj, albo pośredniczyć w sporach stronnictw; trzy razy w tydzień przewodniczy na zebraniach Pań Miłosierdzia albo Panów; często wzywają go na inne zebrania, bądź biskupów, bądź uczonych, przełożonych zgromadzeń, albo wreszcie znakomitych osób. Ztamtąd idzie do jakiego klasztoru albo rodziny, przywrócić porządek i zgodę; zachęcić jakie bractwo miłosierdzia, pocieszyć więźniów i galerników, odwiedzić chorych po domach i szpitalach, pod-

nieść na duchu starców Imienia Jezus, albo popieścić maluczkie dzieci podrzucone.

Przechodząc z jednego miejsca w drugie, nie traci czasu: modli się, układa jaki pobożny zamiar lub przygotowywa naukę; niekiedy nawet w powozie pisze listy. Nawet wśród ulicznego hałasu, u Dworu i na zebraniach nie traci pamięci na obecność Bozką. Przynajmniéj cztery razy na godzinę podnosi serce do Boga: Godzina bije, — odkrywa głowę, czyni znak Krzyża św. i wznosi oczy ku niebu. Zwykle trzyma je spuszczone, a nawet zamknięte w powozie, i spogląda tylko na krucyfiks koronki, którą zawsze nosi przy pasie. Żeby nie patrzeć, nie być od nikogo widzianym i łatwiéj rozmawiać z Bogiem, zasłania prawie zawsze firanki u powozu. Bezwątpienia, widok stworzeń, zamiast go rozpraszać, zwraca ku Stwórcy; ale unikając widoku przedmiotów przyjemnych, i umartwiając zmysły, wielbi Boga i łatwiéj z Nim się łączy. Pomimo wielkiéj drażliwości na zmiany powietrza, nie chroni się ani przed zimnem, ani upałem; nie nosząc w zimie rękawiczek, ma ręce napuchłe i porozpadane równie jak i nogi.

Idąc piechotą po ulicach, toż samo skupienie i zajęcie. Przechodząc koło kościoła, wchodzi i upada twarzą na ziemię. Jeźli dzwonią na *Anioł Pański*, wpośród tłumu jak w pałacu królewskim, klęka i odmawia. Nie widzi nikogo, choć wszyscy nań patrzą i podziwiają. Nawet dzieci pokazują go sobie mówiąc: „Patrz, święty idzie.“

Powraca wreszcie. Natychmiast pozdrawia Najświętszą Pannę i Anioła Stróża, podobnie jak przy wyjściu, a czyni to zawsze i poleca czynić wchodząc albo wychodząc ze stancji; idzie uczcić Najświętszy Sakrament, który nazywa Panem domu, co téż zachowuje przy wyjściu. Niekiedy, spóźniona już godzina, a jednak zapomina się tam przez parę godzin. Udaje się wreszcie do refektarza. Jeźli znalazł tam Zgromadzenie, siada gdzie się zdarzy, najczę-

ściéj na ostatniém miejscu, nawet za braciszkami. Jak co do miejsca przy stole, tak i w pożywieniu nie ma różnicy między nim a innymi, a to i w późnéj starości i w chorobie. Jeźli godzina posiłku minęła, cieszy się, że będzie mógł się umartwić, bo resztki tylko zostały, a jeźli nic nie ma, przestaje na kawałku chleba. Wina nie pije, czystą wodę tylko. W kilka chwil kończy ten tak skromny posiłek, — to pierwszy w dniu dopiero, a często jedyny, bo bardzo późno powrócił, a wedle zwyczaju, nic nie jadł od rana. Nie dość się umartwił trochą i lichego pożywienia, posypuje je jeszcze gorzkim proszkiem, żeby było nieznośniejszém dla smaku. Natura niekiedy upomina się o swe prawa, mdleje z osłabienia w nocy i przynosić mu muszą kawałek suchego chleba, jedyną pomoc, którą przyjmuje.

Oto uczta na pokrzepienie sił osłabionych całodzienną pracą, a jeszcze ją sobie odmawia, i co wieczór siadając do swéj lichéj strawy powtarza: „Ah! nędzniku, nie zarobiłeś na chleb, który pożywasz.“

Ciągły to post; ściśléj jeszcze go zachowuje dwa razy w tydzień i dni przez kościół przepisane. Przeszło 80letni, przestaje na solonéj rybie, którą dają Zgromadzeniu. Wieczorem, trochę chleba, jabłko i zafarbowana woda, oto cała kolacja. A i tego nie je, jeźli powraca trochę późno z miasta: wtedy głodny idzie do swéj stancji, albo do kościoła przewodniczyć na konferencji duchownéj.

Po posiłku, Missjonarze mają godzinę rekreacji; on, nigdy. Wreszcie wszyscy się rozchodzą, i wkrótce cały dom pogrążony we śnie; on sam czuwa. Noce jego, jak dnie prawie, poświęcone pracy. Wracając wieczorem, znalazł mnóstwo listów; w nocy odpisuje na nie. Piszą do niego ze wszech stron królestwa i z zagranicy: biskupi, opaci, przełożeni, radzą się w najtrudniejszych, najdelikatniejszych sprawach; to znów wielcy panowie albo panie żądają missji w swych dobrach, albo jakiego dzieła miło-

sierdzia; kongregacja Propagandy, kompanja Indyjska chcą księży do Azji i Afryki; biedna matka prosi za synem w niewoli algierskiéj, albo renegat błaga, żeby mu pomógł w powrocie do wiary; nuncjusze we Francji pytają o zdanie w sprawach tyczących Kościoła francuzkiego, a nawet całego Kościoła; przełożeni zakonów i zgromadzeń wzywają jego pomocy do reformy zakonu całego, albo klasztoru, lub prosty nowicjusz radzi się względem swego powołania albo zmiany stanu; mnóstwo proboszczów, księży, przedstawiają trudności do rozwiązania względem parafjalnych obowiązków albo swych sumień; wreszcie i nadewszystko, podwójna jego rodzina Missjonarzy i Sióstr Miłosierdzia wymaga codziennych starań. Najmniejszemu ze swych dzieci odpowiada z równą akuratnością jak dobrocią; do wszystkich swych domów pisze regularnie co tydzień, i każdemu przesyła oprócz rad i decyzji tyczących się domu, wiadomości o całém Zgromadzeniu: tym sposobem listy jego stają się niejako gazetą Zgromadzenia Missji i dzieł jego.

Najczęściéj, północ bije, a on jeszcze przy pracy. Zabiera się wreszcie do krótkiego spoczynku, ale wprzód ukarać się musi za tyle dzieł miłosierdzia, w których grzech tylko i niedoskonałość widzi, przez krwawą dyscyplinę; już rano przygotował się był przez podobną pokutę. Nadzwyczajne nadto podejmuje pokuty w czasie nieszczęść publicznych, potrzeb ogólnych i szczególnych Zgromadzenia, a osobliwie skoro się dowie o jakiém uchybieniu, popełnioném w którym ze swych domów. „Moje to grzechy, mówi, są przyczyną złego; nie jestże słuszném, żebym za to pokutę czynił?“ Zawsze, do dyscypliny, przydaje włosiennicę, żelazne z kolcami paski, a niekiedy koszulę z włosia, przechowaną dotąd, któréj sam widok przejmuje dreszczem.

Odmawia wreszcie klęcząc ostatnie modlitwy, a szczególniéj codzienne przygotowanie się na śmierć. Odkrywa łóżko; za całe posłanie gruby siennik, bez materaca i prze-

ścieradła, nawet w ostatnich latach życia. Na prośby dzieci przystał na firanki, ale i nadal śpi na gołéj słomie. A jeszcze, jakże sobie wyrzuca te *firanki u łóżka,* to łóżko *dobrze osłonięte!* Często leży bezsennie na tém nędzném posłaniu; trawi go gorączka, rany mu dokuczają, albo oblany potem; podczas tych długich i przykrych bezsenności, dzięki składa Bogu, modli się, albo układa swe święte zamiary.

Oto dzień świętego Wincentego à Paulo, oto jednostajny ciąg jego życia. Zaiste, po tak długim szeregu dni podobnych, gotowym był stanąć przed Bogiem, dla odebrania za nie nagrody. Ale Bóg, cudowny w świętych swoich, zazdrosny o większą ich doskonałość, chciał jeszcze doświadczyć swego wiernego sługę. Dlatego, krótko przed śmiercią, dotknął go stratą dóbr Zgromadzenia i śmiercią osób, które mu były najmilsze.

II.

Straty i śmierci.

I. Straty; proces o Orsigny. — II. Śmierć Adrjana Le Bon. — III. Śmierć X. Portail i panny Le Gras. — IV. Śmierć opata de Turnus; inne śmierci; choroba X. Alméras.

I. Począł Bóg doświadczać Wincentego przez stratę dóbr potrzebnych na utrzymanie swych dzieci. O nich tylko myślał święty kapłan; bo co do niego, wszystkie dobra ziemskie uważał za błoto, tak zadziwiającą była jego bezinteresowność i wyrzeczenie się wszystkiego.

Względem dzierżawców i innych dłużników Zgromadzenia pełen był miłosierdzia i względności. Nietylko nie upominał się o raty dzierżawne w czasie pomoru bydła albo nieurodzaju, ale darowywał im długi i czynsz, a nawet dawał pomoc dla wydźwignięcia ich z biedy.

Chociaż posiadał władzę sądowniczą, nieprzyjacielem był procesów i niezgody, szczególniéj u siebie i po domach Zgromadzenia. Jeźli nie mógł ich uniknąć, szedł do sędziów, nie żeby im polecać swą sprawę, ale prosząc, żeby uważali na sprawiedliwość, a nawet na powody jego przeciwników. Oszczędzał ich worek więcéj jak własny; przyjmował ich u św. Łazarza, a nawet płacił w razie wygranéj koszta ich podróży i procesu. Jeźli przegrał, poddawał się wyrokom sprawiedliwości jakby sądowi Boga. Ani szemrania, ani użaleń tak na Opatrzność jak na ludzi; żądał téż, aby dzieci jego naśladowały go w tém. To wyrzeczenie się rzeczy ziemskich osobliwie pokazał w procesie o Orsigny, największéj stracie materjalnéj dla Zgromadzenia.

Kupił ten folwark na mocy kontraktu bardzo uciążliwego. Po śmierci dawnego właściciela, syn jego zarzucił nieważność, i chociaż kontrakt zdawał się wszystkim najlegalniéj zrobionym, parlament, zarażony już błędami jansenizmu i niechętny zgromadzeniom zakonnym, unieważnił go. „Bogu niech będą dzięki!“ zawołał Wincenty na wiadomość o tym wyroku, i powtarzał pięć albo sześć razy z coraz większą gorliwością, to pełne poddania się wezwanie. I poprzestał dodając: „To tylko mię smuci, że me grzechy przyniosły tę stratę Zgromadzeniu.“ Natychmiast zawiadomił o tém przyjaciół, jak o najweselszéj nowinie, prosząc, by dziękowali z nim Bogu. Nie chciał, pomimo znacznéj pewności skutku, założyć apellacji od tego wyroku, i oddał bogaty folwark Orsigny, ale nie zrzekł się przyjętych ciężarów, dopełniając nadal modlitwy i inne duchowne obowiązki. Nietylko że zgodził się na ten niesłuszny wyrok, uważając go za wolę Bożą, ale chciał nadto, aby synowie jego podziękowali Bogu, i wzięli ztąd postanowienie i praktykę nie procesowania się nigdy.

Ale niedosyć jeszcze Bóg doświadczył sługę swego. Podobnie jak świętego męża Joba, dotknął i jego w posia-

dłościach; dotkliwsze jeszcze czekały go ciosy przez śmierć przyjaciół i dzieci.

II. Śmierć rozpoczęła od Adrjana Le Bon, dawnego przeora św. Łazarza, dla którego Wincenty tak tkliwą czuł wdzięczność. Nigdy syn nie miał więcéj szacunku, miłości i uważania dla ojca; nie nazywał go téż inaczéj jak „nasz ojciec". Sam już starzec, radby był przy starcu zająć miejsce służącego, ale nie mogąc sam, uczył przynajmniéj lokaja, jak ma służyć swemu panu. Le Bon nietylko był panem w swém mieszkaniu, ale w całym domu św. Łazarza, i nietylko tam, ale po wszystkich domach Zgromadzenia. Wincenty często go odwiedzał. Wracając z podróży, pierwszą po Najświętszym Sakramencie wizytę jemu oddawał. Wieczerzał z nim co niedzielę, i jeźli interesa długo zatrzymały go w mieście: „Wracajmy prędko, mówił do swego towarzysza, spieszmy się, żeby nasz ojciec nie czekał."

Przewidując blizką jego stratę, podwajał niejako serdeczność. W ostatniéj chorobie wszelakie oddał mu posługi, i chciał pozostać przy jego śmierci. W chwili konania, zwołał wszystkich Missjonarzy obecnych w domu, kazał im modlić się przy łożu, a sam głośno odmawiał litanje, i jak tylko starzec ostatnie oddał tchnienie, zamknął mu oczy i rzekł do otaczających: „No, moi bracia, oto już nasz ojciec przed Bogiem, ojciec, który tyle miał dla nas dobroci. Racz o Boże policzyć mu dobre czyny i małe prace Zgromadzenia! Strzeżcie się moi bracia, żeby nie popaść w ten nędzny grzech niewdzięczności względem niego i wszystkich tych dobrych zakonników, których dziećmi jesteśmy."

Łącząc czyn do zalecenia, Wincenty sprawił O. Le Bon bardzo przyzwoity pogrzeb, i aby uwiecznić pamięć jego dobrodziejstw, kazał wyryć wspomnienie o tém na jego nagrobku. Odprawił sam i kazał odprawić u św. Łazarza i po wszystkich domach Zgromadzenia wielką liczbę

Mszy św. za spokój jego duszy, i postanowił, aby odprawiano wieczyście solenne nabożeństwo żałobne w rocznicę jego śmierci, która wypadła 9 kwietnia 1651 r.

Le Bon umarł w 75 roku życia. W tym samym był wieku jak Wincenty, który jednak o dziesięć lat blizko go przeżył. Ale przez te lata, na śmierć wieluż osób miał patrzeć święty kapłan, osób droższych jeszcze, a przynajmniéj bliższych, i co więcéj, potrzebniejszych dla Zgromadzenia i dzieł jego!

III. Najprzód utracił był Antoniego Portail, najdawniejszego i najdroższego towarzysza, który przeszło od 45u lat dzielił jego pożycie i prace.

Wkrótce, nowy cios, dotkliwszy jeszcze zesłał nań P. Bóg przez śmierć panny Le Gras, która zgasła w miesiąc potém. Zresztą, jak mówił święty Wincenty, od 20tu już lat ta święta niewiasta cudem tylko żyła.

Panna Le Gras, podobnie jak pani de Gondi, lękała się zawsze umrzeć bez duchownéj pomocy swego świętego dyrektora, a mniéj szczęśliwa od jenerałowéj galer, nie miała téj ostatniéj pociechy. Wincenty tak już był wtedy osłabiony wiekiem, że nie mógł wychodzić. Przypominając sobie zresztą, że Zbawiciel, by oczyścić miłość swych uczniów, oddalił się od nich zmysłowo, podobnież chciał dopełnić oczyszczenia téj wybranéj duszy przez tę ostatnią ofiarę. To téż, skoro na dwa albo trzy dni przed śmiercią, panna Le Gras nie mogąc go widzieć, prosiła choć o parę słów pociechy pisanych jego ręką, posłał jéj tylko, jakby list żywy, jednego ze swych księży z temi od niego słowy: „Odchodzisz przedemną; spodziewam się, że wkrótce obaczymy się w niebie.“ W kilka dni potém, 15 marca 1660 r., święta niewiasta poszła do Boga, który sam nazwał się miłością. Wincenty zniósł tę stratę, najdotkliwszą, jakiéj kiedykolwiek doświadczył, nietylko z ufnością, którą czerpał

w nadziei prędkiego i wiekuistego połączenia, ale ze swém zwykłém poddaniem się woli Boga.

Przez cztery jeszcze miesiące nie mógł zwołać Siostry Miłosierdzia, aby je pocieszyć po stracie matki i wspólnie o jéj cnotach pomówić. Wreszcie, 24 lipca dosyć się czuł na siłach, i zgromadził je na konferencję. Było coś uroczystego i wzruszającego w tém ostatniém zebraniu. Kiedy wszystkie Siostry Miłosierdzia otoczyły go wokoło, wedle zwyczaju począł je naprzód pytać. Pierwsza którą wezwał, nie mogła odpowiedzieć; boleść i łzy nie pozwoliły jéj mówić. Przeszedł więc do innych. Każda wyliczała cnoty matki, które najwięcéj ją uderzyły, i powody naśladowania jéj. Niemało czynów nieznanych miłosiernego żywota panny Le Gras wykryło się na tym sądzie umarłych, a raczéj pierwszym sądzie Boga. Wincenty dodawał do opisu każdéj Siostry, co sam wiedział o cnotach téj, którą tak dobrze poznał; następnie wykazał potrzebę dla Zgromadzenia naśladowania jéj, i zachęcił do proszenia o to za przyczyną świętéj ich matki.

Pannę Le Gras pogrzebano, wedle jéj żądania, jak prostą Siostrę Miłosierdzia w kościele św. Wawrzyńca, wpośród téj parafji i biednych, których była matką. Ciało wielokrotnie wyjęte z grobu, spoczywa wreszcie od 1815 r. w domu głównym jéj córek, gdzie po tylu wędrówkach, czeka dnia błogosławionego Zmartwychwstania, i wiecznego już mieszkania w niebie.

IV. Ostatni poseł, którego Wincenty wysłał dla przygotowania mu miejsca w niebie, był Ludwik de Rochechouart de Chandenier, opat de Turnus.

Człowiek ten, wielki urodzeniem, większy jeszcze cnotą, wielokrotnie odmówiwszy przyjęcia biskupstwa, zamieszkał ze swym bratem, opatem de Moutier Saint Jean u św. Łazarza. Nie mogąc otrzymać od pokornego Wincentego przy-

jęcia do Zgromadzenia, zbliżył się choć do niego o ile możności ubiorem i zajęciami.

W końcu 1659 r. dwaj bracia przedsięwzięli pielgrzymkę do Rzymu, gdzie Papież i dwór rzymski z największą czcią ich przyjęli. Ale w marcu 1660 opat de Turnus zachorował, a wróciwszy trochę do zdrowia, zamierzył powrócić do Wincentego à Paulo. Choroba wznowiła się w drodze, i umarł w Chambery, przyjęty w chorobie do Zgromadzenia. Brat jego przyprowadził ciało do św. Łazarza, który obrał za miejsce spoczynku.

Śmierć ta wielkim żalem przejęła Zgromadzenie, a szczególniéj Wincentego à Paulo. Wszystkie listy świętego z maja i czerwca podają tę smutną nowinę wszystkim domom Zgromadzenia. Pokorny kapłan szczególniejszy kładzie w tych listach nacisk na przyjęcie na śmiertelném łożu opata de Chandenier do Zgromadzenia, na co nigdy pozwolić nie chciał i czego nie może zrozumieć. „Nie wiem, pisze, co ten święty człowiek widział w biednéj Missji, że ją tak pokochał, iż pod jéj imieniem i łachmanami chciał stanąć przed Bogiem. Wielokrotnie mówił nam o swym zamiarze, ale słuchać nawet nie chciałem, z powodu wielkiego jego urodzenia i cnoty; i w rzeczy saméj, tylko dom nasz w niebie zasłużył na łaskę posiadania go jako Missjonarza; na ziemi odziedziczyliśmy tylko piękne przykłady jego życia.“ Mówiono więc u św. Łazarza o cnotach opata de Turnus, i cztery przynajmniéj odbyto w téj materji konferencje, podobnie jak to czyniono o znaczniejszych Missjonarzach.

Nie sam tylko opat de Turnus, w tych ostatnich latach życia świętego Wincentego, przyjęty był prawie przy śmierci do Zgromadzenia. Już Karol d'Angennes, pan na Fargis, szwagier fundatora Missji i René Almeras, prezydujący w komisji skarbu i ojciec drugiego przełożonego jeneralnego, prosili o przyjęcie jako pensjonarze. Pomimo ich

znaczenia, odmówił Wincenty, i obydwaj weszli jako seminarzyści. Dwaj starcy rok tylko żyli w tym nowym stanie. W kilka miesięcy po śmierci opata de Turnus, Wincenty o mało nie poniósł dotkliwszéj jeszcze straty w osobie René Alméras, syna czcigodnego ministra skarbu. Po stracie Antoniego Portail, było by to prawdziwą ofiarą Abrahama, bo Alméras był jego Izaakiem, nadzieją duchownego pokolenia, następcą którego wybrał.

Alméras posłany był do Richelieu na przyjęcie króla. Upał i trudy podróży, osłabiły wątłe zawsze jego zdrowie. Pomimo wielkiego osłabienia, dopełniwszy zadania, spieszył się z powrotem do Paryża, gdzie konieczną była obecność jego, po śmierci szczególniéj X. Portail. Ale choroba zwiększyła się i musiał zatrzymać się w Tours u Oratorjanów. Wielce niepokoił się Wincenty, bo czując się blizkim śmierci, pragnął go widzieć i ostatnie dać mu zalecenia. Doczekał téj pociechy; Alméras, który, żeby nie nadużywać dobroci ojców w Tours, powrócił do Richelieu, choć bardzo jeszcze słaby, ponieść się kazał na noszach do Paryża. Przybył tam wreszcie w piątek 24 września, ale tak zmęczony, że musiano ponieść go do infirmerji, i tegoż dnia nie mógł mówić ze swym czcigodnym ojcem. Nazajutrz rano, Wincenty dowiedziawszy się o jego powrocie, kazał się sam zanieść do infirmerji, gdzie długą miał rozmowę ze swym synem i następcą. Poczém, odniesiono go do stancji; w dwa dni potém święty już nie żył.

III.

Śmierć świętego Wincentego à Paulo.

I. Słabość i choroby. — II. Ostatni dzień. — III. Pogrzeb.

I. Jeszcze w roku 1645 Zgromadzenie o mało co nie straciło swego świętego założyciela. Dawne i nowe słabości,

nawał nieustannéj pracy, boleść w skutek wezwania do rady duchownéj, — wszystko to przygniotło naturę, i wkrótce przywiodło go do ostateczności. Wybawiony od śmierci poświęceniem jednego ze swych kapłanów, który, by ocalić tak drogie życie, ofiarował Bogu swoje, nieużyteczne wedle niego, Wincenty wyzdrowiał, ale wzmogły się dolegliwości, których początek datuje jeszcze od pobytu jego w domu de Gondi, a raczéj od czasu niewoli. Bardzo był zawsze drażliwy na zmiany powietrza i podlegał gorączce, która po kilka dni trwała. Nawet w czasie jéj napadów, żadnéj nie przyjmował ulgi, ani przerywał zwykłych swych prac i ćwiczeń. „Nic to nie znaczy, mówił; to moja mała feberka“. Jedyne jego lekarstwo, ale przykrzejsze i boleśniejsze jeszcze jak choroba, zależało na wywołaniu obfitych przez kilka dni potów, co szczególniéj w lecie czyniło krótki jego spoczynek prawdziwém męczeństwem. Rano, o czwartéj zawsze godzinie, wychodził z łóżka jak z łaźni; siennik, kołdry wszystko było mokre. Obcierał się sam, nie przyjmując nigdy posługi od nikogo i szedł na modlitwę.

Jakież musiały być dnie po takich nocach! Osłabienie, bezsenność przygniatały go przy zajęciach i wizytach. Żeby nie usnąć, wstawał albo niedogodnie siadał, a jeźli i tak sen go przemógł, nie wspominając nic o chorobie, prosił o przebaczenie za swą jak nazywał n ę d z ę. Do zwykłéj f e b e r k i przybyła febra czwartaczka, która wracała co rok, a nieraz dwa razy do roku. Nie inaczéj ją leczył jak pierwszą, a było to właśnie w czasie, w którym największe oddał posługi Bogu i biednym.

Dopiero po ośmdziesięciu latach, choroba przemogła odwagę. Długo chorował na różę, poczém dostał gorączki ciągłéj, która zakończyła się fluxją w nodze. Wtedy, bądź co bądź, musiał jakiś czas zostać w łóżku, a przez dwa miesiące nie wychodzić ze stancji. Pierwszy raz dopiero udało się skłonić go do przyjęcia opalanéj stancji. Nie mógł

się już opierać, bo tak był słaby, że musiano go nosić jak dziecko od łóżka do kominka i od kominka do łóżka.

W poście 1657 r. takiéj dostał odrazy do pożywienia, że nic prawie jeść nie mógł. W 1658 r. ból oka i upadek z powozu, który szeroką zrobił mu ranę w głowie, podwoił gorączkę i przyprawił o niebezpieczeństwo życia.

Obojętny zresztą na życie albo śmierć, zdrowie albo chorobę, równie chętnie wszelkie przyjmował lekarstwa. Jak tylko zapisał co doktór, choćby czuł, że mu to zaszkodzi, przyjmował i tak samo cieszył się ze złego, jak dobrego skutku. Im więcéj cierpiał, tym więcéj błogosławił Boga, i ze swych chorób brał okazją do zachęcania swoich księży w konferencjach albo listach, do cierpliwości i korzystania z choroby. Co mówił do wszystkich, powtarzał każdemu po szczególe, często odwiedzając chorych.

Ale najskuteczniéj uczył przykładem, szczególniéj w długich i ciężkich chorobach w starości, które z tak cierpliwą i spokojną odwagą znosił. Puchlina i rany w nogach straszne czyniły postępy, doszły do kolan, i święty z trudnością tylko mógł je zginać, z boleścią się podnosić i chodzić opierając się na kiju.

W początku 1659 r. nie mógł już wychodzić; schodził jednak jeszcze jakiś czas do kościoła na modlitwę i Mszę św., do sali na konferencje bądź Missjonarzy, bądź duchownych we wtorki, a nawet pań Miłosierdzia, które wolały przybywać na drugi koniec Paryża, jak pozbawić się pociechy widzenia go i słyszenia.

Wkrótce, nie mogąc już wstępować i schodzić po schodkach do zakrystji, musiał ubierać się i rozbierać do Mszy św. przy ołtarzu. „A tom został wielkim panem!“ mówił śmiejąc się,— bo tylko biskupi mają przywilej odprawiać tak Mszę świętą.

W końcu 1659 r. nie mógł już odprawiać Mszy św. w kościele, tylko w kaplicy infirmerji; po kilku miesiącach

nie mogąc utrzymać się na nogach, poprzestać musiał na słuchaniu jéj, co czynił co dzień aż do śmierci, ale z jakim cierpieniem! Idąc ze stancji do kaplicy, wlec się musiał na kulach, a ruch ten, otwierał mu rany i dziwne sprawiał boleści. Nie wyczytano nic na zawsze pogodnéj jego twarzy, ale sam widok chwiejącego kroku, odbijał jego cierpienia. Obawiano się zresztą co chwila upadku, który w takim stanie mógłby być śmiertelnym. Zaklinano go więc w lipcu 1660 r., aby pozwolił obrócić sąsiedni pokój na kaplicę, tym sposobem, mógłby słuchać Mszy św. nie wychodząc: nie przystał. Radzono fotel do noszenia: odmówił także przez pokorę i miłość cierpienia. Wreszcie, w dniu Wniebowzięcia N. P., na sześć tygodni tylko przed śmiercią, nie mogąc już wlec się nawet na kulach, pozwolił dwóm braciom ponieść się, ale z jakiém zawstydzeniem! i to do kaplicy tylko, odległéj o trzydzieści albo czterdzieści kroków.

Jakież męczeństwo! przyłączyło się zatrzymanie uryny, choroba nie mniéj bolesna, a więcéj upokarzająca dla niego. Noce, przykrzejsze jeszcze były jak dnie. W dzień, rany płynęły obficie, co zmniejszało trochę cierpienia, ale w nocy, humory wstrzymane niesłychane sprawiały boleści. Nie mógł tego ukryć, ale nie chciał, aby żalono się nad nim, a szczególniéj jeźli pożałowanie zdało się szemraniem przeciw Opatrzności.

Słabł jednak i dogorywał z każdym dniem, nie przyjmując i w największych cierpieniach ulgi w posłaniu i pożywieniu. Umysł zawsze miał wolny, duszę silną i czynną w niknącém już ciele, — aż do końca kierował Zgromadzeniem i dziełami; z fotelu w którym przykuło go cierpienie, był obecnym i przewodniczył wszystkiemu. Tam przyjmował różnorodne z domu i miasta wizyty, zawsze uśmiechnięty, zawsze pogodny i miły w głosie, słowach i zachowaniu. Pytano go jak się ma: „nic to wielkiego“ odpowiadał, albo téż: „Cóż to znaczy w porównaniu do cierpień

Chrystusa Pana i kary w piekle, na którą zasłużyłem?“ I zgrabnie do czego innego zwracał mowę; od swych udręczeń, o których chciał, aby zapomniano, przechodził do przykrości odwiedzającego, by z nim współboleć i pocieszać.

Zajmował się zarazem wszystkiemi czynnościami swego stanu; nie mogąc sam iść na zebrania miłosierdzia, posyłał w zastępstwie niektórych ze swych księży, nauczywszy ich naprzód. Nieprzerwanie, bo aż do wigilji albo przedwigilji śmierci, listownie wywierał swój wpływ zdala jak zbliska, korzystał z reszty sił, aby złożyć ostatnią daninę wdzięczności swym dwóm największym dobroczyńcom, kardynałowi de Retz i wielebnemu Ojcu de Gondi.

Niepotrzebujemy dodawać, że wśród tych zajęć ciężkich dla umierającego starca, ćwiczenia pobożne zwykłym szły trybem. Pomnożył je jeszcze w ostatnich dniach życia, żeby lepiéj przygotować się na śmierć. Ciągle myślał o téj ostatniéj chwili, i przypominał ją swoim: „W tych dniach, powtarzał im, nędzne ciało tego starego grzesznika rzucą w ziemię, i deptać po niém będziecie“. A gdy zapytywano go ile ma lat: „Długie już lata odpowiadał, nadużywam łask Bożych. Ah! Panie, za długo żyję, bo niema poprawy w mém życiu, a grzechy moje mnożą się z latami“. Skoro oznajmiał śmierć którego z Missjonarzy, dodawał: „Zachowujesz mię, mój Boże, a bierzesz do siebie swe sługi. Jestem tym kąkolem, psującym dobre ziarno, które zbierasz, a ja próżno zawalam ziemię. Ha, mój Boże, dziéj się wola Twoja a nie moja!“

Zbliżał się wreszcie kres życia. Ciągła i wzrastająca słabość, bezsenność w nocy, sprowadzały drzemanie, ktorego nie mógł już pokonać. Widział w tém obraz, przedznak blizkiéj śmierci: „Brat to, mówił uśmiechając się, i siostra niedługo przyjdzie“. W przedostatnim jednak tygodniu życia, trochę czuł się zdrowszy. Codzień przyjmował komunję św. na Mszy w kaplicy. Ale 25 września, koło południa zdjęła

go senność głębsza jak zazwyczaj. Tą razą, prawdziwy to już był posłaniec śmierci, bo świętemu dzień tylko życia pozostał.

II. W niedzielę 26 września, choć już trochę senny, kazał się podnieść i ubrać, ponieść potém na Mszę św., w czasie któréj przyjął komunję; następnie senność tak się wzmogła, że przywołany doktór osądził, że niebezpieczeństwo zagraża. Lekkie przeczyszczenie rozbudziło go; ale po południu uznano, że bezpieczniéj udzielić mu Ostatnie Namaszczenie. Ksiądz d'Horgny zapytał najprzód, wedle zwyczaju, czcigodnego chorego: „Mości księże, chceszże przyjąć ostatnie Sakramenta? — Tak. — Czy wierzysz we wszystko co kościół naucza? — Tak. — Wierzysz w jednego Boga we trzech Osobach? — Tak".

Każde to pytanie o wiarę, tak żywą zawsze w niknącém ciele, wyrywało go ze snu, i z wysileniem odpowiadał; ale zaledwo mógł wymówić ciągiem dwa albo trzy słowa zrozumiałe, reszta nikła w szepcie, którego nie rozumieli obecni.

Po ukończeniu zwykłych pytań, d'Horgny ciągnął daléj: „Czy prosisz o przebaczenie wszystkich? — Z całego serca. — Przebaczasz że wszystkim? — Nigdy nikt..." i niedokończył zdania, którego widoczném zakończeniem było: „nie obraził mię".

W jego imieniu X. d'Horgny przeczytał zwykłe akty i dodał: „Mości księże, zmówimy za was *Confiteor,* a powiecie tylko *mea culpa* uderzając się w piersi". Ale święty, zebrawszy siły, sam zmówił cały *Confiteor.*

Poczęło się namaszczanie; przy każdém podwajał wysileń, by słyszeć i odpowiadał *Amen.* Przy ostatniém, przyszedł trochę do siebie; otworzył oczy i wesoło pogládnął po otaczających. Ci skorzystać chcieli z tego przebudzenia, i prosili o błogosławieństwo dla wszystkich jego dzieci:

„Nie mnie to...“ i znów ogarnęła go senność, że nie mógł dokończyć pokornego zdania, które jak widzieliśmy wielokrotnie powtarzał: „Nie mnie to, niegodnemu, nędznemu, błogosławić wam“. Głowa pochyliła się na piersi i tak pozostawała. Chcąc mu ulżyć, oparto ją na chustce, którą po kolei przytrzymywali bracia przez całą noc.

Około dziewiątéj wieczór, księża Zgromadzenia przyszli ostatni raz go pożegnać. Każdy mówił jakieś słowo z Pisma św.; jakby na głos anioła zmartwychwstania, budził się na chwilę ze snu, i powtarzał parę syllab. W jednéj z tych przelotnych chwil przytomności, ponowiono proźbę o błogosławieństwo, i tą razą wyraźnie odpowiedział: „Niech was Bóg błogosławi“. Księża odeszli wtedy pocieszeni; najmłodsi i najsilniejsi pozostali całą noc, starając się mu poddawać jakie westchnienie do Boga, które powtarzał. Ale co szczególniéj lubił, i sam z siebie powtarzał to wezwanie: *Deus in adjutorium.*

Około jedenastéj, rzuca się pot obfity, i nagle nie czuć już pulsu. Wkrótce pot zimnieje, otaczający myślą że to ostatnia chwila, i odmawiają polecenie duszy Bogu. Ale ciepło żywotne powraca, puls bić zaczyna; przedstawiają mu jakiś napój: ściska zęby; kładą w usta trochę konfitur: nie przyjmuje; jeden brat wsypuje mu w nos trochę proszku dla przebudzenia: kicha i znów wpada w senność; powtarza jednak jeszcze niektóre wezwania.

O wpół do drugiéj, proszą znów o błogosławieństwo dla obydwóch rodzin: „Niech Bóg błogosławi, odpowiada. — Mości księże, rzecze wtedy d'Horgny, pobłogosław jeszcze księży konferencji wtorkowych. — Tak. — I panie bractwa Miłosierdzia. — Tak. — Podrzucone dzieci. — Tak. — Kobiety Imienia Jezus. — Tak. — Wszystkich dobroczyńców i przyjaciół. — Tak“.

O drugiéj, znów pot występuje. Twarz jego najprzód rumiana i jasna, zmienia się w białą jak śnieg. Jeden z księży

zaczyna *Credo;* odpowiada *Credo* i całuje krucyfiks, który trzyma w ręku. I podobnie na wszystkie artykuły wiary i inne akty, które mu poddają; na każdy odpowiada i całuje przedmiot jego wiary, zadatek nadziei, — krucyfiks.

Trochę przed czwartą, znowu twarz czerwienieje; zdaje się cały w ogniu; potém czerwoność znika i twarz śnieżnéj staje się białości. Poddają mu inne wezwania, które szepcze poruszając ustami, których już zamknąć nie może. Tą razą, śmierć już się zbliża. Czkawka znamionuje konanie, krótkie, kwadrans zaledwo, bo oddawna już odpokutował za wszystko. To téż kona bez wysileń, bez konwulsji; zaledwo parę głębszych odetchnień — i dusza powróciła już do Boga.

Było po czwartéj. Godzina poświęcona, o któréj wstawał co dzień, od pięćdziesiąt przeszło lat. W tym ostatnim dniu, wiernie zachował regułę, i o wpół do piątéj znowu stanął przed Bogiem, ale już tą razą, by na wieki z Nim się cieszyć.

Umarł w fotelu, ubrany, przy ogniu. Pozostał w téj saméj postawie; tylko twarz jego przybrała czcigodną piękność, jakby odblask zesłany z nieba od świętéj jego duszy.

Położono święte ciało na łóżku i obmyto. Potém bracia ubrali je. Cały dzień i noc następną, sześciu duchownych w komżach odmawiało przy ciele żałobne nabożeństwo. Znakomite osoby przybyły odwiedzić je z płaczem. Wszyscy dotykali o nie koronki, chustki i całowali ręce i nogi.

III. Czyniono przygotowania do pogrzebu, wyznaczonego na wtorek. Otworzono ciało; główniejsze części znaleziono zdrowe. Odłożono na bok wnętrzności, które pogrzebiono w nawie kościoła świętego Łazarza, a serce zamknięto w srebrnym relikwjarzu, danym przez księżnę d'Aiguillon. Święte ciało zostało wystawione na widok publiczny we wtorek 28 września do południa. Przez cały ranek Missjo-

narze naprożno sililí się odsunąć tłum. Darto jego odzież; niektórzy wyrywali włosy z głowy albo brody. Wreszcie rozpoczął się pogrzeb, na który zebrali się książęta kraju i kościoła, wysocy urzędnicy, proboszcze, wielka liczba duchownych i zakonników, księżniczki i wielkie panie, wreszcie osierocone dwie rodziny Missjonarzy i Siostr Miłosierdzia. Ludu i ubogich, ukochanych dzieci miłosiernego nieboszczyka, nie możnaby zliczyć. .Ciało złożone w ołowianéj trumnie, przykrytéj drugą z drzewa, pogrzebano w pobliżu ołtarza w murowanym grobie.

We dwa miesiące po tém, liczniejsze jeszcze zebranie zgromadziło się w kościele św. Germana d'Auxerrois, gdzie duchowni z wtorkowych konferencji wyprawili swym kosztem wspaniałe nabożeństwo, a mowę żałobną powiedział Henryk de Maupas, biskup z Puy, przez długie lata stołownik Wincentego, więc uważny i przywiązany świadek pięknego jego życia. Mnóstwo księży świeckich i zakonnych, zgromadzeń, kościołów parafjalnych i katedralnych, oddało Wincentemu à Paulo też posługę miłości i wdzięczności.

W tymże czasie, uczucia żalu i pochwał przybywały zewsząd i od wszelkich stanów do św. Łazarza, z pałacu i chatki, od tronu i pługa, z Francji i zagranicy. Anna Austrjacka, królowa polska, książę Kondeusz, ojciec de Gondi, prezydent de Lamoignon, margrabia de Pianezze, zgromadzenia któremi kierował Wincenty, albo posługi oddał, biskupi królestwa którzy go lepiéj znali, ludy które ocalił, wszyscy wyrażali jednoż podziwienie i boleść. A pierwsze to współczucie, nagłe i mimowolne, jakby nieprzeparty i dobrowolny wybuch ogólnego uczucia, nie miało zgasnąć po upływie lat w próżni i milczeniu śmierci, zapomnieniu i niewdzięczności, ale przeciwnie, zwiększać się, róść, a następnie wybuchnąć w prożbie o proces kanonizacyjny i wywołać nawet uznanie przez Kościół.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Kanonizacja i cześć. — Życie pośmiertne.

I.

Beatyfikacja.

I. Pierwsze świadectwa i pierwsze starania; proces *informacyjny* i *de non cultu*. — II. Pierwsze rozprawy w Rzymie; wprowadzenie sprawy.— III. Proces *in genere* i *ne pereant probationes; proces in specie;* otworzenie grobu; proces w Rzymie; dekret o heroiczności cnót. — IV. Proces o cudach. — V. *Breve* i uroczystość beatyfikacji w Rzymie i we Francji.

I. Świętość Wincentego à Paulo, objawiła się za życia i przy śmierci, nie tylko przez heroiczne jego cnoty i zadziwiające dzieła, ale przez prawdziwe cuda. Objawiła się na nowo w kilka miesięcy po śmierci, w czasie obioru następcy jego, Almérasa. Wyznaczył go za wikarjusza jeneralnego Zgromadzenia; i objawił się sam, żeby skłonić na wybór jego przeciwne głosy. Pomimo tego dowodu jego chwały, nie wiemy aby przedsięwzięto jakie kroki w celu kanonizacji za życia Alméras'a. Opinja jednak publiczna nie przestawała objawiać religijnych pragnień; poświęcano pisma jego pamięci. Kanonizacja ta popularna ostrzegła przynajmniéj Almeras'a, że zebrał listy i inne pisma Wincentego, treść jego nauk i konferencji, polecił spisać pamiętniki jego życia: z tego wszystkiego powstał jakby dowód na przyszłość, *Żywot jego,* który ogłosił Abelly w 1664 r.

Dwadzieścia pięć lat zarządu Zgromadzeniem Edmunda Jolly (1672—1697) upłynęły także, a jeszcze nie poczyniono kroków do policzenia Wincentego w poczet świętych. A jednak, Jolly lepiéj jak wielu innych znał świętość założyciela Missji; i on był przedmiotem nadnaturalnéj przepowiedni Wincentego. Dopiero zebranie jeneralne na wybór Mikołaja Pierron za następcę Jollego w 1697 r., postanowiło starać się o beatyfikacją Wincentego à Paulo. W tym celu Pierron napisał do przełożonych wszystkich domów Zgromadzenia, nakazując poszukiwanie wszystkiego, coby mogło posłużyć do dopięcia celu. List ten dał powód do nowego cudu, którego doznał X. Jan Bonnet, który wkrótce potem został przełożonym jeneralnym Zgromadzenia Missji. To téż Bonnet przez wdzięczność, gorliwie pracował nad beatyfikacją Wincentego, któréj doczekał się przed śmiercią. Ale i dwaj jego poprzednicy, Pierron i Watel, nie zaniedbali téj wielkiéj sprawy, któréj jedynie dla krótkości czasu ich przełożeństwa nie dokończyli.

Watel pierwszy rozpoczął przedwstępne kroki. De Cés mianowany postulatorem sprawy, stanął 5 stycznia 1705 r. przed kardynałem de Noailles arcybiskupem paryzkim i przedstawił prożbę w celu zamianowania komisarzy dla rozpoznania procesu zwanego *informacyjnym*, o życiu, cnotach, cudach i opinji świętości sługi bożego. Kardynał wyznaczył rzeczywiście komisję, która przez cały ten rok i część następnego, badała i słuchała świadków tak w Paryżu jak i w różnych djecezjach królestwa.

Rozpoczęto zarazem proces zwany *de non cultu*, dowodzący, że nie uprzedzono sądu stolicy apostolskiéj, oddając Wincentemu cześć religijną, należną tylko świętym kanonizowanym. Wysłuchano i w tym celu świadków, odbyto wizytę kościoła św. Łazarza, gdzie był grób Wincentego i miejsce gdzie przechowywano jego relikwije; a gdy wszystko okazało się zgodném z przepisami prawa, arcybiskup wydał

przychylny wyrok, i obydwa procesa oddano postulatorowi sprawy, który powiózł je do Rzymu.

II. Postulatorem wtedy był X. Jan Couty. Przybywszy do Rzymu w maju 1708 r. dobrze był przyjęty przez Klemensa XI. papieża, od którego otrzymał zaraz zwolnienie od dziesięciu lat przerwy, wymaganéj między złożeniem procesu dokonanego przez biskupa a otwarciem go. Papież na prośbę jego, zamianował *ponentem* czyli referentem sprawy kardynała de la Trémoille ambasadora Ludwika XIV w Rzymie. Kardynał francuzki z większą naturalnie gorliwością jak inny, mógł pracować nad kanonizacją świętego francuza. La Tremoille zresztą spełniał w tém wolę i przykład swego króla, który niedawno przedtém pisał do papieża polecając mu sprawę Wincentego à Paulo. Couty także, przedstawił papieżowi na srebrnéj pozłacanéj tacy sześćdziesiąt przeszło listów panujących, książąt, kardynałów, arcybiskupów, biskupów, kapituł i jenerałów zakonów i zgromadzeń, które wydrukowano w Rzymie 1709 roku. Listy te, jednomyślne w pochwałach, zawierały różnorodne szczegóły o Wincentym à Paulo, stósownie do posług oddanych krajowi z którego pochodziły; razem wzięte, stanowią całość prawie życia, cnót i dzieł jego; w potrzebie zastąpić by mogły historją, a przynajmniéj, dołączone do opisu życia i procesu kanonizacyjnego, stanowią szereg nieprzepartych dowodów.

Obydwa procesa, przetłómaczone na język włoski, uznano za ważne w Rzymie. Jednocześnie, kongregacja obrzędów oświadczyła, że znalazła w procesie informacyjnym dostateczny dowód, że Wincenty à Paulo praktykował cnoty chrześcjańskie w stopniu heroicznym, i czynił cuda po śmierci: dowód dostateczny, ale nie do dekretu beatyfikacji, jedno dowodzący opinji świętości jego i dozwalający na zbadanie jego sprawy przez Stolicę apostolską.

Pięć lat blizko upłynęło na tych długich i trudnych badaniach przedwstępnych, zmierzających jedynie do uznania, że sprawę Wincentego à Paulo warto rozpocząć w Rzymie. A ileż już zachodów i pisania! ileż rozpraw w których i wysokie nawet cnoty ostać by się nie mogły! Cóż dopiero w następnym procesie z władzy apostolskiéj! w rozbiorze szczegółowym, najdrobniejszym, zawziętym pism, i słów, czynów i intencji, życia publicznego i domowego! Pomimo wszechmocy łaski, dziwić się prawie można, że może przyodziać słabość ludzką siłą, zdolną uzbroić pamięć przeciw groźnym zarzutom w procesie kanonizacji. Ani jednego błędu, jednego uchybienia, jednéj słabości, jednéj niedoskonałości; inaczéj sprawa upada i wszystko już skończone! Kościół wymaga cudów od tych, których stawia na ołtarzach; a jakichże cudów, i jak autentycznie stwierdzonych! Ale to cud cudów, że życie ludzkie, przebiegnięte od deski do deski, w całéj głębi zbadane, przetrząśnięte we wszystkich tajnikach, nie dopuszcza i jednego choć w cząstce słusznego zarzutu, że wszystko w niém okazuje się czystém, heroiczném, świętém!

Jednak, wielka mnogość ludzi wyszła zwycięzko z tak strasznego badania, ale nikt może z większą trudnością, a więc, większym zaszczytem i blaskiem jak Wincenty à Paulo. Nikt w rzeczy saméj nie miał do czynienia z tak silnym przeciwnikiem, bo naprzeciw stawał jako *promotor fidei* Prosper Lambertini, przyszły Benedykt XIV. autor wielkiego i uczonego dzieła *o kanonizacji świętych*, wtedy adwokat konsystorjalny. W obec takiego człowieka i takiego życia, w tak godnym jego zdolności procesie, Lambertini wszystkich sił zdawał się dobywać, rozwijać całą swą strategją umiejętności teologicznéj. Przez kilka lat używał wszystkich zasobów obszernéj wiedzy, najgłębszego jaki był kiedy umysłu; wyczerpnął niejako niewyczerpany arsenał swéj nauki, wyszukując coraz nowéj a zawsze groźnéj broni

przeciw pokornéj ale silnéj pamięci swego przeciwnika; — i gdy adwokaci Wincentego, zmęczeni tą długą walką, prosili niejako o łaskę, nie dla ich niepokonanego kljenta jak raczéj dla siebie samych, Lambertini nowe gotował zarzuty i znów trzeba było zaczynać rozprawy; aż w końcu objawił im cały swój plan kampanji, i rzekł z uśmiechem: „Chciałem poznać mego przeciwnika, ale pewny byłem, że wyjdzie zwycięzko. Nastręczyć mu chciałem sposobność okazania swéj siły i cnoty. No, święty to był człowiek!“

Dzielnie już Lambertini rozpoczął wstępne te rozprawy, ale silniejszą jeszcze broń gotował na sam rozbiór sprawy, na proces o świętości.

III. Utworzono z rozkazu papieża nową komisję w Paryżu, która zajęła się procesem zwanym *in genere*, nie decydującym sprawy, ale służącym tylko do dowiedzenia, że opinja świętości kandydata przedstawionego Stolicy apostolskiéj utrzymuje się ciągle, i że od czasu wiadomości o rozpoczętych krokach nie zaszło nic przeciwnego prowadzeniu jéj daléj. Poczém odbyto proces nazwany *in specie, ne pereant probationes*, którego celem, jak najspieszniejsze zebranie świadectw, już nie ogólnych, ale szczegółowych od starców i słabych, których śmierć mogłaby zabrać, zanim by można rozpocząć właściwy proces *in specie.*

Po przyznaniu i potwierdzeniu w Rzymie tego procesu *in genere*, komissja paryzka odebrała rozkaz zbadania *in specie* świętości życia, cnót i cudów sługi Bożego. Proces ten rozpoczęto w Paryżu w maju 1711 r. Wysłuchano jedynie świadków o cudach, bo proces *ne pereant* późniéj miał się odbyć. Tymczasem wyznaczono dzień na otwarcie grobu Wincentego à Paulo, ceremonja rzadka, raz we dwa wieki zaledwo się zdarzająca.

W dniu wyznaczonym, komissja, świadkowie i działający w téj sprawie, udali się do kościoła św. Łazarza.

Wyjęto trumnę z ziemi wśród religijnéj ciszy obecnych, przejętych obawą lub nadzieją. W jakimże stanie okaże się im Wincenty? Już 52 lat leży w grobie, a do tego w kościele gdzie nigdy nie znaleziono całego ciała. Czy Bóg poddał go albo uchronił od zniszczenia śmierci? Otwarto wreszcie trumnę umieszczoną na wzniesieniu; wszystkie usta i serca wydają okrzyk radości: raz jeszcze *„pożarta jest śmierć w zwycięztwie“* (1 Kor. 15. 54), nie tknęła Wincentego à Paulo! Gdy wszyscy zadowolnili swą pobożność i religijną ciekawość, biegli rozpoczęli badanie. Obejrzeli kolejno głowę i wszystkie członki, i w długim raporcie sądowym opisali stan ciała, który zakończyli temi słowy: „Wreszcie, możemy zaświadczyć, żeśmy znaleźli ciało w całości i nie wydające przykrego odoru“.

Po wizycie grobu, serca i innych relikwji, złożono wszystko napowrót w to samo co poprzednio miejsce i ukończono proces, który zaraz odesłano do Rzymu. Couty wkrótce tam pojechał, wioząc nowe listy od całego kleru francuzkiego, pań bractwa Miłosierdzia i Ludwika XIV. Proces uznano za ważny, ale nic jeszcze nie było zrobioném, bo trzeba było otrzymać dekret uznający heroiczność cnót sługi Bożego i cudów, to jest, rozpocząć prawdziwe rozprawy o świętości jego. Couty, dobrze zawsze przyjęty w Rzymie i pełen nadziei, pisał, że w cztery albo pięć lat sprawa się ukończy. Przeszło piętnaście lat trwała, i nie on to ją ukończył. Ale umieszczony potém na czele Zgromadzenia, jemu przypadł zaszczyt zapisania w rocznikach Missji, kanonizacji świętego Wincentego à Paulo. Śmierć Klemensa XI. i kardynała de la Tremoille, krótki pontyfikat Innocentego XIII. i wahanie się z początku Benedykta XIII. sprawiły tę przewłokę. W tym czasie jednak, nowe nalegania posłało zebranie kleru francuzkiego, potém przyszły listy młodego Ludwika XV. i królowéj Marji Leszczyńskiéj. Starania Vieillescases'a i kardynała de Polignac, nowego referenta

sprawy, doprowadziło do stanowczéj kongregacji. Na poprzednich wszystko już zbadano i roztrząśnięto, i przychylny zdano raport o konstytucjach i pismach sługi Bożego. Wreszcie 16 września 1727 r., kardynał de Polignac przedstawił wobec Papieża kwestję o heroiczności cnót i kongregacja po pięciogodzinnéj naradzie, odpowiedziała: „Tak“, z bezprzykładną jednomyślnością. W sześć dni po tém, Papież rozkazał ogłosić dekret.

IV. Dekret ten przyznawał świętość Wincentemu à Paulo, ale jeszcze nie cześć publiczną. Kościół nie dozwala na uroczystą cześć tych wszystkich, których uważa za błogosławionych, naprzykład dzieci zmarłe zaraz po chrzcie, ale tych tylko, którym Bóg udzielając władzę czynienia cudów, objawia, że chce ich chwały na ziemi jak w niebie. Trzeba więc było nowy rozpocząć proces o cudach, sprawionych za wstawieniem Wincentego à Paulo.

Jeszcze za życia świętego, przyznawano mu dar przepowiedni i nadprzyrodzonych wyleczeń, tak fizycznych jak moralnych. Ale szczególniéj po śmierci podobało się Bogu objawić jego chwałę, podobnie jak Wincentemu objawił chwałę świętego Franciszka Salezego i świętéj Joanny de Chantal. Jakkolwiek widoczne były wszystkie te cuda, postulatorowie sprawy, wybrali z tysiąca tylko pięćdziesiąt sześć, których treść spisali. A i treść ta nawet, dodatkiem tylko była do ośmiu które przedstawili kongregacji jako oczywistszych, nieprzepartych i łatwiejszych do zbadania. Z tych ośmiu uzdrowień, między któremi trudnoby zrobić wybór, tak wszystkie zdają się nadnaturalne, kongregacja cztery tylko przyjęła jako cudowne:

Pierwszego doznał Klaudjusz Józef Compoin, który od ośmnastu miesięcy straciwszy wzrok w skutek paraliżu ocznego, zaprowadzony przez matkę do św. Łazarza, przerwał pierwszego zaraz dnia nowenny modlitwę matce, mówiąc:

„Moja matko, widzę jakąś panię przed sobą. — Jakiego koloru ma suknią? — Czerwoną“. W rzeczy saméj, tak ubrana kobieta modliła się wtedy przed grobem. Młody Compoin powrócił sam do domu, zwiastując wszystkim w sąsiedztwie swe cudowne wyleczenie.

Marya Anna L'Huiller, ośmioletnia dziewczynka, była niemą i sparaliżowaną od urodzenia. Matka jéj, nie używając wcale lekarstw, polecała ją, ale na próżno, wszystkim świętym czczonym w Paryżu. Wiara téj kobiety chwiać się już poczynała, skoro wskazano jéj kościół św. Łazarza, i zachęcono aby odbyła tam nowennę. Dziewiątego dnia dopiero, dziewczynka poczęła być zdrowszą; rozpoczęto drugą nowennę, w czasie któréj poczęła chodzić i mówić.

Maturyna Guérin, przełożona Sióstr Miłosierdzia i już w podeszłym wieku, chorowała na raka w nodze. Od trzech już lat zaprzestała się leczyć, skoro przypomniała sobie o świętym swym ojcu. Zaczęła więc z siostrami nowennę. Dziewiątego dnia zupełnie wyzdrowiała.

Ostatnie cudowne uleczenie, potwierdzone przez kongregacją obrzędów, była Aleksandra Filipa Le Grand, podrzuconego dziecięcia, który w siedmiu latach utracił zupełnie władzę w rękach i nogach. Próżne były starania Sióstr Miłosierdzia i najbieglejszych doktorów, i już przenieść go miano do szpitala nieuleczonych. Głębokie zajęcie, jakie biedne to dziecko wzbudziło w Siostrach Miłosierdzia, skłoniło ich przełożoną do polecenia go opiece Wincentego à Paulo. Umieściła go więc u ogrodnika w pobliżu św. Łazarza, zalecając mu nosić tam dziecię przez dziewięć dni. W ciągu nowenny, powróciła władza dziecięciu, i zapamiętał dobrze, kiedy stawał przed komisją, że dziewiątego dnia odbył piechotą i bez kija pół mili drogi wracając do dawnego mieszkania.

Dziwném się zdaje, raz jeszcze powtarzamy, dla czego te cztery tylko cuda przyjęła kongregacja obrzędów; ale kto

tylko zna, w jaki sposób odbywa się proces kanonizacyjny, wie, jak surowemu, niezmordowanemu, długiemu badaniu podlegają w Rzymie fakta przedstawione za cudowne. Skoro postulatorowie sprawy dowiedli rzeczywistości faktów przez sądowe świadectwa, i powierzyli ich obronę najsławniejszym doktorom uniwersytetu rzymskiego, promotor wiary, uzbrojony wszystkiém, co tylko nauka medycyny od Hippokratesa aż do dni naszych wyrzekła o wszelakich chorobach i co historja podaje o mnóztwie nadzwyczajnych zleczeń, stara się dowieść w każdym działanie natury raczéj jak Boga. Mianuje ze swéj strony biegłego głębokiéj nauki, którego samo tylko powątpiewanie starczy już przeciw nadnaturalności faktu. Jeżeli biegły uzna w tém palec Boży, jeszcze to nie dosyć, powierzają drugiemu nowe zbadanie. W indagacjach, raportach biegłych, i rozprawach kongregacji badają, wedle świadectw doktorów, początek, przyczynę, nawet trwanie choroby; także naturę i czas trwania leczenia; skutki lekarstw albo ich bezskuteczność stwierdzoną przez opuszczenie lekarzy; czas i sposób, w jaki udano się o przyczynę sługi Bożego; sposób w jaki nastąpiło wyleczenie, stopniowo albo téż natychmiast, całkowicie albo w części, czy nastąpiła albo nie kryzys, uleczenie czasowe li było albo trwałe i t. d. Natychmiastowość i trwałość uleczenia, są dwoma najsurowiéj wymaganemi warunkami. Badają jeszcze w tym względzie chorego i opinję, i wymagają, aby świadectwa te były jednozgodne, ciągłe i trwałe.

V. W sprawie Wincentego à Paulo zbadanie cudów dwa lata trwało. Skoro kongregacja objawiła swe zdanie o czterech cudach opisanych wyżéj, Benedykt XIII potwierdził je, i 13 sierpnia 1727 r. ogłosił dekret beatyfikacyjny. 21 tegoż miesiąca obchodzono beatyfikację w Rzymie w Watykańskiéj bazylice.

We Francji, wszystkie znakomitości Kościoła i państwa pośpieszyły z powinszowaniem téj szczęśliwéj nowiny dzieciom Wincentego à Paulo; następnie czyniono przygotowania do uroczystości nowego błogosławionego. Naturalnie rozpoczęła się uroczystość u św. Łazarza. Pierwszy krok był bolesny: otworzono grób znowu; święte ciało, które przed 17tu laty znaleziono całe, doznało następnie, wskutek napływu wody, smutnego uszkodzenia. Żadnego jednak nie było czuć odoru. Odjęto niektóre cząstki i wystawiono ku czci publicznéj.

We wtorek, 27 września, dniu śmierci, albo raczéj, mówiąc językiem liturgicznym, dniu *urodzenia* Wincentego à Paulo, rozpoczęto u św. Łazarza zwykłe *triduum* na cześć błogosławionego. Nie było prawie djecezji we Francji, Włoszech i Polsce, gdzieby nie obchodzono uroczystości beatyfikacji Wincentego. Wszędzie kardynałowie, patrjarchowie, arcybiskupi i biskupi uważali za obowiązek i honor przewodniczyć uroczystości ku czci jego, a wielu sami wygłosili jego panegiryk. Królowie i książęta przybywali pokornie zgiąć kolana przed relikwiją albo obrazem tego biednego księdza, który tylokrotnie je zginał nietylko przed nimi, ale i najmniejszymi z ich poddanych.

II.

Kanonizacja.

I. Nowe cuda. — II. Kanonizacja w Rzymie i we Francji.

I. Ponieważ doroczny obchód święta błogosławionego jest tylko miejscowym, zamyślano wkrótce prosić o dekret kanonizacyjny, któryby rozszerzył na świat cały cześć tego, którego miłosierdzie nie znało granic. Aby go otrzymać, potrzeba było przynajmniéj dwóch nowych cudów, doznanych od czasu beatyfikacji. Już w czasie uroczystości bea-

tyfikacyjnych, podobało się Bogu we Francji i indziéj potwierdzić widocznemi cudami sąd Stolicy apostolskiéj i ufną pobożność wiernych. Inne, liczniejsze nastąpiły potém. Zażądano więc i otrzymano od Stolicy apostolskiéj zamianowanie komisji, upoważnionéj do rozpoczęcia z władzy apostolskiéj procesu o nowych cudach. Sprawę tę, rozpoczętą w 1730 r., ukończono spiesznie w końcu 1732. Vieillescases, znów postulator sprawy uzyskał w Rzymie uznanie ważności procesu, zwiększenia czci i sławy błogosławionego, coraz większego napływu wiernych do jego grobu, niezliczoną liczbę *ex voto* świadczących o skutecznéj jego opiece, i przedstawił cuda zbadane w Paryżu. Z siedmiu które podał, dwa tylko wyszły zwycięzko z zarzutów teologji i medycyny:

Siostra Bazyla, od urodzenia tak była słabą, że zaledwo zezwolono jéj w 1706 r. złożyć śluby w klasztorze Benedyktynek w Montmirail. We dwa lata potém, wskutek ataku apoplektycznego została sparaliżowaną, cierpiała niesłychane bole wnętrzności, okropne wrzody i puchlinę, brak apetytu, pożerające pragnienie, ciągłą bezsenność, poty i ból nerek, co wszystko przywodziło ją do ostateczności. Od dziesięciu już lat w takim była stanie, skoro obchodzono w Montmirail uroczystość beatyfikacji Wincentego à Paulo. Powieziono ją do relikwji błogosławionego. Chora ucałowała je ze czcią i prosiła o potarcie płótna, które potém przyłożyła do ran. Gotowa na cierpienie i pragnąc cierpieć aż do śmierci, nie prosiła o zleczenie paraliżu, tylko wrzodów, które zmuszały ją do podlegania codzień operacji chirurga. P. Bóg ją wysłuchał. Zaledwo skończyła tę modlitwę, znikły wrzody, puchlina, ale paraliż pozostał. W kilka dni potém, słysząc czytany żywot sługi Bożego, przyszło jéj na myśl, dlaczego nie miałaby prosić także o wyleczenie paraliżu, i przyrzekając użyć sił jedynie na chwałę Bożą, rozpoczęła nowennę. Trzeciego dnia chce wyjść z łóżka,

naprożno towarzyszka uważa to za szaleństwo; wstaje i chodzi! Cały klasztor i miasto było świadkiem tego cudu.

Franciszek Richer, kupiec paryzki i podskarbi parafji św. Wawrzyńca, przerwał się, podnosząc niezmierny ciężar; ztąd w tak straszną popadł chorobę, że niekiedy tracił przytomność. Podobnéj kryzys doświadczył tegoż poranku, w którym arcybiskup paryzki otwierać miał grób błogosławionego. Jeden z jego przyjaciół, któremu opowiedział o swém cierpieniu, powiódł go do św. Łazarza. Richer krótko ale gorąco modlił się przy grobie; i natychmiast czując rewolucję we wnętrznościach, woła bez wahania: „Wyzdrowiałem!“ Zakupuje kilka Mszy św. dziękczynnych, powraca do domu, i coraz pewniejszy wyzdrowienia, rzuca bandaż w ogień; w rzeczy saméj, zupełnie i trwale wyzdrowiał. Doktorzy po zbadaniu i próbach uznali powrót do zdrowia cudownym. Richer bezkarnie najcięższe podejmował prace, — i P. Bóg jakby na stanowczy dowód dozwolił na ciężki upadek; potłukł ciało, a nie otworzył napowrót ruptury, ani sprowadził poprzednich objawów.

II. Po wielu kongregacjach i konsystorzach, Klemens XII potwierdził te dwa cuda, i wydał dekret, na mocy którego można było przystąpić do kanonizacji. Dekret wydano 10 sierpnia 1736 r., ale bullę wysłano dopiero 16 czerwca 1737 r., dniu, w którym odbyła się uroczystość kanonizacji w Rzymie.

Rozpoczęto też uroczystość u św. Łazarza wieczorem 14 października 1737 r., która trwała wedle zwyczaju ośm dni, przy niezmiernym natłoku duchownych i świeckich. Główniejsze parafje i zgromadzenia zakonne w Paryżu toż samo chciały uczynić, ale jansenizm rozgniewany za tyle czci oddanéj głównemu jego przeciwnikowi, podburzył parlament zarażony także herezją. Proboszcze *konwulsjoniści* oparli się bulli, i parlament jéj nie przyjął. Ale decyzja

rady państwa, wydana na żądanie przełożonego i kapłanów Zgromadzenia Missji, unieważniła tę opozycję, równie jak wyrok parlamentu. Zresztą, na przekór temu wyrokowi i nawet przed przeciwną decyzją rady królewskiéj, parafje i zakony paryzkie obchodziły uroczystość nowego świętego, stosownie do bulli Klemensa XII. A nawet Dwór nie widział widać nic w téj bulli przeciwnego prawom francuzkim, skoro czynny wziął udział w nabożeństwie, które się rozpoczęło 12 grudnia 1737 w kościele Najświętszéj Panny w Wersalu, i późniéj trochę w Fontainebleau.

Cała Francja wdzięczna za miłosierdzie Wincentego à Paulo, obchodziła podobnie jak stolica jego uroczystość. Święto kanonizacji odbyto nietylko po djecezjach, gdzie istniał jaki jego zakład, ale po wszystkich prawie, wpośród napływu i pobożności wszystkich klas społeczeństwa.

Wszędzie, janseniści tylko usiłowali walczyć przeciw popędowi pobożności i wdzięczności ludu. Ale świetniejsze jeszcze nabożeństwa odbyto w miejscach, w których długo zamieszkał Wincenty, miejscach, które były świadkami nieporównanéj jego litości i cnoty: w Tuluzie naprzykład, gdzie siedm lat przebył; w Ljonie, gdzie tak dobrze usprawiedliwił wybór swój na kanonika, a szczególniéj w Chatillonie i w djecezji, z któréj pochodził.

W tymże czasie, cześć nowego świętego rozeszła się z Francji po Sabaudji i Pjemoncie, Genui i Toskanji, Neapolu i państwie kościelném, Austrji i Polsce, Hiszpanji i Portugalji. Przebyła nawet morza; obchodzono ją aż w Chinach, i gdzie tylko byli Missjonarze. W Kanadzie wzięto nowego świętego za patrona, i pierwszy kościół zbudowany w Kwebeku po kanonizacji, stanął pod jego imieniem i opieką. Wszędzie, a szczególnie w Państwie kościelném, tak prześladowany wtedy Kościół, widział zwycięztwo w trijumfie Wincentego à Paulo. Wszędzie także nowe cuda doznano przy téj uroczystości. Toż samo, od wieku przeszło powta-

rza się co rok przy uroczystości Wincentego à Paulo, szczególniéj w domu głównym, gdzie ciało jego spoczywa. I rok nie minie bez kilku cudów, zdziałanych głównie dla maluczkich i ubogich przez tego ojca i opiekuna nieszczęśliwych. Co rok, i kilka razy do roku, wierny ten uczeń miłosiernego Zbawcy powtarzać się zdaje to słowo Boże: „Szedłszy odnieście coście widzieli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, ubogim Ewangelję opowiadają.“ (Math. II. 4).

III.

Cześć i życie pośmiertne.

I. Wiek XVIII; rabunek św. Łazarza. — II. Relikwije świętego Wincentego à Paulo. — III. Przeniesienie ich w 1830 r.

I. Tyle czci, takie uniesienie ludu nagrodzone tylą łaskami z nieba, całe słowem nabożeństwo do Wincentego à Paulo, osłabiło się niestety potém i zaciemniło. Przez pół wieku przeszło Kościół we Francji przechodził najcięższe chwile; filozofja i jansenizm, niewiara i nierząd, sprzysiężone wzajem, rzuciły się na dzieci Wincentego, podkopały instytucje jego i ołtarze. Ani wzmianki wtedy w historji o najużyteczniejszym synu, jakiego wydała Francja. Missjonarze i Siostry Miłosierdzia pracowali jednak w cichości po wszystkich stronach ziemi; ale świat ogarnięty wirem i namiętnościami zdawał się ich nie znać, Bóg tylko i wdzięczna pobożność garstki biednego ludu były ich nagrodą.

W 1785, sławny panegiryk Maurego obudził trochę uniesienia, ale wyrażonego tym językiem obojętności religijnéj, który paczył dzieła Wincentego, przypisując je filantropijnéj czułości. Podburzony lud zapłacił wtedy Wincentemu i jego rodzinie godną swoich mistrzów wdzięcznością:

w nocy z 12 na 13 lipca 1789 rabusie napadli i zniszczyli dom św. Łazarza, nie szanując nawet stancji Wincentego à Paulo, nie pamiętając, co ten dom miłosierny ciągle czynił dla biednych. Nazajutrz, kilku Missjonarzy powróciło do zniszczonego domu, zbierając szczątki pozostałe po rabunku, osobliwie trochę sprzętów świętego Wincentego. Ale w 1792, urzędowy rabunek nakazany przez konwencję narodową dopełnił zniszczenia rozpoczętego w 1789 i upadku św. Łazarza. Przełożony i Missjonarze zaledwo ucieczką uniknęli wrześniowych mordów, i tylko dom św. Firmina liczył męczenników.

Św. Łazarz podobnie jak wiele innych klasztorów, zamieniono na więzienie, nowe klasztory rewolucyjnéj bezbożności, zanim stał się przymusowém schronieniem nierządnic. Zaledwo ślad pozostał po Wincentym à Paulo: jego stancja, którą zakonnice obsługujące dom ten przemieniły na kaplicę.

II, Cóż się stało wpośród tylu spustoszeń z relikwiją świętego? Srebrną trumnę, w któréj ją złożono po dobyciu z grobu w 1729, zabrała w 1792 komisja dóbr narodowych. Oddano jednak święte ciało Missjonarzom, którzy złożyli je w dębowéj trumnie. Ta, kryta po różnych miejscach podczas rewolucji, powierzoną wreszcie została w 1806 Siostrom Miłosierdzia. Serce, zamknięte zawsze w relikwijarzu księżnéj d'Aiguillon, przewieziono do Turynu, zkąd dostało się do Ljonu, gdzie dotąd pozostaje. Zgromadzenie często dopominało się o nie, jako o swoją własność; spodziewać się należy, że w końcu zrozumieją i tam, że za życia jak po śmierci, serce świętego Wincentego à Paulo powinno być wpośród jego dzieci.

Trumnę mieszczącą ciało świętego Wincentego, przenosiły Siostry Miłosierdzia po różnych swych domach, oczekując chwili przywrócenia do pierwotnego stanu Zgroma-

dzenia Missji. Chwilę tę wybrała Opatrzność na zgotowanie świętemu najwznioślejszego trijumfu.

III. W 1830 r. przeniesiono relikwiję do arcybiskupiego pałacu, gdzie po sprawdzeniu jéj autentyczności przez arcybiskupa de Quélen, umieszczono we wspaniałéj srebrnéj trumnie, którą dotąd widzieć można. Po uroczystém nabożeństwie w katedrze, nastąpiło przeniesienie jéj w niedzielę 25 kwietnia, do głównego domu XX. Missjonarzy. Po wspaniałéj procesji, arcybiskup oddał święte ciało w ręce przełożonego jeneralnego. Wiara ludu, tak silnie podkopana przez 15 lat bezbożnéj walki, rozbudzać się zdała w następnym tygodniu, i widać było w Paryżu jakby zmartwychpowstanie religijne. Codzień, proboszcze stolicy w wyznaczonym czasie, przybywali przy wielkim napływie swych parafjan, odbyć wspólne przy grobie nabożeństwo; toż samo uczyniły zgromadzenia zakonne. Nie mniejszy był napływ na codzienne nabożeństwa uroczyście odbywane przez jednego z biskupów, z kazaniami wygłoszonemi przez najsławniejszych mówców. Ale, oprócz tych urzędowych niejako hołdów, ileż czci prywatnéj oddała Wincentemu à Paulo większa część ludności paryzkiéj! Codzień od czwartéj rano aż do dziewiątéj wieczór, otwarty kościół pełen był osób wszelkiéj godności i stanu. Aby uczynić zadość pobożności wiernych, otworzyć musiano chór i sanktuarjum, a dla uniknienia natłoku, lud przez bramę domu wypuszczać, bo wszyscy uklęknąć pragnęli przed trumną, ucałować ją i dotknąć jaki przedmiot; lud krzyże i medaliki, wojskowi swe ordery albo szpady, matki małe dzieci.

Przybyły i znakomite osoby. We środę widziano małżonkę następcy tronu, tę kobietę boleści, która uklęknąć przyszła przed pocieszycielem wszystkich utrapionych. We czwartek sam król przybył w towarzystwie następczyni tronu i księżnéj de Berry. „Przychodzę, — rzekł do arcybiskupa,

który go przyjmował, — przychodzę upaść na twarz przed zwłokami świętego kapłana, tak drogiego ludzkości; przychodzę prosić za jego przyczyną, o szczęście dla mego ludu; z ufnością prosić go, by przedstawił Bogu to najgorętsze pragnienie mego serca.“ I w téjże myśli rzekł do przełożonego jeneralnego: „Módl się ksiądz za Francją: albowiem modlić za szczęście mego ludu, to modlić się za moje.“

W chwili, gdy Karol X wyrażał to chrześcjańskie pragnienie, zdało się, że miał być wysłuchanym. Flota jego szczęśliwie płynęła do Berberji dla zniesienia niewolnictwa, którego doświadczył Wincenty à Paulo i z taką miłością wspierał, aby przynieść z powrotem, razem z chwałą zwycięztwa, nową moc dla jego tronu. Niestety! w trzy miesiące potém, zaledwo przebrzmiały trijumfy zwycięztwa, a nazajutrz po oktawie świętego Wincentego, z równym jak w kwietniu napływem ludu odbytéj, tron był obalony, i razem z nim zdawała się upadać religja. Przez kilka dni ukrywać musiano przed rozburzonemi namiętnościami kosztowną trumnę świętego Wincentego à Paulo. Ale ojciec ubogich i ludu zajął wkrótce swe miejsce nad ołtarzem, i sprawdziły się nad tym wiernym sługą Zbawiciela te słowa Pisma: „Podwyższony nad ziemię, pociągnął wszystko do siebie.“ W rzeczy saméj, przeniesienie zwłok w 1830 nietylko było trijumfem bohatera miłosierdzia, ale i religji. Po rewolucji, którą sprowadziła bezbożność raczéj jak opozycja polityczna, po rewolucji grożącéj nie tyle tronowi jak ołtarzowi, i przekonanéj, że zniszczywszy tron obali zarazem podporę ołtarza, oto Kościół podnosi się silniejszy i świetny na podstawie jedynéj: czynów miłosierdzia. Przez cały czas restauracji, pomimo opieki i przykładu chrześcjańskich książąt, a nawet przez dwa wieki, od śmierci świętego Wincentego à Paulo, nie powstał ani jeden prawie zakład miłosierdzia, i na ziemi, którą pokrył niejako pomnikami swéj miłości, nie widziano nowéj fundacji. Zale-

dwie święta relikwija wyszła z ukrycia, stanęła jako hasło i chorągiew, początek płodności i życia. Powstało zaraz podziwienia godne Towarzystwo pod wezwaniem świętego, które wkrótce zapełniło Francję i świat cały; Paryż szczególniéj rodzi różnorodne dzieła miłosierdzia; wszystkie klasy społeczeństwa przykładają się do ulgi wszelakich nędz fizycznych i moralnych, od wielkich panów i pań aż do *siostrzyczek ubogich*. Innéj nawet wiary ludzie, zajmują się przedewszystkiém tak zwanemi kwestjami ekonomji politycznéj i publicznego wsparcia. Wszyscy pojmują albo czują, że w tém zagadka teraźniejszości i przyszłości, zbawienie religji i społeczeństwa. Więcéj jak kiedyindziéj, po miłości poznają uczniów Zbawiciela, miłość dowodzi czynnéj wiary, objawia jéj żywotność i pociąga ludy. W społeczeństwie, tak groźną nienawiścią rozdzieloném, miłość jedna może doprowadzić do ogólnéj zgody, napisać kartę praw i obowiązków, utworzyć rodzinę braci! Oto zamiar Opatrzności, wzbudzającéj Wincentego à Paulo w przeddzień rewolucji, spółecznéj raczéj jak politycznéj. Wybierajmy, bo wedle drogi jaką obierzemy, nastąpi wskrzeszenie albo zguba religji i społeczeństwa. Odtąd, Wincenty à Paulo albo Babeuf, chrześcjańskie miłosierdzie albo socjalizm!

KONIEC.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

ROZDZIAŁ II.

GALERY I BERBERJA.

ROZDZIAŁ III.

ZGROMADZENIE MISSJI.

I.

Ustanowienie zgromadzenia missji.

II.

Dom św. Łazarza.

III.

Reguły i konstytucje.

ROZDZIAŁ IV.

ŚWIĘTY WINCENTY à PAULO I REFORMA KLERU.

I.

Stan kleru i o ukształceniu duchownem we Francji przed świętym Wincentym à Paulo.

II.

Ćwiczenia przed święceniami.

III.

Konferencje duchownych.

IV.

Rekolekcje.

V.

Seminarja.

ROZDZIAŁ V.

ŚWIĘTY WINCENTY A PAULO I JANSENIZM

I.

Swięty Wincenty á Paulo i Saint-Cyran.

II.

Walka Wincentego przeciw Jansenizmowi.

III.

Wincenty i Janseniści po Bulli. Stron.

ROZDZIAŁ VI.

MISSJE.

I.

Teorja missji.

II.

Missje we Francji.

III.

Missje w Europie.

IV.

Missje zagraniczne.

ROZDZIAŁ VII.

SIOSTRY I PANIE MIŁOSIERDZIA. — SZPITALE.

I.

Siostry miłosiedzia.

ROZDZIAŁ VIII.

RADA DUCHOWNA.

ROZDZIAŁ IX.

ŚMIERĆ ŚW. WINCENTEGO A PAULO.

I.

Wizerunek i dzień.

II.

Straty i śmierci.

III.

Śmierć św. Wincentego à Paulo.

ROZDZIAŁ X.

KANONIZACJA I CZEŚĆ. — ŻYCIE POŚMIERTNE.

I.

Beatyfikacja